

JAMES CRAIG

ZŁO
CZAI SIĘ
W CIENIU

Myślisz, że elity władzy mogą więcej?
Mylisz się. Mogą wszystko!

James Craig

ZŁO CZAI SIĘ W CIENIU

Tytuł oryginału: Buckingham Palace Blues

Nie pokładajcie ufności w książkach
Ani w człowieku, u którego nie ma wybawienia.
Gdy tchnienie go opuści, waca do swej ziemi,
Wówczas przepadają jego zamiary.
Psalm 146[1]

1

– Fuj...

Joe Dalton odgryzł kawałek bułki z jajkiem na twardo, przeżuł go kilka razy, a potem wypluł przez okno swojego austina FX4. Choć od trzech dni prawie nic nie jadł, gdy tylko próbował coś przełknąć, natychmiast czuł mdłości. Pewny, że nie zdoła wmusić w siebie ani kęsa, wyrzucił kanapkę do kanału i wytarł ręce w brudną koszulkę z wizerunkiem zespołu Nickelback. Ostrożnie wyjął papierowy kubek z uchwytu na desce rozdzielczej, zdjął pokrywkę i podmuchał na smolistoczną kawę. Upił łyk i się skrzywił. Okropność.

Wzdychając ze znużeniem, otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Wylał parujący napój do kratki ściekowej, a pusty kubek wyrzucił do kosza na śmieci. Trzęsąc się z zimna, przeszedł na tył taksówki i otworzył bagażnik. Na kole zapasowym leżał zwój liny, którą woził ze sobą od tygodni: potrójnie pleciony sznur o średnicy sześciu milimetrów, o doskonałych właściwościach amortyzacyjnych i gwarancji udźwigu do siedmiuset pięćdziesięciu kilogramów. Joe wyjął linę, wiedząc, że jej parametry aż nadto wystarczają do tego, co zamierzał zrobić.

Włożywszy zwój pod pachę, zatrzasnął bagażnik i podszedł do latarni, przy której zaparkował taksówkę. Okręcił linę wokół metalowego słupa, po czym zawiązał starannie na zwykłą kluczkę. Wrócił do taksówki, wrzucił zwój przez okno po stronie kierowcy, otworzył drzwi i wsiadł. Zapiął pas bezpieczeństwa, odetchnął głęboko kilka razy. Następnie trzykrotnie oplótł szyję luźnym końcem liny i zawiązał ją takim samym węzłem – ciasno, ale nie za bardzo. Nylon wrzynał mu się w grdykę, ale pozwalał oddychać. Joe zacisnął zęby, zapalił silnik i wrzucił pierwszy bieg.

– Kurwa!

Nie zważając na łzy, które napływały mu do oczu, zwolnił ręczny hamulec i wcisnął pedał gazu.

Fernando Garros odstawił filiżankę z herbatą na spodek i przyglądał się leniwie taksówkarzowi, który wsiadł do auta, a potem z niego wysiadł. Rozpoznał uśmiechniętą twarz Chada Kroegera na jego koszulce i skinął z aprobatą głową. Nickelback jest świetny! W poprzednim roku Fernando wydał całą dniówkę, by wybrać się na Wembley i zobaczyć zespół na żywo. Nie było go stać na koszulkę za dwadzieścia funtów, ale przynajmniej obejrzał fantastyczny koncert. Zanucił pod nosem kilka taktów Burn It to the Ground, a potem odwrócił się, zawstydzony, by sprawdzić, czy nikt go nie słyszał. Niepotrzebnie się martwił: miał całą kawiarnię Goodfellas dla siebie. Oprócz taksówkarza widocznego za szybą przez ostatnią godzinę nie było tu żadnych klientów. Xavi, właściciel kawiarni, od dwudziestu minut spał smacznie za kontuarem.

Fernando ziewnął i spojrział na zegarek. Dochodziła trzecia piętnaście. Zamknął oczy, skrzyżował ręce na piersiach i rozprostował nogi. Nigdzie mu się nie spieszyło. Niedawno skończył jedenastogodzinną zmianę na stanowisku portiera w Szpitalu Świętego Tomasza i teraz spokojnie jadł kolację (a może raczej śniadanie?), by potem wrócić spacerkiem do kawalerki, którą wynajmował już od ośmiu lat. Elephant and Castle nie była może dzielnicą, po której można spokojnie przechadzać się nocą, wiedział jednak, że jeśli poczeka jeszcze godzinę, wszyscy gwałciciele, wariaci i inne dupki, które mogłyby na niego czyhać, pójdą spać.

Xavi chrapał coraz głośniejsze. Fernando otworzył oczy, dopił herbatę i zastanawiał się przez moment, czy nie zamówić jeszcze jednej. W końcu się rozmyślił i znów spojrział na taksjara, który wrócił do auta. Zawsze bawiła go troska, jaką londyńscy taksówkarze otaczali swoje pojazdy. Uważał to wręcz za dziwactwo. Owszem, są dość drogie – czytał gdzieś, że kosztują ponad trzydzieści tysięcy funtów – ale w końcu auto to tylko auto.

– Mierda!

Fernando o mało nie spadł z krzesła, gdy taksówka ruszyła nagle do tyłu, wjechała na chodnik, przewróciła kosz na śmieci i wbiła się w

okno wystawowe pralni. Natychmiast zawyło kilka alarmów.

– Co się stało? – spytał Xavi, ziewając szeroko i podchodząc do drzwi.

– Wypadek samochodowy.

W tym momencie Fernando zauważył sznur zwisający z latarni i ciągnący się po ziemi. Był pewny, że jeszcze przed chwilą go tam nie było. Potem przypomniał sobie o taksiarzu. Nie widział dokładnie, co dzieje się we wnętrzu auta, ale wyglądało na to, że kierowca leży oparty o kierownicę. Może miał zawał? Tymczasem na drogę wytoczył się jakiś okrągły przedmiot – piłka? – i zatrzymał przy przewróconym koszu na śmieci.

– Cholera... – Xavi podrapał się po głowie. – Kto jak kto, ale taksówkarz chyba powinien lepiej prowadzić.

Wyszedł z kawiarni na pusty chodnik i ruszył w stronę taksówki.

Fernando obserwował go przez moment, a potem, po chwili wahania, sięgnął po komórkę i wybrał dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

2

Był piękny wieczór, temperatura sięgała szesnastu stopni, co prawda co jakiś czas zrywał się chłodny wiatr, ale chyba nikt w Londynie nie liczył na ładniejszą pogodę w połowie września. Ciemniejące błękitne niebo, z rzadka tylko przetykane plamami chmur, przypominało o minionym lecie, które powoli i boleśnie zamieniało się w jesień.

Inspektor John Carlyle otarł spocone czoło i upił łyk wody z plastikowej butelki, nie przerywając biegu przez Mall w stronę pałacu Buckingham. Bieganie nie należało do jego ulubionych form aktywności fizycznej, ale było tańsze niż wizyta w siłowni. Poza tym ruch na powietrzu pomagał mu oczyścić umysł.

Cieszył się, że udało mu się wyrwać z domu – córka i żona sprzeczały się przez cały dzień, więc teraz z ulgą wsłuchiwał się w swoje kroki. Alice wkraczała już w wiek młodzieńczego buntu i wszystko wskazywało na to, że przyjdzie im się z tym zmagać jeszcze przez ładnych parę lat. Carlyle szczerze żałował, że nie może jakoś pomóc w rozwiązywaniu coraz częstszych konfliktów między Alice i Helen, lecz dawno już się przekonał, że w relacjach z kobietami nie potrafi działać zbyt wiele, bez względu na ich wiek i stopień zażyłości.

Opuściwszy mieszkanie w Winter Garden House, pokonał spokojnym tempem Drury Lane, przebiegł przez Covent Garden Piazza i Trafalgar Square, by potem przedostać się przez Carlton Gardens do Mall i ruszyć w stronę pałacu Buckingham. Carlyle nie był rojalistą, ale doceniał majestatyczność scenerii. Niemal codzienne obcowanie z historią było jedną z dodatkowych korzyści mieszkania w centralnym Londynie, dawało poczucie przebywania w samym sercu jednego z najwspanialszych miast świata. Carlyle mógł z ręką na sercu powiedzieć, że naprawdę to wspaniałe miasto, a co najważniejsze, jego miasto. Urodził się w Londynie i – nie licząc kilku smutnych, ale na szczęście krótkich okresów mieszkania na prowincji – mieszkał tu i

pracował przez całe życie. Był londyńczykiem i za żadne skarby świata nie przeniósłby się gdzie indziej.

Mijając posąg Królowej Matki i jej męża króla Jerzego VI, zboczył na wysypaną żwirem ścieżkę rowerową, by uniknąć zderzenia z parą turystów, którzy robili zdjęcia. W tym momencie na jego drodze stanęła kolejna para, znów więc musiał uskoczyć na bok, co ostatecznie wybiło go z rytmu.

– Dupki! – syknął pod nosem, wydłużając krok. Podniósłszy wzrok, zauważył, że obok brytyjskich flag na masztach przy drodze wiszą jeszcze jakieś inne, nieznane mu, uświetniające zapewne wizytę głowy jakiegoś państwa. Zbliżając się do pałacu, Carlyle przyspieszył kroku. W pobliżu skrzyżowania z Marlborough Road zerknął na światła. Były zielone, więc przyspieszył jeszcze bardziej, by potem nie musieć się zatrzymywać. Jednak w tym samym momencie mały zielony ludzik zaczął miarowo migać, po czym zniknął. Cholera, zaklął w duchu, nie chciał jednak znów wypaść z rytmu, więc biegł dalej.

Gdy tylko zszedł z krawężnika i postawił nogę na asfalcie, tuż przed nim przemknął policyjny motocykl na sygnale.

– Cholera! – Carlyle szybko wskoczył na krawężnik i jak gdyby nigdy nic zaczął truchtać w miejscu, nie zważając na drwiące uśmieški pary nastolatków stojących obok. Kilka sekund później rozległy się ochy i achy zgromadzonych wokół turystów, zaterkotały kamery, a ulicą przejechał potężny czarny daimler. Na tylnym fotelu siedziała drobna starsza pani w jasnożółtym płaszczu i kapeluszu, zapatrzona w przestrzeń. Limuzyna minimalnie zwolniła na zakręcie, po czym pomknęła w stronę pałacu, eskortowana przez jeszcze jedną parę policyjnych motocykli. Proszę, proszę, pomyślał Carlyle, biegnąc przez opustoszałą nagle ulicę. Po ponad czterdziestu latach spędzonych w Londynie w końcu zobaczyłem cholerną królową.

Dotarłszy do Victoria Memorial, skręcił w prawo. Zamierzał zrobić dwa kółka wokół Green Park, a potem wrócić do domu. Zbliżała się dziewiętnasta trzydzieści, powoli zmierzchało. Przerzedzał się też tłum turystów, a gdy Carlyle przebiegał obok Canada Gate i wzdłuż

Constitution Hill, dostrzegł tylko jednego biegacza. Z prawej dobiegł krzyk, a gdy odwrócił głowę, zobaczył grupę dzieciaków grających w touch rugby. Gdy piłka wylądowała kilka metrów przed nim, podniósł ją i odrzucił do najbliższego dzieciaka, z jednej strony zirytowany tą niespodziewaną przerwą, a z drugiej wdzięczny za pretekst do krótkiego postoju. Upił łyk wody z butelki i się rozejrzał. Na kamiennej ławce siedziała mała dziewczynka, a nieco dalej spacerował mężczyzna z psem.

Kolejny dzień w mieście powoli zbliżał się do końca.

Zwolnił nieco tempo, więc dotarł w to samo miejsce po dwudziestu pięciu minutach. Mężczyzna z psem i dzieciaki grające w rugby zniknęli, ale dziewczynka nadal siedziała na ławce, wpatrzona w przestrzeń. Przyjrzał jej się ukradkiem, przebiegając obok ławki. Miała dziewięć, może dziesięć lat, krótkie ciemne włosy, sukienkę w kwiatki, bez rękawów i bosa stopy. Nie zwracała na niego uwagi, nieruchoma niczym posąg.

Zastanawiał się przez moment, dlaczego ten widok go niepokoi.

Nagle uświadomił sobie, że w promieniu dwudziestu metrów od dziewczynki nikogo nie ma.

Ani śladu rodziców.

Żadnych koleżanek.

Nikogo.

Przebiegł jeszcze jakieś dziesięć metrów, zatrzymał się przy drzewie i wypił resztę wody, po czym wyrzucił butelkę do kosza.

Powoli podbiegł do dziewczynki, która wciąż wydawała się pogrążona w myślach, i stanął kilka kroków przed ławką.

– Przepraszam... – zaczął łagodnie.

Dziewczynka podniosła wzrok, ale nie odpowiedziała.

Carlyle podszedł bliżej. Jej oczy wyglądały jak zimne szare kamienie.

– Przepraszam – powtórzył – nic ci nie jest?

Dziewczynka spuściła głowę, wciąż milcząc. Gdy skrzyżowała ręce na piersi, Carlyle dostrzegł nad jej łokciami czarne i sine plamy.

Niektóre już przybladły, inne wyglądały na świeże. Uklęknął przed nią powoli.

– Jestem John – powiedział, czując, jak wzbiera w nim złość i zakłopotanie. – Jak się nazywasz?

Dziewczynka przygryzła wargę i pokręciła głową.

– Jestem policjantem. – Co prawda nie miał przy sobie legitymacji, ale to nie było najważniejsze. – Zgubiłaś się? Potrzebujesz pomocy?

W oczach dziewczynki pojawiły się łzy. Jedna z nich spłynęła po policzku. Carlyle z ciężkim sercem podniósł się z klęczek, cofnął o krok i rozejrzał. Robiło się ciemno, samochody miały włączone reflektory, a pałac skąpany był w świetle. Inspektor obrócił się powoli, wytężając wzrok. Nadal nie widział nikogo, kto wyglądałby na opiekuna dzieciaka. Cholera, pomyślał, co za pech. Westchnął z rezygnacją, wyjął z tylnej kieszeni szortów komórkę i zadzwonił na komisariat.

George Patrick, który od niedawna pracował w recepcji komisariatu Charing Cross, odebrał już po pierwszym dzwonku.

– Komisariat policji, słucham?

Był prawdopodobnie starszy od Carlyle'a, ale w porównaniu ze swoim poprzednikiem, Dave'em Prentice'em, wręcz tryskał energią. Prentice kilka miesięcy temu przeszedł na emeryturę i mógł wreszcie spełnić swoje marzenie, czyli zaszyć się na dobre w Theydon Bois, wschodnich przedmieściach Londynu. Zdaniem Carlyle'a był już na to najwyższy czas. Inspektor ani trochę nie tęsknił za tym leniwym starym zrzędą.

– George – powiedział do aparatu – tu John Carlyle. Jestem w pobliżu Green Park, tuż za Canada Gates przy Constitution Hill. Znalazłem kilkuletnią dziewczynkę, chyba się zgubiła. – Ścisząc nieco głos, dodał: – Wygląda... jakby była w szoku, więc może sprawa jest poważniejsza. Możesz przysłać radiowóz?

– Chwileczkę... – W tle słychać było przez moment szelest przekładanych papierów. – Nie wiem, czy mam teraz coś wolnego, ale

postaram się jakoś to załatwić.

– Dzięki. Kto jest teraz na służbie?

Znów szelest. Potem Patrick odczytał listę nazwisk.

Po krótkim zastanowieniu Carlyle podjął decyzję.

– Przyślij Nicole Sawyer.

Sawyer była bardzo miłą i bardzo grubą czarnoskórą policjantką. Choć miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat, radziła sobie z ludźmi o wiele lepiej niż Carlyle, a właściwie lepiej niż którakolwiek ze znanych mu osób. Z pewnością nie złapałaby żadnego przestępcy uciekającego ulicą, ale prawdopodobnie namówiłaby go po prostu, by się poddał. Gdyby policja metropolitalna chciała mieć rzeczownika z naprawdę ludzką twarzą, Nicole byłaby najlepszą kandydatką.

– Postaraj się ją tu ściągnąć.

– Dobra.

– Zadzwoń do mnie, kiedy już będzie jechała. I sprawdź, czy ktoś zgłaszał zaginięcie małej dziewczynki. Ma jakieś osiem, dziewięć lat, szare oczy i krótkie ciemne włosy. Jest ubrana w sukienkę w kwiatki.

– Sprawdzę.

– Dzięki. Do zobaczenia.

Carlyle zakończył rozmowę i wsunął telefon do kieszeni. W tym momencie uświadomił sobie, że ktoś za nim stoi.

– Alzbeto! – W głosie tego kogoś brzmiała irytacja. – Chodź tutaj! Mówiłem ci przecież, żebyś nie rozmawiała z obcymi.

Carlyle obrócił się na pięcie i zobaczył przystojnego mężczyznę koło trzydziestki: jasne włosy, nieco przerzedzone na skroniach, i przenikliwe niebieskie oczy. Był szczupły i miał jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Jego czarny garnitur wyglądał na bardzo drogi, podobnie jak niebieska koszula rozpięta pod szyją i czarne lśniące mokasyny.

– Kim pan jest? – spytał, nie kryjąc złości.

Carlyle stanął przed dziewczynką, zasłaniając ją.

– A pan?

Przez moment mężczyzna wydawał się skonsternowany.

– Jestem jej... wujkiem.

Łże jak pies, pomyślał inspektor, który zdążył już uprzedzić się do tego lalusiowatego faceta.

– Na pewno?

– Na pewno. – Mężczyzna skinął z przekonaniem głową i wyciągnął do dziewczynki rękę. – Chodź.

Alzbeta zsunęła się z ławki, ale nie podeszła do „wujka”. Carlyle położył dłoń na jej ramieniu i poczuł, że drży. Pomyślał o swojej córce – niewiele starszej od tego dzieciaka – i poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Zacisnął mocniej dłoń. Nigdzie nie pójdziesz, pomyślał. Nie z tym palantem.

Przywołał na twarz grymas, który miał udawać uśmiech, i spojrzął mężczyźnie prosto w oczy.

– Obawiam się, że będzie pan musiał poczekać.

– Niby dlaczego? – obruszył się mężczyzna. – To nie pańska sprawa.

Zrobił krok w stronę inspektora, jakby chciał go uderzyć.

– Jestem policjantem – powiedział spokojnie Carlyle, nie zważając na telefon wibrujący w jego kieszeni. Z oddali dobiegało wycie syreny. Podziękował w duchu George’owi Patrickowi, nie odrywając wzroku od twarzy mężczyzny.

– To absurd! – prychnął nieznajomy, ale na dźwięk syreny wyraźnie stracił rezon.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać o tym w komisariacie. – Tym razem Carlyle uśmiechnął się zupełnie szczerze. Syrena wyła coraz głośniej, radiowóz był coraz bliżej. Inspektor zdjął dłoń z ramienia dziecka i ruszył w stronę mężczyzny. Dziewczynka natychmiast popędziła w głąb parku, w stronę Piccadilly. Carlyle i nieznajomy spojrzeli na siebie, zastanawiając się, który z nich pierwszy ruszy w pościg. Zrozumiawszy, że facet nie zamierza tego robić, Carlyle pobiegł za dzieckiem.

Dziewczynka oddaliła się już od niego o dobre dwadzieścia metrów, więc inspektor, który na dodatek potknął się o korzeń,

dogonił ją dopiero po niecałej minucie. Kiedy był tuż za nią, sama się zatrzymała i, zrezygnowana, pozwoliła, by zaprowadził ją do radiowozu.

Nicole Sawyer przywitała ich przyjaznym uśmiechem i pomogła dziewczynce wsiąść do auta.

– Gdzie jest ten facet? – spytał Carlyle, rozglądając się za młodym mężczyzną w drogim garniturze.

Sawyer spojrzała na niego zdumiona.

– Jaki facet?

Carlyle podziękował kolegom, którzy podrzucili go na komisariat, a potem pobiegł najkrótszą drogą do domu, gdzie dotarł zaledwie po dziesięciu minutach. Wziął szybki prysznic, włożył czyste ubranie i złapał po drodze banana oraz kilka ciastek. Zmierzając do drzwi, przystanął na moment, by opowiedzieć żonie, co wydarzyło się w parku.

– Biedne dziecko – westchnęła Helen, odrywając wzrok od telewizora. – Bóg jeden wie, co jej zrobili.

Carlyle nie miał ochoty wdawać się w dyskusję, kim mogą być tajemniczy „oni”, wzruszył więc tylko ramionami i pocałował żonę w czoło.

– Wrócę, gdy tylko będę mógł – obiecał bez przekonania.

– Jasne. – Helen wiedziała z doświadczenia, że „gdy tylko będę mógł” może oznaczać zarówno pół godziny, jak i trzy do czterech dni. Odpowiedziała mu zdawkowym pocałunkiem i wbiła wzrok w telewizor.

Piętnaście minut później stał w jednym z „przyjaznych” pokoiów przesłuchań na trzecim piętrze komisariatu Charing Cross, z oknami wychodzącymi na Agar Street. Dziewczynka siedziała przy stole, pogryzała z apetytem chipsy o smaku sera z cebulą i bazgrała coś w zeszycie do kolorowania, który zorganizowała jej Nicole Sawyer. Na stole leżały też resztki czekoladowego batona i pusta puszka po coli. Carlyle pomyślał, że gdyby Alice pochłonęła tyle niezdrowych rzeczy

naraz, Helena dostałaby ataku serca. Nie był to jednak czas ani miejsce, by martwić się dziecięcą dietą.

Sawyer stała przy oknie, odwrócona do niego plecami. Rozmawiała z kimś przez telefon przyciszonym głosem, więc zapewne nie była to rozmowa służbowa. Ujrzawszy jego odbicie w szybie, szybko zakończyła połączenie i dała mu znać, że powinni wyjść na korytarz. Dziewczynka podniosła wzrok na inspektora, jakby dopiero teraz zauważyła jego obecność, po czym znów zajęła się rysowaniem.

Carlyle wyszedł na korytarz i poczekał, aż Nicole Sawyer zamknie za sobą drzwi.

– Powiedziała już coś?

Sawyer pokręciła głową.

– Nic, co bym zrozumiała. Owszem, mówiła coś, ale nie po angielsku.

– Więc jest cudzoziemką? – zdziwił się Carlyle, myśląc o jej bardzo angielskim „wujku”.

– Na to wygląda – Policjantka wzruszyła ramionami.

– Mamy tłumacza?

– Będziemy mogli kogoś ściągnąć dopiero jutro rano – odparła. – Domyślasz się chociaż, skąd ona jest?

– Nie mam pojęcia. A co z lekarzem?

– Podobno jedzie.

– Opieka społeczna?

Sawyer przewróciła oczami.

– Zostawiliśmy wiadomość. Nikt nie odbiera, jak zwykle.

– Chryste!

Carlyle nie cierpiał kontaktów z opieką społeczną. Niemal wszyscy pracownicy tej instytucji, których do tej pory poznał, byli jego zdaniem pozbawieni motywacji i bezbarwni, wykonywali minimum swoich obowiązków, zasłaniając się przepisami, umowami związkowymi i poprawnością polityczną. Miał wrażenie, że nienawidzą swojej pracy i nie mogą się doczekać, kiedy przejdą na emeryturę, którą hojną ręką będzie im wypłacało państwo. Choć sam

również z przyjemnością myślał o tej perspektywie, w odróżnieniu od pracowników socjalnych starał się uczciwie na nią zarobić.

Sawyer spojrzała wymownie na zegarek.

– Przepraszam, inspektorze – powiedziała – ale moja zmiana skończyła się pół godziny temu. Muszę jechać do domu.

– Jasne – mruknął Carlyle, choć miał ochotę odpowiedzieć, że on w ogóle nie powinien tego dnia pracować. – Do jutra.

– Tak. Dzięki.

Sawyer odwróciła się i oddaliła szybko korytarzem, jakby bała się, że inspektor zmieni zdanie i każe jej pracować po godzinach.

Carlyle wrócił do pokoju i usiadł naprzeciwko dziewczynki. Ta wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem zerknęła na drzwi, jakby zastanawiała się, czy może warto jeszcze raz spróbować ucieczki.

Inspektor opadł na oparcie krzesła. I co ja mam teraz robić? – zastanawiał się bezradnie.

Dziewczynka wzięła czerwoną kredkę i zaczęła coś bazgrać.

Carlyle zrobił przyjazną minę i spojrzał na nią.

– Cześć raz jeszcze – zaczął łagodnie. – Pamiętasz mnie? Spotkaliśmy się w parku. – Wyjął legitymację i położył ją na stole. – Jestem policjantem. Mam na imię John.

Dziewczynka spojrzała na dokument, ale go nie dotknęła.

– A ty jak się nazywasz? – Jak zwrócił się do niej ten facet w parku? Alzbeta? – Elizabeth?

Dziewczynka spojrzała na kredkę i wygięła ją tak mocno, że pękła na pół.

– Tak się nazywasz?

Carlyle obserwował, jak jej oczy wypełniają się łzami, a dolna warga zaczyna drżeć. Pochylił się do przodu, czekając, aż wreszcie coś wykrztusi.

Nagle wytarła nos i spojrzała na niego wyzywająco.

– Pieprzymy się teraz? – W jej głosie nie było wahania. Zabrzmiało to niemal jak prowokacja.

– Co? – Carlyle odsunął się gwałtownie od stołu. Najchętniej udawałby, że nie usłyszał tego, co właśnie usłyszał.

Dziewczynka wstała.

– Chcesz? – spytała, naśladując wytworny akcent, którym przemawiał mężczyzna w parku. – Pieprzmy się?

Carlyle bez słowa wyszedł z pokoju. Zamknął za sobą drzwi, przeszedł kilka metrów korytarzem, zatrzymał się przed ścianą i dwa razy uderzył w nią głową.

Au!

Ból był dobry, pomógł zebrać myśli i zapanować nad emocjami. Po chwili inspektor wyjął komórkę i zadzwonił do recepcji.

– Jest już lekarz? – spytał zdesperowany.

– Będzie za dwie minuty – odparł Patrick.

– Kto to?

– Weber.

Carlyle znał Thomasa Webera. Był bardzo miłym facetem. Niemcem. Skrupulatnym i fachowym. Ale to nie było zadanie dla niego.

– Ściągnij jakąś lekarkę – polecił.

– Co?

– Uwierz mi – Carlyle z trudem zachowywał spokój – to powinna być kobieta.

– Ale Weber jest na dyżurze...

– Nie obchodzi mnie, kto jest na dyżurze, kurwa, choćby to był sam król Syjamu – warknął. – Sprowadź mi lekarkę. Kobietę. Proszę.

– Inspektorze...

Uspokój się, przykazał sobie w duchu Carlyle. Uspokój się. Krzyk w niczym ci nie pomoże. Odetchnął głęboko.

– Posłuchaj, George, przepraszam, ale to może być paskudne. Naprawdę paskudne. Coś znacznie gorszego niż te bzdury, z którymi musimy użerać się na co dzień. To ważne i pilne. Na razie zostanę z dziećmi, a ty zobacz, co da się zrobić.

– Dobra. – Patrick odłożył słuchawkę z takim trzaskiem, jakby chciał mu w ten sposób powiedzieć: „Ja też mam cię gdzieś”.

Carlyle stał przez chwilę na korytarzu, oszołomiony, potem wrócił do pokoju przesłuchań. Dziewczynka przestała już kolorować książkę i rysowała po stole. Tym razem w ogóle nie zwróciła na niego uwagi. Stał pod ścianą i obserwował, jak zużywa jedną kredkę po drugiej. Gdy zostały jej już tylko same końcówki, opadła na oparcie krzesła, skrzyżowała ręce na piersi i podziwiała swoje dzieło. Zdaniem Carlyle’a wyglądało całkiem niezłe. Pomyślał, że być może powinni zanieść stolik do jakiejś galerii, Waterloo Bridge albo Tate Modern.

– Elizabeth – powiedział cicho, bardziej do siebie niż do niej – skąd ty jesteś, do cholery?

Przetoczyła połówkę złamanej czerwonej kredki po blacie, mruczając pod nosem coś niezrozumiałego. Zdaniem inspektora brzmiało to jak jakiś język wschodnioeuropejski. Może rosyjski? Albo polski? Nie wiedział. Dziewczynka wyglądała na Europejkę, ale nie mówiła po francusku, włosku, niemiecku ani hiszpańsku. Prawdopodobnie nie pochodziła też ze Skandynawii. Nigdy nie słyszał, by handlowano dziećmi – ani dorosłymi – z tamtego regionu.

Wciąż się nad tym zastanawiał, gdy do pokoju wszedł Thomas Weber. Towarzyszyła mu drobna, jakby nieco wystraszona policjantka, której Carlyle nigdy dotąd nie widział. Uśmiechnęła się lekko na powitanie. Widząc grymas irytacji na twarzy inspektora, Weber podniósł rękę, uprzedzając jego narzekania.

– Wiem, o co prosisz – powiedział zdecydowanym tonem – ale na nic innego nie możesz liczyć.

Carlyle spojrzał na zmęczoną twarz lekarza i skinął potulnie głową. Robienie awantury nie miałoby w tej sytuacji sensu.

– No dobrze. – Weber westchnął, po czym odwrócił się do dziewczynki i uśmiechnął. – Chodźmy na dół.

Policjantka wzięła ją za rękę i wyprowadziła z pokoju. Carlyle przepuścił Webera i poszedł za nim.

Na pierwszym piętrze komisariatu znajdowało się „ambulatorium” – kilka pokoi z odpowiednim sprzętem, które udawały gabinety lekarskie. Kiedy już tam dotarli, Weber zwrócił się do Carlyle’a:

– Lepiej będzie, jeśli zostawisz to nam. Może pójdziesz na kawę i wrócisz za pół godziny?

– Może być – zgodził się Carlyle, wzdychając w duchu z ulgą.

Podczas gdy doktor Weber badał dziecko, inspektor wymknął się z komisariatu i poszedł do księgarni przy New Row, która zwykle była jeszcze otwarta o tej porze. Dział dziecięcy znajdował się w podziemiu. Korzystając z pomocy uprzejmej sprzedawczynie, wybrał Mój pierwszy atlas i dwie książeczki do kolorowania – jedną z księżniczkami, a drugą z baletnicami. Uśmiechnął się na myśl, że jeszcze kilka lat temu kupowałby takie książeczki Alice. Potem przypomniał sobie dziewczynkę, która została w komisariacie, i natychmiast spochmurniał.

– Coś się stało? – spytała sprzedawczynie, szczerze zaniepokojona.

– Nie, nie – zapewnił ją pospiesznie Carlyle. – Dziękuję za pomoc. Właśnie tego szukałem.

Gdy wrócił do komisariatu, lekarz czekał już na niego przed gabinetem. Zobaczywszy jego minę, Carlyle od razu zrozumiał, że sytuacja wygląda co najmniej tak źle, jak przypuszczał. Wrażliwy na tego rodzaju okropności, wołał nie znać szczegółów.

– Do opieki społecznej? – spytał, uprzedzając Webera.

Lekarz skinął głową.

– Zaraz do nich zadzwonię.

– Powodzenia – mruknął Carlyle. – A co ja mam robić w tym czasie? – spytał, zdając sobie sprawę, że to głupie pytanie, spowodowane frustracją i zmęczeniem.

– Postaram się załatwić to jak najszybciej – odparł spokojnie Weber, po czym zabrał swoją torbę i ruszył w stronę schodów.

Carlyle odprowadził go wzrokiem i zgrzytnął zębami, zły na siebie. Nie po raz pierwszy wpakował się w taką sytuację. Gdy zaburczało mu w brzuchu, zdał sobie sprawę, że na dodatek jest głodny. Kantyna w komisariacie była już zamknięta, więc znów musiał wyjść na dwór. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Jeśli zabierze dziewczynkę ze sobą, złamie przepisy. Z drugiej strony może to pozwoli jej trochę się otworzyć. Carlyle wątpił, by jej angielski obejmował cokolwiek poza garstką tych przerażających słów, które już usłyszał, miał jednak nadzieję, że może przy burgerze i frytkach dzieciak nabierze do niego zaufania.

Odetchnął głęboko i wszedł do ambulatorium. Policjantka zerwała się z miejsca, skinęła mu głową i zniknęła za drzwiami. Dziewczynka spała na stole w rogu pokoju. Leżała twarzą do ściany, przykryta jednorazowym fartuchem. W ciszy słychać było jej oddech. Carlyle ostrożnie odłożył książki na biurko po drugiej stronie pokoju, znalazł w szafce koc i okrył nią dziewczynkę. Przez chwilę stał bez ruchu i jej się przyglądał. Ładna, pomyślał. Prawie wszystkie dzieciaki w tym wieku są ładne. Wyłączył światło i usiadł na krześle zwolnionym przez policjantkę. Znów zaburczało mu w brzuchu, ale kazał mu się zamknąć. Nieważne, czy jest głodny, czy nie – jedyne, co może teraz zrobić, to czekać.

Carlyle obudził się nagle i przez chwilę mrugał zdezorientowany. Gdy nieco oprzytomniał, spojrzał na tarczę ściennego zegara lśniąca w ciemności i jęknął głucho: druga piętnaście. Pocierając zdrętwiały kark, podniósł się powoli z krzesła i dokonał w myślach szybkiego przeglądu wszystkich obolałych części ciała. Powstała z tego całkiem długa lista. Dziewczynka wciąż mocno spała, zwinięta w kłębek.

Inspektor wyszedł cicho z pokoju i sprawdził telefon, odkrywając z konsternacją, że miał cztery nieodebrane połączenia i SMS od żony – „Gdzie jesteś?” – wysłany o dwudziestej trzeciej. Ziewnął szeroko. Jak to możliwe, że przespał wszystkie te sygnały? Cóż, właściwie nie powinien się dziwić. Zdarzało mu się nie odbierać telefonu przez kilka dni, co doprowadzało ją – i wszystkich dzwoniących – do szaleństwa.

Oczywiście teraz nie mógł już oddzwonić do Helen. Poczłł nieprzyjemny ucisk w pęcherzu i uświłdomił sobie, że okropnie chce mu się sikać. Po wizycie w toalecie zszedł do recepcji. George Patrick skończył już zmianę, a zastąpił go Irlandczyk Gerry Armstrong, dobry znajomy Carlyle'a. Poczłkalnia była stosunkowo pusta, jak na noc z soboty na niedzielę, siedziało w niej tylko kilku pijaków i jakiś facet z rozciętym czołem.

– Cześć, Gerry – przywitał się, kiwając głową. – Spokojnie dziś, co?

Sierżant podniósł wzrok znad gazety.

– John! – Jego ton był zadziwiająco radosny jak na tę porę. – Co ty tu robisz?

Carlyle opowiedział mu, co się stało.

– Chryste! – wykrzyknął Armstrong. – Nikt mi nic nie powiedział. Choć, prawdę mówiąc, trochę się dzisiaj spóźniłem.

Więc może powinienes poczytać dziennik, pomyślał Carlyle, ale zachował tę uwagę dla siebie. Był już zbyt zmęczony, by się złościć.

– W porządku. Ale chciałbym, żebyś sprowadził tu jakąś kobietę ze służby pomocniczej, niech posiedzi z dzieciakiem przez godzinę. Mała śpi, ale lepiej, żeby ktoś przy niej był. Ja pojedę do domu coś zjeść i zabrać parę rzeczy. Potem wrócę.

Funkcjonariusze policyjnej służby pomocniczej, zwani „plastikowymi policjantami”, byli pracownikami cywilnymi, których zatrudniano do czarnej roboty. Zwykli policjanci, tacy jak Carlyle, raczej nie mieli najlepszego zdania o plastikowych. To właśnie znudzeni, pozbawieni najważniejszych uprawnień członkowie służby pomocniczej byli odpowiedzialni za większość poważnych wykroczeń wśród pracowników policji metropolitalnej. Carlyle unikał ich, jak tylko mógł, jednak w tej sytuacji nie miał wyjścia. Poza tym nawet plastikowy policjant może chyba zająć się przez godzinę śpiącą dziewczynką.

– Nie ma problemu. – Armstrong skinął głową. – Wszyscy siedzą w palarni i oglądają filmy.

Lepiej, żeby siedzieli w komisariacie, niż chodzili po ulicach, pomyślał Carlyle.

– Zadzwoń jeszcze do Thomasa Webera, dobrze? Spytaj, jak mu poszło z opieką społeczną.

– Jasne – mruknął Armstrong, ale natychmiast wrócił do lektury artykułu o biseksualnym handlarzu narkotyków spokrewnionym z rodziną królewską, Carlyle zaś zdał sobie sprawę, że został właśnie delikatnie splawiony. Zapiął kurtkę i wyszedł w noc.

Dziewczynka obudziła się tuż po siódmej. Nie skakała z radości na widok inspektora, ale przynajmniej nie próbowała uciekać. Wzięła ubrania, które jej przyniósł – niektóre po Alice – i szybko je włożyła. Kiedy skończyła się ubierać, Carlyle otaksował ją spojrzeniem, dumny z siebie, że jest taki zaradny. W środku nocy udało mu się przygotować całkiem przyzwoity zestaw – dżinsy, bluzę i adidasy – nie budząc przy tym żony ani córki.

Otworzył usta i wskazał palcem język.

– Jedzenie?

Dziewczynka skinęła głową.

– Dobrze. – Carlyle się uśmiechnął, zadowolony z tych małych postępów. Wyciągnął do małej rękę, ale nie zareagowała. Nie przejmując się tym afrontem, podszedł do drzwi. – Chodź, pójdziemy coś zjeść.

Przepisy przepisami, a jeść trzeba. Carlyle wiedział, że jedyny lokal w okolicy otwarty o tej porze w niedzielny poranek to Café Box przy Henrietta Street, zaledwie minutę drogi od komisariatu. Kiedy tam dotarli, właściciel właśnie otwierał. Przywitał ich skinieniem głowy, pozwalając, by weszli do środka i zajęli stolik przy oknie. Dziewczynka natychmiast sięgnęła po ogromne laminowane menu, przejrzała szybko zdjęcia i wskazała angielskie śniadanie.

– Dwa razy angielskie! – zawołał inspektor do właściciela. – Do tego kawa dla mnie i sok pomarańczowy dla niej.

Kiedy czekali na jedzenie, Carlyle pokazał małej książeczki, które kupił dla niej poprzedniego wieczoru. Przeglądając je,

dziewczynka mruzczała niezadowolona pod nosem, a inspektor uświadomił sobie, że nie przyniósł przyborów do rysowania.

– Przepraszam. – Wzruszył bezradnie ramionami.

Dziewczynka zignorowała go i ułożyła książeczki na brzegu stolika.

– Proszę.

Carlyle podał jej atlas. Kiedy nie zareagowała, otworzył go na mapie Europy Wschodniej i położył przed dziewczynką.

– Jesteś stamtąd?

Dziewczynka spojrzała obojętnie na atlas. Carlyle postukał palcem w Rosję.

– Rosja – powiedział wyraźnie. – Jesteś z Rosji?

Pokręciła głową i przewróciła kartkę. W tym momencie dostali dwa wielkie talerze ze śniadaniem i przez kilka minut oboje zajęci byli jedzeniem. Carlyle jadł szybko i metodycznie, a gdy przełknął ostatni kawałek tostów i popił go kawą, dziewczyna jadła jeszcze drugą kiełbaskę.

Nie była w stanie zjeść całego śniadania. Inspektor, który nie lubił marnować jedzenia, zamienił szybko talerze i zjadł zostawione przez nią resztki. Gdy przełknął ostatni kęs i podniósł wzrok, przyglądała mu się z dezaprobatą.

– Wybacz – uśmiechnął się – ale byłem jeszcze głodny.

Zauważył, że właściciel postawił na ladzie tacę z ciastkami. Wyglądały smakowicie.

– Wezmę jedną kawę i ciacho – powiedział, wskazując tacę. – Chciałabyś coś jeszcze?

Pokazała zdjęcie w menu.

– Lody – powiedziała.

Masz naprawdę ciekawy zasób angielskiego słownictwa, pomyślał policjant.

– W takim razie poprosimy lody – zwrócił się do właściciela.

Mężczyzna skinął głową.

– Jaki smak? Mamy waniliowe, truskawkowe, pistacjowe, czekoladowe...

– Szokolad!

– Szokolad? Czekoladowe? – Właściciel się uśmiechnął. – Dobrze, zapisujemy czekoladowe.

Dziewczynka zsunęła się z krzesła, po czym oboje zniknęli za ladą. Carlyle słyszał szuranie jakichś przesuwanych skrzyń i chichot. Po chwili mała wróciła, niosąc przed sobą triumfalnie pucharek z trzema gałkami lodów czekoladowych.

Patrzył, jak rozprawia się z pierwszą kulką, a potem wstał i podszedł do lady, gdzie właściciel nakładał właśnie ciasto na talerzyk.

– W jakim języku ona do pana mówiła? – spytał cicho inspektor.

Mężczyzna spojrział na niego zaskoczony.

Inspektor wyjął z kieszeni legitymację, ale jej nie otworzył.

– Wie pan, że jestem z policji?

Mężczyzna postawił talerzyk z ciastkiem Carlyle'a na ladzie.

– Tak.

– Więc skąd pan jest?

Mężczyzna odwrócił się do ekspresu Gaggia.

– Mieszkam tu od ponad dwudziestu lat, ale pochodzę z Ukrainy. Ta dziewczynka też. Powinien pan to wiedzieć – dodał, obdarzając inspektora surowym spojrzeniem.

Teraz już wiem, pomyślał Carlyle. Dzięki.

Nim wrócił do stolika, dziewczynka skończyła jeść lody. Podał jej serwetkę i pokazał, by wytarła usta. W tym momencie zawibrował jego telefon. Numer dzwoniącego był zastrzeżony, ale odebrał.

– Halo?

– Inspektor Carlyle?

– Tak.

– Mówi Hilary Green z opieki społecznej Westminster. Co pan robi?

Kobieta wydawała się równie zirytowana jak Carlyle. Czekał na ciebie, kochanie, pomyślał. Od dwunastu godzin.

– Gdzie pan jest?

Przygryzł wargę i jednocześnie odetchnął głęboko. Potem powiedział pani Green, że wróci do komisariatu za kilka minut. Kiedy płacił rachunek, dziewczynka otworzyła atlas i zaczęła przerzucać kartki. Zatrzymała się na mapie Wielkiej Brytanii otoczonej rysunkami znanych budowli. Podniosła książkę i wskazała pałac Buckingham.

– *Мий будинок.*

– Co? – Carlyle spojrział pytająco na właściciela lokalu.

– *Ось де я живу* – wrzasnęła mała.

– Jest małą księżniczką. – Mężczyzna się roześmiał. – Mówi, że mieszka w pałacu Buckingham!

3

Gdy wyszli zza rogu Agar Street, Hilary Green stała na schodach przed komisariatem Charing Cross i patrzyła zmrużonymi oczami w ich stronę. Rzuciła niedopałek na chodnik, zgmiotła go czubkiem buta i popchnęła do studzienki kanalizacyjnej. Zerknąwszy na zegarek, przeklęła ich w duchu, wściekła, że zepsuli jej niedzielę.

Carlyle obserwował, jak kobieta wypuszcza dym i zaczyna kaszleć. Hilary Green wyglądała na trzydzieści pięć lat, miała farbowane blond włosy i zbyt jaskrawy makijaż. Wykrzywiła się w kwaśnym grymasie. Nosila za duży płaszcz, w którym trzęsła się z zimna, choć dopiero zaczęła się jesień, a pogoda była jeszcze łagodna.

Green przyglądała im się ze znużeniem podszytym podejrzliwością. Dziewczynka miała nieobecny, pozbawiony wyrazu minę, którą widziała już tysiące razy, a jej towarzysz był kolejnym gliniarzem marzącym tylko o tym, by pozbyć się zmartwienia i dołożyć jej obowiązków.

– Carlyle? – spytała, gdy dotarli do schodów.

Policjant skinął głową.

Green zmierzyła dziewczynkę spojrzeniem.

– To ona?

Nie, pomyślał Carlyle, mam jeszcze jedną pod biurkiem.

– Tak.

Delikatnie pogłaskał dziewczynkę po głowie i ucieszył się, że tym razem jego podopieczna nawet nie drgnęła.

– Nazywa się Alzbeta albo Elizabeth... chyba. Coś w tym rodzaju. Nie jest zbyt rozmowna.

– Cześć, Elizabeth – powiedziała Green bez entuzjazmu.

– Słabo zna angielski.

Kobieta spojrzała na niego zaniepokojona.

– Ale trochę zna?

– Nie za bardzo – przyznał Carlyle. – Napiszę o tym w raporcie.

Zobaczył kątem oka, że dziewczynka podchodzi do niego i bierze go za rękę. W jej szarych oczach pojawił się wyraz bezbrzeżnej rezygnacji. Inspektor, dziwnie przygnębiony, zwrócił się do Green:

– Rozmawiała pani z doktorem Weberem?

– Jeszcze nie.

– Powinna pani. – Carlyle wskazał wymownie na dziewczynkę. – Była maltretowana i wykorzystywana seksualnie.

Green skinęła głową, jakby spotykała się z tym na co dzień. I pewnie tak było.

Carlyle siedział przy biurku i patrzył, jak Green wypełnia cały plik formularzy. W końcu złożyła ostatni podpis i podniosła na niego wzrok.

– Musi pan tu jeszcze podpisać...

Carlyle spojrział na dziewczynkę, która grała w coś na komputerze, a potem przeniósł wzrok na Green. Czy naprawdę chce, żeby zabrała małą? Kobieta wyczuła jego wahanie i spojrzała wyzywająco. Oboje wiedzieli, że nie ma wyboru. Inspektor sięgnął po pióro i nabazgrał coś na linii, przy której pracownica socjalna postawiła krzyżyk.

– Dziękuję – powiedziała Green, po czym zebrała dokumenty i wrzuciła je do torby. Wstała i odwróciła się do dziewczynki. – Elizabeth, musimy już iść.

Nawet nie wiesz, czy rzeczywiście tak się nazywa, pomyślał Carlyle. Zrobiło mu się niedobrze.

– Dokąd ją pani zabiera? – spytał cicho.

Green wydawała się nieco zirytowana tym pytaniem.

– Muszę wrócić do biura, a potem sprawdzimy, czy możemy ją odesłać do jakiejś placówki przejściowej.

Placówki przejściowej? Jak miło...

– Wszystko zależy od tego, gdzie będą wolne miejsca – dodała.

– Proszę dać mi znać, kiedy się pani czegoś dowie.

Green zasunęła torbę.

– Oczywiście.

Carlyle dopisał w głowie kolejny punkt do listy zadań czekających go w najbliższej przyszłości.

– Muszę przygotować sprawozdanie, przeczytać raport doktora Webera i znaleźć tłumacza. – Zastanawiał się przez moment, czy wrócić do właściciela kawiarni, domyślał się jednak, że przepisy opieki społecznej nie przewidują takiego rozwiązania. – Rozumiem, że macie kontakt z jakimiś ukraińskimi tłumaczami?

Green wzruszyła ramionami.

– Policja metropolitalna korzysta z usług dwóch takich tłumaczy – dodał Carlyle, wskazując komputer. – Ale jeden od trzech miesięcy choruje, a drugi wyjechał na wakacje. Może zechciałaby nam pani pomóc w tej kwestii?

– Inspektorze – kobieta westchnęła ciężko – zwykle mam pod opieką z setkę dzieci, które mówią około dwudziestoma językami.

– Niesamowite... – Carlyle pokręcił głową w spóźnionym i niezbyt szczerym geście współczucia.

– Z ukraińskim będzie dwadzieścia jeden – ciągnęła Green. – Praca w warunkach ograniczonej komunikacji to u nas norma. Zrobię, co w mojej mocy.

– Dziękuję.

– Przede wszystkim musimy znaleźć rodzinę tego dziecka.

– Oczywiście.

Ziewając, Carlyle wysunął szufladę biurka i wyjął z niej pudełeczko z wizytówkami. Wyjął dwie, wstał i wręczył jedną Green.

– Proszę do mnie zadzwonić, kiedy dowie się pani, dokąd ją zawieziecie. Odwiedzę ją jeszcze dziś po południu.

Kobieta bez słowa wrzuciła wizytówkę do torebki.

Carlyle podszedł do dziewczynki i przykucnął, a gdy mimo to wciąż wpatrywała się w monitor, dotknął jej ramienia.

– Ta pani znajdzie ci mieszkanie – powiedział łagodnie, próbując się uśmiechnąć. – Na pewno będzie ci tam lepiej niż tutaj.

Oczy dziewczynki znów zaczęły wypełniać się łzami, a Carlyle musiał mocno zacisnąć zęby, żeby się nie rozkleić. Była to jedna z tych

stosunkowo rzadkich chwil w jego życiu zawodowym, gdy czuł się całkiem do niczego, zamiast po prostu do niczego. Znalazł ją, a teraz porzuca. Wziął na siebie odpowiedzialność za jej los, a teraz przekazuje ją komuś innemu jak zbędny przedmiot.

– Proszę – powiedział, wręczając jej drżącą ręką drugą wizytówkę. – To ja.

Wzięła kartonik między kciuk i palec wskazujący, nawet na niego nie spojrzawszy. Inspektor odebrał go i włożył do kieszeni jej dżinsów. Świadomy, że Green coraz bardziej się niecierpliwi, poklepał dziewczynkę po ramieniu.

– Nie zapomnij swoich książek. Wpadnę do ciebie dziś po południu i przyniosę ci kredki, obiecuję.

Powoli zsunęła się z krzesła i ruszyła za pracownicą socjalną w stronę schodów.

Inspektor odprowadził je wzrokiem, wzdychając ciężko.

Kiedy wrócił do domu, czekał na niego list od Helen z wiadomością, że wyszła z Alice, by spotkać się z przyjaciółkami na Coram's Fields, placu zabaw dla dzieci w pobliżu King's Cross. Zastanawiał się przez moment, czy do nich dołączyć, ale ostatecznie zmęczenie wzięło górę. Zdjął buty i padł w ubraniu na łóżko. Zaciskając mocno powieki, starał się oczyścić umysł i odpocząć. Sen jednak nie nadchodził. Mniej więcej po dwudziestu minutach poddał się i wstał. Ogolony i ubrany w świeżą koszulę, zrobił sobie kilka tostów z marmoladą. Popijając je kawą, planował resztę dnia.

Po powrocie do komisariatu napisał raport. Nie zajęło mu to zbyt dużo czasu, bo też i nie miał wiele do napisania. Właśnie wydrukował ostateczną wersję, gdy w skrzynce odbiorczej pojawił się e-mail od Webera. Carlyle z drżeniem serca otworzył załącznik i przeczytał raport lekarza z badania dziewczynki, które przeprowadził poprzedniej nocy. Weber opisywał swoje spostrzeżenia znacznie bardziej szczegółowo niż inspektor: właściwie, jak na gust Carlyle'a, zbyt szczegółowo. Pobieżna lektura raportu potwierdziła jego najgorsze obawy. Dziewczynka od kilku miesięcy była maltretowana i

wykorzystywana seksualnie. Miała złamaną kość przedramienia, która zrosła się całkiem niedawno. Carlyle czuł, jak wzbiera w nim nienawiść do ludzi, którzy to zrobili. Ktoś musi za to zapłacić, pomyślał. Takiej podłości nie można odpuścić.

Poprawiwszy kilka literówek w swoim sprawozdaniu, dołączył oba dokumenty do e-maila, który wysłał swojej szefowej, komendantce Carole Simpson. Powiadomił ją, że zadzwoni później, by omówić szczegółowo tę sprawę. Potem wybrał numer Hilary Green, a gdy zgłosiła się poczta głosowa, zostawił wiadomość z prośbą o adres placówki, do której trafiła dziewczynka. Na koniec wyszukał w Google adresy biur zatrudniających ukraińskich tłumaczy. Zadzwonił do kilku, ale w niedzielę nikt nie odbierał.

Odłożył telefon, rozsiadł się wygodniej na krześle i zamknął oczy. I co teraz? – zastanawiał się. Ułożył sobie w głowie wydarzenia ostatnich osiemnastu godzin: dziewczynka, lalusiowaty facet, wykorzystywanie seksualne, brak zgłoszeń o zaginięciu...

Hm...

Nie miał pojęcia, od czego powinien zacząć. Nie zajmował się tego rodzaju sprawami. Potrzebował pomocy, ale kogo mógłby o nią poprosić? Z braku lepszego pomysłu sięgnął po telefon i zadzwonił do swojego sierżanta, Joego Szyszkowskiego.

Joe był prawdopodobnie jedynym polskim sierżantem pracującym w policji metropolitalnej. Właściwie Joseph Leon Gorka Szyszkowski urodził się w Wielkiej Brytanii, w rodzinie polskich imigrantów. Wychował się w Portsmouth, a potem przyjechał do Londynu, by studiować geofizykę w Imperial College. Z niezrozumiałych dla Carlyle'a powodów po zakończeniu studiów postanowił zatrudnić się w policji. Joe, który zdaniem inspektora był bardziej brytyjski niż on sam, miał żonę Hinduskę, Anitę, i dwoje typowo angielskich dzieciaków, Williama i Sarę. Mimo to zachował sporo cech typowych dla Polaków, takich jak posepność, pesymizm i wierność wierze katolickiej. Z tej przyczyny patrzył na świat z dozą

obojętnością, ironii i fatalizmu, co w oczach Carlyle'a czyniło z niego idealnego współpracownika.

Joe odebrał po piątym dzwonku.

- Szefie... - odezwał się niepewnie.

- Joe, przepraszam, że przeszkadzam ci w niedzielę... - zaczął Carlyle.

- Nie ma problemu - przerwał mu Joe, po czym dodał ściszym głosem: - Przyszli teściowie, więc możesz przeszkadzać do woli.

- Znasz kogoś z obyczajówki?

W słuchawce na moment zapadła cisza.

- Chyba nie złapali cię ze ściągniętymi gaciami, co?

- Mówię poważnie...

- Kogoś tam znam. - Joe się roześmiał. - Dlaczego pytasz?

Carlyle przedstawił mu pokrótce sytuację. Joe milczał przez moment. Podobnie jak Carlyle był człowiekiem rodzinnym i wiedział, że jego szef potraktuje tę sprawę poważnie.

- Zadzwoń w parę miejsc - powiedział w końcu.

- Dzięki, Joe. Będę wdzięczny.

- Chcesz, żebym przyjechał?

- Może później. Na razie próbuję ułożyć jakiś plan działania.

- Coś mi się wydaje, że to tak czy inaczej wyląduje w obyczajówce - odrzekł Joe.

- Niech sobie lądje, gdzie chce, ja tak czy inaczej dopilnuję, żeby rzecz doprowadzono do końca.

Kilka minut później komórka, którą Carlyle wciąż trzymał w ręku, zaczęła wibrować.

- Szybko ci poszło - rzucił.

- Co? - zdumiała się Helen.

- Przepraszam - zmitygował się Carlyle. - Myślałem, że to Joe.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam - zauważyła cierpko jego żona.

- Nie, nie o to chodzi - bronił się Carlyle, z trudem opanowując irytację - miałem po prostu ciężką noc.

- Rozumiem – odparła Helen bardziej już pojednawczym tonem.
- Opowiesz mi o tym wieczorem. Kiedy wrócę do domu, przygotuję kolację. Alice ma ochotę na naleśniki.
- Doskonale – ucieszył się Carlyle, który zawsze miał ochotę na naleśniki.
- Chciałam ci tylko powiedzieć, że wrócimy trochę później – dodała Helen. – Jest taka ładna pogoda...
- Naprawdę? – Carlyle widział przez okno tylko brudną ceglana ścianę.
- Tak! – Helen się roześmiała. – Powinieneś częściej wychodzić na dwór.
- Owszem – zgodził się z nią. – Powinienem.
- Nie wiem, co tam kombinujesz, John, ale proszę cię, nie przesadz.
- Ja? Nigdy.
- Wiesz, co mam na myśli.
- Tak, tak. Nie martw się. Poradzę sobie.
- To dobrze. Do zobaczenia.

4

Carole Simpson wyszła za bramę więzienia o złagodzonego rygorze, znajdującego się w nadmorskiej miejscowości Opel. Spojrzała w stronę morza i odetchnęła głęboko. Powietrze za murami więzienia było takie samo jak to w ich obrębie, a jednak smakowało lepiej... znacznie lepiej. Zakończywszy kolejną wizytę, mogła wrócić do „normalnej” części swojego życia. Odwiedziny u męża były stałym elementem jej życia, nadal jednak czuła się podczas nich nieswojo. Co drugą niedzielę jechała z Londynu do South Downs, by spotkać się z Joshuą, pospacerować z nim w pobliżu więzienia i pogawędzić. Rozmawiali o swoich codziennych zajęciach – ona o zarządzaniu siedemdziesięcioma detektywami policji metropolitalnej, on o lekcjach matematyki, które dawał współwięźniom – i snuli plany na wspólną przyszłość, gdy Joshua wyjdzie na wolność.

Joshua Hunt musiał się jednak uzbroić w cierpliwość, bo do zwolnienia zostało mu jeszcze sporo czasu. Odsiedział dopiero niecałe osiemnaście miesięcy z siedmioletniego wyroku za oszustwo finansowe i sprzeniewierzenie pieniędzy swoich klientów. Nawet gdyby sąd zdecydował się skrócić mu wyrok za dobre sprawowanie, musiał poczekać jeszcze co najmniej rok, a najprawdopodobniej dwa, by ubiegać się o zwolnienie warunkowe. Carole gotowa była czekać na niego nawet znacznie dłużej. Doskonale radziła sobie sama, znacznie lepiej, niż przypuszczała, gdy Joshua został aresztowany, a jego firma upadła.

Kiedy władze przejęły jego majątek i obciążyły grzywną wysokości piętnastu milionów funtów, Carole musiała radykalnie obniżyć standard życia i ograniczyć wydatki. Przeprowadziła się z eleganckiego domu w Highgate do skromnego mieszkania z dwiema sypialniami na Hammersmith. Mogła również zapomnieć o drogich restauracjach, kolacjach dobroczynnych i sławnych „przyjaciołach”, podobnie jak o wakacjach na Karaibach, we Włoszech czy w RPA. To wszystko jednak nie miało dla niej znaczenia – liczyło się tylko to, że

zachowała swoje stanowisko. Jako komendantka policji metropolitalnej należała do wąskiego kręgu dwudziestu, może trzydziestu najważniejszych kobiet w policji. Wiedziała, że nie może już liczyć na awans – marzenia o funkcji zastępcy komendanta głównego policji również odeszły w przeszłość – ale nie została zwolniona. Nawet dla niej było to sporym zaskoczeniem. Z jednej strony nie miała nic wspólnego z machinacjami finansowymi męża, z drugiej jednak odium spadło nie tylko na nią, ale i na całą policję, spodziewała się więc rychłej dymisji. Sprawa jednak w końcu przycichła, a Simpson nie zamierzała sama ustępować. Odchodząc z podkulonym ogonem, niejako przyznałyby się do winy. Co gorsza, nie miałyby ze sobą co zrobić. Niedawno skończyła pięćdziesiątkę, czekało ją więc co najmniej dziesięć lat pracy. Zachowując posadę, mogła przynajmniej mieć pewność, że przejdzie na emeryturę, kiedy sama tego zechce, a więc jak najpóźniej.

Nawet irytacja wywołana określeniem „tępa policyjna żona największego kanciarza Wielkiej Brytanii”, którym obdarzył ją jeden z tabloidów, z czasem ustąpiła zobojętnieniu. Życie toczyło się dalej. Simpson właściwie nadal nie wiedziała, czy Joshua rzeczywiście był oszustem. Jej zdaniem robił to samo przez wszystkie te lata, gdy nazywano go bohaterem i geniuszem, jak i wtedy, gdy interesy zaczęły się psuć. Dopadł go po prostu światowy kryzys. Dopóki zapewniał im zyski, żaden z inwestorów nie pytał, jak właściwie to robi. Jednak gdy nadeszło załamanie, trzeba było znaleźć kozła ofiarnego. Jak brzmiało to powiedzenie? „Kiedy nadchodzi odpływ, widzisz, kto pływał nago”. Cóż, wyglądało na to, że Joshua był zupełnie goły. Cały świat zobaczył jego owłosiony tyłek. Trudno, niech i tak będzie. Jest jej mężem. Trzymała się go tak samo, jak trzymała się swojej pracy: zbyt dużo zainwestowała w ich małżeństwo – prawie dwadzieścia pięć lat – by teraz uciec.

Kiedy dotarła na parking, wyjęła z torebki kluczyki i przyglądała się przez chwilę żonom i dziewczynom innych więźniów zmierzającym do swoich samochodów. Odkąd zaczęła tu przyjeżdżać,

nie zamieniła z żadną z nich ani słowa. Większość z nich była od niej znacznie młodsza. Wydawały się twardsze, a zarazem bardziej pogodzone z losem niż Carole.

Dwie młode kobiety – blondynki w butach na wysokich obcasach i w minispódniczkach – śmiały się i żartowały, podchodząc do swoich aut, zupełnie jakby wracały z zakupów albo od fryzjera. Ciekawe, za co siedzą ich mężowie. Pewnie za nic strasznego, skoro trafili do więzienia o złagodzonej rygorze. Nic strasznego? Simpson roześmiała się w duchu – jak gliniarz w ogóle może myśleć w ten sposób!

Otworzyła drzwi auta. Na fotelu kierowcy leżała komórka. Pewnie wypadła jej z kieszeni, kiedy wsiadała. Przeklinając swoje roztargnienie, sięgnęła po aparat, który w tym właśnie momencie zaczął wibrować.

– Halo?

– Carole? Mówi John Carlyle.

– Cześć, John – przywitała go ciepło. – Co u ciebie?

– Wszystko dobrze. A u ciebie?

– W porządku – odparła Simpson beznamiętnym tonem.

W pobliżu rozległ się charakterystyczny krzyk mewy.

– Jesteś nad morzem? – spytał Carlyle.

– Tak, byłam właśnie u... – urwała. Ich stosunki znacznie się ociepliły, odkąd Carlyle, jako jeden z niewielu – bardzo niewielu – pracowników policji okazał jej współczucie i zaoferował wsparcie po aresztowaniu Joshuy, ale nadal były to relacje oficjalne. Zawodowe. Rozumieli się lepiej, ale nie byli sobie bliscy.

– Jak się miewa Joshua? – spytał Carlyle, nieświadomy jej zakłopotania.

– Całkiem dobrze. – Simpson westchnęła. – Czasami mam wrażenie, że mu się tutaj podoba. Ma swoich uczniów i książki, niczym nie musi się przejmować.

Rzeczywiście, pomyślał Carlyle, brzmi całkiem nieźle. Jak długie wakacje.

- Ani się obejrzysz, a wyjdzie.

Owszem, przytaknęła w duchu Simpson, nie do końca zadowolona z tej perspektywy.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Johnie?

- Cóż... - Carlyle przedstawił w skrócie to, co napisał w raporcie.

Trzymając telefon między uchem a ramieniem, Simpson grzebała przez chwilę w torbie, aż wyjęła z niej blackberry curve 8900. Odszukała e-mail od Carlyle'a i go otworzyła.

- Już mam - rzuciła do słuchawki. - Przeczytam go wieczorem, a jutro porozmawiamy o szczegółach.

- Dobrze - zgodził się Carlyle, starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

- Ale... - Simpson rzuciła blackberry na siedzenie pasażera - z tego, co mówisz, wynika, że powinniśmy przekazać tę sprawę obyczajówce.

Po moim trupie, pomyślał Carlyle.

- Może - mruknął.

- Dziewczynka jest teraz pod dobrą opieką - dodała Simpson. - Jeśli uważasz, że to nie jest przemoc w rodzinie, to powinieneś pogadać z kimś z obyczajówki.

- Joe właśnie to robi - odparł inspektor, zastanawiając się, czy nie był to kiepski pomysł.

- I bardzo dobrze - stwierdziła Simpson, siadając za kierownicą.

- Daj znać, jak wam poszło. Lepiej, żeby zajęli się tym odpowiedni ludzie.

Co znaczy: brzmi paskudnie, to prawdopodobnie ślepa uliczka, dzieciak zostanie odesłany do domu, więc zrzucmy to na kogoś.

- Jasne - odparł, siląc się na swobodny ton. - A tymczasem ja skontaktuję się z moimi starymi przyjaciółmi z SO₁₄.

W słuchawce zapadła na moment cisza. Carlyle słyszał jakieś przytłumione dźwięki w tle, gdy Simpson zamknęła drzwi auta. Uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie, jak jego szefowa wali głową w kierownicę.

- John - powiedziała w końcu - ty nie masz przyjaciół w SO14. Ani starych, ani nowych.

- Tak, ale...

- I dlaczego właściwie chciałbyś o tej sprawie rozmawiać z ochroną pałacu?

- Bo tam właśnie znalazłem tę dziewczynkę.

- Znalazłeś ją w Green Park - przypomniała Simpson. - Codziennie przychodzą tam tysiące ludzi, a wśród nich także królowa, o ile mi wiadomo.

- Dziewczynka mówiła, że tam mieszka - nie poddawał się Carlyle. - W pałacu Buckingham.

- Przypuszczasz, że tak powiedziała - warknęła Simpson, zmęczona rozmową, bez której ten dzień i tak był wystarczająco stresujący. - A nawet gdyby rzeczywiście tak powiedziała, to co z tego? Jest małą dziewczynką. Wszystkie małe dziewczynki chcą być księżniczkami i mieszkać w pałacu.

- Wiem...

- Posłuchaj, John - westchnęła - ja...

- Wiem - powtórzył szybko. - Wiem.

Simpson zapatrzyła się w szary horyzont.

- Mówisz, że wiesz, ale zachowujesz się zupełnie inaczej. - Czują, że przemawia mentorskim tonem, ale mimo to kontynuowała: - Mój tata zawsze powtarzał: powinnaś ignorować wszystko, co mówi twój szef, a zwracać uwagę na to, co robi. To najlepsza rada, jaką w życiu słyszałam. Sprawdza się w życiu zawodowym i prywatnym. Przypominam ją sobie codziennie.

Muszę powtórzyć to Alice, pomyślał Carlyle.

- Abstrahując od tego, że nie masz żadnych podstaw, by węszyć w pałacu Buckingham - Simpson się rozkręcała - to ze względu na historię twojej służby w SO14 można śmiało założyć, że i tak nikt ci tam nie pomoże.

- Chcesz powiedzieć, że mam porzucić to dziecko? - spytał Carlyle.

- Nikt tu nikogo nie porzuca. - Simpson znów ciężko westchnęła. - Jeśli dobrze cię zrozumiałam, ty już za nią nie odpowiadasz.

- Ja ją znalazłem.

- John...

- Ona ma dziewięć lat.

- Nie rób z siebie Matki Teresy, inspektorze Carlyle. - Simpson się roześmiała, zażegnując w ten sposób kłótnię, ku której zmierzała rozmowa.

Ciekawe, pomyślał Carlyle. Odkąd posadzili jej męża, zaczyna przejawiać coś na kształt poczucia humoru.

- Posłuchaj, chcę tylko powiedzieć...

- Nie poganiaj mnie, John. Pozwól, że przeczytam dzisiaj twój raport, a jutro porozmawiamy o tym na spokojnie.

- W porządku. - Wiedział, że teraz już i tak nic nie wskóra. - Szerokiej drogi.

- Dzięki.

Carlyle zakończył połączenie i schował telefon do kieszeni.

- Ledwie remis, stary - mruknął do siebie. Może zbyt wiele oczekiwał od „nowej”, pokorniejszej komendantki Simpson? Pocieszał się myślą, że sprawa nie jest jeszcze przesądzona. Jutro będzie mógł do tego wrócić, a na razie poprowadzi swoje małe, prywatne śledztwo.

Odebrał od Green wiadomość, że dziewczynkę przewieziono do niewielkiej „placówki przejściowej”, czyli schroniska przy Bolsover Street, na południe od Regents Park. Carver House, bo tak nazywała się placówka, był czteropiętrowym budynkiem w stylu georgiańskim, mieszczącym sześć pokoi i trzynaście łóżek. Odsyłano tam dzieci w wieku od ośmiu do dwunastu lat, dla których opieka społeczna dopiero szukała stałego schronienia w postaci rodziny zastępczej lub „szkoły specjalnej” albo które przygotowywano do deportacji.

W drodze do Carver House Carlyle wpadł do domu - Helen i Alice jeszcze nie wróciły - i „pożyczył” kilka flamastrów oraz małego

pluszowego królika, na którego już od dobrych paru lat Alice nawet nie spjrzała.

Spacer na Bolsover Street zajął mu około dwudziestu minut. Zastanawiał się w tym czasie nad różnymi rozwiązaniami, lecz nic mądrego nie przyszło mu do głowy. Wiedział tylko, że nawet jeśli nie uda mu się rozwiązać tej sprawy, to musi jakoś pomóc dziewczynce. Miał po swojej stronie jedną z największych i najlepiej wyposażonych służb policyjnych świata. Gdyby mimo to nie potrafił zapewnić opieki małej dziewczynce, to jaki sens miałyby to wszystko?

Gdy w końcu stanął przed drzwiami schroniska, był zmęczony i zdenerwowany. Nacisnął dzwonek i czekał. Nikt nie otwierał. Zadzwoił po raz drugi i trzeci. W końcu po prostu wcisnął guzik dzwonka i nie odrywał od niego palca.

– Idę już, idę!

W końcu drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem. Stała w nich chuda kobieta w średnim wieku, ubrana w różowy dres i zielone adidasy.

– Tak?

Carlyle cofnął się o krok i pokazał legitymację.

– Jestem inspektor Carlyle z policji metropolitalnej. Chciałem rozmawiać z Hilary Green.

– Boże, mamy tu dzisiaj prawdziwy młyn – mruknęła kobieta.

– Hilary Green – powtórzył Carlyle zniecierpliwiony.

– Nie ma jej tutaj, skończyła zmianę parę godzin temu. Biedaczka – westchnęła teatralnie. – Wie pan, ile nadgodzin musi brać co tydzień?

Carlyle miał na końcu języka ciętą odpowiedź, powstrzymał się jednak i zapytał tylko:

– Jest tu dziewczynka?

Kobieta oparła się o futrynę i skrzyżowała ręce na piersi.

– Którą ma pan na myśli? Bo jest tu ich teraz pięć.

– Tę, którą przyprowadziła dziś Hilary. Ukrainkę.

– Więc to Ukrainka, tak? – parsknęła kobieta. – Dlaczego mnie to nie dziwi? Trafiają tu ze wszystkich stron świata.

– Nie interesują mnie pani komentarze – warknął Carlyle. – Chcę tylko zobaczyć się z tą dziewczynką.

Zaszokowana kobieta cofnęła się o krok, jakby chciała zatrzasnąć mu drzwi przed nosem, ale on szybko wsunął stopę do środka.

Kobieta zerknęła na królika w ręku inspektora, a potem przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Może pan powtórzyć, kim pan właściwie jest?

Wzdychając ciężko, Carlyle znów wyjął legitymację i podsunął jej pod nos:

– Inspektor Carlyle – powiedział powoli. – Pracuję w komisariacie Charing Cross. Może powinienem poprosić o pani dokumenty?

– Dobrze, już dobrze. – Kobieta się odsunęła. – Nie ma się co denerwować.

– Mogę w końcu zobaczyć się z tą dziewczynką? – syknął Carlyle przez zaciśnięte zęby.

Kobieta odsunęła się jeszcze dalej.

– Nie ma jej tutaj.

– Co?

– Pański kolega zabrał ją jakąś godzinę temu. Niedługo po wyjściu pani Green.

Carlyle ściągnął brwi.

– Jaki kolega?

– Inny policjant. Był o wiele uprzejmiejszy niż pan. I o wiele lepiej ubrany – dodała, mierząc Carlyle'a wzrokiem. – Prawdziwy dżentelmen.

– Niech to szlag!

– I nie przeklinał.

– Kurwa!

Carlyle rzucił królikiem w kobietę, która uchyliła się w ostatniej chwili.

– Hej! – krzyknęła. – Złożę na pana skargę. Powiem o wszystkim pani Green.

Carlyle wszedł do środka, uderzając drzwiami w ścianę.

– Jak się nazywał ten mój niby kolega? – spytał, nie zwracając uwagi na szepty, które dochodziły z piętra.

Kobieta, skulona ze strachu, wydała tylko jakiś syczący dźwięk.

Carlyle z trudem oparł się pokusie kopnięcia jej w chudy tyłek.

– Pokazał pani legitymację?

Kobieta skinęła głową.

– I co było na niej napisane?

– Nie wiem – jęknęła. – Podobna do pańskiej.

– A jak wyglądał ten człowiek?

– Nie wiem. – Kobieta podniosła rękę i otarła łzę z kąta oka. – Jak już mówiłam, był lepiej ubrany od pana. – Zaczęła się powoli odsuwać od Carlyle'a. – Wyższy. Młodszy. Blondyn.

– Anglik?

– Co?

– To był Anglik czy cudzoziemiec?

– Och, Anglik, na pewno. Miał bardzo ładny akcent.

– Wytworny?

Kobieta skinęła głową.

– Mówił jak prawdziwy arystokrata.

– Mówił, dokąd zabiera dziewczynkę?

Kobieta zastanawiała się przez moment.

– Tak, wspominał, że musi zabrać ją z powrotem na komisariat, na przesłuchanie.

– Na który komisariat?

– Tego nie powiedział.

– A pani po prostu pozwoliła mu zabrać dziewczynkę?

– To był policjant – broniła się kobieta.

– A ilu wytwornych policjantów pani zna? – warknął inspektor. Odetchnął głęboko i spytał nieco spokojniejszym tonem: – A co z

dziewczynką? Jak zareagowała? Ucieszyła się na jego widok? Chętnie z nim poszła?

– Nie widziałam tego – przyznała ze skruchą kobieta. – Poszłam zrobić sobie herbaty. Kiedy wróciłam, już ich nie było.

– Kurwa jego mać! – Carlyle usiadł ciężko na schodach, a kobieta uciekła w głąb budynku.

Jeśli próbuje skontaktować się z kimś z opieki społecznej, to spokojnie mogę tu poczekać do jutra, pomyślał. Odetchnął głęboko kilka razy, by oczyścić umysł i zebrać myśli.

– Proszę pana?

Carlyle podniósł wzrok i zobaczył dziewczynkę w wieku Alzbety, która przystanęła kilka stopni wyżej.

– Cześć – rzucił. – Jak masz na imię?

– Sally.

– Miło mi cię poznać, Sally – powiedział, machając do niej ręką.
– Ja nazywam się John. Jestem policjantem.

– Wiem. Słyszałam, jak mówił pan to tej kobiecie. – Dziewczynka ostrożnie zeszła do niego. – Mogę dostać te flamastry?

Carlyle spojrzał na paczuszkę, którą ścisnął w rękę, i podał ją dziewczynce. Potem podniósł z podłogi królika i go jej rzucił.

– Dziękuję. – Sally mocno przycisnęła prezenty do piersi i wycofała się na górę schodów. – Widziałam, jak ten mężczyzna zabierał tamtą dziewczynkę.

– Tak?

– Ona nie chciała z nim iść. Próbowwała go uderzyć, ale on wziął ją pod pachę i wyniósł.

– Jak wyglądał? – spytał łagodnie inspektor.

Dziewczynka spojrzała mu prosto w oczy.

– Wyglądał jak księżę.

– Rozumiem.

– Tak. – Sally odwróciła się na pięcie i zniknęła mu z oczu. Wróciła po chwili z książeczką do kolorowania, jedną z tych, które Carlyle kupił poprzedniego wieczoru dla Alzbety. Wskazała okładkę,

rysunek przedstawiający księcia i księżniczkę tańczących na tle zamku. – Wyglądał jak on.

5

Podczas przerw w oficjalnym programie zajęć królowej udostępniano sale recepcyjne pałacu zwykłym obywatelom. W ciągu roku liczba zwiedzających sięgała czterech milionów, co zapewniało spory dochód jednej z najbogatszych rodzin świata. Helen zabrała tam Alice w zeszłym roku, a po powrocie narzekała głośno na koszty i nadgorliwość ochrony, która „ze względów bezpieczeństwa” zabrała dziecku butelkę z wodą.

Tego dnia do otwarcia pałacu została jeszcze godzina, więc kolejka turystów czekających cierpliwie przed bramą liczyła zaledwie kilkanaście osób. Carlyle minął ich szybko i przeszedł do małego bocznego wejścia dwadzieścia metrów dalej, przy Buckingham Gate. Otworzył mu drobny mężczyzna w zielonej czapce i mundurze i zaprosił go gestem do środka. Carlyle skinął mu głową i przeszedł korytarzem za róg. Pięć metrów dalej pokazał legitymację innemu strażnikowi siedzącemu w małej budce z pleksiglasu. Obok niej stał wykrywacz metalu, a za nim kołowrotek sięgający od podłogi do sufitu, podobny do tych na stadionach piłkarskich.

– Z kim chce się pan widzieć? – spytał mężczyzna w budce, zbliżając usta do małego mikrofonu.

– Z Charliem Adamem. – Carlyle zerknął na kamerę ochrony pod sufitem, czekając, aż strażnik przejrzy listę nazwisk wydrukowaną na arkuszu papieru. – Oczekuje mnie.

Strażnik jeszcze przez chwilę przeglądał listę, po czym skinął głową.

– Carlyle, tak – powiedział, sięgając po telefon.

– Bez obaw. – Carlyle się uśmiechnął. – Wiem, dokąd mam iść.

– Przepisy. – Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Jasne.

Uspokój się, przykazał sobie w duchu Carlyle. Nie chcesz chyba, żeby znów cię stąd wyrzucili.

– Jest tu pan Carlyle – poinformował strażnik, gdy ktoś odebrał. – Tak, inspektor Carlyle. Dobrze. – Ostrożnie odłożył słuchawkę, jakby bał się ją uszkodzić, po czym skinął inspektorowi głową. – Może pan wejść.

– Dzięki.

Opróżniwszy kieszenie, Carlyle przeszedł przez bramkę wykrywacza metalu, a gdy zabrał klucze i drobne, strażnik przepuścił go przez kołowrotek. Po drugiej stronie jeszcze przez kilka metrów ciągnął się korytarz, który doprowadził go do następnych drzwi. Za nimi rozciągał się brukowany dziedziniec wielkości połowy boiska piłkarskiego. Zapach końskiego łajna upewnił Carlyle'a, że stajnie nadal są tam, gdzie były kilka lat temu. Gdy zerknął w lewo, zobaczył kilka koni skubiących spokojnie siano. Po prawej stały królewskie stajnie, a po drugiej stronie dziedzińca znajdowały się biura królewskiej służby i innych pracowników pałacu. Omijając sterty gnoju, Carlyle przeszedł do schodów w przeciwległym rogu dziedzińca.

Na początku nowego stulecia Carlyle został przydzielony do jednostki zajmującej się ochroną rodziny królewskiej w pałacu Buckingham. Miał tam pracować trzy lata, ale zakończył służbę po niecałych dwóch. Był to bez wątpienia najgorszy okres w jego życiu zawodowym.

Służba w SO₁₄ należała do najnudniejszych w całej policji metropolitalnej. Polegała wyłącznie na ochronie najbardziej uprzywilejowanych i najmniej samokrytycznych ludzi, jakich można sobie wyobrazić, przed zagrożeniem ze strony nadgorliwych babć i nieszkodliwych dziwaków. Jak daleko Carlyle sięgał pamięcią, nikt nie próbował przeprowadzić żadnego zamachu na rodzinę królewską. Teraz nawet najstarsi jej członkowie stanowili jedynie element wszechobecnej kultury celebrytów, której poddał się cały kraj. Poza tym rodzina królewska była naprawdę ogromna – należeli do niej nie tylko królowa i jej najbliżsi krewni, ale dziesiątki darmozjadów z tak zwanych bocznych linii, o których zwykli ludzie nigdy nawet nie

słyszeli. To za ich sprawą roczny budżet SO₁₄ sięgał prawdopodobnie pięćdziesięciu milionów funtów – prawdopodobnie, bo prawdziwe dane były tajemnicą państwową, która pozostawała nawet poza zasięgiem ustawy o swobodnym dostępie do informacji.

Carlyle, nim dołączył do SO₁₄, nigdy się nad tym nie zastanawiał. Po niemal dwudziestu latach służby przywykł do tego, że przerzucano go z miejsca na miejsce. Ale praca między końskimi gównami i turystami to zupełnie inna historia. Służba w SO₁₄ nie przypominała wcale służby policyjnej w normalnym tego słowa rozumieniu. Tak naprawdę Carlyle pełnił tam funkcję chłopca na posyłki i służącego. Przydział do SO₁₄ pozwalał jednak zarobić trochę na boku. Członkowie tej jednostki mogli od czasu do czasu sprzedać w internecie jakieś królewskie świece albo organizować nieoficjalne wycieczki po pałacu podczas nieobecności gospodarzy. Kiedy służył Carlyle, jeden z policjantów wziął nawet od swojego kumpla dwieście funtów za to, że pozwolił mu przelecieć dziewczynę na królewskim trawniku na tyłach pałacu. Miejska legenda głosiła, że jeden z psów królowej o mało nie zadławił się porzuconym tam kondomem. Carlyle nudził się tam niemiłosiernie i robił wszystko, by jak najszybciej dostać inny przydział. Ponieważ jednak brakowało mu odpowiednich kontaktów i dobrej woli, im bardziej starał się stamtąd uciec, tym dobitniej przypomniano mu, że powinien odsłużyć pełne trzy lata. Carlyle, jak to Carlyle, nie mógł się z tym pogodzić. W końcu udało mu się uzyskać wcześniejsze przeniesienie, ale o mało nie zakończył przy tym na dobre kariery w policji.

Najgorszą częścią służby w SO₁₄ była opieka nad młodymi członkami rodziny królewskiej. Przyglądanie się, jak rozpieszceni utracjusze przepuszczają w jakimś modnym klubie więcej, niż przeciętny człowiek zarabia w ciągu miesiąca, a potem wychodzą stamtąd, ledwie trzymając się na nogach, i dają tym samym pożywkę tabloidom, było śmiertelnie nudne. Pewnej nocy podopieczny Carlyle'a, rozpuszczony młodzieniec, który zajmował trzynaste lub czternaste miejsce w kolejce do tronu, wytoczył się z modnego klubu o

nazwie Pomegranate – czegoś w rodzaju szkolnej dyskoteki, tyle że z absurdalnymi cenami – i wdał się w karczemną awanturę ze swoją dziewczyną. Młoda kobieta, miła, ale nieco tępawa ślicznotka spod Londynu, wybuchła płaczem i uciekła w noc. Podczas gdy jego partner rzucił się za nią w pościg, Carlyle został z chłopakiem. Wokół pijanego nieszczęśnika natychmiast pojawiło się pięciu lub sześciu fotografów, którzy otoczyli go niczym hieny ranną zebłą, a ulica wypełniła się nagle błyskiem fleszów. Nim Carlyle zdążył zareagować, młodzieniec doskoczył do jednego z nich i zamierzał go uderzyć. Na jego nieszczęście tym fotografem był Alex Hutton, żołnierz z RPA, który służył przez parę lat w Legii Cudzoziemskiej, nim zdecydował się na znacznie trudniejszą pracę w brytyjskim brukowcu. Hutton zapomniał na moment, gdzie jest, i wiedziony instynktem, uchylił się przed ciosem, po czym powalił przeciwnika uderzeniem w brzuch, do którego dołożył jeszcze lewy prosty w nos.

– Au! – mruknął z uśmiechem Carlyle, który po raz pierwszy tego dnia dobrze się bawił. – To chyba poważne naruszenie królewskiej etykiety.

Młody arystokrata zalał się krwią, osunął na ziemię i zaczął wymiotować, a Hutton i pozostali paparazzi robili mu zdjęcia. Carlyle odliczył powoli do trzydziestu i dopiero wtedy zabrał jęczącego chłopca do samochodu.

W drodze do pałacu pasażer Carlyle'a powoli dochodził do siebie.

– Gdzieś ty, kurwa, był? – syknął z tylnego siedzenia, wciąż trzymając się za nos. – Straciłem przez ciebie ząb... Ten gnój złamał mi chyba nos!

Carlyle zerknął we wsteczne lusterko, w którym odbijała się opuchnięta twarz chuligana, i uśmiechnął się do siebie.

– Ty pierdolona ofermo! Wszyscy jesteście tacy sami... Zobaczysz, dobiorą ci się za to do dupy!

Carlyle milczał.

Po powrocie do pałacu przekazał chłopaka służącym i poszedł do biura SO₁₄, by napisać raport. Wiedział, że za kilka godzin o incydencie będą trąbiły wszystkie gazety, wołał więc najpierw się wytłumaczyć. Opisał ze szczegółami całe zajście, podkreślając, że fotograf działał w obronie własnej, a młody arystokrata został „natychmiast” uchroniony przed konsekwencjami swojej niefrasobliwości.

Nazajutrz Hutton został aresztowany. Oskarżono go o ciężkie uszkodzenie ciała i zagrożono deportacją.

Dwa dni później Carlyle’a zawieszono.

Jako że na korzyść fotografa zeznawało co najmniej kilku naocznych świadków, a to, co mówili, potwierdzały dziesiątki, jeśli nie setki zdjęć, prokuratura zrozumiała szybko, że lepiej będzie, jeśli ta sprawa nie trafi jednak do sądu. Adwokat fotografa grzecznie, lecz stanowczo, odmówił zawarcia ugody i czekał, aż prokuratura wycofa oskarżenie. Po ponad trzech miesiącach oddalono zarzuty wobec Huttona. Wkrótce potem Carlyle otrzymał zawiadomienie, że wróci do służby, co oczywiście bardzo go ucieszyło. Jeszcze bardziej ucieszyła go wiadomość, że znów trafi do komisariatu Charing Cross. Koszmarna praca w pałacu Buckingham dobiegła wreszcie końca.

Carlyle nie mógł uwierzyć w swoje szczęście i z trudem krył radość, gdy podczas rozmowy telefonicznej przedstawiciel związków zawodowych powiedział mu, że miał ogromne szczęście – zachował pracę i nie musi obawiać się o emeryturę – ale „zmarnował swoją ostatnią szansę”, cokolwiek to miało znaczyć. Nie mógł liczyć na nic więcej niż posada inspektora w Charing Cross. Carlyle uznał, że nawet mu to odpowiada, byle tylko nie musiał już nigdy zadawać się z tymi idiotami.

Carlyle wszedł na schody, skręcił w prawo i stanął przed ostatnimi drzwiami. Odetchnął głęboko i zapukał.

– Wejść!

Wszedł i uśmiechnął się do nadinspektora siedzącego sztywno za biurkiem w małym zagraconym pokoju z przyjemnym widokiem na

starannie przystrzyżone trawniki po zachodniej stronie pałacu. Na co dzień pełniły one funkcję lądowiska dla helikopterów, ale latem odbywały się tu również przyjęcia organizowane przez królową. Naraz mogło się tu pomieścić nawet osiem tysięcy osób raczących się herbatą i kanapkami z ogórkiem.

– John Carlyle – przedstawił się inspektor.

– Charlie Adam. – Mężczyzna wstał i pochylił się nad biurkiem, by podać mu rękę.

Nadinspektor miał najwyżej metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i spory brzuszek, a do tego był zupełnie łysy, co utrudniało oszacowanie jego wieku, ale Carlyle przypuszczał, że zbliża się do sześćdziesiątki.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Adam się uśmiechnął i uścisnęli sobie dłonie. – Proszę usiąść – powiedział, opadając na krzesło. – Herbaty?

– Nie, dziękuję – odrzekł Carlyle.

– Na pewno? – Adam wyjął z szuflady puszkę herbaty Coat of Arms i pokazał ją Carlyle'owi. – To oryginalna herbata Jej Wysokości. Ekologiczna, najwyższej jakości. – Zdjął pokrywkę, wyjął torebkę i przysunął ją do nosa. – Podobno liście zwija się na udach dziewic z West Country czy coś w tym rodzaju.

– Nie wiedziałem, że w West Country są jakieś dziewice – odrzekł Carlyle.

– Pewnie nie. – Adam się uśmiechnął. – A przynajmniej nie młodsze niż dziesięcioletnie. Ale herbata jest naprawdę dobra. W sklepie z pamiątkami taka puszka kosztuje siedem funtów.

Carlyle podniósł rękę.

– Naprawdę dziękuję.

Adam odstawił puszkę na biurko, poprawił krawat i usiadł prosto.

– Więc to pan jest tym osławionym Johnem Carlyle'em.

– Osławiony to chyba za dużo powiedziane. – Carlyle się skrzywił.

– Och, jest pan zbyt skromny – powiedział z uśmiechem nadinspektor. – Wciąż tu pana pamiętają – dodał, wymieniając kilka nazwisk. – Domyślam się, że nie chce pan tu wracać.

– Nie. – Carlyle znów się skrzywił.

– I dobrze. W czym więc mogę panu pomóc?

Carlyle po raz nie wiadomo który opowiedział historię dziewczynki znalezionej w okolicach pałacu. Adam słuchał go uważnie, trzymając przed sobą złożone dłonie, jakby się modlił.

– To bardzo interesujące, inspektorze – powiedział, gdy Carlyle skończył – ale co to ma wspólnego z nami?

Cholernie dobre pytanie, zauważył Carlyle.

– Dwie rzeczy...

– Tak? – Adam poprawił się na krześle, a Carlyle pomyślał, że powinien sobie podłożyć poduszkę.

– Po pierwsze, dziewczynka powiedziała, że mieszka tutaj.

– Ha!

– Tak. – Carlyle pokiwał głową. – A druga sprawa to facet, który twierdził, że jest jej wujkiem.

Adam uśmiechnął się łagodnie.

– Widział pan, jak tutaj wchodził albo stąd wychodził?

– Nie.

– W ciągu dnia pracuje tu ponad pięćset osób...

– Wiem o tym.

– W weekend w pałacu wydawano bankiet na cześć sultana Brunei, więc można spokojnie pomnożyć tę liczbę przez dwa, a nawet trzy. – Adam położył dłonie na blacie biurka. – Do tego dochodzą turyści... a mówimy tylko o tym, co dzieje się w środku. – Westchnął ciężko. – Bóg jeden wie, ilu jeszcze kręci się na zewnątrz. Szuka pan, mój przyjacielu, igły w stogu siana.

– Uwaga!

Z dworu dobiegł ich brzęk tłuczonego szkła, a potem gniewne rżenie konia.

Carlyle uniósł się nieco w krzesło i wyrzał przez okno. Przed żywoplotem stało trzech mężczyzn, którzy trzymali w rękach plastikowe wiadra i zbierali do nich piłki golfowe uderzane przez dżentelmena w tweedowej czapce, stojącego dwieście metrów dalej.

– Widzę, że książę nadal lubi ćwiczyć w ogrodzie. – Carlyle uśmiechnął się znacząco.

Adam jęknął głucho.

– Jego najmłodszy syn też się do tego zapalił. Trudno w to uwierzyć, ale jest jeszcze gorszy od ojca.

– To pańscy ludzie zbierają piłki? – zdziwił się Carlyle, opadając na krzesło.

Adam lekko poczerwieniał, ale nie odpowiedział.

– Doskonały sposób na wydawanie publicznych pieniędzy.

– Nie nam to oceniać, inspektorze – zjeżył się Adam. – Czy mogę panu pomóc w czymś jeszcze?

– Zastanawiałem się, czy mógłby mi pan udostępnić listę wszystkich pracowników pałacu, w tym SO14, oczywiście.

– Dlaczego?

– Chciałbym porozmawiać ze wszystkimi, którzy mieli dyżur w sobotę wieczorem.

Adam ściągnął brwi.

– Czy to naprawdę konieczne?

– Od czegoś muszę zacząć.

– Inspektorze – Adam westchnął z irytacją – właśnie tłumaczyłem panu, ilu mamy tu ludzi, jakby sam pan o tym nie wiedział. Przesłuchanie wszystkich zajmie panu całą wieczność. Na co to panu? Bo ma pan jakieś przeczucia? – Carlyle milczał. – Ilu ludzi potrzebowałby pan do takiego śledztwa? – Adam uniósł brwi. – Ilu ludzi?

Carlyle tylko uśmiechnął się w odpowiedzi. Po niemal trzydziestu latach służby w policji metropolitalnej wiedział, że wydajność i korzystny stosunek towaru do ceny to pojęcia zupełnie

obce kierownictwu policji. Kwestię kosztów podnoszono tylko wtedy, gdy ktoś szukał pretekstu, by utracić jakiś niewygodny projekt.

– Uważam – ciągnął Adam – że to strata czasu. A jeszcze przed momentem myślałem, że zależy panu na właściwym wykorzystaniu funduszy publicznych.

– To moje śledztwo – odparł Carlyle spokojnie. – Chciałbym też zobaczyć nagrania z kamer ochrony po stronie Constitution Hill, a konkretnie z sobotniego wieczoru.

– Czy Carole Simpson o tym wie?

– Tak. – Carlyle uznał, że to właściwie prawda.

Adam opadł na oparcie krzesła i wbił wzrok w puszkę z herbatą.

– Cóż – westchnął – jeśli komendantka wyśle mi oficjalną prośbę zgodną ze wszystkimi przepisami i protokołami, zobaczę, co da się zrobić.

Carlyle zrozumiał, że nic więcej nie uda mu się wytargować.

– To bardzo uprzejmie z pańskiej strony. – Uśmiechnął się i wstał. – Dziękuję panu za pomoc.

– Proszę bardzo – odparł Adam, podając mu rękę nad biurkiem.

– Cieszę się, że w końcu pana poznałem. I że nie było tu pana za moich czasów. Utrzymujemy tu teraz żelazną dyscyplinę.

– Jestem tego pewny – przytaknął uprzejmie Carlyle. – Jestem pewny.

Kiedy wrócił do biura, znalazł na biurku stertę dokumentów. Na wierzchu leżała duża żółta karteczka samoprzylepna. Carlyle przeczytał: Nie pytaj, skąd to wzięłem, i spał po przeczytaniu, Joe, i parsknął śmiechem. Rozsiadł się wygodnie na krześle, położył nogi na blacie biurka i przejrzał papiery zostawione przez Joego. Zawierały szczegółowe dane wszystkich pracujących obecnie w ochronie rodziny królewskiej. Nie było tego tyle, ile mógłby dostarczyć Charlie Adam, ale na początek musiało wystarczyć.

W sumie w SO14 pracowało ponad czterystu funkcjonariuszy, w tym dwustu pięćdziesięciu sześciu pełniło aktywną służbę: stu pięćdziesięciu dwóch pracowało głównie w Londynie, sześćdziesięciu

w samym pałacu Buckingham, a czternastu miało dyżur w sobotę wieczorem. Carlyle znał teraz nazwiska i szczegóły kariery wszystkich funkcjonariuszy, miał również ich zdjęcia. Obejrzał fotografie czternastu, potem sześćdziesięciu, a potem stu pięćdziesięciu dwóch, ale żaden z nich nie był wytwornym mężczyzną, którego spotkał w parku. Czuł zarazem ulgę i frustrację. Świadomość, że któryś z jego kolegów po fachu dopuścił się czegoś podobnego, byłaby po prostu zbyt przygnębiająca, nawet dla takiego cynika jak on.

Po dwóch godzinach wytężonej pracy podzielił akta na trzy grupy. Po jego lewej stronie leżały dokumenty stu dwudziestu sześciu funkcjonariuszy, których nie znał, a pośrodku dwudziestu pięciu, których znał. Ci pierwsi nie mieli żadnego powodu, by pomagać mu w śledztwie, ci drudzy zaś, nawet by na niego nie nasikali, gdyby się palił. Trzecia grupa była znacznie mniejsza, zawierała dokumenty jednej tylko osoby – jedynej, która być może zechciałaby udzielić mu pomocy.

Telefon dzwonił przez całą wieczność, nim w końcu włączyła się poczta głosowa: „Tu Alexa Matthews. Zostaw wiadomość, a być może do ciebie oddzwonię”.

Miła jak zawsze, pomyślał inspektor.

– Alexa, mówi John Carlyle. Dawno się nie widzieliśmy. Zadzwoń do mnie, proszę. Ciągle pracuję w Charing Cross. Chciałbym cię o coś zapytać, jeśli wolno. Dzięki.

Dwie minuty później zadzwonił telefon.

– Halo?

– John – zaczęła ostro Carole Simpson – co ty wyprawiasz, do diabła?

– Ee... – Carlyle poprawił się niepewnie na krześle. – Co masz na myśli?

– Dobrze wiesz, co mam na myśli, do cholery – warknęła. – Właśnie rozmawiałam z Charliem Adamem.

– Próbował sprzedać ci trochę ekologicznej herbaty?

– Co?

– Nieważne.

– Powiem ci, co zrobił – odparła Simpson ze złością. – Powiedział mi bardzo uprzejmie, ale stanowczo, żebym cię pilnowała.

– Zawsze mnie pilnujesz – zażartował Carlyle.

– John, proszę, spróbuj choć raz mnie wysłuchać. Adam pytał, dlaczego wydaje ci się, że możesz tak po prostu wpaść do SO14 i objąć wszystkich śledztwem, choć nie masz żadnych powodów, żeby to robić. W dodatku to nawet nie jest twoja sprawa.

– Co mu powiedziałaś?

– A co mogłam powiedzieć?

Oboje milczeli przez chwilę.

– Przeczytałaś mój raport? – spytał w końcu Carlyle.

– Adam dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie jesteś tam mile widziany. Nie chce, żebyś marnował jego czas.

– Przeczytałaś raport?

– Ee...

Przynajmniej nie umie kłamać, pomyślał Carlyle, co stawiało ją wyżej od wielu ludzi, których znał.

– Dziewczynka była bita i gwałcona – powiedział ponurym tonem. – A teraz została porwana. To bardzo poważna sprawa. Małe dziecko straszliwie cierpi, jest w ohydny sposób wykorzystywane, ale nikogo to nie interesuje. Wszyscy mają to w dupie.

W słuchawce panowała cisza, jakby Simpson zastanawiała się, co powiedzieć. W końcu spytała:

– A co z opieką społeczną? Co z tą kobietą?

– Nic nie wie – prychnął Carlyle. – Nawet nie było jej przy tym, jak facet zabrał dzieciaka. Ale nie przeszkadzało jej to wziąć chorobowego związanego ze stresem. Pewnie wróci do pracy dopiero za parę miesięcy.

– Dostałaś jakąś wiadomość z obyczajówki?

– Nie.

– No dobrze. – Simpson westchnęła przeciągle. – Zaraz przeczytam ten raport. Przyjedź do Paddington za godzinę.

Dwaj mężczyźni stali w drzwiach i patrzyli na naburmuszoną dziewczynkę, która siedziała na łóżku. Wysoko pod sufitem wisiała energooszczędna żarówka, w jej bladym ponurym świetle nie widać było brudu na podłodze ani farby odłóżającej ze ścian. Z zewnątrz, z podmiejskiej dzielnicy północnego Londynu, dochodził pomruk ulicznego ruchu. Pomieszczenie, w którym nie było nic prócz łóżka i dziewczynki, przypominało więzienną celę. Właściwie była to więzienna cela.

– Więc co z nią zrobimy?

Starszy mężczyzna wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

– To interes jak każdy inny. Mamy rachunki do spłacenia.

– Czy to nie jest zbyt ryzykowne?

– A co byś chciał zrobić? Zamknąć cały biznes?

Młodszy mężczyzna spojrzał na wizytówkę, którą trzymał w ręku.

– Nie, ale...

– Za bardzo się przejmujesz. Policja szybko przestanie się tym interesować. Zanim ją odebrałeś, oddali ją do opieki społecznej.

– Odebrałem ją właśnie dlatego, że oddali ją do opieki.

– Więc sprawa załatwiona.

– Wkurza mnie po prostu, że mamy takie problemy.

– To nic wielkiego. Spójrz na to z ich punktu widzenia. Zgubili dziewczynkę i nie mają żadnych tropów. Na pewno nie życzą sobie, żeby ktoś zaczął ich wypytywać, jak stracili dziecko, którym mieli się opiekować. W ciągu tygodnia zapomną, że w ogóle ją widzieli.

Dziewczynka milczała zrezygnowana, jakby pogrążona w transie. Starszy mężczyzna podszedł do łóżka, złapał ją za włosy i podciągnął do pozycji stojącej.

– Koniec z uciekaniem – syknął.

Dziewczynka zaczęła krzyczeć.

– Uspokój się! – Młodszy mężczyzna łagodnie uwolnił dziewczynkę z rąk swojego kolegi. Dziecko opadło bezwładnie na łóżko. – I tak cię nie rozumie.

Starszy zacisnął dłoń w pięść.

– O tak, rozumie, wszystko rozumie, ta mała suka! Czas, żeby zaczęła dla nas zarabiać.

Młodszy mężczyzna wycofał się z celi.

– Będzie. A na razie spróbuj się czegoś dowiedzieć o tym gliniarzu, który ją znalazł. Jeśli będzie trzeba, zajmiemy się nim.

Alzbeta potarła obolałą głowę i odprowadziła wzrokiem obu mężczyzn. Trzasnęły drzwi, potem rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Dziewczynka podciągnęła kolana pod brodę, a potem zaczęła się powoli kołysać w przód i w tył. Żałowała, że nie pozwolili jej przynajmniej zabrać książeczki do kolorowania. Łudziła się, że przyjdzie tu po nią ten miły pan, który dał jej książeczkę, choć w głębi duszy wiedziała, że tak się nie stanie.

Kiedy Carlyle usiadł w biurze Simpson w komisariacie Paddington Green, zauważył, że jego szefowa zabrała z biurka zdjęcie męża. O ile wiedział, był to jedyny osobisty element wystroju, który na przestrzeni lat pozwoliła sobie umieścić w tym ciasnym, przegrzonym pokoju. Teraz fotografia zniknęła, prawdopodobnie już na zawsze. Inspektor zastanawiał się przez moment, dlaczego Simpson nie złożyła pozwu rozwodowego, szybko jednak doszedł do wniosku, że to nie jego sprawa. W gruncie rzeczy go to nie interesowało.

Simpson kichnęła, przywołując go do rzeczywistości.

– Na zdrowie.

– Dziękuję. – Podniosła na niego wzrok, jakby oczekiwała jakiegoś kąśliwego komentarza.

Carlyle milczał. Simpson spuściła wzrok i zapisała coś na karteczce. Inspektor skrzyżował ręce na piersiach i czekał, aż jego przełożona przeczyta raporty. Starał się przy tym nie wyglądać na znudzonego.

Po kolejnych kilku minutach Simpson wyjęła ze sterty dokumentów cienki plik kartek. Przebiegła je szybko wzrokiem, jakby liczyła, że w ciągu ostatniej godziny coś się zmieniło. W końcu

westchnęła ciężko, położyła dokumenty na blacie i pchnęła je w stronę Carlyle'a.

- Nie mamy zbyt dużo, co?

- Nie.

- Czym jeszcze się teraz zajmujesz? - spytała, co było równoznaczne z przyznaniem się do porażki.

Powstrzymując uśmiech, Carlyle przedstawił jej nudną listę wykroczeń i występków, nad którymi miał pracować.

- Dobrze. - Simpson skinęła głową. - Porozmawiaj z inspektorem Shenem z obyczajówki. Wysłałam mu kopię twojego raportu. Sam zdecyduje, czy może z tym coś zrobić. A na razie możesz trochę poszperać tu i tam, może uda ci się coś znaleźć.

- Jasne. - Carlyle uśmiechnął się szeroko.

- Masz rację, to rzeczywiście jest okropne - przyznała Simpson.

- Powinniśmy się tym zająć.

- Dziękuję.

- Ale jeśli stwierdzisz, że nic z tego nie wyjdzie, nie przeciągaj sprawy - dodała komendantka beznamiętnie.

6

Carlyle wyszedł z dworca i ruszył w stronę zamku w Windsorze. Według informacji z broszury turystycznej, którą przeczytał, jadąc pociągiem, zamek w Windsorze był oficjalną rezydencją Jej Królewskiej Mości, a także najstarszym i największym spośród zamieszkanym zamków na świecie. Tego dnia królowa nie urzędowała w swojej rezydencji – wyjechała do Kostaryki, by zajmować się tym, czym zajmują się zwykle głowy państw podczas oficjalnych wizyt. W czasie służby w SO14 Carlyle nie wyjechał dalej niż do Cardiff, ale jak na jego potrzeby było to wystarczająco odległe i egzotyczne miejsce. Poza tym ostatnio w coraz większym stopniu Anglicy traktowali Walię jako oddzielne państwo.

Zrobiło się zimno. Zmrożony lodowatym wiatrem, Carlyle uświadomił sobie, że już czas wyjąć z szafy zimowe ubrania. Idąc przez centrum miasteczka, zapiął płaszcz pod samą szyję i wydłużył krok. Po pięciu minutach skręcił w Peascod Street i ruszył do pubu Royal Joker.

Pub mieścił się na parterze i piętrze nijakiego biurowca z lat siedemdziesiątych. Dochodziła dopiero jedenasta, więc Carlyle wcale się nie dziwił, że lokal jest pusty. Na ścianie naprzeciwko wejścia wisiały strzałki wskazujące drogę do salonu gier i ogródka piwnego. Carlyle skinął głową dziewczynie za kontuarem, przeszedł przez główny bar i zszedł po schodach do dużej sali, w której było chyba jeszcze zimniej niż na dworze. Po drugiej stronie znajdowały się drzwi balkonowe prowadzące na małe patio, na którym stało kilka plastikowych stołów. W sali, pod ścianą, ustawiono dwie skórzane sofy. Nad jedną z nich wisiał wielki plakat góry Iron w Wanaka, reklamujący wakacje w Nowej Zelandii. Centralne miejsce w pomieszczeniu zajmował duży stół do bilardu, z blatem obitym czerwonym sukniem. Na przyklejonej do ściany kartce widniała wypisana odręcznie informacja, że jedna gra kosztuje dwa funty. Na rancie stołu stały dwie opróżnione do połowy szklanki z piwem.

Dwie kobiety, które najwyraźniej dopiero zaczęły grę, zignorowały jego przybycie. Ta, która pochylała się właśnie nad stołem, była tęga i zwalista. Krótко obcięte, kręcone włosy i zboląła mina upodabniały ją do podstarzałego Diega Maradony. Stojąc na jednej nodze, pochylała się do przodu, szukając właściwego kąta uderzenia. Jej koleżanka, wysoka szczupła kobieta w czarnych dżinsach i czarnej bluzce, patrzyła na nią uważnie. Mocno umalowana, z ufarbowanymi na fioletowo włosami, wyglądała jak got na emeryturze. Carlyle był pewny, że to dziewczyna tej pierwszej. Spotkał ją raz czy dwa, kiedy służył w SO14, ale nie pamiętał jej imienia. Ostentacyjnie go ignorując, kobieta wzięła szklanę i upiła łyk piwa.

Ta pochylona nad stołem uderzyła za mocno i obserwowąła bezradnie, jak biała bila wpada do środkowej kieszeni.

– Cholera!

– Pech – powiedział Carlyle, podchodząc do stołu.

Alexa Matthews odsunęła się i spojrzała na niego.

– Spierdalaj.

Zmuszając się do uśmiechu, Carlyle zmierzył ją spojrzeniem. Matthews ledwie dorównywała mu wzrostem, ale była od niego dwa razy szersza. Ubrana w podarte dżinsy, koszulkę z Iron Maiden i buty z cholewami wyglądała właśnie tak, jak większość ludzi wyobraża sobie gliniarza po służbie. Matthews ubierała się tak samo od co najmniej dwudziestu lat. Zdaniem Carlyle'a kolczyk w nosie i po trzy kolczyki w brwiach nie pasowały do kobiety dobiegającej pięćdziesiątki. Przypuszczał, że gdy ma służbę, zdejmuje je.

– Co ty tu robisz? – warknęła, zaciskając mocno dłoń na kiju bilardowym.

– Chciałem zamienić słówko – odparł spokojnie inspektor, zerkając na kij. – Zostawiłem ci wiadomość.

– A ja nie odpowiedziałam. Nie dało ci to do myślenia?

Druga kobieta wyjęła białą bilę i posłała kilka kolorowych do kieszeni w rogach pola. Matthews zerknęła na stół i skrzywiła się z

niesmakiem, po czym znów przeniosła wzrok na Carlyle'a, mrużąc oczy.

– I jeszcze przeszkadzasz mi w grze – dodała bez cienia uśmiechu.

Towarzyszka Matthews przeszła wzdłuż stołu, szykując się do następnego uderzenia. Po drodze delikatnie przesunęła policjantkę na bok, zmuszając ją tym samym, by stanęła bliżej inspektora.

– Skoro już tu jestem... – zaczął.

– Nie powinieneś był przychodzić – syknęła Matthews.

– Skoro już tu jestem – powtórzył – to chętnie zapytam cię o coś ważnego.

Policjantka rzuciła kijek na sofę i sięgnęła po piwo.

– Nie chcę z tobą rozmawiać.

– To ważne – zaznaczył, nie chcąc na razie zagłębiać się w szczegóły.

– Może dla ciebie.

– Mówię poważnie.

– Zawsze mówiłeś poważnie, Carlyle.

Carlyle zignorował przytyk.

– Potrzebuję trochę aktualnych informacji o SO₁₄.

– Co? – parsknęła Matthews. – Ciągłe chcesz rozpieprzyć naszą jednostkę? Myślałam, że dałeś sobie spokój już dawno temu. – Uśmiechnęła się znacząco do partnerki. – Mniej więcej wtedy, kiedy dostałeś po dupie.

Szczupła kobieta podniosła na nią wzrok, roześmiała się, po czym wbiła zieloną bilę do kieszeni.

Carlyle opuścił głowę, starając się ukryć smutny uśmiech. Wrócił myślami do pewnego wieczoru sprzed wielu lat, gdy kilku funkcjonariuszy SO₁₄, zirytowanych tym, że jest niekoleżeński, zaciągnęło go do pałacowych stajni, by tam spuścić mu porządne lanie. Właśnie się rozkręcali, gdy w stajni pojawiła się Matthews z kilkoma służącymi. Carlyle wyszedł z tej przygody z kilkoma siniakami i zadrapaniami oraz urażoną dumą.

Nazajutrz poszedł jej podziękować, zbyła go jednak machnięciem ręki.

– Zrobiłam to dla nich, nie dla ciebie – powiedziała wtedy. – Nie jesteś wart tego, żeby ktokolwiek ryzykował dla ciebie karierę.

Matthews opróżniła szklankę.

– To, że uratowałam ci wtedy tyłek, nie znaczy, że jestem twoją przyjaciółką...

– Wiem.

Obserwował w milczeniu, jak druga kobieta wbija ostatnią bilę i odkłada kij na stół. Matthews wyciągnęła do niej rękę z pustą szklanką i wskazała głową bar.

– Heather, weź mi jeszcze jedno, dobra? Za chwilę muszę iść.

Heather? Tak, Heather Ramen. A może Raven? Albo Ramsden? Coś w tym rodzaju. „Performerka”. Ciekawe, czy nadal „występuje”.

Heather bez słowa wzięła szklankę i poszła do baru. Matthews poczekała, aż zostaną sami, i zwróciła się do Carlyle’a:

– Zawsze byłeś dupkiem, ciągle przysparzałeś problemów i wszystkich wkurzałeś.

– Może. – Inspektor wzruszył ramionami. – Ale teraz w SO14 dzieje się coraz gorzej, co?

Matthews wzięła bilę i zważyła ją w ręku, jakby zastanawiała się, czy rozbić mu nią głowę.

– A co ty możesz o tym wiedzieć?

– Podczas śledztwa dowiedziałem się paru rzeczy.

– Bzdury. Po prostu znów próbujesz namieszać. – Matthews z ociąganiem odłożyła bilę na stół. – Powinieneś zostawić SO14 w spokoju. To nie jest już twój problem. Mój zresztą też nie. Odchodzę. Przenoszą mnie w przyszłym miesiącu. – Wyciągnęła w jego stronę pulchny palec. – Więc nie chcę żadnych kłopotów.

Carlyle nie dał się zastraszyć.

– To oficjalne śledztwo, Alexo. Mam pełne prawo przesłuchać cię w pracy. Albo w domu.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Gdybym chciał narobić tobie i twojej dziewczynie kłopotów, nie jechałbym aż tutaj, żeby złożyć ci dyskretną wizytę o jedenastej rano.

- Heather w to nie mieszaj, dupku - zjeżyła się Matthews. - Od dawna już się z tym nie kryję. Wszyscy wiedzą, że jestem lesbą, no i co z tego?

- To nie była groźba - odparł spokojnie Carlyle.

- Jasne, jasne. - Matthews zerknęła w stronę baru. Przez chwilę się nad czymś zastanawiała. Carlyle czekał.

Heather najwyraźniej się nie spieszyła. Matthews zakłęła pod nosem. Carlyle przyglądał się czubkom swoich butów.

- Joe Dalton - powiedziała w końcu.

- Joe Dalton? - Carlyle się skrzywił. - Kto to jest?

Matthews potarła czubkiem buta płamę na dywanie.

- Joe był w SO14. Dorabiał trochę na boku, jeżdżąc taksówką brata. Skończył ze sobą parę miesięcy temu. - Przetarła oczy. - Obciął sobie głowę w taksówce.

Carlyle zastanawiał się nad tym przez moment.

- Jak to zrobił?

- Pisali o tym w gazetach. Może nawet czytałeś.

Inspektor pokręcił głową.

- Nie, na pewno nie. Co Dalton miał wspólnego z przekrętami w SO14?

- Sam się tego dowiedz - parsknęła. - Jesteś cholernym detektywem! Jezu!

- Dobra. - Carlyle westchnął. - Jestem cholernym detektywem, to gdzie, do cholery, mam zacząć szukać?

- Porozmawiaj z jego dziewczyną - odparła Matthews, uśmiechając się mimowolnie. - Nazywa się Fiona Allcock.

- Gdzie ją znajdę?

- Powinieneś ją dość łatwo namierzyć. Jest sławna.

- Sławna?

- Wrzuć ją po prostu w Google.

Pieprzony Google. Nagle ta internetowa wyszukiwarka stała się najważniejszym narzędziem policji. Jak w ogóle łapano przestępców przed rozpowszechnieniem internetu?

– To dość popularne nazwisko – zauważył Carlyle. – Skąd będę wiedział, że chodzi o tę właściwą Allcock?

– Jezu... – jęknęła Matthews. – Nic się nie zmieniłeś. Jesteś tak samo wkurzający jak dawniej. – Potem na jej twarzy znów pojawił się uśmiech, jeszcze szerszy niż poprzednio. – Wpisz w Google „Allcock” i „zwierzęta”. Zobaczysz, co ci wyskoczy. Tylko nie rób tego przy żonie.

Carlyle uniósł brwi w niemym pytaniu.

– Spadaj – powiedziała Matthews ze śmiechem, wrzucając monety do automatu zamocowanego w stole i przygotowując się do następnej rozgrywki. – To już twoja działka. I nie przychodź tu więcej, bo następnym razem rozwalę ci łeb. Nie żartuję.

Komisarz Warren Shen stał w magazynie na pierwszym piętrze, nad antykwariatem ze starymi czasopismami, w centrum Soho. Ziewnął i odgarnął z oczu jasne, sięgające do ramion włosy. Wysoki – miał prawie metr osiemdziesiąt pięć wzrostu – szczupły, ubrany w dżinsy i koszulkę z wizerunkiem Bruce’a Lee, wyglądał na dwudziestolatka, choć za pół roku miał skończyć czterdziestkę. Siedemnaście lat służby w policji, w tym sześć w obyczajówce, nie pozbawiło go chłopięcego wyglądu. Nikt jednak nie wiedział, co działo się przez te lata w jego duszy.

Shen spojrział przez okno, na wejście do szkoły podstawowej po drugiej stronie Great Windmill Street. Zbliżał się koniec zajęć, więc przy bramie stała grupka mam – niektóre z wózkami, w których siedziały młodsze dzieci – czekających na swoje pociechy. Co kilka minut wychodziła do nich dziewczyna z pobliskiego lokalu ze striptizem i kazała im się wynosić, bo odstraszały jej koleżankom potencjalnych klientów.

Shen już wiele razy był świadkiem podobnych scen. Różnego rodzaju lokale i sklepy zarabiające na uciechach cielesnych skarżyły się, że szkoła przeszkadza im w interesach. Jeden ze sklepikarzy –

samozwańczy numer jeden handlu sztucznymi penisami w Soho – całkiem poważnie wypowiedział się w miejscowej gazecie, że szkoła „obniża prestiż dzielnicy”. Z jednej strony było to całkiem zabawne, z drugiej jednak sprawiało, że Shen tęsknił za starymi dobrymi czasami (które skończyły się jakieś dwadzieścia lat przed tym, nim zaczął służbę w policji), gdy można było po prostu zgarnąć wszystkich tych obleśnych handlarzy i zbrojeńców do celi i nakopać im tam porządnie w tyłek.

W obliczu tego zmasowanego ataku jedna z matek – niejaka Mary Mack, ewangeliczka – odważyła się stanąć do walki. Przygotowała specjalną kampanię i petycję, w której domagała się pięćdziesięciometrowej „strefy wolnej od świństw” w pobliżu szkoły. Pomysł był całkiem niezły, ale ze względu na charakter pobliskich biznesów nie miał żadnych szans na realizację. Skończyło się na tym, że dzielna kobieta stała się obiektem haniebnej napaści.

Zaledwie tydzień wcześniej pani Mack została obrzucona wyzwiskami i psimi odchodami przez grupę niezadowolonych pracowników przemysłu pornograficznego. Kiedy „Evening Standard” opisał tę historię na pierwszej stronie, sprawa przyciągnęła uwagę jakiejś szycy ze Scotland Yardu, który zażądał natychmiastowych działań. Shen miał jak najszybciej aresztować winowajców i dać w ten sposób do zrozumienia mieszkańcom Soho, że istnieją granice nieprzyzwoitego zachowania, których nie mogą przekroczyć, nie narażając się na sankcje.

Shen musiał złapać sprawców na gorącym uczynku, ucieszył się więc ogromnie, kiedy pani Mack zgodziła się narazić jeszcze raz i odegrać rolę przynęty. Nim przyszło jej do głowy zmienić zdanie, komisarz przygotował skomplikowaną akcję, która polegała głównie na tym, że pani Mack miała przechadzać się przed szkołą i czekać, aż zostanie zaatakowana.

Shen podniósł do ust krótkofalówkę Motoroli, obserwując, jak z Fun Palace wychodzi gruba tleniona blondyna i kieruje się ku bramie

szkoły. Tuż za nią szedł jeden z bramkarzy z klubu, chudy facet z ogoloną głową, ubrany w koszulkę z Britney Spears.

– Zaczyna się...

Gdy tych dwoje zbliżało się już do celu, pozostałe matki szybko odsunęły się na bok. Shen obserwował spokojnie gwałtowną wymianę zdań, poczekał, aż bramkarz położy rękę na ramieniu Mack, po czym powiedział do krótkofalówki:

– Dobra, wchodźcie. Aresztujcie oboje. I dopilnujcie, żeby tym razem posiedzieli trochę dłużej.

Gdy policjanci wsadzali aresztowanych do policyjnej furgonetki, ze szkoły zaczęły wychodzić dzieci. Shen pomyślał o swoich dzieciakach, zamkniętych w bezpiecznym kokonie przedmieść południowego Londynu, i odmówił w myślach modlitwę dziękczynną. Szkoła parafialna w Soho uchodziła za bardzo dobrą, ale trzeba było mieć naprawdę dużo samozaparcia, żeby wysyłać tutaj swoje pociechy i znosić całe to gówno dookoła, w dosłownym i przenośnym znaczeniu.

Shen odwrócił się do Carlyle'a, który siedział na sofie, czytał bezpłatną popołudniówkę i martwił się kolejną porażką Fulham.

– Mieszka pan tu w okolicy, prawda? – spytał Shen.

Carlyle skinął głową, nie podnosząc wzroku znad gazety.

– Tak. Jakies pięć minut drogi stąd. Po drugiej stronie Cambridge Circus.

– Ma pan dzieci?

– Jedno. Dziewczynkę.

Shen wskazał szkołę po drugiej stronie ulicy.

– Nie chodziła tutaj, prawda?

– Nie, ale żona się nad tym zastanawiała.

– Ciekawe, co dzieciaki myślą o tym wszystkim.

Carlyle złożył w końcu gazetę i schował ją do kieszeni marynarki.

– O czym? O sex-shopach i całej reszcie?

– Tak.

– Pewnie wiedzą swoje. Gdyby zrezygnować z tego wszystkiego, dzielnica straciłaby na atrakcyjności.

– Pewnie tak. – Shen odsunął się od okna i przeszedł na środek pokoju. – Czytałem raport, który przesłała mi Simpson. Interesujące... Naprawdę myśli pan, że ta dziewczynka była w pałacu Buckingham?

– To możliwe.

– Ale mało prawdopodobne.

– Może. Nie wiem. – Inspektor podniósł się sztywno z sofy. – Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym częściej myślę: a dlaczego nie? Ludzie robią tam tyle innych świństw, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że jakiś dupek zabrał się i do takich rzeczy.

– Dla mnie byłoby to coś nowego – stwierdził Shen. – Ale zbadamy sprawę. Jakież nowe informacje o dziewczynce?

Carlyle pokręcił głową.

– Jeszcze nie.

Obaj wiedzieli, że tylko cudem udało się ją znaleźć za pierwszym razem i że praktycznie nie ma żadnych szans, by kiedykolwiek odnalazła się ponownie.

– A co z ukraińskim tropem? – spytał Carlyle.

– Oczywiście mamy tu sporo ludzi z Europy Wschodniej – odparł Shen beznamiętnym tonem, jakim przemawia się do miejscowej wspólnoty mieszkaniowej. – Zajmują się głównie handlem ludźmi i prostytutką. Są wśród nich również Ukraińcy. Dzieci rzadziej, ale też się o nich słyszy. – Przerwał na moment, by odkaszlnąć. – Jest tu pewien facet, z którym będziemy chcieli porozmawiać, niejaki Igor Czepojak.

– Kto to taki?

– Zbir, jakich mało, rasowy czarny charakter. Podobno, między innymi oczywiście, obciął głowy dwóm swoim dziewczynom. Lampą lutowniczą.

– Nieźle.

– Nigdy nie udało nam się go przyskrzynić. – Shen westchnął z żalem. – Na razie.

– Myśli pan, że coś z niego wyciągniecie?

– Nie mam pojęcia. – Shen wzruszył ramionami. – Ale to jedyny Ukraińiec, jakiego znam.

Carlyle spojrział na niego zdumiony.

– Od czegoś trzeba zacząć. – Komisarz się uśmiechnął. – A pan ilu zna Ukraińców?

Słuszna uwaga, pomyślał Carlyle.

– Mogę się do was przyłączyć, kiedy złożycie mu odwiedziny?

– Czemu nie? Dam panu znać, kiedy uda mi się z nim umówić.

Umówić się? – zdziwił się znów inspektor, tym razem tylko w duchu.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. – Shen poklepał Carlyle'a po ramieniu i ruszył do drzwi. – A na razie muszę zająć się tymi gnojkami, których właśnie przymknęliśmy.

7

Carlyle siedział przy swoim biurku na trzecim piętrze komisariatu Charing Cross i przeglądał raport z sekcji zwłok Joego Daltona, pozbawionego głowy pracownika SO₁₄, który dorabiał, jeżdżąc taksówką. Sprawa od razu została zakwalifikowana jako samobójstwo, więc śledztwo było bardzo pobieżne. W organizmie Daltona znaleziono ślady kokainy i ecstasy, ale nie skomentował tego ani patolog dokonujący sekcji, ani policjant prowadzący śledztwo. Carlyle szczególnie się tym nie przejął – wielu samobójców faszeruje się przed śmiercią narkotykami. Zaskoczyło go jednak to, że sprawa została zamknięta w wyniku interwencji SO₁₄. Raport końcowy, podpisany przez samego nadinspektora Charliego Adama, trafił do centralnego archiwum zaledwie po tygodniu.

Do biurka podszedł leniwym krokiem Joe Szyszkowski, który rozprawiał się właśnie z pączkiem z czekoladą.

– Sprawdziłem gazety – rzekł, przełknąwszy ostatni kęs i oblizawszy palce. – Znalazłem kilka wzmianek o tym... – przerwał na moment, szukając właściwego słowa – ...wydarzeniu, które ukazały się następnego dnia, ale potem sprawa przycichła. Co ciekawe, nikt nie wspomniał ani słowem, że Dalton był gliniarzem.

– To dziwne, że śledztwo prowadziło SO₁₄ – stwierdził Carlyle.

– Bardzo – zgodził się z nim Joe.

– Dlaczego nie zostawili tego miejscowym?

– Może nie chcieli, żeby ktoś na górze dowiedział się o narkotykach? Nie wyszłoby im to na dobre. Jestem pewny, że seria wyrywkowych kontroli w pałacu przyniosłaby bardzo interesujące wyniki.

– Być może.

Joe podrapał się po brzuchu.

– Rozmawiałem z oficerem z Elephant & Castle, który na początku prowadził tę sprawę. Przyjechał na miejsce dwadzieścia minut po wezwaniu. Rozmawiał też z facetem, który to widział. Nie

znaleziono listu pożegnalnego, ale raczej nie ma wątpliwości, że to samobójstwo.

- Tak. - Carlyle skinął głową. - Pozostaje pytanie, dlaczego Dalton postanowił ze sobą skończyć? Nie miał większych problemów, a przynajmniej nikt o tym nie wiedział. Żadnych kłopotów z pieniędzmi ani ze zdrowiem psychicznym. Owszem, brał prochy, ale wielu gliniarzy to robi. Dalton nie był nałogowcem, robił to tylko dla zabawy. Przychodził do pracy na czas, zawsze wypełniał swoje obowiązki.

- W tym roku w ogóle nie brał urlopu chorobowego - wtrącił Joe.

Carlyle uniósł brwi. Obaj wiedzieli, że gliniarz, który nie korzysta regularnie z urlopu chorobowego, to naprawdę rzadkość. Łagodne przepisy sprawiały, że przeciętny brytyjski policjant brał rocznie trzy tygodnie wolnego, a około jednej trzeciej wszystkich policjantów przechodziła na wcześniejszą emeryturę ze względu na „zły stan zdrowia”. Ta praktyka była rozpowszechniona do tego stopnia, że uważano ją za legalną część pracy policyjnej. Carlyle nie cierpiał leniuchów, którzy wymigiwali się w ten sposób od obowiązków, miał jednak dość rozsądku, by nie mówić o tym głośno. Skoro Dalton był jednym z tych nielicznych, którzy nie szli na łatwiznę, to najwyraźniej lubił swoją pracę i traktował ją poważnie.

- Więc nic nie wskazywało na to, że miał jakieś problemy z wykonywaniem swoich obowiązków?

- Oprócz tego, że dorabiał na boku i brał prochy - sprecyzował Joe.

- Przynajmniej nie zemdlął na oczach Jej Wysokości - rzekł Carlyle z uśmiechem.

Joe się roześmiał.

- Ani nie próbował dobierać się do księcia Edynburga, przekonany, że to Charlize Theron.

- Faj! - Carlyle się skrzywił. - Dość! Musiałby zjeść całą garść ecstasy, żeby pomylić starego Phila z Charlize Theron. Ale tak na poważnie, to musiało mieć coś wspólnego z tą zaginioną dziewczynką.

- Możliwe – przytaknął Joe, choć nie wyglądał na przekonanego.
- Inaczej Alexa Matthews nie mówiłaby mi o tym.
- Może spróbujesz wyciągnąć z niej coś jeszcze?
 - Wyciągnąłem już wszystko, co mogłem – odparł cierpko

Carlyle.

- Chcesz, żebym ja z nią pogadał? – spytał Joe.

Carlyle pokręcił głową.

- Nie... Może... Nie, jeszcze nie. Na razie mamy sporo innych tropów... – Inspektor przerwał, gdy zadzwonił telefon na jego biurku. Sięgnął po słuchawkę. – Halo?

- John? Mówi Warren Shen.

Carlyle zerwał się na równe nogi.

- Mamy coś?

- Tak, mamy. Możesz spotkać się ze mną za pół godziny na stacji metra Chalk Farm?

- Tak, już wychodzę. – Carlyle sięgnął po płaszcz i odwrócił się do Joego, mówiąc: – To Shen.

Sierżant spojrzał na niego pytająco.

- Facet z obyczajówki.

- Rozumiem.

- Idziemy spotkać się z tym ukraińskim gangsterem, o którym mi mówił. Pogadamy, gdy wrócę.

- Dobra.

- Ty spróbuj w tym czasie poszukać informacji o Fionie Allcock. To była dziewczyna Daltona. Podobno lubi zwierzątka.

Joe uniósł brwi.

- Wiem, wiem. – Carlyle zachichotał. – Przypuszczałem, że ci się to spodoba. Postaraj się tylko, żeby nie zablokowali ci komputera, bo potem minie parę ładnych tygodni, zanim to odkręcą.

- Postaram się.

- Sprawdź tylko, co to jest. Pogadamy, gdy wrócę.

Ostatecznie Carlyle – sam spóźniony o ponad dziesięć minut – musiał czekać niemal dwadzieścia przed stacją Chalk Farm, nim

przyjechał tam Shen, kierujący wiekowym białym bmw. Carlyle usiadł na fotelu pasażera i przywitał skinieniem głowy dwóch wielkich facetów siedzących z tyłu.

– Posterunkowy Hamilton i sierżant Frost – dokonał prezentacji Shen, zerkając we wsteczne lusterko.

– John Carlyle.

Mężczyźni odpowiedzieli burkliwym pozdrowieniem.

– Wyjaśniłem im już, kim jesteś i dlaczego z nami jedziesz – dodał Shen.

Carlyle zapiął pas.

– Więc jedziemy tam z obstawą?

Shen dodał gazu i włączył się do ruchu.

– W przypadku Igora żadna obstawa nie jest zbyt duża – odparł, wjeżdżając przed autobus linii sto sześćdziesiąt osiem i ruszając na północ.

Skręcili w prawo, minęli szpital, po czym skierowali się na wschód, zostawiając za sobą burżuazyjny splendor Hampstead i zmierzając ku Kentish Town. Mniej więcej po pięciu minutach Shen skręcił w Arkan Street, w okolice zabudowane głównie blokami z mieszkaniami komunalnymi, biurowcami i małymi zakładami produkcyjnymi. Dojechawszy niemal do końca pustej, dziurawej ulicy, komisarz zatrzymał auto w zatoczce przed obskurną kawiarnią o nazwie U Janika.

Kiedy weszli do środka, okazało się, że lokal jest pusty. Hamilton i Frost usiedli za stolikiem przy drzwiach i pokiwali energicznie głowami, gdy kobieta stojąca za ladą zaproponowała im kawę i babeczki drożdżowe. Kuszony apetycznymi ciastkami, Carlyle z ociąganiem przeszedł za Shenem do małego pokoju na zapleczu, gdzie przy okrągłym stoliku siedział potężny mężczyzna z ogoloną głową, ubrany w skórzaną kurtkę i szarą koszulę. Palił marlboro i patrzył na nich obojętnie. Oprócz stołu i dwóch dodatkowych krzeseł w pokoju nie było żadnych mebli. Za olbrzymem znajdowały się drzwi. Były lekko uchylone, a Carlyle dostrzegł za nimi jakiś ruch. Zerknął na

Shena, ten jednak wydawał się spokojny. Wyglądało na to, że był tu nie po raz pierwszy.

Mężczyzna wskazał głową wolne krzesła i poczekał, aż obaj usiądą. Niemal w tym samym momencie kobieta zza baru przyniosła tacę z trzema podwójnymi espresso i trzema babeczkami polanymi czekoladą. Postawiła tacę na stole i szybko wróciła do głównej sali, zamykając za sobą drzwi.

– Panowie. – Igor Czepojak wskazał ręką stół. Sądząc po akcencie, więcej czasu spędził w północnym Londynie niż w Kijowie. – Częstujcie się, proszę.

– Dzięki. – Shen podniósł filiżankę i upił łyk kawy.

Carlyle natychmiast rzucił się na ciastko i odgryzł spory kęs. Przeżuwał go przez chwilę, rozkoszując się smakiem, po czym przełknął z rozanieloną miną.

– Pyszne!

Czepojak pokiwał ze zrozumieniem głową.

Carlyle szybko uporał się z resztą ciastka i spojrzał na Shena, ciekawy, czy ten zamierza zjeść swoje. On sam mógłby zjeść jeszcze trzy. Potem opróżnił filiżankę z kawą i rozsiadł się wygodniej, czekając na rozwój wypadków.

Czepojak zgasił papierosa w popielniczce z reklamą wódki Khortytysa i dopił kawę.

– No dobrze, panie komisarzu – zaczął. – Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Cóż... – Shen odchrząknął. – To jest mój kolega po fachu, John Carlyle.

Czepojak przeciągnął ręką po łysej głowie, mrużąc przy tym oczy.

– Więc mamy nową twarz w obyczajówce?

– Nie, nie – zaprzeczył Carlyle. – Pracuję w komisariacie Charing Cross. Tak się po prostu złożyło, że prowadzimy wspólnie sprawę.

Czepojak skrzyżował ręce na piersiach i odchylił się na krzesle.

– Mianowicie?

- Szukamy ukraińskiej dziewczynki - wyjaśnił krótko Shen.

- Znam mnóstwo dziewczynek - odrzekł Ukrainiec z uśmiechem.

- Ta jest bardzo młoda - dodał Carlyle. - Ma osiem albo dziewięć lat.

Czepojak skrzywił się lekko, jakby chciał powiedzieć: „Cóż, różne są upodobania...”.

- Została sprzedana - dorzucił Carlyle. - I wykorzystana.

- Igorze, wiem, że ty nie masz z takimi historiami nic wspólnego - zaznaczył dyplomatycznie komisarz.

Czepojak pochylił się do przodu i położył ręce na stole.

- Miło mi to słyszeć, komisarzu. Nie chciałbym, żeby pan pomyślał, że można przychodzić do mnie z prośbą o pomoc i jednocześnie mnie obrażać.

- Oczywiście, że nie. - Uśmiech Shena był nikły, ale szczery. - Nigdy nie przyszłoby nam to do głowy.

- Możecie mnie nie lubić - Igor wzruszył ramionami - ale robię u siebie sporo dobrych rzeczy. Buduję przedszkola, finansuję sierocińce. - Wsunął rękę do kieszeni. Carlyle na moment zeszytniał, uspokoił się jednak, gdy Ukrainiec wyjął złożoną na pół fotografię wielkości zeszytu. Rozprostował ją i rzucił na stół. Wylądowała na pustym talerzu inspektora. Przedstawiała dzieci ustawione w dwóch rzędach, w sumie około czterdzieścioro, oraz dwójkę nauczycieli. Stali pod wielkim drzewem, przed długim, niskim budynkiem, w którym zapewne mieściła się szkoła. - Moje dzieciaki.

Carlyle przesunął wzrokiem po twarzach dzieci, szukając wśród nich Alzbety, ale zdjęcie było nieostre, a Czepojak już po kilku sekundach zabrał je z powrotem.

- To sierociniec „Hnizdeczko” w mieście Pryłuki. Wiecie, co znaczy słowo „hnizdeczko”?

Carlyle spojrzał na Shena, lecz ten tylko wzruszył ramionami.

- Nie - odparł cicho. - Co?

– Gniazdeczko – parsknął Czepojak. – Małe gniazdko, kurwa! A tak naprawdę to zwykła nora. Beze mnie nie mieliby tam nic. Sytuacja jest okropna. Naprawdę okropna.

– I właśnie dlatego przyjechałeś tutaj? – Shen pokiwał głową.

– Tak. Tutaj mogę zarobić. Mogę coś zmienić. W ukraińskich sierocińcach żyje ćwierć miliona dzieci. Niektóre straciły rodziców, inne zostały porzucone. Alkoholizm, narkotyki, prostytutka, mamy wszystko.

Może dlatego jesteś taki dobry w tym, co robisz, pomyślał Carlyle.

Czepojak spojrział na policjantów.

– Wiem, że tak naprawdę gównu was obchodzi, kim jestem i skąd pochodzę – ciągnął posępnie. – To skandal, co dzieje się z tymi dziećmi. Świat słyszy o tym tylko wtedy, gdy jakaś piosenkarka albo aktorka pojedzie do mojego kraju i próbuje adoptować jedno z nich.

– Więc prowadzi pan działalność charytatywną? – spytał Carlyle, zastanawiając się, jak skierować rozmowę na właściwe tory.

– Robię, co mogę. – Czepojak wzruszył ramionami. – Rząd oczywiście umywa ręce. Ciągłe brakuje jedzenia, ubrań, butów. Dzieci są niedożywione, chorują, ale nie mają lekarstw. Wszystkie sierocińce żyją głównie z darowizn. To prawdziwe piekło.

– Ta dziewczynka też mogła pochodzić z sierocińca – podsunął Carlyle.

– Możliwe. Nic o tym nie wiem, ale mogę popytać.

– Jeśli czegoś się dowiesz... – wtrącił nieśmiało Shen.

– Tak, tak, oczywiście. – Czepojak machnął ręką.

Carlyle zastanawiał się właśnie, czemu ma służyć to spotkanie z ukraińskim odpowiednikiem Robin Hooda i w jakim kierunku powinien poprowadzić teraz śledztwo, gdy nagle na zewnątrz zaczęło się jakieś zamieszanie, a do pokoju wpadły dwie kobiety. Deptał im po piętach mężczyzna, który wyglądał jak mniejsza wersja Igora.

Carlyle zerknął w stronę głównej sali. Hamilton i Frost gadali w najlepsze, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się tuż obok. Spokojnie,

chłopcy, nie ma się czym przejmować, pomyślał inspektor z przekąsem.

Czepojak powiedział coś do swojego minisobowtóra, a ten zniknął za drzwiami. Kobiety usiadły przy stole po obu stronach swojego szefa. Obie były tlenionymi blondynkami, jedna miała fryzurę na pazia, a druga włosy do ramion ściągnięte w kucyk. Obie były mocno umalowane i trzymały w ustach tłące się papierosy. Nosiły ciepłe zimowe płaszcze zapięte pod samą szyję. Carlyle przypuszczał, że to prostytutki z Europy Wschodniej, przedstawicielki całej armii podobnych im kobiet, które jakieś dziesięć lat wcześniej zdominowały rynek nierządu w Londynie.

Jedynie, co odróżniało jedną od drugiej, to oczy. Ta z kucykiem miała ciemne i martwe, czarne jak smoła, natomiast niebieskie tęczęwki tej z fryzurą pazia skrzyły się figlarnością i ciekawością.

Czepojak objął je ramionami, po czym uśmiechnął się znacząco do policjantów i uniósł lekko brwi.

Shen zerknął na Carlyle'a i podniósł rękę.

– Igor, wiesz, że nie możemy przyjmować upominków.

Kobieta z martwymi oczami spojrzała na niego gniewnie. Jej towarzyszka przyglądała się z rozbawieniem Carlyle'owi.

– Szukamy dziewczynki – wyjaśnił inspektor, zwracając się do kobiet. – Ma osiem albo dziewięć lat. To Ukrainka, którą ktoś porwał i przywiózł do Londynu, żeby sprzedawać ją bogatym facetom.

– Mówiłem wam już, że nic o tym nie wiem – powiedział Czepojak, odsuwając krzesło i powoli wstając. – Ale będę... jak wy to mówicie... – uśmiechnął się szeroko – ...trzymał rękę na pulsie.

Shen również wstał, a Carlyle poszedł w jego ślady.

– Bardzo to doceniamy – zapewnił Shen, podając mu rękę. – Dziękujemy, że zechciałeś poświęcić nam chwilę.

Czepojak mocno uściśnął jego dłoń.

– Nie ma sprawy – odparł. – Zawsze chętnie wam pomogę.

Czepojak i kobiety odprowadziły policjantów do głównej sali. Carlyle zatrzymał się przy ladzie i spojrzał tęsknie na ciastka ułożone

na talerzu. Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął garść drobników. Uśmiechając się do kobiety siedzącej za barem, wskazał babeczki.

– Mógłbym poprosić jeszcze dwie?

Kobieta skinęła głową. Sięgnęła po papierową torebkę i włożyła do niej dwa ciastka.

Carlyle nie widział nigdzie ceny, położył więc na ladzie cztery monety funtowe.

– Proszę! – Czepojak przytrzymał go za rękę. – Na koszt firmy. – Powiedział coś do kobiety po ukraińsku, po czym wyciągnął rękę do Carlyle'a. – Do następnego razu, inspektorze...

– John Carlyle – przypomniał policjant, ściskając jego dłoń.

– A tak. – Czepojak odwrócił się i ruszył w stronę pokoju na zapleczu. – Do następnego spotkania, inspektorze.

Carlyle odprowadził go wzrokiem, a potem wziął od kobiety torebkę z ciastkami, zostawiając na ladzie napiwek w postaci kilku monet. Shen i pozostali wyszli już na ulicę, skąd dobiegł warkot uruchamianego silnika.

– Ma pan słabość do słodczy, inspektorze? – spytała dziewczyna z roziskrzonymi oczami, która nagle pojawiła się u jego boku.

– Obawiam się, że tak – wyznał Carlyle.

Dziewczyna pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Ja też lubię zjeść dobre ciasto. Idealnie pasuje do kawy.

– O tak – zgodził się natychmiast inspektor.

– Właściwie chętnie wypiłabym espresso. – Kobieta westchnęła.

Odwróciła się do kobiety za barem i wskazała stary ekspres Gaggia stojący pod ścianą.

– Aniczko, zrobisz mi podwójne espresso?

Kobieta burknęła coś pod nosem i odwróciła się, by zaparzyć kawę. Ekspres zasyczał głośno, a Carlyle o mało nie podskoczył, poczuwszy nagle dłoń na pośladku. Wstrzymując oddech, poczekał, aż dziewczyna wsunie coś do tylnej kieszeni jego spodni.

Ukrainka ostentacyjnie zignorowała jego zdumione spojrzenie, wpatrzona w filiżankę, do której lała się kawa.

- I jeszcze trochę gorącego mleka, jeśli można...

Carlyle wypuścił głośno powietrze, obrócił się na pięcie i wyszedł.

8

Helen spojrzała przez okno na drugi brzeg rzeki, w stronę London Eye. Potem odwróciła się do Carlyle'a, który wszedł do małej kuchni i wziął paczkę ciastek Jaffa leżącą na kuchence mikrofalowej. Jego żona poczekała, aż włoży pierwsze ciastko do ust, a potem pomachała wizytówką, którą trzymała w ręku.

– Co to jest?

Carlyle przełknął. Czuł, jak czekolada z drugiego ciastka roztopia mu się na palcach.

– Numer telefonu dziewczyny – odparł, siląc się na swobodny ton, choć miał ochotę wyrwać Helen tę przeklętą karteczkę. Wiedział, że aby wybrnąć jakoś z tej sytuacji, musi postawić na niefrasobliwość i szczerść. – To ukraińska prostytutka. Spotkałem się z nią wczoraj. – Ugryzł kawałek drugiego ciastka. – W interesach.

– Twoich? Czy jej?

– Moich, oczywiście.

Z ociąganiem oddała mu wizytówkę, a Carlyle wsunął ją do tylnej kieszeni dzinsów. Czekał cierpliwie, gdy Helen popijała herbatę i ostentacyjnie taksowała męża wzrokiem. Nigdy nie próbowała wprowadzać zasad dotyczących jego pracy, ale w głębi duszy cieszyła się, że nie trafił do obyczajówki. Miał mnóstwo roboty w innych działach policji, gdzie nie czyhało na niego tyle pokus. Ta najnowsza sprawa budziła jej niepokój, wiedziała jednak, że musi traktować ją z dystansem. John był przecież policjantem. Zawsze nim był, nawet zanim się poznali. Nie mogła go ograniczać.

– Dużo pracujących dziewczyn daje ci swój telefon, inspektorze?

– Tylko jeśli tego chcą – odparł z udawaną powagą, pewny, prawie pewny, że Helen nie traktuje tego poważnie.

– A dlaczego zrobiła to Olga?

– Nie wiem. – Carlyle wzruszył ramionami, nie wspominając, jak dokładnie wszedł w posiadanie wizytówki. – Może wie coś o tym zaginionym dziecku. Przydałby się nam jakiś nowy trop.

– Chciałabym porozmawiać z tobą o czymś jeszcze. – Helen nieoczekiwanie zmieniła temat.

– Tak? – Carlyle westchnął ciężko. Ostatnia rzecz, jakiej mu teraz trzeba, to „coś innego”.

– Tak – potwierdziła, zaciskając mocniej dłonie na kubku. – Znow pojawiły się problemy w szkole Alice.

– Prawdę mówiąc, wcale mnie to nie dziwi.

Wszystkie szkoły miały swoje małe dramaty, ale Carlyle musiał przyznać, że szkoła jego córki – szkoła dla dziewcząt w centrum Barbican – była pod tym względem wyjątkowa. Wrócił myślami do dnia, kiedy wezwano tam policję, bo dwie uczennice zadzwoniły z informacją, że podłożono bombę. Żadnej bomby oczywiście nie znaleziono, ale podczas przeszukania policyjne psy natrafiły na osiem torebek z marihuaną. Dyrektor wszczął oficjalne śledztwo, w którego wyniku ponad dziesięć dziewczyn zostało wydalonych ze szkoły, a rodzice wszystkich pozostałych otrzymali listy z informacją, że każdego, kto zostanie przyłapany na posiadaniu jakichkolwiek narkotyków, spotka podobny los. Dyrektor dodał również, że „każda uczennica podejrzana o posiadanie narkotyków zostanie aresztowana i przewieziona do komisariatu policji, gdzie otrzyma naganę, ostatnie ostrzeżenie lub oficjalne zarzuty, w zależności od wagi wykroczenia”.

Helen powstrzymała Carlyle’a, który chciał odpisać dyrektorowi, że żaden komisariat w mieście nie przyjąłby jego podopiecznych i że być może powinien najpierw zacząć od siebie i zaprowadzić porządek na swoim podwórku. Po namyśle inspektor przyznał jej rację: nie była to sprawa, o którą warto toczyć boje. Poza tym, gdyby Alice miała coś wspólnego z narkotykami, gniew dyrektora byłby najmniejszym z jej zmartwień.

– Co się znowu stało? – spytał znużony.

– Wyrzucono dwie kolejne dziewczyny.

Carlyle wzruszył ramionami. Z pewnością nie była to informacja godna miana sensacji.

– Jedna z nich chodziła z Alice do klasy – dodała Helen.

– Cholera. – Inspektor ściągnął brwi. – Przecież to jeszcze dziecko.

– Wiem. – Helen odsunęła się od okna i stanęła obok męża, opierając się o blat. – Rozmawiałam dziś z jedną z matek, mówiła, że mogą być w to zamieszane nawet ośmiolatki.

– Bzdura.

– Nie byłabym tego taka pewna, John.

Carlyle objął żonę ramieniem.

– Daj spokój...

– Wiem, to brzmi absurdalnie, ale ludzie naprawdę zaczynają wariować.

Carlyle uśmiechnął się szeroko.

– Może niektórzy rodzice sami trochę za dużo wypalili?

Dźgnęła go lekko między żebra.

– To nie jest śmieszne.

– Przepraszam. – Wyprostował się i splótł ręce na piersiach, jakby chciał pokazać, że traktuje sprawę poważnie. – Rozmawiałaś już o tym z Alice?

– Pogadałyśmy trochę. – Helen odwróciła się i wstawiła kubek do zlewu. – Niewiele mi powiedziała, ale przynajmniej zamieniłyśmy parę słów. Nie wyszła od razu obrażona, a to już coś.

– Co mówiła?

– Twierdzi, że wszyscy w klasie o tym wiedzą. Dziewczynka, którą wyrzucono, nie była jej przyjaciółką, trzymała się ze starszymi dzieciakami. Mówiła też, że nikt inny z jej klasy nie próbował się bawić w takie rzeczy.

– Na razie.

– I że jej samej wcale to nie interesuje.

– W to akurat jestem skłonny uwierzyć. – Carlyle pochylił się i pocałował żonę w czubek głowy. – W gruncie rzeczy to rozsądne dziecko. Ma to po ojcu.

Helen nawet się nie uśmiechnęła.

– Wiem, ale...

– Mam z nią porozmawiać...

Uścisnęła z wdzięcznością jego ramię.

– Kiedy nadarzy się okazja i gdy Alice będzie tego chciała. Nie zmuszaj jej do niczego, bo zamknie się w sobie.

Ja? – pomyślał Carlyle. Od kiedy to ty stałaś się ekspertem w dziedzinie komunikacji z dwunastolatkami? Poczuł, jak wzbiera w nim irytacja, i odczekał chwilę, aż emocje opadną.

– Dobrze.

Ponury grymas, który przemknął przez jego twarz, nie uszedł jednak uwagi Helen.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

W połowie Wilfred Street, dwie minuty drogi od pałacu Buckingham, Alexa Matthews oparła się o ścianę w alejce obok pubu Drunken Friar i zapaliła ostatniego papierosa z paczki Lambert & Butler Silver, którą kupiła w automacie zaledwie trzy godziny wcześniej. Z wnętrza lokalu dobiegł dźwięk dzwonka wzywającego do składania ostatnich zamówień. Alexa jęknęła i zaciągnęła się łapczywie papierosem. Szybkie piwko po pracy z kilkoma kolegami, którzy skończyli właśnie zmianę, zamieniło się w prawdziwą popijawę. Po pięciu albo sześciu piwach i paru wódkach Alexa była naprawdę porządnie wstawiona. Niepotrzebnie zjadła też te dwie porcje wieprzowiny w cieście.

Poczuła, jak wibruje komórka w jej kieszeni. Alexa dobrze wiedziała, kto próbuje się z nią skontaktować. Heather, jej dziewczyna, która czekała na nią w domu już od czterech godzin, musiała się niezłe wkurzyć. Alexa sięgnęła do kieszeni i przeczytała najnowszy SMS: „Gdzie jesteś, głupia krowo?”.

– Pierdol się! – wymamrotała Alexa. Zastanawiała się, czy w tej sytuacji warto w ogóle wracać do domu. Lepiej płaszczyć się przed Heather teraz czy rano? W ostateczności może przespać się w jednej z pustych stajni na tyłach pałacu – zdarzało jej się już korzystać z takiego rozwiązania. Zaciągnęła się mocno i spróbowała zebrać myśli.

– Hej, Alexa!

– Cholera! – Klnąc pod nosem, Matthews podniosła wzrok i zobaczyła trzech mężczyzn w dżinsach i skórzanych kurtkach, którzy wyszli z pubu bocznymi drzwiami i zmierzali w jej stronę. Prowadził ich Tommy Dolan, sierżant z SO14. Pił z nimi mniej więcej od godziny. Dwóch pozostałych nie znała. Nie przypominała sobie nawet, by byli wcześniej w pubie tego wieczoru.

– Nie będziesz chyba rzygała, co? – Dolan zatrzymał się jakieś półtora metra przed nią, gotów uskoczyć przed wymiocinami.

– Czego chcesz, Dolan? – Matthews schowała telefon do kieszeni i przyjrzała się uważnie sierżantowi.

– Sprawdzam tylko, jak się czujesz.

– Tak, jasne. – Matthews odetchnęła głęboko, zmagając się z mdłościami. Jak wszyscy pracownicy SO14 wiedziała, że lepiej nie zadawać się z Dolanem, bo to może oznaczać wyłącznie kłopoty. Kiedy pojawił się w pubie, obiecała sobie w duchu, że zaraz stamtąd wyjdzie. Potem jednak ktoś postawił następną kolejkę, więc została. Teraz wyglądało na to, że nie był to najlepszy pomysł. Obejrzała się odruchowo przez ramię. Za stertą śmieci znajdował się ceglany mur mający co najmniej sześć metrów wysokości. Mogła się stąd wydostać tylko drzwiami, którymi przed chwilą wyszła.

Zaciągnęła się po raz ostatni i rzuciła niedopałek pod nogi Dolana. W cywilnym ubraniu nie wyglądał szczególnie imponująco: przysadzisty facet, metr siedemdziesiąt pięć, w nie najgorszej formie, biorąc pod uwagę, że miał już dobrze po pięćdziesiątce, krótko obcięte włosy, które lśniły srebrzyście w blasku latarni. To tak naprawdę Dolan, od trzydziestu lat w służbie królowej i jej dysfunkcyjnej rodziny, zarządzał tym, co działo się po drugiej stronie bramy pałacu. Adamowie tego świata mogli przychodzić i odchodzić, ale Dolan był wieczny. Choć to Adam oficjalnie kierował jednostką, Dolan trzymał łapę na wszystkich przekrętach, takich jak prywatne wycieczki, nielegalne przyjęcia i sprzedaż pamiątek.

Wieczorami, gdy siedział na trawniku na tyłach pałacu i upijał się szampanem Pol Roger Cuvée Winston Churchill, lubił żartować, że jest „najważniejszym człowiekiem w całym tym cholernym pałacu”. Co najciekawsze, prawdopodobnie miał rację. Dolan zazdrośnie strzegł swojego miniimperium. Nie cierpiał ludzi, którzy nie podzielali jego poglądów i nie traktowali SO14 jak dojrzałej krowy, nie tolerował nikogo, kto wchodził mu w paradę. I był bardzo podejrzliwy wobec każdego, kto prosił o przeniesienie.

– Gdzie jest twoja dziewczyna? – spytał, uśmiechając się szyderczo.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Tommy? – odparła Matthews, ignorując jego pytanie.

Dolan bez słowa przesunął się na prawo, pozwalając, by jeden z jego towarzyszy zrobił krok do przodu i wbił pięść w brzuch Matthews. Policjantka upadła na kolana, chwytając łapczywie powietrze. Poczula, jak piwo w jej brzuchu zaczyna się burzyć, a sekundę później zwymiotowała. Strumień wymiocin odbił się od asfaltu i rozbryzgał na boki.

– Kurwa! – Dolan się roześmiał, odsuwając do tyłu. Jego goryl odskoczył na bok i kopnął Matthews w żebra.

Trzeci mężczyzna, który przezornie trzymał się z tyłu, również parsknął śmiechem.

Dolan pochylił się i syknął:

– Zawsze byłaś wredną suką, ale po co gadałaś z tym palantem Carlyle’em?

Matthews poczuła w ustach smak rzygowin i znów zwymiotowała. Bardzo bolało ją żebro, jakby było złamane. Choć ledwie przytomna, zdołała zebrać myśli i przekląć w duchu Carlyle’a. Znowu wpakowałaś mnie w gówno, ty pierdolony fiucie, pomyślała.

– Nie wiem, o czym mówisz – jęknęła, podnosząc wzrok na Dolana.

Sierżant pochylił się nad nią i złapał ją za włosy.

– Łzesz, zdziro.

– Kurwa, Tommy, przestań!

Dolan pociągnął ją do przodu i przycisnął do ziemi, wpychając w kałużę cuchnącej cieczy.

– Co mu powiedziałaś?

Matthews czuła, jak świat wokół niej wiruje coraz szybciej, próbowała zamknąć oczy. Gdyby tylko mogła zignorować swoich oprawców... gdyby udało jej się zasnąć, może ten koszmar by się skończył.

Dolan wymierzył jej kolejnego kopniaka.

– Co mu powiedziałaś?

– Nic – wymamrotała. – Nic mu nie powiedziałam.

– Chcesz, żebyśmy pojechali do ciebie i pogadali z twoją panienką?

– Nie mieszajcie do tego Heather...

Ciężki but trafił prosto w jej głowę. W końcu poczuła, jak ogarnia ją ciemność. Gdy zabrali się do niej na dobre, zaczęła śnić o gwiazdach.

9

Carlyle usiadł na podłodze w kuchni, wybrał numer Olgi zapisany na wizytówce i czekał cierpliwie, aż dziewczyna odbierze. Po kilku sygnałach pomyślał, że jeszcze śpi, i był pewny, że połączy się z pocztą głosową, gdy ku jego zaskoczeniu w końcu ktoś się odezwał:

– Da?

– Olga?

– Tak, kochanie – wymruczała zmysłowo. – Tu Olga. Co Olga może dla ciebie zrobić?

Carlyle słyszał w tle jakieś głosy, nie wiedział więc, czy Olga może swobodnie rozmawiać. Przyszło mu do głowy, że nie ma nawet pewności, czy to ona. Mimo to brnął dalej:

– Dałaś mi wczoraj swoją wizytówkę...

– Daję swoją wizytówki wielu ludziom. – Roześmiała się. – Chcesz się spotkać?

Ktoś w tle zarechotał.

Czy to jakaś gra? – zastanawiał się inspektor.

– Eee... tak.

– Doskonale – odparła uwodzicielsko. – Na co masz ochotę?

Gdyby słyszała go teraz żona... Carlyle poczuł, że czerwieni się lekko. Bogu dzięki, Helen była w pracy.

– Ee... a co proponujesz?

– Anal nie wchodzi w grę – zastrzegła szybko.

Jeszcze głośniejszy śmiech w tle.

Carlyle zaczynał tracić cierpliwość.

– Ale ja nie...

– I zawsze używamy kondomu.

– Dobrze.

– Nie martw się, kochanie, na pewno będziesz zadowolony. Musisz być naprawdę napalony, skoro dzwonisz o tej porze. Gdzie jesteś?

– W Covent Garden.

– W którym hotelu?

– Ee...

– Aha, dobrze.

– Co?

– Dobrze znam to miejsce – odrzekła Olga. – Spotkamy się w lobby hotelu Garden za czterdzieści pięć minut. Biorę sto siedemdziesiąt pięć funtów za godzinę, plus zwrot za taksówki, plus napiwek.

– Napiwek? – powtórzył Carlyle, poniewczasie odzyskując rezon.

– Da. – Zachichotała. – Napiwek za to, że dzięki mnie... eksplodujesz!

Śmiech w tle sięgnął apogeum. Olga poczekała, aż ucichnie, i dorzuciła:

– Potraktuj to jako dodatek do głównego przedstawienia.

– A jeśli nie eksploduję? – zażartował Carlyle. – Dostanę zniżkę?

– Nie bądź bezczelny. Do zobaczenia wkrótce.

W telefonie rozległ się przytłumiony trzask, a potem zapadła cisza.

Carlyle siedział przez chwilę bez ruchu, zastanawiając się, co powinien włożyć.

Wcisnął się w swój najlepszy granatowy garnitur od Paula Smitha, który kupił kilka lat wcześniej za osiemdziesiąt funtów w sklepie z używaną odzieżą i wyszedł z domu. Dziesięć minut później wchodził przez obrotowe drzwi hotelu Garden przy St Martin's Lane, niedaleko Trafalgar Square i jeszcze bliżej komisariatu Charing Cross. Hotel mieścił się w odremontowanym budynku biurowca z lat siedemdziesiątych i, jak głosiła ulotka reklamowa, był „wyrazem emocjonalnego ducha czasów miasta”, co oznaczało, że Carlyle nigdy nie mógłby sobie pozwolić na nocleg w takim miejscu. Mimo to przy różnych okazjach spędził tu całkiem sporo czasu, znał więc większość pracowników z imienia albo przynajmniej z widzenia. Przywitawszy odzwierne go skinieniem głowy, rozejrzał się po holu i barze, sprawdzając, czy Olga może przyjechała wcześniej. Upewniwszy się, że

jeszcze jej nie ma, ruszył w stronę fircykowatego mężczyzny siedzącego za małym biurkiem przy jednym z filarów. Jego mina świadczyła o tym, że tylko od czasu do czasu zerka na leżący przed nim egzemplarz czasopisma „Country Life”, a jego główne zajęcie to bezmyślne wpatrywanie się w przestrzeń.

Alex Miles zerkał ukradkiem na zbliżającego się inspektora. Jako konsjerż hotelu Garden, Miles już od ponad dziesięciu lat zajmował się najważniejszymi i szczególnie wymagającymi gośćmi hotelu. Policjanci nie ułatwiali mu pracy, musiał więc traktować ich z należytą ostrożnością. Porzucił lekturę artykułu, który próbował czytać, i starając się ukryć grymas rozczarowania, wstał zza biurka.

Wyprostował się, wygładził prążkowany szary garnitur i wyciągnął rękę do Carlyle’a, który właśnie przed nim stanął.

– Inspektorze...

– Panie Miles – odparł pogodnie Carlyle. – Jak się pan miewa?

Miles przyjrzał mu się nieufnie.

– Dobrze. Czym mogę panu służyć?

Zadowolony, że ma już wstępne uprzejmości za sobą, Carlyle od razu przeszedł do rzeczy:

– Muszę zająć pokój na godzinę lub dwie. Ładny pokój.

Miles uniósł brew, ale się nie uśmiechnął.

– Dlaczego?

– Spotykam się z prostytutką – wyjaśnił swobodnym tonem Carlyle.

Miles uniósł obie brwi.

– To sprawa zawodowa – zaznaczył inspektor, uśmiechając się lekko.

– Oczywiście – odparł gładko Miles. – Dać panu paczkę prezerwatyw?

– To nie będzie potrzebne. Ale to spotkanie nie może budzić podejrzeń. Ona będzie tu za dziesięć minut.

Konsjerż spojrział na niego zdumiony.

– Proszę to potraktować jako wpłatę do banku przysług – rzekł Carlyle. – Drobną wpłatę na konto wielkiego debetu, który pan w nim zaciągnął.

Kilka lat temu Carlyle przymknął oko na pewien niefortunny incydent, który miał miejsce w pokoju na piętrze hotelu, gdzie w tym samym czasie znalazło się dwóch rozbawionych transwestytów, konsjerż i duża ilość wysokiej jakości kokainy. Dowody wciąż leżały w sejfie w komisariacie i w każdej chwili mogły zostać stamtąd wyjęte. Carlyle wolał ich jednak nie ruszać i korzystać co jakiś czas z usług Milesa.

– Ale...

Carlyle osadził go ostrym spojrzeniem.

– Czy koniecznie musimy zaglądać do księgi gości?

Miles wbił wzrok w czubki swoich butów.

– Nie.

– Doskonale.

– No dobrze... – Miles westchnął i wyszedł z za biurka. – Zobaczymy, co da się zrobić.

Carlyle przeszedł za nim do recepcji, gdzie po krótkiej rozmowie z prześliczną czarnoskórą recepcjonistką Miles wyjął z szuflady kartę magnetyczną i ją aktywował.

Gdy pisał coś na komputerze, dziewczyna przyglądała się podejrzliwie inspektorowi. Ten udawał, że tego nie zauważa, i czekał cierpliwie, aż Miles go przywoła.

Konsjerż wskazał głową kartę.

– Proszę. Apartament na najwyższym piętrze. – Odchrząknął znacząco. – Normalnie taki pokój kosztuje dwa tysiące za noc.

Kurwa, zaklął w myślach Carlyle. Dwa patyki za noc w hotelu?

– Nie będę tam przez całą noc – zapewnił Milesa z nutką żalu.

– Nie zabrudźcie pościeli – usłyszał w odpowiedzi.

Inspektor schował kartę do kieszeni marynarki.

– Poczekam na nią w holu. Kiedy tu wejdzie, przyjrzyj jej się uważnie. Pogadamy, kiedy sobie pójdzie. Ciekaw jestem, czy ją znasz.

Jeśli nie, to może uda ci się czegoś o niej dowiedzieć.

– Nie za dużo ode mnie wymagasz? Jak ona się nazywa?

– Olga.

– Jasne. A naprawdę?

– Nie wiem – przyznał Carlyle, opadając na sofę. – Ale jestem pewny, że mogę się dowiedzieć.

– Najlepszy policjant świata – mruknął Miles, wracając za biurko.

– Wiem. – Inspektor się uśmiechnął, po czym zamknął oczy i pozwolił sobie na chwilę relaksu.

– Halo! Pobudka!

Carlyle poczuł ostry ból goleni i usiadł prosto. Przetarł oczy i zobaczył Olgę, która stała nad nim i uśmiechała się bezczelnie.

Rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy.

– Masz zasypiać po, a nie przed.

– Czy ty mnie właśnie kopnęłaś? – Carlyle roztarł obolałą nogę i podniósł się powoli, zerkając na Milesa, który chichotał pod nosem.

– Chodź – powiedziała Olga, biorąc go pod ramię i prowadząc do windy. – Rozumiem, że zarezerwowałaś jakiś pokój?

– Oczywiście.

– Doskonale. – Stała na palcach i pocałowała go w usta, a dopiero potem wcisnęła guzik windy.

Czerwony jak burak, Carlyle cofnął się o krok.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Musimy zachować pozory – zachichotała Olga, zerkając wymownie na Alexa Milesa. – Ochrona hotelu przygląda się nie tylko mojemu tyłkowi.

– Hm...

– Mówiłam ci już, że za całowanie płaci się dodatkowo?

– Dodatkowo?

– Tak. Dwie stówy. Bez jęczyczka.

– Chryste...

Carlyle ponaglał w myślach windę. Nie śmiał spojrzeć na konsjerżę, przyglądał się więc swojej towarzyszce. Była ubrana w

dżinsy i czarne kowbojki oraz szarą jedwabną bluzkę i granatową marynarkę szytą na miarę. Nosiła drogi zegarek, a na jej szyi skrzył się cienki złoty łańcuszek. Inspektor dyskretnie powąchał jej perfumy. Nie miał pojęcia, jak się nazywają, ale pachniały ładnie i na pewno były drogie. Ogólnie rzecz biorąc, doskonale pasowała do otoczenia.

Wyjechali w milczeniu na najwyższe piętro. Opuściwszy windę, Carlyle przeszedł po grubym dywanie i wsunął kartę do czytnika w drzwiach. Odetchnął z ulgą, gdy trzasnął otwierany zamek, a drzwi lekko się uchyliły. Wszedł do środka, zapalił światło i się rozejrzył. Urządzony w tym samym minimalistycznym stylu co cały hotel, pokój wydawał się większy od całego jego mieszkania.

Olga wydała okrzyk radości, rzuciła torebkę na łóżko i poszła obejrzyć pozostałe pokoje.

Carlyle przysiadł na brzegu łoża i czekał na nią cierpliwie.

Wróciła po pięciu minutach, niosąc naręczę kosmetyków z łazienki i napojów alkoholowych z minibaru. Wrzuciła je do torby i usiadła obok niego.

– Podoba ci się? – spytał.

– Jest naprawdę super! – odpowiedziała z uśmiechem, trącając go czubkiem buta.

– Możesz zostać tu przez całe popołudnie. Nikt nas stąd nie wyrzuci.

Oparła się na jednej ręce.

– Dlaczego? Chcesz się pieprzyć?

– Nie, nie, tak tylko mówiłem.

– Wszystko jedno. – Zerknęła na zegarek. – Mamy jakieś czterdzieści minut. Jeśli zostanę dłużej, Igor zacznie się zastanawiać, co robię. Będzie chciał więcej pieniędzy. – Przeciągnęła czubkiem palca po szwie na plecach jego marynarki. – Więc nie mogę zostać dłużej niż godzinę... chyba że zapłacisz mi więcej.

– Skąd znasz Igora?

– Poznałam go w kościele – odrzekła z uśmiechem.

– W kościele?

– Tak, w ukraińskiej katedrze katolickiej w Mayfair. Byłam na chrzcinach córki naszego wspólnego przyjaciela. Igor przyszedł tam ze swoją rodziną. To bardzo rodzinny człowiek. Rodzina jest dla niego wszystkim.

Carlyle zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– A ty postanowiłaś do tej rodziny dołączyć? – spytał, gotów trzymać się tego kłamstwa.

– W pewnym sensie – odparła, wydymając usta. – Należy do niej bardzo dużo ludzi, ale nie narzekam.

– W porządku. – Zakłopotany Carlyle poprawił się na łóżku. – Nie zamierzam nikogo oceniać.

– Nie obchodzi mnie, co o tym myślisz. To mój układ.

– Rozumiem. Ile bierze? Połowę twoich zarobków?

– To tylko jeden punkt widzenia.

– A jak wygląda inny?

– Nie słyszałaś o Superfreakonomii?

– Superfreakonomii? – Podskoczyła na łóżku, niczym dziecko ucieszone, że może wykazać się inteligencją.

– To książka amerykańskiego profesora. Powinieneś ją przeczytać.

– Dobrze. Dodam ją do listy.

– Jakiej listy?

– Książek, które powinienem przeczytać.

– Jest naprawdę dobra. Dał mi ją jeden z klientów.

Książkę? Jaki facet daje książkę prostytutce? I jaka prostytutka ją czyta? Czuł, że powinien to potraktować jako sygnał ostrzegawczy, nie wiedział jednak, co może oznaczać.

– W jednym z rozdziałów jest napisane, dlaczego prostytutkom opłaca się współpracować z alfonsami.

Świetnie tylko tego mi brakowało, pomyślał Carlyle. Dziwka i pseudointelektualistka karmiona amerykańską popsocjologią...

– Aha...

Olga zamknęła oczy, przywołując z pamięci argumenty autora.

– Ten facet pisze, że alfons jest jak agent nieruchomości.

Może gość rzeczywiście ma rację.

– Skoro tak to ujmujesz... – Carlyle się uśmiechnął.

– Bo jeden i drugi zachwalają twój produkt przed potencjalnymi klientami – kontynuowała Olga, ignorując jego uwagę.

– Dlaczego nie korzystasz z internetu, jak wszyscy inni?

– Jestem staroświecka – odparła sztywno. – Nie będę tego robiła bez końca i nie chcę zostawiać w sieci żadnych śladów. Przyjmuję wyłącznie klientów z polecenia. Biorę tylko gotówkę. Kiedy zniknę, to na dobre. Nikt mnie nie znajdzie.

Powodzenia, pomyślał Carlyle.

– Tylko gotówkę – powtórzyła, wyciągając rękę.

– A tak, pieniądze. – Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z nich plik dwudziestofuntówek.

Olga wzięła pieniądze, przeliczyła je dokładnie i schowała do bocznej kieszeni torebki.

– Żadnego napiwku? – spytała.

– Nie będę eksplodował – prychnął Carlyle.

– Tego jeszcze nie wiesz. – Wstała z łóżka i stanęła przed inspektorem, wyciągając do niego rękę. – Daj mi jeszcze pięćdziesiąt.

– Daj spokój... – jęknął Carlyle.

Olga nie zamierzała ustąpić.

– To ty daj spokój! Mówimy o moim czasie.

– Dobrze już, dobrze... – Carlyle westchnął ciężko i sięgnął do kieszeni. – Domyślam się, że nie mogę liczyć na paragon? – spytał, oddając jej resztę pieniędzy.

– Dobrze się domyślasz – odpowiedziała Olga z uśmiechem. Schowała banknoty do kieszeni i usiadła obok inspektora. – No dobrze, skoro już to załatwiliśmy, to powiedz mi, co chcesz wiedzieć.

– Co możesz mi powiedzieć o tej dziewczynce?

Odsunęła się nieco i spojrzała na inspektora. Figlarne iskierki zniknęły z jej oczu, uśmiech wydawał się zmęczony i wymuszony.

- Mamy tu mnóstwo dziewczyn. Sama jestem jedną z nich. Czasami nie jest to miłe, ale lepsze niż alternatywa...

- Tak - skinął głową. Miał nadzieję, że się pospieszy i przejdzie do rzeczy.

- Ale dzieci to co innego.

- To Igor je tutaj sprowadza?

- Czasami.

- Więc ta historia o pomaganiu sierocińcom to bajka? Przykrywka dla handlu ludźmi?

- Nie, on naprawdę im płaci. Ale prowadzi też interesy - dodała z irytacją, jakby to było oczywiste i logiczne. - On uważa, że to dwie różne rzeczy.

- Z kim współpracuje?

Milczała przez chwilę, a Carlyle zastanawiał się, czy próbuje sobie przypomnieć uzgodniony wcześniej scenariusz. Być może cały czas go okłamywała, ale musiał się z tym pogodzić. I tak nie miał innych tropów.

- Igor ma wspólników tutaj, w Anglii - powiedziała w końcu

- Kim są ci ludzie?

- Nie wiem.

Carlyle pomyślał o eleganckim mężczyźnie, którego widział w Green Park.

- To Anglicy?

- Chyba tak. Igor zna wielu ludzi. Bardzo różnych. Lubi opowiadać, że nie zadaje się z szumowinami i frajerami. Ma też całkiem miłych. Niektórzy z nich to na pewno Anglicy.

- A co z tymi mniej miłymi? Z tymi, którzy wykorzystują dzieci?

Olga skrzywiła się lekko.

- Najmłodsze dziewczyny są dla wyjątkowych klientów. Igor mówi, że to bardzo ważni ludzie. To coś dla nich. Chodzi nie tylko o seks. Mogą mieć każdą kobietę, która im się spodoba, więc to musi być coś niezwykłego. Chcą bardzo młodych dziewczyn, chcą robić to w dziwnych miejscach... chcą wszystkiego, co ich podnieci, co da im

kopa. – Przez moment patrzyła mu w oczy. – Tak, chodzi właśnie o tego kopa.

Carlyle zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Co to za „dziwne” miejsca?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Daj mi jakiś przykład.

– Wiem, że bardzo popularne jest London Eye. Wynajmują całe koło i robią sobie imprezę.

– Co jeszcze?

– Słyszałam, jak Igor chwalił się kiedyś, że jakiś facet zapłacił dziesięć tysięcy funtów, żeby mógł to zrobić w Izbie Gmin. Przeprowadził nawet własną męską prostytutkę!

– Przeciętny poseł niewiele się różni od męskiej prostytutki – mruknął Carlyle. – A co z pałacem Buckingham? Słyszałaś, żeby ktoś o nim wspominał?

Olga zamyśliła się na moment.

– Może. Dlaczego nie?

– Słyszałaś czy nie?

– Nie, ale to dobry pomysł. – Poklepała go po ramieniu. – Wspomnę o tym Igorowi.

Carlyle westchnął, zastanawiając się, na co właściwie wydał wszystkie te pieniądze.

– No dobrze, a co z tą dziewczynką?

Olga spojrzała na niego pytająco.

– Z tą, którą znalazłem w parku, Elizabeth albo Alzbetą czy coś w tym stylu.

– Niedawno przywieźli kilka młodych dziewczyn. Widziałam je w domu Igora, niedaleko tej kawiarni. – Sięgnęła do torebki, wyjęła kawałek papieru i podała go inspektorowi. – To adres.

– Są tam teraz?

Pokręciła głową.

– Nie sądzę. To było parę tygodni temu.

Przed historią w Green Park, pomyślał Carlyle.

– Kiedy znaleźliśmy Alzbetę, ktoś poszedł do sierocińca i ją porwał.

Olga znów pokręciła głową.

– Nic o tym nie wiem. – Zerknęła na zegarek. – Muszę już iść.

– To było bardzo szybkie czterdzieści minut.

– Kochanie, kiedy pracuję, zwykle trwa to maksimum pięć minut – poinformowała Olga, uśmiechając się szeroko. – Ci klienci! Po prostu nad sobą nie panują!

Zakłopotany Carlyle spojrział na skrawek papieru, który trzymał w ręku.

– To dość mało, jak na pieniądze, które ci dałem.

– Łatwo ci mówić – odpowiedziała, mrużąc oczy. – Według mnie to całkiem sporo. Dużo ryzykuję, rozmawiając z tobą. – Wstała, wzięła torebkę i założyła ją na ramię.

– Słusznie. – Carlyle również wstał. – Nie martw się, nikt nie dowie się o tej rozmowie. I sprawdzimy ten adres. Spróbuj jednak dowiedzieć się czegoś więcej.

– Jasne. – Olga odwróciła się do niego, stojąc w drzwiach. – Zrobię, co będę mogła.

Gdy Carlyle został sam, opadł na łóżko, zastanawiając się, co jeszcze mógłby robić w tym drogim hotelowym apartamencie.

Dzwonił telefon.

Dzwonił...

...telefon.

Carlyle powoli wracał do rzeczywistości.

Usiadł na łóżku i się rozejrzył. Ziewnął, przypomniał sobie, gdzie jest, a potem spojrział na zegar przy łóżku: czwarta dwadzieścia trzy.

Po południu czy nad ranem?

– Cholera! – Zsunął się z łóżka i podniósł słuchawkę. – Halo?

Alex Miles wydawał się bardziej niż zirytowany.

– Co ty tam robisz, do diabła? Ta twoja dziewczyna wyszła parę godzin temu.

- Ja... - Carlyle znów potężnie ziewnął. - Musiałem przysnąć.
- Prosiłem cię, żebyś nie ruszał pościeli - burknął Miles.
- Nie martw się - odwarknął Carlyle. - Spałem na narzucie.

Która godzina?

- Już po szesnastej. Czas na ciebie.
- Jasne. Dzięki za pobudkę. Za moment będę na dole.

Carlyle umył twarz, poczęstował się batonem Toblerone z minibaru i zszedł do holu. Alex Miles wciąż siedział przy biurku, wymieniwszy „Country Life” na wieczorną gazetę. Tym razem nie wstał na powitanie.

- No proszę - mruknął, zerkając na inspektora znad gazety. - Dobry wieczór, śpiąca królowo.

Carlyle położył na biurku kartę magnetyczną.

- Dzięki.

- Jeśli korzystałeś z kanałów porno, będę musiał wystawić ci rachunek. - Miles uśmiechnął się drwiąco.

- Naprawdę spałem. Co myślisz o tej dziewczynie?

- Niezła. - Maks uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Dasz mi jej numer?

- Widziałeś ją już kiedyś?

Konsjerż złożył gazetę i rzucił ją na podłogę koło krzesła.

- Chyba nie. Co zrobiła?

Carlyle włożył ręce do kieszeni.

- Na razie nic. Macie ją na filmie z kamer ochrony?

- Jasne.

Miles wysunął szufladę i wyjął z niej dwa zdjęcia rozmiaru A5 wydrukowane na drukarce komputerowej. Jedno z nich podał inspektorowi, a drugie zatrzymał dla siebie. Inspektor rozpoznał tył swojej głowy. Zdjęcie zostało zrobione, gdy czekali w holu na windę. Olga nie wyglądała na nim tak ładnie jak w rzeczywistości, ale była do siebie podobna.

- Jedno dla ciebie, jedno dla mnie - powiedział Miles. - Popytam o nią.

Carlyle złożył zdjęcie i schował do kieszeni.

– Dzięki.

– A teraz pójde sprawdzic nagrania z apartamentu.

– Co?

Carlyle, choć zupełnie niewinny, zaczerwienił się.

– Bez obaw. – Miles się roześmiał. – Żartowałem. Ludzie nie płacą dwóch tysięcy po to, żeby ktoś ich szpiegował. A szkoda.

– Ha, ha. Dzięki jeszcze raz za pomoc. Daj mi znać, jeśli czegoś się dowiesz.

Nie czekając, aż Alex Miles znów wprawi go w zakłopotanie, odwrócił się i wyszedł na ulicę.

10

– Chcielibyśmy też podziękować naszym brytyjskim gościom z delegacji Towarzystwa Przyjaźni Angielsko-Ukraińskiej, którzy przyjechali do nas z Londynu.

Gordon Elstree-Ullick otulił się szczelnie kaszmirowym płaszczem Ede & Ravenscoat i ziewnął dyskretnie, znudzony przemówieniem dyrektora międzynarodowego obozu dla dzieci Sandokan. Siedział na niewielkim podwyższeniu w świetlicy i patrzył na szare chmury gnane wiatrem po ołowianym niebie za oknem. Gdy tylko poczuł, że zamykają mu się oczy, wbił paznokieć w opuszkę kciuka lewej dłoni, by nie zasnąć. Zaczął błędzić myślami... gdzieś całkiem niedaleko stąd Lekka Brygada wdarła się szarżą na karty historii podczas wojny krymskiej. Elstree-Ullick uśmiechnął się do siebie. Jak głosiła rodzinna legenda, podczas bitwy pod Bałakławą Rosjanie odstrzelili jego praprapradziadkowi lewe jądro.

Bitwa pod Bałakławą była typową brytyjską fuszerką: kawaleria prowadziła szarżę w górę doliny obsadzoną z trzech stron przez uzbrojonych po zęby Rosjan. Rezultat końcowy to dwustu pięćdziesięciu zabitych (nie wspominając o czterystu koniach), żadnego zysku. Patrząc na sprawę z tej perspektywy, należało uznać, że praprapradziadek zapłacił w sumie niewysoką cenę. Elstree-Ullick wzdrygnął się na myśl o tym, co mogłoby się stać, gdyby jego przodek stracił wtedy oba jądra. Bałakława... kiedy to było? Jakies sto pięćdziesiąt lat temu. Kto wygrał? Nie miał bladego pojęcia.

– ...nasza przyjaźń będzie trwać po wieczne czasy...

Wieczne czasy? Co ten stary głupiec wygaduje? Skutki wczorajszego pijaństwa i zmęczenie wywołane ciągłym wykrzywianiem twarzy w sztucznym uśmiechu coraz bardziej dawały mu się we znaki. Pożegnalne przemówienie dyrektora trwało już ponad dwadzieścia minut, ale wcale nie zmierzało ku końcowi.

Elstree-Ullick słyszał je wiele razy. Kolejna podróż na wschód trwała już trzy dni: w tym czasie arystokrata musiał wysłuchać ponad

dziesięciu przemówień uczestników obozu i miejscowych dygnitarzy. Wszystkie trzymały się tego samego schematu: najpierw mówcy rozpaczali nad fatalną sytuacją swojego kraju, potem dziękowali szybko Brytyjczykom za pomoc, a następnie przechodzili do próśb o to samo.

– Potrzeby są dzisiaj większe niż kiedykolwiek...

Dlaczego te gnojki nie odzepią się od nich i nie spróbują w końcu zrobić czegoś sami? Wydawało się, że potrafią tylko siedzieć i czekać na jałmużnę.

W końcu rozległy się zdawkowe oklaski oznaczające koniec przemówienia. Elstree-Ullick kiwał uprzejmie głową, patrząc na młodą publiczność. Obóz Sandokan w rzeczywistości wcale nie był międzynarodowy, tak naprawdę nie był nawet obozem. Wszystkie dzieciaki pochodziły z miejscowości położonych w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od tego miejsca. Ich rodzice nie żyli albo zostawili je na pastwę losu. Sandokan był sierocińcem rodem z powieści Dickensa, w którym znalazło schronienie prawie czterysta dzieci w wieku od sześciu miesięcy do osiemnastu lat. Ponad setkę starszych spędzono dziś do świetlicy. Umyte specjalnie na tę okazję, siedziały w milczeniu na ławkach, obserwowane uważnie przez opiekunów, którzy przypominali raczej strażników więziennych, a nie nauczycieli.

Elstree-Ullick dobrze wiedział, że nikt tych dzieci nie uczył ani nie przygotowywał do życia w świecie poza sierocińcem. Co to zresztą za świat! Ukraina była typowym postsowieckim koszmarem, krajem bez pracy i nadziei. Jeśli coś się zmieniało, to tylko na gorsze – dlatego wciąż tutaj wracał.

Powiódł spojrzeniem po pozbawionych wyrazu twarzach dzieci czekających cierpliwie, aż ktoś znów każe im klaskać. Przez chwilę obserwował chłopca, który z zapamiętaniem dłubał w nosie. Podczas tej podróży Elstree-Ullick miał wrażenie, że dzieci są jeszcze bardziej zamknięte w sobie i ponure niż zwykle, co mówiło samo za siebie. Coraz trudniej przychodziło im znaleźć kilka „szczególnych

przypadków”, które można było zabrać do Anglii, nie mieli też pewności, czy uda im się tam znaleźć kupca. Elstree-Ullick doskonale zdawał sobie sprawę, że nie nadąza za duchem czasu. Określenie „wschodnioeuropejski” nie było już znakiem jakości. Ukraiński rynek wychodził z mody, a ta podróż mogła się zakończyć finansowym fiaskiem. Nadszedł czas, by poszukać innych rynków.

Przemawiały za tym nie tylko tendencje rynkowe. To, że dokumenty dotyczące przypadków wykorzystywania seksualnego dzieci w Sandokanie trafiły do ukraińskiego prokuratora generalnego, również skłaniało Elstree-Ullicka do poszukiwania nowych terenów łowieckich. Tego samego wieczoru, gdy angielski arystokrata przyjechał na Ukrainę, poseł Partii Regionów Roman Popow powiedział w państwowej telewizji, że w tym właśnie sierocińcu gwałcono nawet sześciolatek dzieci. Pojawiły się też plotki o handlu dziećmi, które wywożono na Zachód i zmuszano do prostytucji. Elstree-Ullick był pewny, że zastępca prokuratora, generał Dmytro Gazizulin, miejscowy Robocop z ogromnymi ambicjami, dotrze do prawdy szybko i boleśnie. Wybory prezydenckie zbliżały się wielkimi krokami, a to śledztwo mogło dać miejscowym politykom okazję do obrzucania się nawzajem błotem. Gdyby prawda – lub chociaż jej część – wyszła na jaw, dyrektor ośrodka w najlepszym wypadku trafiłby na długie lata do jakiegoś wyjątkowo paskudnego więzienia. Elstree-Ullick nie zamierzał dzielić z nim celi. Miał nadzieję, że gdy w ośrodku pojawi się Gazizulin, on już dawno będzie w Londynie albo jeszcze dalej. On i wszyscy jego współpracownicy nie trafili jeszcze za kratami tylko dzięki temu, że ukraińska służba bezpieczeństwa była całkowicie skorumpowana.

– Niech Bóg wam wszystkim błogosławi!

Z zamyślenia wyrwały go głośne oklaski. Wstał i nieco chwiejnym krokiem podszedł do dyrektora, by uścisnąć mu dłoń. Potem rozległ się dzwonek i dzieciaki ruszyły tłumnie do wyjścia. Po minucie na widowni zrobiło się zupełnie pusto, tylko w ostatnim rzędzie siedziały cztery dziewczynki wpatrzone w przestrzeń.

Dyrektor przyglądał im się uważnie przez chwilę, a potem odwrócił się do Elstree-Ullicka. Anglik bez słowa podał mu białą kopertę, którą wyjął z kieszeni marynarki. Dyrektor wziął ją szybko, uklonił się i zniknął za tylnymi drzwiami.

– Muszę łyknąć coś mocniejszego – mruknął do siebie Elstree-Ullick, po czym zszedł z podwyższenia i ruszył w stronę swoich czterech nowych pracowników.

Alexa Matthews stała przed biurkiem nadinspektora i czekała, aż ten nadęty dupek poprosi ją, by usiadła. Widziała, jak za oknem dwóch ogrodników przycina najniższe gałęzie dębu i zastanawiała się przez moment, jak wyglądałaby jej ostatnia rozmowa z Tommym Dolanem i jego przydupasami, gdyby miała wtedy taką piłę łańcuchową.

Charlie Adam jeszcze przez kilka sekund pisał coś w notatniku, po czym podniósł w końcu głowę i spojrzał na nią z poważną miną.

– No i?

Co i? – pomyślała ze złością, starając się nie kołysać w rytm pulsującego bólu głowy. Bolało ją całe ciało i doskonale zdawała sobie sprawę, że nawet w mundurze wygląda jak zwykły żul z rozciętą wargą, podbitym okiem i złamaną ręką.

– Czytałem raport Dolana. Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

Matthews wbiła wzrok w ścianę jakieś pół metra nad głową Adama.

– Zajmowałam się swoimi sprawami, kiedy zostałam napadnięta – odparła beznamiętnym tonem.

Adam postukał palcem w dokument leżący na stole.

– Tutaj jest napisane coś innego.

Naprawdę? – pomyślała Matthews. Nie czytała bajeczki Dolana, ale domyślała się jej treści. Odetchnęła głęboko.

– Wiem.

– Tu jest napisane – ciągnął Adam, nie kryjąc irytacji – że upiłaś się i zaatakowałaś kolegów z pracy.

I dlatego właśnie ja jestem teraz posiniaczona, a oni wyszli z tego bez najmniejszego draśnięcia, odpowiedziała mu w myślach Matthews.

– A co z kamerami ochrony? – spytała cicho.

– Co takiego? – Adam wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

– Wokół pubu są kamery – wyjaśniła Matthews. – Nagranie potwierdzi moją wersję wydarzeń.

Adam sięgnął do dokumentów leżących na biurku. Przesuwał palcem w dół pierwszej strony, aż znalazł to, czego szukał.

– Kamera po tej stronie budynku nie działała.

Cóż za zbieg okoliczności...

– Podobno nie działa od kilku miesięcy, a może i lat – dodał Adam. – O czym zapewne dobrze wiesz, bo, jak słyszałem, chodzisz do tego pubu prawie co wieczór.

Wiem tylko tyle, że zostałam wrobiona, pomyślała Matthews. Jeszcze trochę, a skończysz z tą robotą, więc nie rób awantury, przykazywała sobie surowo.

Adam opadł na oparcie krzesła i westchnął głośno.

– To nie jest żadne wytłumaczenie. Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

– Nie.

– Wiesz, że to poważne naruszenie dyscypliny?

– Tak.

– Postępowanie wyjaśniające trochę potrwa.

– Tak? – Matthews zastanawiała się, do czego zmierza ta rozmowa.

Adam spuścił wzrok.

– Do zakończenia śledztwa zostaniesz w SO14. Postanowiłem zawiesić twoje przeniesienie.

– Ale... – zaczęła protestować Matthews.

Adam podniósł rękę, nakazując jej milczenie.

– Porozmawiaj o tym ze związkami, jeśli chcesz. Nie chcę, żeby ktoś z zewnątrz prał nasze brudy. Ta sprawa musi zostać wyjaśniona

przed twoim odejściem. – Spojrzał na jej twarz. – Jak się zapewne domyślasz, ten incydent może dla ciebie oznaczać koniec pracy w policji. – Nadinspektor skrzyżował ręce na piersi niczym nauczyciel, który odprawia nieznośnego ucznia.

Tłumiąc łzy, Alexa Matthews odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi.

11

Budynek przy Thane Villas numer siedemdziesiąt pięć nie mógłby pod żadnym względem uchodzić za atrakcyjną nieruchomość. Stał w szeregu podobnych domów między Seven Sisters Road – dziurawą drogą oznaczoną numerem A pięćset trzy. Był to czteropoziomowy segment odsunięty dwa metry od ulicy, od której dzieliło go małe podwórko i zapuszczony żywopłot. Na chodniku przed bramą stał wypełniony po brzegi kosz na śmieci, a obok niego oparty o ścianę zardzewiały skuter bez powietrza w kołach. Okna domu pokrywała warstwa brudu, przed obłazącymi z farby drzwiami leżała sterta ulotek i innych śmieci dostarczanych z pocztą.

Cała posiadłość wymagała generalnego remontu, wydawało się jednak mało prawdopodobne, by kiedykolwiek go przeprowadzono. Nawet przed zapaścią na rynku nieruchomości ta część Londynu nie cieszyła się zainteresowaniem kupujących. Od dawna była to dzielnica ludzi ubogich. Dom numer siedemdziesiąt jako jedyny przy tej ulicy nie został podzielony na maleńkie mieszkanca wynajmowane przez studentów, imigrantów, drobnych rzezimieszków i ludzi żyjących z zasiłków.

Była to również jedna z najniebezpieczniejszych dzielnic w mieście. Żółte policyjne ogłoszenia skierowane do świadków niedawnych napadów – albo i poważniejszych przestępstw – były tutaj stałym elementem krajobrazu. Pewnego sobotniego wieczoru zgłoszenia o „zachowaniach antyspołecznych” – co mogło oznaczać zarówno sikanie na ulicy, jak i próbę morderstwa – napływały do komisariatu średnio co czterdzieści trzy sekundy. Krótko mówiąc, każdy, kto tylko mógł sobie na to pozwolić, natychmiast się stąd wyprowadzał.

Carlyle stał w półmroku sypialni na parterze i wsłuchiwał się w odgłosy dobiegające z piętra. Ludzie Warrena Shena otwierali z trzaskiem drzwi, stukali ciężkimi butami o podłogę pustych pokoi. Inspektor poruszył obolałymi palcami prawej stopy. Zastanawiał się,

czy nie postąpił zbyt pochopnie, otwierając frontowe drzwi kopniakiem. Ale co miał zrobić, skoro nikt nie reagował na dzwonek? Machnąć ręką i spróbować później? Nie ma mowy. Na pewno nie w sytuacji, gdy mogła tu być zaginiona dziewczynka. Poruszył stopą i poczuł ostry ból w kostce, lecz się tym zbytnio nie przejął. Był pewny, że niczego sobie nie złamał ani nie zwichnął.

– Pusto! – krzyknął ktoś z góry. – Nikogo tu nie ma. Ktoś usunął też wszystkie ślady.

W drzwiach pojawił się Warren Shen, zdejmując gumowe rękawiczki.

– Wygląda na to, że się spóźniliśmy. – Powiódł ponurym spojrzeniem po pustym pokoju. – Albo twoje źródło wcisnęło ci kit.

W odpowiedzi Carlyle mruknął coś pod nosem. Nie powiedział Shenowi o rozmowie z Olgą. Postanowił, że zatrzyma tę informację dla siebie, przynajmniej na razie. Nie wiedział, co myśleć o facetach z obyczajówki. Podobnie jak w przypadku wielu innych gliniarzy, których miał okazję poznać w czasie swojej kariery, czuł się w ich towarzystwie nieswojo. Może była to tylko jego przypadłość. Może nie. Właściwie niewiele go to obchodziło. Dawno już nauczył się ufać swoim opiniom. Teraz żałował, że nie zostawił ich w spokoju i nie pozwolił im ścigać jakichś ekshibicjonistów w Soho czy robić cokolwiek innego, co zajmowało im zwykle środowe popołudnia. Powinien był przyjść tutaj sam.

– Do kogo należy to miejsce? – spytał Shen.

– Jeszcze tego nie sprawdziłem. Powiedziano mi tylko, że dziewczynka jest... to znaczy była tutaj.

– Niedawno?

– Tak, tak sędzę. Może przywieziono ją tu zaraz po porwaniu z domu opieki. Pomyślałem, że warto to sprawdzić, na wszelki wypadek.

– Oczywiście – przytaknął Shen bez przekonania.

– Mogła tu być.

– Cóż – komisarz westchnął – ale teraz jej nie ma. Jeśli ktokolwiek tu był, poszedł sobie już jakiś czas temu. I starannie po

sobie posprzątał. – Kopnął czubkiem buta luźną deskę w podłodze. – Czy to twoje źródło powiedziało ci coś jeszcze?

– Nie.

– Więc szukamy wiatru w polu. – Shen spojrzał na Carlyle'a z nieskrywaną irytacją. – Dzięki.

– Przepraszam. – Carlyle wzruszył ramionami. – Pomyślałem, że warto rzucić okiem.

– Pewnie tak. Takie rzeczy się zdarzają. – Shen odetchnął głęboko. – A skoro już tu jesteśmy, to możemy wszystko dokładnie przeszukać. Zacznę od tyłu – dodał, wchodząc do holu. – To nie powinno długo potrwać.

– Też tak myślę. – Carlyle spojrzał z roztargnieniem na sufit. On już skończył. Machnął ręką na informację Olgi, bo wyglądało na to, że goni tylko za własnym ogonem.

– I dobrze. – Shen się uśmiechnął. – Po tym, jak wywalifeś drzwi kopniakiem, ktoś mógł wezwać policję, a tego nam chyba nie trzeba, co?

– W tej okolicy? Nie sądzę, żeby komuś chciało się nawet sięgnąć po telefon.

Carlyle poczekał, aż Shen zniknie w kuchni, a potem rozejrzał się jeszcze raz po pustym pokoju. Ktoś zatknął za górną krawędź futryny okna rozdarte prześcieradło, które zastępowało zasłonę, pod sufitem wisiała goła żarówka, ściany pokrywała podarta tapeta. Szeroka szczelina w rogu pomieszczenia świadczyła o jakimś problemie z osiadaniem murów. Nawet powietrze, które inspektor wciągnął w płuca, wydawało się brudne i odrażające.

Jedynym meblem było małe łóżko z metalową ramą, na którym leżał poplamiony materac w paski. Nie leżała na nim pościel, która pozwoliłaby się domyślić, kto i kiedy ostatnio tu spał.

No i co mi z tego przyszło? – pomyślał z irytacją Carlyle. Tylko ból nogi i parę straconych godzin.

Z kuchni dobiegł brzęk tłuczonych naczyń i przekleństwa Shena. Inspektor uśmiechnął się do siebie, po czym pochylił się i oparł na

rękach, jakby zamierzał robić pompki. Kiedy zajrzał pod łóżko, zobaczył najpierw tylko mysie bobki, potem jednak dostrzegł pod samą ścianą jakąś szmatę albo zwinięte w kłębek ubranie. Podniósł się, stękając ciężko, otrzepał ręce z kurzu i przykazał sobie surowo, by jak najszybciej wybrać się na siłownię. Przeszedł na drugą stronę łóżka, ukląkł na materacu i sięgnął w dół. Po chwili trzymał w dłoni dziecięcą koszulkę. Rozłożył ją na łóżku: biała bawełna była czarna od kurzu, spod którego wyraźnie przebijał kwiecisty napis „All you need is love”. Carlyle natychmiast rozpoznał ubranie, które wziął z szafy Alice i dał dziewczynce znalezionej w parku. Słyszając kroki w korytarzu, szybko zwinął koszulkę i schował do kieszeni spodni. Potem wstał z łóżka i odwrócił się do Shena.

– Znalazłeś coś? – spytał.

– Nie – odparł komisarz, drapiąc się w głowę.

– Rozumiem. – Carlyle westchnął. – Przepraszam, że zająłem ci tyle czasu. Chodźmy stąd.

Rose Scripps siedziała w pozbawionej okien dusznej sali projekcyjnej. W lewej ręce ścisnęła papierowy kubek z venti gingerbread latte. Nie opróżniła go nawet do połowy, ale kawa już dawno wystygła. Rose żałowała teraz gorzko, że w drodze do biura wydała na nią aż trzy i pół funta. Jako samotna matka mieszkająca w jednym z najdroższych miast świata nie mogła sobie pozwalać na tego rodzaju luksusy – szczególnie jeśli potem wcale z nich nie korzystała. Wiedziona wyrzutami sumienia, upiła kolejny łyk i się skrzywiła. Przynajmniej była to jakaś odskocznia od okropnego filmu, który musiała obejrzeć tego ranka.

Rose odsunęła krzesło od monitora, wpatrując się w ścianę jakieś dwadzieścia centymetrów wyżej. Dzięki temu wydawało się, że nadal ogląda nagranie, choć tego nie robiła. Widziała już wystarczająco dużo.

„Aaaa...”

„Nie!”

„Tak...”

„Proszę...”

Pozostał jednak dźwięk, którego nie mogła wyciszyć, od którego nie mogła się odgradzić. Kakofonia posapywań, jęków, krzyków i plaśnięć wciskała się do jej głowy, wypełniała mózg. Mogła ignorować obraz, ale nie dźwięki, które nacierały na nią z coraz większą mocą, aż czuła ich smak, ich zapach i dotyk.

Ktoś położył rękę na jej ramieniu.

– Chcesz zrobić sobie przerwę?

Detektyw Simon Merrett zatrzymał nagranie i odłożył pilot na pobliskie biurko.

– Wiem, że ciężko się to ogląda. Zrób sobie przerwę, jeśli chcesz.

Rose skinęła głową i przygryzła język, by powstrzymać łzy. To byłoby nieprofesjonalne, powinna panować nad emocjami. Zajmowała się tym nie od dziś – przez pięć lat pracowała w Stowarzyszeniu na rzecz Przeciwdziałania Przemocy wobec Dzieci, a dwa lata temu została czasowo przeniesiona do policyjnego zespołu identyfikacji ofiar wśród dzieci. Wciąż robiło jej się niedobrze, gdy oglądała takie rzeczy lub o nich czytała, ale ktoś musiał się tym zająć. Rocznie ścigano około trzech tysięcy ludzi oskarżonych o przestępstwa seksualne wobec dzieci, między innymi za gwałty, napaść i uwodzenie przez internet. Ludzie odpowiedzialni za powstanie tego wstrętnego nagrania dołączyli właśnie do tej długiej listy.

Sięgnęła po torebkę, szybko wstała sprzed monitora i wyszła z pokoju, by udać się prosto do damskiej łazienki, gdzie wysmarkała nos i umyła twarz. Potem zamknęła się w kabinie, usiadła na klapie sedesu i sięgnęła do arsenału sprawdzonych środków, które pozwalały jej odzyskać równowagę: najpierw uspokoiła oddech i oczyściła umysł z wszystkich obrazów, które przed chwilą widziała, nuciła też pod nosem jakąś melodię, by wyciszyć również okropne dźwięki. Potem przypomniała sobie wszystko, co robiła tego dnia od rana: Louise, jej śliczna, ciepłutka siedmioletnia córeczka, wskoczyła jej do łóżka o szóstej trzydzieści dwie, potem zjadły w pośpiechu śniadanie i pojechały razem do szkoły, aż w końcu Rose udała się do pracy,

kupując po drodze tę absurdalnie drogą kawę. Przypomniała sobie wszystko, aż do tego momentu – wszystko, co przypominało jej, że jest normalnym człowiekiem, który robi normalne rzeczy i nie zajmuje się wyłącznie grzebaniem w gównie zostawionym przez innych ludzi.

Potem pomyślała o reszcie tego dnia.

Spędziła w sali projekcyjnej ponad dwie godziny i zastanawiała się, jak długo jeszcze zdoła wytrzymać. Spojrzała na zegarek, a potem wyjęła z torebki telefon. Przywołała ostatnio wybierany numer i czekała na połączenie.

– Cześć! – rozległ się w słuchawce radosny głos Sashy, niezbyt rozgarniętej, ale sympatycznej niani z Węgier, którą Rose zatrudniała do spółki z trzema innymi mamami. W tle słychać było jakąś dudniącą muzykę, jakby Sasha wybrała się właśnie na dyskotekę, choć prawdopodobnie była w sklepie.

– Sasho, posłuchaj, zmieniłam plany. Sama odbiorę dziś Louise ze szkoły.

– Na pewno?! – spytała opiekunka, przekrzykując muzykę.

– Tak, popracuję w porze lunchu, więc będę mogła wyjść z biura nieco wcześniej. Wezmę też trochę pracy do domu na wieczór – tłumaczyła, by zagłuszyć wyrzuty sumienia, że wcześniej wyjdzie z pracy.

– Dobrze.

– Ale jutro będziesz, prawda?

– Ta, oczywiście.

– Dzięki, pogadamy jutro.

– Dobra, do jutra.

Rose wrzuciła telefon do torby. Do łazienki weszły dwie kobiety, które zaczęły narzekać na niewydolny system komputerowy w biurze. Rose spuściła wodę, otworzyła kabinę i podeszła do umywalk. Nie знаła dwóch stojących tam kobiet, a te ją ignorowały. Umywszy ręce, ruszyła prosto do swojego biura, omijając szerokim łukiem salę projekcyjną.

Jakieś piętnaście minut później do Rose dołączył Simon Merrett. Był nieco starszy od niej, miał żonę i dwójkę dzieci, jedno o dwa lata starsze od Louise, drugie o rok młodsze. Merrett lubił kręcić się przy jej biurku, a Rose miała wrażenie, że czeka, aż ona zacznie go podrywać. Oczywiście taki scenariusz nie wchodził w grę – owszem, Simon był przystojnym facetem, ale po pierwsze, pracowali w tym samym miejscu, a po drugie, on był już zajęty. Ojciec Louise zwał przed trzema laty, a życie „osobiste” Rose było od tego czasu pustynią, umiała sobie jednak z tym radzić. Poza tym tego rodzaju praca raczej nie zachęcała do seksu. Gdyby związała się z jakimś facetem, musiałby to być ktoś, kto ma nudną pracę i dużo cierpliwości, co wykluczało zarówno gliniarzy, jak i żonaty.

Merrett podszedł bliżej i przysiadł na brzegu jej biurka. W przetartych dżinsach i koszulce z Foo Fighters wyglądał jak trzydziestopięciolatek, który stylizuje się na osiemnastolatka. Rose, wiedzona odruchem, odsunęła się nieco od blatu.

– Masz dość na dzisiaj? – spytał.

– A dużo tego jeszcze zostało?

– Nie, przejrzałem już większość. – Rozejrzał się po sali zastawionej pustymi biurkami. – Ten film jest zdrowo pokręcony, nawet jak na standardy tej instytucji.

– Przynajmniej nie musimy zgadywać, gdzie to było – zauważyła Rose, bawiąc się długopisem.

– To prawda. Ale możemy się zastanawiać, jakim trzeba być zboczeńcem, żeby zmuszać dziecko do seksu na London Eye.

– Wystarczy chyba zapytać, jakim trzeba być zboczeńcem, żeby zmuszać dziecko do seksu.

– No jasne, ale do tego sto metrów nad ziemią? Na oczach innych ludzi?

– Powiedziałabym, że takie rzeczy robi ktoś, kto nie boi się, że go złapią – prychnęła z obrzydzeniem Rose. – Ilu ludzi wniosło skargę?

– Spośród tych ośmiuset, którzy byli wtedy na London Eye? – Merrett podrapał się po głowie. – Tylko dwoje. Para emerytów ze

Swansea, którzy widzieli wszystko z sąsiedniej kabiny.

– Wszyscy inni podziwiali pewnie widoki. Izba Gmin wygląda w nocy bardzo ładnie.

– A ludzie doskonale potrafią ignorować rzeczy, których nie chcą widzieć.

– Wiem coś o tym. – Rose ziewnęła.

– Choć z drugiej strony... było ciemno... – zaczął Merrett.

– Nie aż tak.

Wstał z jej biurka.

– Tak czy inaczej, mamy wystarczająco materiału, żeby zacząć przesłuchanie. Chcesz się przyjrzeć? Będziesz miała okazję zobaczyć mistrza w akcji – dodał z uśmiechem.

– Dobra. – Rose czuła, że burczy jej w brzuchu, ale nie była głodna. Spojrzała z żalem na kawę i sięgnęła po notes. – Przyjdę tam za minutkę.

Podgrzała kawę w mikrofalówce, przeszła z kubkiem w rękę do małego, zaciemnionego pomieszczenia i skinęła głową na technika, który nagrywał przesłuchanie odbywające się w sąsiednim pokoju. Ukryta za lustrem weneckim Rose również mogła swobodnie przyglądać się przesłuchaniu. Merrett siedział już za stołem i pisał coś w notesie pochylony nisko nad blatem. Tuż obok stał laptop. Po drugiej stronie stołu zajęła miejsce gruba kobieta o ziemistej cerze i podkrążonych oczach. Miała na sobie granatowy zapinany sweter włożony na białą koszulę, a szyję opinał cienki złoty łańcuszek. W jej długich farbowanych na ciemno włosach widać było siwe odrosty. Sądząc po wyglądzie, zbliżała się do pięćdziesiątki, Rose przypuszczała jednak, że jest znacznie młodsza.

Kobieta pochyliła się do przodu, zaciskając nerwowo dłonie.

– Mogę zapalić?

Merrett skończył wreszcie pisać i podniósł na nią wzrok.

– Nie. – Wskazał napis „Zakaz palenia” na ścianie i umieszczone tuż obok czerwone światełko, które właśnie się zapaliło. – To światełko oznacza, że jesteśmy nagrywani i musimy już zacząć oficjalne

przesłuchanie. Jestem detektyw Simon Merrett. Proszę podać swoje imię i nazwisko.

Kobieta milczała przez chwilę, a Merrett czekał cierpliwie. Jego mina mówiła, że nigdzie mu się nie spieszy.

– Sandra – powiedziała w końcu kobieta. – Sandra Scott.

– Sandro, czy możesz potwierdzić, że nie chciałaś skorzystać z pomocy prawnika? – poprosił Merrett cicho, lecz wyraźnie, jakby w gruncie rzeczy wcale go to nie interesowało.

– Tak, to prawda.

Technik zachichotał.

– Skąd wy bierzecie takie typy... – powiedział, kręcąc głową.

Rose w milczeniu podniosła kubek do ust i się skrzywiła. Po dziewięćdziesięciu sekundach w mikrofalówce kawa była za gorąca. Kobieto, czy ty naprawdę nie potrafisz nawet podgrzać kawy do odpowiedniej temperatury? – zgaśniła się w myślach.

Tymczasem po drugiej stronie lustra Merrett wciąż brnął przez wstępne formalności.

– Twój adres to sto trzydzieści pięć Howard Road, E-czternaście-sześć-XJ?

– Przecież dobrze to wiecie – odparła kobieta cicho. – Tam mnie aresztowaliście.

– Uznam to za „tak”. – Merrett odłożył długopis na biurko i odchylił się na krześle, spoglądając z uwagą na kobietę. – Wiesz, kim jesteśmy?

– Jesteście policją – odpowiedziała, ściągając brwi.

– Jesteśmy ludźmi, którzy kazali policji cię aresztować – wyjaśnił Merrett, pochylając się do przodu. – Nazywamy się CEOP[2].

Sandra Scott uniosła brwi w niemym pytaniu.

– To instytucja chroniąca dzieci przed wykorzystywaniem i przestępstwami w sieci. Nigdy o tym nie słyszałaś?

Kobieta pokręciła głową.

– Chronimy dzieci przed złymi dorosłymi, takimi jak ty. To właśnie my wyślemy cię do więzienia na długie, długie lata.

Rose uśmiechnęła się do siebie. Merrett lubił czasami przesadzać i straszyć podejrzanych. Żartował, że czułby znacznie większą satysfakcję, gdyby mógł ich po prostu stłuc, ale wtedy miałby za dużo papierkowej roboty.

Scott opuściła wzrok na blat stołu.

– Ja nic nie zrobiłam! – jęknęła.

– Doprawdy? – Merrett sięgnął do laptopa i zaczął odtwarzać nagranie wideo.

O nie, tylko nie to, pomyślała Rose, rezygnując ostatecznie z kawy i wyrzucając kubek do kosza.

Sandra Scott oglądała film z kamer ochrony London Eye, podczas gdy Merrett bazgrał coś w notesie. Rose zamknęła oczy, ale wciąż miała pod powiekami ten okropny widok. Mężczyzna w drogim garniturze, zmęczona, naburmuszona dziewczyna siedząca na ławce pośrodku kapsuły, mężczyzna chwytający ją za włosy, mężczyzna szczerzący zęby do kamery...

Scott patrzyła obojętnie na ekran laptopa, jakby już widziała to nagranie. Mniej więcej po pięciu minutach Merrett zatrzymał film.

– No i co?

Kobieta skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała na niego wyzywająco.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego.

Merrett dla większego efektu odczekał kilka sekund, po czym parsknął śmiechem.

– Sandro, do kurwy nędzy, znaleźliśmy w twoim mieszkaniu kilkanaście płyt DVD z tym nagraniem. Mamy e-maile, w których wysyłałaś je do swoich chorych przyjaciół.

Scott mruknęła coś pod nosem.

– Pracujesz w ochronie London Eye – ciągnął Merrett. – Wiemy, że po skopiowaniu tego nagrania skasowałaś oryginał, więc jesteś współwinna gwałtu na dziecku. Jesteś pierdoloną gwałciicielką. Trafisz za kratki.

Nie przedobrz, Simonie, pomyślała Rose. Na razie mają tylko to wideo, więc właściwie niewiele mogą zrobić Sandrze Scott.

– Pójdiesz siedzieć na długie lata – dorzucił Merrett. – Może nawet do końca twojego gównianego życia.

Scott zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– A gdybym wam pomogła?

Merrett zrobił taką minę, jakby coś takiego nigdy nie przyszło mu do głowy.

– To zależy...

Scott jakby się nieco ożywiła, dostrzegłszy najwyraźniej promyk nadziei.

– A czego byście chcieli?

– Kim jest ten człowiek na filmie?

– Nie wiem.

– A dziecko?

– Też nie wiem.

Merrett zamknął notes i wsunął długopis za ucho.

– Cóż, Sandro, w takim razie masz przejebane. Kompletnie, całkowicie przejebane. – Zamknął notes i wstał.

Sandra Scott położyła dłonie na stole.

– Ale wiem coś innego.

– I cóż by to miało być? – Merrett skrzywił się sceptycznie, wyłączył laptop z kontaktu i wsunął pod ramię.

Scott uśmiechnęła się nerwowo.

– Wiem, kiedy wrócę.

12

Joe Szyszkowski siedział przy biurku na trzecim piętrze komisariatu Charing Cross i jadł bułkę z bekonem, uważając przy tym, by sos kapał na dywan, a nie na jego dżinsy. Powoli poruszał szczękami, odkładając moment, w którym będzie musiał zabrać się do pisania raportu o napadzie na chińskiego turystę przed Galerią Narodową przy Trafalgar Square. Powinien był napisać ten raport już wczoraj, ale nie zamierzał się spieszyć. Wykrywalność w przypadku tego rodzaju przestępstw była tak niska, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie ujawniało tych danych: w oficjalnych statystykach umieszczano je w kolumnie opatrzonej wieloznacznym terminem „rabunek”. Zgodnie z definicją policji metropolitalnej napad dokonany na ulicy był połączeniem kradzieży lub usiłowania kradzieży (albo rabunku) z fizyczną napaścią na okradanego. W tym przypadku niefortunny turysta został uderzony w głowę zwiniętą w rulon gazetą i pozbawiony stu funtów. Odebrawszy tę gorzką lekcję życia, odleciał już do Szanghaju, podczas gdy jego pieniądze zostały zapewne natychmiast wydane na alkohol lub narkotyki, a wszyscy prócz statystyków uznali sprawę za zamkniętą. Sierżant nie miał zamiaru tracić dnia na przeglądanie dziesiątków nagrań z kamer ochrony, wiedział bowiem dobrze, że i tak nie zdoła zidentyfikować sprawcy. Raport był w tej sytuacji czysto biurokratycznym wymogiem, co jeszcze bardziej zniechęcało Joego do pracy.

Sierżant włożył do ust ostatni kawałek bułki, wytarł usta i dłonie w serwetkę, po czym wrzucił ją do kartonowego pudła, którego używał jako kosza na śmieci. Wszystkie kosze, jakie były w komisariacie, zostały pewnego dnia usunięte, by zachęcić policjantów do recyklingu. W odpowiedzi inspektor Carlyle przyniósł następnego dnia kilka kartonowych pudeł z pobliskiego kiosku – sprzątaczkę opróżniały je jak dawniej i wszyscy byli zadowoleni. Zerkając na puste sąsiednie biurko, Joe zastanawiał się, co właściwie kombinuje jego szef. W ciągu kilku ostatnich dni Carlyle rzadko pojawiał się w komisariacie, co

oznaczało zapewne, że szuka tej dziewczynki, którą znalazł w parku. Gdyby czegoś potrzebował, na pewno by zadzwonił, a Joe nie zamierzał mu się narzucać.

Beknął głośno, a potem rozejrzał się, nieco zawstydzony. Na szczęście nikt z obecnych w sali nie zwrócił na to uwagi. Sierżant wstał i się przeciągnął. Pomyślał, że zrobi sobie herbatę, a potem zabierze się w końcu do raportu. Na pewno.

Kiedy ruszył w stronę kuchni, zadzwonił telefon na biurku Carlyle'a. Joe spojrzał na niego z niechęcią. Telefon wciąż dzwonił. W końcu sierżant podniósł słuchawkę.

– Biuro inspektora Carlyle'a...

– Carlyle?

Joe nie kojarzył głosu, ale kobieta, do której należał, wydawała się poruszona.

– Inspektora chwilowo nie ma. Jestem jego współpracownikiem. Mogę pani w czymś pomóc?

– Kim pan jest? – spytała kobieta podejrzliwie.

– Joe Szyszkowki.

– I pracuje pan z Carlyle'em?

– Tak – potwierdził Joe, żałując, że w ogóle odebrał ten cholerny telefon. – Jestem jego sierżantem.

– Może pan przekazać mu wiadomość?

– Oczywiście – odparł cierpko Joe. Żałował też, że nie kupił sobie drugiej bułki z bekonem.

– To pilne – syknęła kobieta. – Na pewno będzie chciał ze mną porozmawiać.

– Dobrze. – Joe sięgnął po ołówek i karteczkę. – Słucham.

– Proszę mu powiedzieć, żeby natychmiast zadzwonił do Alexy Matthews.

– Będzie wiedział, o co chodzi? – spytał sierżant urzędowym tonem, ale w słuchawce zapadła już cisza.

– Możesz zaufać Joemu.

– Dlaczego miałabym mu ufać? Tobie nie ufam za grosz.

Carlyle zerknął na Joego i uśmiechnął się szeroko.

– Alexa to jedna z moich ulubionych byłych współpracowników.

Joe Szyszkowski w milczeniu upił łyk piwa London Pride.

Alexa Matthews się nie uśmiechnęła. Opróżniła kolejny gin z tonikiem i zamówiła następny. Miała też ochotę na papierosa.

– Carlyle zawsze był irytującym gnojkiem – mruknęła.

Troje policjantów siedziało przy barze w Fitzroy Tavern, pubie przy Charlotte Street, na północ od Soho. Fitzroy słynął jako ulubione miejsce spotkań intelektualistów pokroju Dylana Thomasa i George'a Orwella, którzy bywali tu w pierwszej połowie minionego wieku. Teraz był to zwykły pub należący do dużego browaru, pełen turystów, którzy wnosili atmosferę dworca autobusowego. Krótko mówiąc, było to doskonale miejsce na ich spotkanie.

Matthews przesunęła pustą szklankę w stronę sierżanta.

– Przynieś mi następnego drinka, dobra?

Joe z ociąganiem zabrał szklankę i wstał. Spojrzał z wyrzutem na Carlyle'a, a potem ruszył w stronę baru, nie zapytawszy, czy jego szef również chce następną kolejkę.

– Zamów od razu podwójną! – zawołała za nim Matthews, ale Joe udał, że jej nie słyszy.

Policjantka odwróciła się do Carlyle'a.

– Po co go tu przyprowadziłeś?

Carlyle dokończył whisky, sycąc się ciepłem, które rozlało się w jego żołądka. Miał nadzieję, że Joe się jednak zlituje i przyniesie mu następną szklaneczkę.

– Potrzebuję pomocy – powiedział w końcu. – Nie poradzę sobie z tym sam.

– Nie wiem, czy chcę, żeby się dowiedział o tym interesie.

– Alexo – zaczął Carlyle stanowczym tonem – Joe pracuje ze mną. Znam go od wielu lat. Przyszedłem do ciebie, bo chcę zrobić porządek w SO14. – Przeciągnął się i ziewnął. – I zrobię to. Z pomocą Joego. I twoją oczywście.

Matthews spojrzała na niego spode łba. Oboje wiedzieli, że to bardzo ambitny plan.

– Więc co chciałaś mi powiedzieć?

Joe wychynął zza grupy studentów i ostrożnie postawił szklanki na stole. Carlyle z wdzięcznością sięgnął po whisky.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. – Joe usiadł i spojrzał na Matthews wyczekująco.

– No dobra już, dobra. – Policjantka upiła łyk drinka. – Ostatnio nieźle się u nas popieprzyło.

Kiedy skończyła opowiadać o starciu z Tommym Dolanem i późniejszej reprimendzie w gabinecie Charliego Adama, westchnęła ciężko i dopiła gin.

Carlyle zerknął na Joego, obaj milczeli.

– Więc... – zaczęła niepewnie Matthews, spoglądając w szklankę – co zamierzasz z tym zrobić?

Co zamierzam z tym zrobić? – spytał sam siebie Carlyle.

– Boję się, że następnym razem mnie zabiją – dodała Matthews. – Albo zrobią krzywdę Heather.

Carlyle odniósł wrażenie, że jest trochę wstawiona, i zastanawiał się, jak dużo wypiła, nim przysłała do Fitzroya.

– Nic takiego się nie stanie – odparł uspokajającym tonem. – Adam to kutas, ale nie robi czegoś tak głupiego.

– Wiem – mruknęła Matthews. – Ale to nie jego się boję.

– Chodzi o Dolana? – spytał cicho Joe.

– Otóż to. – Matthews pokiwała głową, pokazując mu pustą szklankę. – Pieprzony Tommy Dolan. Jebana ciota.

– Chyba dość już wypiłaś – powiedział Carlyle, biorąc od niej szklankę i stawiając ją na stole. – Pamiętam Dolana z czasów mojej służby. To zwykły kombinator, który woli nie rzucać się w oczy. Dziwię się, że kazał cię pobić, ale na pewno nie posunie się do niczego więcej.

– Nie byłabym taka pewna. – Matthews rozsiadła się wygodniej, zamknęła oczy i westchnęła głęboko. – Tu chodzi o duże pieniądze.

Nie byłabym pierwsza.

Carlyle spojrział na nią zdumiony.

– Co takiego?

– Wiesz, jak jest w SO₁₄. Wszyscy pracują dla Dolana. Joe Dalton też dla niego pracował.

– Ten facet z taksówki? – Joe skrzywił się z powątpiewaniem. – To było samobójstwo, bez dwóch zdań.

Matthews otworzyła oczy i zaczęła rozcierać skronie.

– Chryste! – westchnęła, odwracając się do Carlyle'a. – Czy ten koleś złapał kiedykolwiek jakiegoś bandziora? Jasne, że Joe Dalton sam urwał sobie głowę, ale dlaczego to zrobił? Oto jest pytanie.

– Które już sobie zadawaliśmy – odparł spokojnie Carlyle. Nie podobał mu się zrzędlivy ton Alexy Matthews, ale potrzebował jej pomocy, więc znosił cierpliwie jej uwagi.

– Ale na które jeszcze nie odpowiedzieliście – odparowała policjantka.

– Nie – przyznał Carlyle.

– Dolan prowadzi firmę inwestycyjną o nazwie United-14 – tłumaczyła Matthews ze znużeniem. – Gromadzi pieniądze z różnych interesów chłopaków, żeby potem dołożyć im do emerytury.

– To nic nowego – zauważył Carlyle.

– Nie, ale teraz gospodarka jest w dołku i coraz trudniej o przyzwoity zarobek.

– Kryzysy przychodzą i odchodzą. – Carlyle wzruszył ramionami.

– Dolan nie może siedzieć bezczynnie i czekać. Jego złote czasy w SO₁₄ mogą się wkrótce skończyć.

– Dlaczego? – spytał Joe.

– Mówi się o sprowadzeniu stu pięćdziesięciu policjantów, żeby obciąć nadgodziny tym, którzy już tu są. Dla Dolana i jemu podobnych to strata ponad trzydziestu tysięcy rocznie.

Carlyle gwizdnął przeciągle.

– Nie w kij dmuchał...

- Dolan jest wściekły. Obwinia o wszystko księżniczkę Cheyenne.

Joe i Carlyle wymienili zdumione spojrzenia.

- Kogo? - spytali jednocześnie.

- Córkę księcia i księżnej Colchester - prychnęła Matthews. - Jest dziesiąta albo jedenasta w kolejce do tronu. Studiuje teraz na jakimś gównianym uniwersytecie na północy historię sztuki nowoczesnej czy jakieś podobne bzdety. Roczny koszt ochrony tej jednej smarkuli to około czterystu tysięcy.

- Drobnostka - mruknął Carlyle sarkastycznie.

- To jeszcze nic - ciągnęła Matthews. - Ta mała geniuszka chce teraz wyjechać na studia do Ameryki. To oznacza całodobową ochronę, co najmniej dwóch policjantów i koszty, które mogą dojść do miliona. Gazety już się tym zajęły, a wierchuszka się wystraszyła. Mają nadzieję, że jeśli obetną nadgodziny, to nikt nie zauważy, że ogólne koszty i tak pójną w górę. Komendant główny powiedział już, że rząd musi znaleźć jeszcze dwadzieścia milionów, żeby pokryć wszystkie wydatki.

- Rodzina królewska nie lubi zaciskać pasa - skomentował Carlyle. - Cięcia, tak jak podatki, są dla maluczkich, dla takich jak my. Pałac Buckingham nigdy nie godził się na cięcia. Uważają, że policja i państwo mają obowiązek chronić królową i jej następców.

Joe ziewnął ostentacyjnie, jak zawsze, gdy jego szef wsiadał na swojego konika.

- Wracając do Dolana... - wtrącił.

- Dolan musiał sięgnąć do innych źródeł dochodu.

- Do jakich? - spytał Joe.

- Do takich, które dla pewnych ludzi są nie do przyjęcia - odparła Matthews tajemniczo.

- Wyrażaj się trochę jaśniej - poprosił Carlyle.

Matthews próbowała wstać, ale zachwiała się i opadła na krzesło.

- Nie powiem nic więcej, dopóki stamtąd nie odejdę.

Carlyle postanowił zmienić taktykę.

– Adam też w tym siedzi?

– Przymyka na to oko. Czy możesz mnie stamtąd wyciągnąć?

– Porozmawiam z moją szefową – obiecał Carlyle. – Dlaczego mówisz mi o tym wszystkim właśnie teraz?

– Bo choć jesteś irytującym gnojkiem, tylko dzięki tobie mogę mieć szansę wyrwać się z tego gówna i nie stracić pracy. – Tym razem Matthews udało się stanąć prosto.

– Co oni robią? – spróbował jeszcze raz inspektor.

– Wyciągnij mnie stamtąd, a powiem ci więcej. Na razie musi ci to wystarczyć.

– Dalton też się tym zajmował? – spytał Joe.

– Dalton nie mógł już dłużej tego znieść. Nie dawał sobie z tym rady. Był trochę słaby pod tym względem. – Przepisnęła się obok Carlyle'a i przystanąła na moment, wypatrując w tłumie drogi do wyjścia. – Widziałeś się już z Allcock?

– Z kim?

– Z dziewczyną Daltona.

Carlyle musiał przyznać z zakłopotaniem, że jeszcze się tym nie zajął.

– Jeszcze nie.

Matthews uśmiechnęła się krzywo i ruszyła w stronę wyjścia.

– Więc lepiej się do tego zabierz, dobra?

– Proszę. – Helen rzuciła broszurę na kolana Carlyle'a i usiadła ciężko na sofie. – Pomyślałam, że to przywoła mnóstwo szczęśliwych wspomnień – dodała z uśmiechem, po czym wzięła pilot i włączyła telewizor.

Carlyle spojrział na tytuł – Pałac Buckingham: oficjalny przewodnik – i mimowolnie się skrzywił.

– Piękne dzięki. Skąd to masz?

– Kupiłam w zeszłym roku, kiedy wybrałyśmy się tam na wycieczkę – odparła Helen, przerzucając kanały w poszukiwaniu cwieczornej porcji telewizyjnej papki. – Alice potrzebowała go do jakiegoś projektu w szkole.

Carlyle obrócił cienką książeczkę w dłoniach, szukając ceny.

– Ile to kosztowało?

Helen wzruszyła ramionami.

– Nie wiem... Osiem funtów czy coś koło tego.

– Więc... – zaczął Carlyle, czując, że ogarnia go irytacja, – licząc bilety i całą resztę, cała ta wizyta kosztowała was... ile, pięćdziesiąt funtów?

– Co najmniej. – Helen znalazła właśnie na jakimś hiszpańskojęzycznym kanale odcinek argentyńskiej wersji Top Model. Ich rozmowa właśnie się zakończyła.

– No tak, niech bogaci jeszcze bardziej się bogacą.

Carlyle otworzył broszurę i rzucił okiem na pierwszy akapit tekstu: Wnętrza pałacu Buckingham zdobią bezcenne dzieła sztuki z kolekcji rodziny królewskiej.

Zerknął na żonę pochłoniętą oglądaniem jakiejś dziewczyny w bikini i skórzanych butach z cholewami, dręczonej na środku pustyni przez fotografa udającego macho.

– Czy oni naprawdę potrzebują też naszych pieniędzy?

– Co? – Helena nawet nie oderwała wzroku od telewizora.

Carlyle westchnął i czytał dalej: Pałac Buckingham ma 779 pokoi, w tym 59 sal recepcyjnych, 96 sypialnie dla członków rodziny królewskiej i gości, 588 sypialni dla personelu i 78 łazienek. Co roku ponad 94 tysiące gości odwiedza pałac podczas bankietów, koktajli i przyjęć w ogrodzie.

Inspektor czuł się porażony niezmierną głupotą tego wszystkiego.

– Masz jakiś przyzwoity kapelusz? Kiedy skończę tę sprawę, może zaproszą nas na garden party.

Dziewczyna w telewizji była bliska łez. Poproszono ją, by pozowała nago – prócz butów – z jakimś wężem. Zwierzak był całkiem spory, Carlyle przypuszczał, że to pyton. Rzucił przewodnik na podłogę i przytulił się do żony, by wraz z nią obejrzeć program do końca.

13

Uwolnwszy ukrytą w głębiach swojej duszy naturę ośmiolatka, Simon Merrett obrócił się na krzesło i spojrzał na ścianę monitorów zawieszonych nad biurkiem.

– Zupełnie jak „Enterprise” ze Star Treka. – Uśmiechnął się szeroko. – Jak mogę rozwinąć prędkość warp dziesięć?

Marshall Monk, dyrektor London Eye, poprawił kołnierz koszuli, zastanawiając się, czy nie powinien jeszcze raz obejrzeć legitymacji detektywa z CEOP.

– Słucham?

Rose Scripps obdarzyła kolegę wymownym spojrzeniem.

– A tak poważnie... – Merrett odchrząknął, poprawiając się szybko na krzesło – chciałem spytać, jak to zrobimy?

Monk spojrzał na dwóch umundurowanych policjantów stojących przy drzwiach sterowni, po obu stronach Sandry Scott. Funkcjonariuszka ochrony jak zwykle miała obojętną, tępawą minę, a jedyną rzeczą, która przekonywała Monka, że nie jest to jakiś głupi żart, były policyjne kajdanki na jej nadgarstkach.

– Cóż, jeśli dobrze zrozumiałem... – zaczął nerwowo – chcecie odnaleźć...

– Aresztować – przerwała mu Rose.

– Zatrzymać – dorzucił Merrett niepotrzebnie.

Monk ściągnął brwi, zirytowany tymi słownymi przepychankami.

– Więc chcecie zatrzymać mężczyzn, którzy zarezerwowali kapsułę na siódmą trzydzieści?

Merrett zerknął na kartkę ze szczegółami rezerwacji, którą dyrektor zostawił na blacie biurka.

– SEG Enterprises? Kto to taki?

– Nie wiem. – Monk wzruszył ramionami. – Ale to ich druga rezerwacja.

– Forma płatności? – spytała krótko Rose.

- Karta firmowa – odparł Monk. – Amex, o ile dobrze pamiętam.

- Podali adres i telefon biura w Mayfair – dodał Merrett, zadowolony, że może popisać się zdobytą wcześniej wiedzą. – SEG wynajmuje tam powierzchnię biurową niemal od roku, ale nikt z obsługi biurowca nie pamięta, żeby ktokolwiek się tam pojawił. – Detektyw odwrócił się do Monka. – Więc jak to będzie wyglądać?

- Jeden z członków grupy zamelduje się przy bramce z pierwszeństwem wejścia piętnaście minut przed czasem określonym w rezerwacji. Kiedy już zbierze się cała grupa, menedżer kapsuły przeprowadzi ich na miejsce, z pominięciem kolejki.

- Menedżer kapsuły? – zdziwiła się Rose.

- Tak. – Monk się uśmiechnął, rad, że rozmawia z tą rozsądną kobietą, a nie z jej niedojrzałym partnerem. – Każdą kapsułą podczas półgodzinnego obrotu zajmuje się menedżer. To konieczne, bo w kapsule muszą być co najmniej trzy dorosłe osoby.

Rose spojrzała na Merretta.

- Ale na tym nagraniu...

Merrett zerknął na Sandrę Scott, która wpatrywała się tępo w podłogę, nie okazując najmniejszego zainteresowania ich rozmową. Ktoś najwyraźniej został opłacony przez gwałcicieli, a Merrett zastanawiał się, czy nie był to sam Monk. Odwrócił się do Rose.

- Sprawdzimy to później. – Spojrzał na zegar wiszący nad monitorami, który wskazywał osiemnastą dziesięć. – A na razie zajmijmy się czym innym...

- Moja córka Louise chce się koniecznie przejechać w kapsule Eye – powiedziała Rose, spoglądając na olbrzymie koło ustawione nad brzegiem rzeki. – Byli tu na szkolnej wycieczce i teraz suszy mi głowę, żebym znów ją zabrała.

Stali w zwykłej kolejce, wciśnięci między parę starszych Francuzów i grupkę kobiet w średnim wieku przebranych za cowgirls i nieźle wstawionych.

- Monk na pewno mógłby ci to załatwić – odparł Merrett, nie odrywając spojrzenia od wejścia z pierwszeństwem, oddalonego o

jakieś dwadzieścia metrów od ich kolejki.

Rose pokręciła głową.

– Nie, dzięki. Mam lęk wysokości.

– London Eye nie jest wcale taki wysoki.

Merrett po raz kolejny spojrzął na zegarek. Dziewiętnasta jedenaście. Zastanawiał się, czy cała akcja nie spali na panewce. Od kasy dzieliły ich już tylko trzy lub cztery osoby. Kobiety stojące za nimi były coraz bardziej rozbawione. Jedna z nich uszczypnęła go w tyłek.

– Hej! – Odwrócił się rozzłoszczony i zobaczył przed sobą dwie tlenione blondynki w wieku emerytalnym, które chichotały jak szalone.

– Patrz! – Rose złapała Merretta za ramię, odwróciła go do siebie i stwierdziła zaskoczona, że jej partner się czerwieni. Wskazała wysokiego, eleganckiego mężczyznę i dziewczynę, którzy wręczali właśnie bilety przy bramce z pierwszeństwem wejścia. Stali odwróceny plecami do policjantów, którzy z tej odległości nie potrafili określić wieku dziewczyny – mogła mieć równie dobrze dziesięć, jak i szesnaście lat.

– Co o tym myślisz? – spytała Rose.

– Warto sprawdzić. – Merrett wyszedł z kolejki i ruszył w stronę nowo przybyłej pary.

– O co chodzi, kochanie? – zarechotała jedna z emerytek. – Boisz się, że coś ci zrobimy?

– Nie musisz się martwić o tyłek, chodzi nam o coś innego! – krzyknęła inna. – Wracaj tu, kochasiu!

Rose ruszyła za Merrettem, który wyprzedzał ją już o dobre pięć metrów. Widziała, że menedżer kapsuły sprawdza jeszcze bilety mężczyzny i dziewczyny. Pracownik London Eye powiedział coś do walkie-talkie, a elegant rozejrzał się wyraźnie zirytowany. Rose przystanąła i przyjrzała się jego twarzy. Była pewna, że to nie ten sam mężczyzna, którego widziała na nagraniu. Nim zdążyła odwrócić wzrok, nieznajomy zauważył, że na niego patrzy. Zerknęła na

Merretta, a on zwolnił, jakby nie wiedział, co właściwie powinien teraz zrobić. Mężczyzna spojrział w to samo miejsce, co Rose, po czym natychmiast się odwrócił. Złapał dziewczynę za rękę, odciągnął ją od bramki i ruszył szybko w stronę mostu Westminsterского.

Menedżer wydawał się zaskoczony, ale milczał.

– Hej! – Merrett rzucił się w pościg za parą i wpadł prosto na małego chłopca, który pojawił się nie wiadomo skąd, niosąc przed sobą wielką porcję różowej waty cukrowej. – Cholera!

Malec zaczął płakać. Potem zobaczył, że jego wata wpadła do kałuży, i zaczął płakać jeszcze głośniej.

Merrett podniósł się powoli z ziemi, trzymając się za nadgarstek. Potężny mężczyzna z ogoloną głową i tatuażem Chelsea na karku złapał go za rękę. Tuż za nim stanęła drobna, zdenerwowana kobieta z papierosem w ustach.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – warknął mężczyzna. – Dlaczego nie patrzysz, gdzie idziesz, palancie?

– Moja ręka. – Merrett skrzywił się z bólu.

– Gówno mnie obchodzi twoja ręka! – wrzasnął osiłek. – Musisz teraz przeprosić Didiera. – Wskazał dzieciaka, który wciąż głośno beczał. – I kupić mu nową watę. Kosztowała mnie cztery funty, debil.

Chłopiec przestał w końcu płakać, pocieszony perspektywą zadośćuczynienia. Wokół zgromadził się tłumek gapiów, ciekawych, czy kibic Chelsea pobije oprawcę swojego syna.

Rose zostawiła Merretta na pastwę losu i podjęła pościg, wiodąc wzrokiem wzdłuż nabrzeża. Przez sekundę widziała zbiegów na schodach prowadzących do mostu. Przyspieszyła i popędziła w tamtą stronę.

Gdy dotarła na miejsce, z trudem łapała oddech. Nie pamiętała, kiedy ostatnio zdarzyło jej się biec dłużej niż przez kilka sekund. Czuła bolesne pieczenie w piersiach, zbierało jej się na wymioty. Spojrzała na Big Bena i budynki parlamentu, odetchnęła głęboko kilka razy i poczekała, aż nudności ustąpią. Wzdrygnęła się, gdy po jej plecach spłynęła strużka potu. Tuż obok przemknął rowerzysta, o

którego prawie otarł się autobus linii dwanaście. Sześćdziesiąt metrów wyżej dzwony wybiły dziewiętnastą piętnaście. Mężczyzna i dziewczyna zniknęli bez śladu.

Rose wróciła niespiesznie do London Eye, dając sobie trochę czasu na ochłonięcie. Gdy w końcu tam dotarła, po kibicu Chelsea i jego rodzinie nie było śladu. Merrett siedział na schodach przy tylnym wejściu do ratusza, a ratownik medyczny owijał mu rękę bandażem.

– Wygląda na to, że jest złamana – jęknął Merrett. – Będę musiał pójść na prześwietlenie.

Nie spojrzał na Rose ani nie zapytał, czy udało jej się złapać podejrzaną parę.

– Kupiłeś dzieciakowi nową watę?

– Cztery funty, psiakrew! – prychnął Merrett. – Mam nadzieję, że gówniarz się nią udławi. Skąd on się w ogóle tam wziął? – Westchnął ciężko. – Co teraz zrobisz?

Rose zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Sprawdzę nagrania z kamer ochrony i porozmawiam jeszcze raz z Monkiem – odrzekła w końcu. – Potem wrócę do biura i napiszę raport.

Merrett wziął od ratownika dwie tabletki przeciwbólowe i włożył je do ust.

– Tylko nie wspominaj o tym dzieciaku i wacie.

Rose poklepała go lekko po ramieniu.

– Jasne.

Detektyw upił łyk wody z butelki, by połknąć tabletki.

– Dzięki. – Wyciągnął do niej rękę z butelką.

– Nie, dziękuję. – Rose pokręciła głową.

– Będę ci naprawdę wdzięczny. Nikt nie lubi wychodzić na idiotę.

– Nie ma sprawy. – Rose uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

– Takie rzeczy się zdarzają. Idź, zajmij się tą ręką, rano zastanowimy się, co z tym fantem zrobić.

Odprowadziła wzrokiem przygnębionego detektywa, a potem ruszyła w przeciwnym kierunku, w stronę kładki dla pieszych prowadzącej do Charing Cross po drugiej stronie rzeki. Stamtąd mogła w ciągu piętnastu minut dotrzeć na piechotę do biura. Mijając London Eye, podeszła nieco bliżej bramki pierwszeństwa. Budka obok była już pusta. Przed momentem zaczął się ostatni obrót tego wieczoru, więc na dole nie było już klientów. Wiedzioną impulsem, Rose stanęła w drzwiach budki i zajrzała do środka. Nie było tu niczego prócz związanej czarnej torby ze śmieciami, zostawionej obok otwartego kosza. Rose się rozejrzała. Pracownicy obsługi zajmowali się sprzątaniami, by po tym, jak wyjdą ostatni goście, mogli od razu pójść do domu. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Rose weszła szybko do budki, po czym wyjęła z torebki pęsetę i mały plastikowy woreczek. Odłożyła torebkę na podłogę i podniosła worek ze śmieciami, ważąc go w rękę. Był pełny zużytych biletów, papierowych kubków i pustych plastikowych butelek – krótko mówiąc, mnóstwa śmieci, które należałoby przejrzeć. Rose westchnęła cicho: po prostu nie miała na to czasu.

Odłożywszy worek na miejsce, zajrzała do kosza. Leżały w nim tylko dwa bilety. Wyjęła oba pęsetą i ułożyła ostrożnie na ziemi. W budce było dość ciemno, podniosła więc pierwszy z biletów i przysunęła go do oczu. Z jednej strony widniały warunki przewozu, a z drugiej dane rezerwacji: dziewiętnasta trzydzieści, kapsuła numer dwanaście, nazwisko Cunningham. Nic ciekawego. Rose zmięła bilet i wrzuciła go do kosza.

Drugi bilet również dotyczył rezerwacji na dziewiętnastą trzydzieści, tym razem w kapsule numer osiem. W dolnym prawym rogu widniało logo SEG Ent.

– Bingo! – wyszeptała Rose.

Wsuwając skrawek papieru do torebki, zauważyła, że po drugiej stronie napisano coś długopisem. Wyjęła bilet i mu się przyjrzała. Na odwrocie znajdowało się nazwisko i numer telefonu.

– Podwójne bingo – dodała cicho.

14

Carlyle stał w ponurym świetle jarzeniówki i patrzył z obrzydzeniem na trzy truchła leżące na stole. Gdy ogarnęła go kolejna fala mdłości, pomyślał, że niepotrzebnie pospieszył się ze śniadaniem i że powinien był je zjeść dopiero po wizycie na East Endzie. Zatarł zziębnięte dłonie i zaczął przechadzać się w tę i w tę po betonowej podłodze pomieszczenia, w którym było co najmniej równie zimno jak na dworze. Pogoda wyraźnie się psuła, a Carlyle po raz kolejny zanotował w myślach, że powinien wyjąć z szafy zimowe rzeczy. Był na siebie zły, że nie włożył cieplejszego płaszcza.

Przez otwarte drzwi widział kilkoro młodych asystentów pochłoniętych pracą. Wszyscy mieli na sobie takie same czarne dżinsy i czarne polarowe bluzy. Żadne z nich nie weszło do pokoju, w którym czekał inspektor. Żadne nawet nie spojrzało w jego stronę. Co gorsza, nikt nawet nie zaproponował mu kubka kawy.

Carlyle ziewnął głośno.

– Pan inspektor?

– Tak.

Zamknął szybko usta i odwrócił się do uśmiechniętej blondynki z kucykiem. Była mniej więcej jego wzrostu i wyglądała na trzydzieści lat. Nosila dżinsy i pomarańczowy sweter, na czubku jej głowy tkwiły okulary w czarnych oprawkach.

– John Carlyle z komisariatu Charing Cross – przedstawił się.

Wyciągnął rękę, a kobieta lekko ją uścisnęła.

– Fiona Allcock.

– Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała z uśmiechem. – Dziękuję, że przyszedł pan do pracowni. – Wskazała stół. – Podobają się panu moje ptaki?

– Cóż... – Carlyle odchrząknął, omijając wzrokiem blat stołu. Nie lubił patrzeć na trupy, a poza tym, jako urodzony londyńczyk, uważał, że miejsce zwierząt jest na wsi. – Co to właściwie za ptaki?

– Wróble. – Allcock podeszła do stołu i wzięła ptaka, położyła go grzbietem na otwartej dłoni i podniosła na wysokość twarzy Carlyle’a, który nagle ujrzał przed sobą martwe paciorkowate ślepia. Przełknął ciężko. – Przesłali nam te ślicznotki wczoraj, z Lincolnshire.

– I co z nimi zrobicie? – spytał, choć wcale go to nie interesowało.

– Jeden z moich asystentów obedrze je dzisiaj ze skóry – tłumaczyła Allcock, odkładając ptasie truchło na stół. – Tak samo jak obdziera się ze skóry kurczaka przed gotowaniem.

– Jasne. – Carlyle, który nigdy w życiu nie ściągał skóry z kurczaka, pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Potem mierzymy i układamy kości i włókna mięśniowe – kontynuowała, recytując wyuczony na pamięć monolog. – Następnie przygotowujemy gipsowy odlew ciała, a na jego bazie poliuretanowy model. Wygarbowaną skórę nakładamy na model i dokładamy jeszcze szklane oczy.

– Interesujące.

– Te maleństwa są już sprzedane. – Allcock przysiadła na brzegu stołu. – Pojadą do kolekcjonera z Bristolu.

– A ile będą kosztować? – spytał inspektor, przejawiając w końcu pewne zainteresowanie.

– W sumie osiem tysięcy funtów plus VAT.

Osiem kawałków!?

– Interesujące – powtórzył uprzejmie.

Kobieta zerknęła na niego podejrzliwie i znów przemówiła sztucznym, wyuczonym tonem:

– Oczywiście należy pamiętać, że ostateczny produkt to owoc wielu tygodni pracy. To zadanie, które wymaga precyzji i wiedzy.

– Ma pani dużo klientów?

– O tak – rozpromieniła się. – Wypchane zwierzęta są teraz w modzie. Mamy pełne ręce roboty.

– W takim razie nie zajmę pani dużo czasu. – Carlyle odchrząknął. – Chciałem tylko zamienić z panią kilka słów. Chodzi o

Joeego Daltona.

– Ach tak, Joe... – Fiona Allcock skrzyżowała ręce na piersi i zapatrzyła się w przestrzeń.

– Wiem, że rozmawiała pani już z policjantami, którzy prowadzili śledztwo w sprawie jego śmierci – dodał. – I nie chcę do tego wracać, ale zastanawiałem się, czy mogłaby pani odpowiedzieć na kilka pytań.

Przed wizytą w pracowni Allcock czytał jej zeznania – aż do bólu pobieżne.

– Oczywiście. – Skinęła głową. – Otwieracie na nowo to śledztwo?

– Nie, ale jego śmierć może być powiązana z inną sprawą, którą się właśnie zajmuję.

– Naprawdę? – Allcock przyjrzała mu się uważnie. – W jaki sposób?

– Właśnie to próbuję ustalić – odparł inspektor z uśmiechem. – Czy wie pani może, dlaczego Joe postanowił się zabić?

– Nie, prawdę mówiąc, nie bardzo. – Westchnęła, opuszczając wzrok na podłogę. – Joe miał zmienne nastroje. Widziałam się z nim jakiś tydzień przed jego śmiercią. Był przybity, ale nie bardziej niż zwykle. – Wzruszyła ramionami. – Znosiłam to w małych dawkach.

– Był pani chłopakiem?

– Jednym z wielu, inspektorze. – Uśmiechnęła się szeroko. – Bardzo go lubiłam, ale nie był miłością mojego życia czy kimś w tym rodzaju.

Carlyle czuł, że się czerwieni, ale drążył temat:

– A czy on traktował tę znajomość inaczej? Czy dlatego zdecydował się na taki desperacki krok?

Allcock spojrzała na martwe ptaki, jakby szukała inspiracji.

– Nie sędzę. Pewnie było to coś więcej niż przelotna znajomość, ale oboje widywaliśmy się z innymi osobami.

– Jak się poznaliście?

– Na jakiejś imprezie parę lat temu. Dla mnie to było coś zupełnie nowego. W moich kręgach rzadko spotyka się policjantów.

– Na pewno.

– Bez urazy.

– Oczywiście. – Skinął głową z uśmiechem. – Dobrze wiem, co ma pani na myśli. W moich kręgach też nie spotyka się wielu wypychaczy zwierząt. Więc...

– Tak?

– Jak do tego doszło? Co gliniarz robił w towarzystwie pięknych ludzi sztuki?

Allcock nie połknęła haczyka.

– Właściwie nie było w tym nic dziwnego. Pracujemy... Pracowaliśmy – poprawiła się – dla tych samych ludzi.

– To znaczy?

– Niektórzy z moich klientów należą do rodziny królewskiej. Carlyle uniósł brwi.

– To raczej dość odległa rodzina – dodała Allcock z rozbawieniem. – Nie czyta pan gazet?

– Czasami. – Uśmiechnął się lekko. – Ale tylko dział sportowy.

– Pokażę panu. – Allcock przeszła do wysokiej na ponad metr sterty czasopism ułożonych w rogu pomieszczenia. Po krótkich poszukiwaniach wyjęła z niej egzemplarz „ESMagazine” i wróciła z nim do inspektora. – Proszę – powiedziała, otwierając czasopismo na siódmej stronie i wręczając je Carlyle’owi.

Pod nagłówkiem Jasne noce, wielkie miasto widniało kilkanaście zdjęć bogatych, uśmiechniętych i zadowolonych z siebie ludzi, którzy popijali szampana na jakimś wernisażu. W pierwszym szeregu, po prawej, znajdowała się fotografia samej Allcock w eleganckiej fryzurze i pięknej czarnej sukni od Chanel. Wskazała na dłoń widoczną na skraju zdjęcia.

– Joe stał tu obok mnie, ale obcięli. – Przesunęła palcem niżej, na sąsiednie zdjęcie. – A to jest hrabia Falkirk.

– Hrabia Falkirk... – Carlyle natychmiast rozpoznał mężczyznę w smokingu.

– Jeden z moich klientów. W tym roku kupił ode mnie indyka pawiego i tanuki.

– Znał Joego Daltona?

– Oczywiście. Falkirk jest dwudziesty w kolejce do tronu czy jakoś tak. To Joe mnie z nim poznał. Był jednym z jego ochroniarzy. Wydawało się, że to świetna praca. Joe lubił podróżować, dostawał też niezłe pieniądze za nadgodziny. Ale mówił, że niektórzy z jego kumpli z roboty to straszne dupki.

– Jak to?

– No wie pan, irytowali go. Nigdy nie mówił, o co mu konkretnie chodzi.

– Wspominał kiedykolwiek o facecie, który nazywa się Dolan? Allcock zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Tommy Dolan – powtórzył Carlyle.

Pokręciła głową.

– Nie, chyba nie.

Carlyle zamknął czasopismo i zwinął je w rulon.

– Mogę to zatrzymać?

Allcock wzruszyła ramionami.

– Oczywiście.

– Dziękuję, że poświęciła mi pani czas.

– Nie ma sprawy. – Allcock odprowadziła go do drzwi. – Może chciałby pan kupić jakieś zwierzątko?

Nigdy w życiu, pomyślał Carlyle.

– Obawiam się, że to poza moim zasięgiem – wymamrotał, chcąc jak najszybciej zostawić martwe ptaki za sobą i wyjść na ulicę.

Gordon Elstree-Ullick leżał na łóżku w jednym z pokoi gościnnych pałacu Buckingham i rozmawiał cicho przez komórkę. Po chwili podniósł wzrok i skinął na swojego ochroniarza.

– Tommy, zapłać za to kartą firmową, dobrze?

Tommy Dolan spojrział na telefon w ręku Elstree-Ulicka i westchnął.

– Co to ma być tym razem?

– Tylko dwa bilety na samolot – odparł arystokrata. – Daj mi znać, kiedy dostaniesz rachunek.

Dolan wziął od niego komórkę z taką niechęcią, jakby to była parująca psia kupa. Przyłożył aparat do ucha, przytrzymał ramieniem, po czym wyjął z portfela kartę firmową American Express wydaną przez policję metropolitalną.

– Halo? – burknął do słuchawki.

Pięć minut i piętnaście tysięcy funtów później zapłacił za dwa bilety w pierwszej klasie samolotu linii British Airways lecącego z Heathrow do międzynarodowego portu lotniczego Jomo Kenyatta w Nairobi. Zgrzytając zębami, przypominał sobie, że takie są uroki tej pracy. Niemniej debet na jego karcie wynosił teraz dobrze ponad dwadzieścia tysięcy, co oznaczało jeszcze większe zainteresowanie ze strony działu księgowości SO₁₄, a tego Dolan wolałby zdecydowanie uniknąć.

Wsunął portfel z kartą do kieszeni i zerknął z ukosa na Elstree-Ulicka. Hrabia Falkirk, dwudziesty drugi w kolejce do brytyjskiego tronu, posłał mu szeroki uśmiech, który oznaczał, że trzyma go w garści. Wszyscy wiedzieli, że członkowie rodziny królewskiej pożyczają pieniądze od swoich ochroniarzy. Jak głosiły oficjalne wytyczne dla funkcjonariuszy SO₁₄:

Ze względu na wymagania bezpieczeństwa i dyskrecji rodzinie królewskiej często nie wypada osobiście dokonywać transakcji finansowych. Dlatego w razie potrzeby funkcjonariusze służby ochrony ponoszą w imieniu swoich mocodawców odpowiednie koszty, które później są im zwracane.

Oczywiście wytyczne nie mówiły, kiedy dokładnie ten zwrot kosztów ma nastąpić.

Dolan rzucił telefon Elstree-Ulickowi, który o mało nie upuścił go na podłogę.

- Wyjeżdżasz?
- Nie, to bilety dla moich kumpli.
- Fajna wycieczka – zauważył Dolan z sarkazmem.
 - Nie martw się, Tommy, to nie twoje pieniądze – odparował Elstree-Ullick. – Poza tym mogą nam pomóc w interesach.
- Doprawdy?
 - Owszem. – Arystokrata wsunął komórkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Musimy poszukać nowych źródeł. Zastanawiam się nad Afryką.
 - Nie wiem, czy to dobry pomysł – mruknął Dolan. – Przecież tam wszyscy mają AIDS.
 - Och, jesteś uprzedzony. – Elstree-Ullick wstał z łóżka i ruszył do drzwi. – Mam teraz parę spraw do załatwienia. Pogadamy o tym później, na przyjęciu.

15

Alzbetę obudziło potężne pierdnięcie grubego mężczyzny, który leżał obok niej w łóżku. Drżąc z zimna, uświadomiła sobie, że grubas zabrał jej całą kołdrę. Opuściła nogi na podłogę i usiadła prosto, wsłuchana w jego spokojne, równomierne pochrapywanie. Bolało ją całe ciało, kręciło jej się w głowie, a usta wypełniał jakiś nieprzyjemny, nieznany smak.

Gdy cyfry wyświetlone na zegarze zmieniły się z 1:11 na 1:12, wstała i podeszła na palcach do sterty ubrań leżących na podłodze. Powoli, po cichu włożyła džinsy i sweter. Gdzie są jej buty? Zajrzała pod łóżko, ale nie widziała nic w ciemności. Mężczyzna zakasłał i naciągnął kołdrę na ramiona. Czyżby się budził? Dziewczynka uznała, że poradzi sobie bez butów.

Wyszła po cichu z sypialni i przekradła się korytarzem do wyjścia. Wstrzymała oddech, uchylila drzwi i zastygła na moment bez ruchu, wyęzając słuch. Upewniwszy się, że nikt jej nie goni, wyszła z mieszkania i zbiegła po schodach.

Dwa piętra niżej, na parterze, nocny stróż drzemał niespokojnie przy swoim biurku. Z kieszeni jego marynarki wystawała niemal całkiem pusta półlitrowa butelka whisky Highland Park. W tle cicho szemrało radio. Alzbeta rozejrzała się, a potem szybko przemknęła przez hol i nacisnęła zielony guzik, który pozwalał wyjść z budynku. Szklane drzwi były ciężkie, ale udało jej się uchylić je na tyle, by mogła precyzyjnie się na zewnątrz. Gdy tylko znalazła się na wilgotnym od deszczu chodniku, skręciła w lewo i zaczęła biec.

Po kilku minutach poczuła się bezpiecznie. Zwolniła i się rozejrzała. Nie miała pojęcia, gdzie jest, ale to jej wcale nie dziwiło. Oprócz pałacu nic w tym mieście nie wyglądało dla niej znajomo. Na chodnikach było pusto, ale na jezdniach nadal panował spory ruch. Dziewczynka przystanąła na krawężniku i przepuściła trzy kolejne samochody. Kiedy czwarty był już bardzo blisko, wyszła śmiało na środek ulicy, zamykając oczy oślepione blaskiem reflektorów.

Rose Scripps siedziała na sofie z wielkim kieliszkiem chardonnay w ręku i wpatrywała się nieobecny wzrokiem w telewizor. Louise poszła w końcu spać, więc teraz wreszcie miała trochę czasu dla siebie. Upiła łyk wina i spróbowała skupić się na programie – kolejnym dramacie kostiumowym BBC z dodatkową porcją golizny, która miała przyciągnąć więcej widzów. Jednak po kilku minutach oglądania kobiet biegających w czepkach po planie filmowym Rose o mało nie przysnęła. Wzdychając ciężko, wzięła pilot z oparcia sofy i wyłączyła telewizor.

Wstała i przeszła do maleńkiego stolika, na którym oprócz butelki z winem i jej komórki leżał notes, otwarty w miejscu, gdzie przepisała numer telefonu z biletu znalezionej w London Eye. Sam bilet został w komisariacie, wraz z jej raportem. Zgodnie z obietnicą daną Merrettowi, pominęła pewne szczegóły ich nieudanej operacji nad rzeką.

Rose nie miała pojęcia, co właściwie powinni teraz zrobić. Wróciła do domu z myślą, że porozmawia o tym z Merrettem rano. Teraz jednak nie chciała czekać ani chwili dłużej.

Upiła jeszcze jeden łyk wina, odstawiła kieliszek na stół i sięgnęła po komórkę. Szybko, nim przyszło jej do głowy odłożyć to na następny dzień, wybrała numer z biletu i czekała. Wydawało się, że minęła cała wieczność, nim w końcu uzyskała połączenie. Gdy spojrzała zniecierpliwiona na wyświetlacz, rozległ się sygnał oczekiwania. Czuła, jak wali jej serce, nikt nie odbierał. W końcu włączyła się poczta głosowa: „Tu komórka Warrena Shena. Proszę zostawić wiadomość i numer, oddzwonię”.

Warren jak? Shed? Zen? Shen? Co to za nazwisko?

Rose przerwała połączenie i zapisała w notesie kilka możliwych wersji nazwiska. Odłożyła telefon na stolik, opróżniła kieliszek i napełniła go na nowo. Potem wzięła z kredensu laptop i podłączyła do niego zasilacz.

Uruchomiła Google i wpisała pierwszą wersję imienia i nazwiska. Nie znalazła niczego ciekawego, podobnie jak po kilku kolejnych

próbach. Dopiero gdy dotarła do kombinacji „Warren Shen”, przeglądarka wyszukała siedemset dziewięćdziesiąt pięć tysięcy wyników. Rose kliknęła na „wiadomości”: dwanaście wyników. Przesunęła listę w górę i znalazła tytuł: Policja zamyka lokal ze striptizem w centrum Londynu. Wybrała ten link i przeczytała krótki artykuł na stronie internetowej „Daily Mirror”:

Klub ze striptizem na West Endzie, wykorzystywany jako dom publiczny, w którym klienci mogli kupować usługi prostytutek i narkotyki, został zamknięty przez policję. Detektywi z wydziału obyczajowego aresztowali siedem osób oskarżonych o prowadzenie ukrytego w podziemiach klubu Koziorożec, skonfiskowali też kokainę i gotówkę. „Trudno uwierzyć, że w tak gęsto zaludnionej okolicy prowadzono niemal całkiem jawnie te brudne interesy – powiedział nam komisarz Warren Shen z policji metropolitalnej. – Tego rodzaju działalność przestępcza to prawdziwa plaga, którą staramy się ze wszystkich sił wykorzenić”.

Rose przez długi czas wpatrywała się w ekran komputera. Jeśli chodziło o tego właśnie Warrena Shena – a nazwisko nie należało do popularnych, musiało więc być ich niewielu – to co to oznacza dla ich śledztwa? Po krótkim namyśle doszła do wniosku, że na razie nie ma pojęcia. Poza tym teraz i tak nie mogła zrobić nic więcej. Po winie chciało jej się spać. Ziewając, wyłączyła komputer i położyła się do łóżka.

Gordon Elstree-Ullick siedział za stołem przy drzwiach, popijał wódkę Potocki i rozglądał się po wnętrzu Palermo, jednego ze swoich ulubionych lokali w Mayfair. Meble Gucciego, kryształ Swarovskiego, ciemne marmury, orzechowe drewno i abstrakcyjne obrazy wiszące nad długim barem z marmurowym blatem nadawały Palermo wygląd amerykańskiego baru martini z końca lat pięćdziesiątych. Do tego obrazu nie pasowały tylko widoczne za oknem tłumy klientów robiących zakupy przy Bond Street.

– Dlaczego pijesz polską wódkę? – Igor Czepojak opróżnił szklanekę z heinekenem i wskazał kieliszek Elstree-Ulicka. – Ukraińska jest o wiele lepsza.

– I pewnie dlatego pijesz duńskie piwo – parsknął Elstree-Ulick.

– Kiedy piję wódkę, to tylko ukraińską!

Elstree-Ulick spojrział na swój kieliszek.

– Lubię ją. Poza tym tu chyba nie podają ukraińskiej wódki.

– A powinni – burknął Igor.

Arystokrata upił ostrożnie łyk alkoholu.

– Może złożysz im propozycję nie do odrzucenia?

– Co? – Igor ściągnął brwi, najwyraźniej nie zrozumiał aluzji.

– Nieważne. – Elstree-Ulick odstawił kieliszek na stół. – Tak czy inaczej, nie o tym mieliśmy rozmawiać.

– Ano właśnie. – Igor się uśmiechnął.

– Jeśli chodzi o tę dziewczynę... – zaczął arystokrata.

– Robisz się nieostrożny, przyjacielu.

– To nie była moja вина. – Elstree-Ulick spojrział na Igora, oczekując wsparcia lub współczucia. Nie doczekawszy się niczego w tym rodzaju, dodał: – Spójrz na to z innej strony. Przynajmniej jeden problem sam się rozwiązał.

– Rozwiązał się? – Igor zmierzył go gniewnym spojrzeniem. Podniósł do ust szklanekę, zapomniawszy, że jest już pusta. – Niby jak? Policja znowu ją ma.

– Nawet jeśli ją zidentyfikują, nic im z tego nie przyjdzie.

– Miejmy nadzieję, głównie ze względu na ciebie.

– Ze względu na nas wszystkich. – Elstree-Ullick dopił wódkę i przywołał gestem kelnerkę, dziewczynę o końskiej twarzy. – Jeszcze po jednym. – Kiedy kelnerka wycofała się za bar, arystokrata spojrział na swojego towarzysza. – Jedziemy na jednym wózku, chyba o tym pamiętasz, co?

Igor mruknął coś. Jego zdaniem żadna spółka nie mogła trwać zbyt długo, a wyglądało na to, że i ta wkrótce zakończy swój żywot.

– Na razie mamy poważniejszy problem – zauważył Elstree-Ullick.

– Tak? – Igor opadł na oparcie krzesła i zamknął oczy, wyobrażając sobie, jak wyjmuje pistolet Fort-12 CURZ i pakuje dziewięćmilimetrowy pocisk Kurz między oczy tego gnojka, hrabiego Falkirka. Uśmiechnął się do siebie. Kto wie, może jeszcze do tego dojdzie.

– Wróciłem niedawno z Ukrainy i postanowiłem, że więcej tam nie pojedę. Za dużo zamieszania. Poza tym, co istotniejsze, musimy zainteresować klientów czymś nowym.

Igor otworzył oczy.

– Na przykład?

– Szukam ciekawych okazji we wschodniej Afryce – wyjaśnił Elstree-Ullick. – W Kenii, dokładnie rzecz biorąc.

– Nic nie wiem o Afryce. Ty też nie.

– Owszem, ale...

Igor ziewnął ostentacyjnie.

– Ukraina nam wystarczy. A ty powinieneś martwić się bardziej tym, co się dzieje tutaj, w Londynie.

– Co masz na myśli?

– Słyszałem, że niewiele brakowało, a aresztowaliby nad rzeką jednego z twoich klientów. Ścigali go jacyś gliniarze, gdy chciał wsiąść do London Eye.

Skąd on tym wie, do diabła? – zastanawiał się Elstree-Ullick.

– Nie, nie – uspokoił szybko Igora. – Facet się po prostu spietrał. Nic się nie stało.

– Rozumiem.

– Więc wszystko jest pod kontrolą, jak zwykle.

– Może jednak powinienes powiedzieć swoim klientom, żeby przez jakiś czas zachowywali się trochę dyskretniej – burknął Igor.

Przy stoliku pojawiła się kelnerka z zamówionymi napojami. Uśmiechnęła się szeroko, a Elstree-Ullick zastanawiał się przez moment, czy dziewczyna wie, z kim ma do czynienia. Za wysokie progi, kochanie, pomyślał. Rozsiadł się wygodniej i obserwował, jak jej pośladki przesuwają się pod tkaniną dżinsów, gdy wracała za bar. Niezły tyłek. Naprawdę niczego sobie.

– Rzecz w tym – westchnął, nie odrywając wzroku od pupy kelnerki – że klienci nie lubią, gdy się im czegoś zabrania albo rozkazuje. – Spojrzał wymownie na Igora, jakby dzielił się z nim jakąś głęboką mądrością. – Chcą robić to, na co mają ochotę. Niektórzy traktują to jak rywalizację. Jeśli zrezygnujemy z tych wszystkich nietypowych propozycji, nie będziemy się niczym różnili od konkurencji.

– Pieprzenie to pieprzenie – stwierdził Igor, spijając pianę z piwa.

– Chodzi właśnie o to, że my sprzedajemy coś więcej – tłumaczył arystokrata. – Każdy może załatwić ładną dziewczynę. Z nami można przeżyć coś niezwykłego, wyjątkowego.

Igor zastanawiał się, o czym właściwie ten idiota gada. Jeśli chcesz przeżyć coś niezwykłego, idziesz do Disneylandu. Nie mogą poprzestać na zwykłym pieprzeniu za zamkniętymi drzwiami? Spojrzał na siedzącego naprzeciwko chłopaka, członka elity towarzyskiej kraju i całego świata, który nie miał pojęcia o życiu zwykłych ludzi. Był cholernym hrabią, więc dlaczego babrał się w tym gównie? I, co ważniejsze, czy można mieć pewność, że nie spieprzy tego wszystkiego?

– Uważaj – rzucił w końcu.

– Oczywiście – odparł sztywno Elstree-Ullick.

– Interesy idą dobrze – ciągnął Igor, choć był pewny, że ten dzieciak i tak go nie słucha – ale nie możemy popadać w samozadowolenie.

– Nigdy.

Tak, jasne, pomyślał z sarkazmem Igor, opróżniając szklanekę.

– Dobry wieczór, panowie.

Powietrze wypełniło się zapachem perfum. Obaj podnieśli wzrok i zobaczyli Olgę, która podeszła właśnie do ich stolika z wielkim kieliszkiem białego wina w ręku.

Była ubrana w obcisłą czarną marynarkę i spódnicę sięgającą za kolano. Jasnoniebieska koszula, rozpięta pod szyją, odsłaniała kuszący dekolt.

Kiedy usiadła i założyła nogę na nogę, Elstree-Ullick poczuł znajome mrowienie w kroczu. Nie po raz pierwszy ogarnęła go złość na Igora, który wyraźnie dał mu do zrozumienia, że nie powinien pieprzyć służby. Czy ten idiota nie rozumie, że to jeden z podstawowych przywilejów rodziny królewskiej?

Olga sięgnęła do torebki, wyjęła pojemniczek z balsamem i posmarowała nim usta.

– Mogę się do was przyłączyć?

– Wydawało mi się, że już to zrobiłaś – odrzekł Elstree-Ullick, przesuwając swoje krzesło w jej stronę.

Igor przyjrzał jej się podejrzliwie.

– Co ty tu robisz?

Olga włożyła balsam do torebki i wytarła usta serwetką. Potem upiła łyk wina i odparła:

– Mam spotkanie w Sheratonie przy Park Lane za czterdzieści pięć minut. Pomyślałam, że trochę się odprężę, no i przyszedłam tutaj.

Falkirk uśmiechnął się lubieżnie.

– Może potem wpadłabyś do mnie do pałacu, moglibyśmy... napić się szampana?

Olga zerknęła na Igora, a potem uśmiechnęła się chytrze do Falkirka.

– Może. Brzmi obiecująco.

Igor ściągnął brwi.

– Skąd wiedziałaś, że tutaj będziemy?

– Nie wiedziałam – odparła Olga, uśmiechając się słodko. – Trafiłam na was przypadkiem. – Odwróciła się do Elstree-Ullicka i uśmiechnęła jeszcze promienniej. – A co wy tu, chłopcy, knujecie? – spytała.

– Rozmawiamy o interesach – odpowiedział arystokrata swobodnym tonem.

– Tak? – Olga uniosła brwi i zerknęła na Igora. – I jak te interesy idą?

– Nieźle – odparł szybko Igor, posyłając Falkirkowi spojrzenie, które mówiło: „Zamknij gębę do cholery!”.

– Nieźle? – powtórzyła Olga powoli. – To dobrze.

– Tak. – Igor skinął głową.

Olga udała, że głęboko się nad czymś zastanawia.

– A co z tą dziewczyną, która zginęła w wypadku? – spytała po chwili.

– Takie rzeczy się zdarzają – odpowiedział Igor lodowatym tonem, wpatrując się w blat stołu.

– Jasne. – Olga się uśmiechnęła. – Na pewno. – Opróżniła kieliszek dwoma łykami i wstała. – Igorze, zobaczymy się później – Oparła ręce na biodrach i wbiła wzrok w Elstree-Ullicka. – Interesy muszą iść naprawdę wyśmienicie, skoro stać was na to, żeby sprowadzić dziewczynkę z Ukrainy, a potem pozwolić jej rzucić się pod samochód. – To powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia.

Gordon Elstree-Ullick odprowadził ją wzrokiem, wciąż uśmiechnięty od ucha do ucha. Ignorując przyjemne mrowienie w kroczu, wciągnął jej zapach i próbował zrozumieć to, co właśnie usłyszał.

Barbara Enereich, uwieczniona na obrazie wiszącym na drugim piętrze kostnicy Westminster przy Horseferry Road, spoglądała surowo na instytucję noszącą jej imię. Obok portretu byłej prezes Brytyjskiego Stowarzyszenia Medycyny Sądowej wisiała mała tabliczka z napisem *Hic locus est ubi mors gaudet succurrere vitae*. Nieco niżej znajdowało się wypisane małym druczkiem tłumaczenie przeznaczone dla tych, którzy podobnie jak Carlyle nie radzili sobie najlepiej z łaciną: Oto miejsce, w którym śmierć się raduje, że może pomóc żywym

Bzdura, pomyślał, spoglądając na cztery monitory LCD zawieszane pod sufitem. Trzy były wyłączone, czwarty pokazywał wnętrze laboratorium numer dwa, położonego dwadzieścia metrów dalej w tym samym korytarzu. Przygryzając wargi, obserwował, jak troje patologów ze stoickim spokojem przygotowuje się do przeprowadzenia autopsji dziewczynki leżącej na stole w głębi pomieszczenia.

Carlyle włożył ręce do kieszeni spodni i zaczął przechadzać się nerwowo po pokoju. Autopsja znaczy też tyle, co stwierdzić coś naocznie, przypomniał sobie ni stąd, ni zowąd. Naocznie? O nie, dziękuję bardzo. Zawsze starał się unikać tej części śledztwa. Ogromnie się ucieszył, gdy kosztem miliona funtów wybudowano i uruchomiono tę nową kostnicę, dzięki czemu nie musiał już przebywać w tym samym pokoju co zwłoki. Oglądanie sekcji na monitorze było znacznie lepsze niż osobiste uczestniczenie w tym procesie, ale mimo wszystko wciąż czuł mdłości na ten widok. Mdłości zmieszane z wściekłością, która buzowała w nim, odkąd dowiedział się o śmierci dziecka, tworzyły paskudną miksturę. Wciąż nie mógł uwierzyć, że Alzbeta opuściła ich na dobre, choć jej ciało wciąż było tu obecne.

Zerknął na Joego Szyszkowskiego, który siedział na plastikowym krześle z tyłu pokoju i jadł kolejną kanapkę z bekonem. Carlyle poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

– Chodźmy – rzucił.

Joe przełknął i spojrzał na niego zdumiony.

– Ale dopiero co tu przyszliśmy.

Carlyle zapiął kurtkę i ruszył do drzwi.

– Wiemy, co się stało, a potem przeczytamy sobie raport. Nie mam ochoty tego oglądać.

Nie czekając na odpowiedź sierżanta, otworzył drzwi i uciekł na korytarz.

Gdy znalazł się na ulicy, przystanął, patrzył na przejeżdżające obok samochody i czekał, aż nudności ustąpią. Wiedział, że będzie potrzebował znacznie więcej czasu, by poradzić sobie z wyrzutami sumienia. Zawiódł Alzbetę, zawiódł na całej linii. Nie mógł uciec przed tą świadomością i nie mógł już naprawić swoich błędów.

Po chwili dołączył do niego Joe i położył mu dłoń na ramieniu.

– Puścimy w obieg zdjęcie – powiedział cicho. – I odciski palców. Spróbujemy ustalić jej tożsamość.

Carlyle skinął głową.

Joe opuścił rękę i cofnął się o krok.

– Wciąż nie mamy pojęcia, co robiła na South Audley Street o wpół do drugiej w nocy.

– Dobrze wiemy, co tam robiła – syknął Carlyle.

– Chciałem tylko powiedzieć, że nie wiemy, skąd ją tam przywieziono – sprecyzował spokojnie Joe. – Mamy zdjęcia ochrony, wiemy, że weszła od strony South Street, ale nie mamy pojęcia, jak tam trafiła.

Carlyle w końcu na niego spojrzał.

– W pobliżu jest sporo kamienic...

– Tak, i hoteli. Dwóch mundurowych krąży po okolicy, ale na razie niczego nie znaleźli.

– Dwóch?

Joe wzruszył ramionami.

– Wiesz, jak to jest. Mamy do dyspozycji dwóch posterunkowych dziennie. I tyle.

– Kurwa... – Carlyle chciał kopnąć paczkę po papierosach leżącą na chodniku, ale chybił. – Coś jeszcze?

Joe zastanawiał się przez moment.

– Wiemy, że stwierdzono w jej organizmie obecność alkoholu i zaleplonu.

Carlyle spojrział na niego pytająco.

– To składnik środków nasennych. Była też...

Carlyle podniósł rękę. Nie chciał poznać kolejnych szczegółów.

– Ty zajmiesz się szukaniem rodziny. Ja porozmawiam jeszcze raz z Shenem.

Począł, aż Joe zniknie w wejściu do stacji metra St James's Park, po czym wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer.

– Halo?

Był zaskoczony, kiedy Simpson odebrała już po pierwszym sygnale.

– Halo? – powtórzyła, wyraźnie zirytowana.

– Mówi John Carlyle.

– Tak? – powiedziała takim tonem, jakby nigdy z nim nie rozmawiała.

– Namierzyliśmy tę dziewczynę.

– Jaką dziewczynę?

– Tę, którą znalazłem w Green Park. – Żałował, że w ogóle do niej zadzwonił, tak jak ona żałowała pewnie, że odebrała. Mimo to brnął dalej: – Tę małą Ukrainkę, którą porwano z pomocy społecznej.

Po kilku sekundach milczenia Simpson wreszcie skojarzyła, o kim mowa.

– Ach tak. To dobrze. Co z nią?

– Nie żyje. Dwa dni temu rzuciła się pod samochód w Mayfair.

– Och... – Tym razem pauza była nieco dłuższa. – Przykro mi, John. Wiem, że to było dla ciebie bardzo ważne.

– Nadal jest – warknął.

– No tak, oczywiście. Macie jakieś tropy?

– Sprawdzamy to i owo – odpowiedział wymijająco.

– Pracujesz z Shenem?

– Tak... Właściwie dlatego zadzwoniłem. Jak dobrze go znasz?

- A dlaczego pytasz?

- Mam pewne wątpliwości.

- John - westchnęła - ty zawsze masz jakieś wątpliwości.

- Może - burknął Carlyle. - Ale widziałem go w akcji i...

- I co? - parsknęła Simpson. - Nie pasuje do obrazu idealnego gliniarza, który nosi w głowie John Carlyle?

Dziesięć metrów dalej taksówkarz o mało nie przejechał kobiety z wózkiem, która weszła właśnie na pasy. Pokazała mu palec i obrzuciła obelgami, a taksówkarz odjechał pospiesznie. Carlyle wrócił do rozmowy:

- Chciałbym po prostu dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

- Wiem tylko tyle, że w obyczajówce przepowiadają mu błyskotliwą karierę - powiedziała Simpson. - Ale wypytam dyskretnie tu i tam.

- Dzięki.

- A ty nie zapominaj o tym, co ci powiedziałam.

Czyli o czym? - zastanawiał się Carlyle.

- Oczywiście.

- Ciągnij tę sprawę, ale kiedy staniesz pod ścianą, daj sobie spokój. Nie mogę pozwolić, żebyś zajmował się tym bez końca.

- Rozumiem.

- To dobrze. Dzięki za informację. Porozmawiamy później.

- W porządku.

Carlyle zakończył połączenie i natychmiast wybrał numer Warrena Shena.

Stojąc w drzwiach dawnego biura SNCF przy Piccadilly, detektyw Simon Merrett obserwował, jak Warren Shen sto dziesięć metrów dalej, stojąc przy krawężniku, wyciąga komórkę i patrzy na wyświetlacz, by sprawdzić, kto dzwoni. Postanowił najwyraźniej, że nie odbierze, bo schował komórkę do kieszeni i przeszedł przez jezdnię, zmierzając na północ, w górę Dover Street. Ryzykując życie, Merrett przebiegł przez czteropasmową arterię i ruszył śladem Shena.

Kilka minut później Shen skręcił w lewo i wszedł do baru o nazwie Palermo. Merrett przystanął na rogu i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Był zziębnięty i zmęczony, a tępy ból w nadgarstku doprowadzał go do szału. Podrapał się pod gipsem i przeklął w duchu własną głupotę, która kazała mu poświęcić wolny dzień i chodzić za tym facetem po Londynie. I po co? Bo miał przeczucie? Bo chciał się wykazać po porażce przy London Eye? Prawdopodobnie chodziło o to drugie. Prawdę mówiąc, sam nie wiedział, co ma nadzieję osiągnąć.

Omówiwszy sytuację, doszli z Rose Scripps do wniosku, że dopóki nie zorientują się, o co chodzi w całej tej historii, nie będą domagali się od Shena wyjaśnień. Nie zdobyli żadnych dowodów na to, że Shen jest skorumpowany, ale nie mogli też stwierdzić z całą pewnością, że nie jest. Funkcjonariusze CEOP mieli już pewne doświadczenia w kontaktach z policjantami uwikłanymi w ich śledztwa, i nie były to doświadczenia dobre. Nawet w przypadku cywili schwywanie sprawców i udowodnienie im winy nie należało do rzeczy łatwych, ale w przypadku ludzi, którzy wiedzieli, jak ukryć się za prawem i je wykorzystywać, było praktycznie niemożliwe. Ze względu na dobro śledztwa musieli działać bardzo ostrożnie – musieli też zachować ostrożność ze względu na śledztwo, które mógł prowadzić Shen. Jednak ostrożność nie była tym samym co bezczynność i dlatego właśnie Merrett przez ostatnie trzy godziny wałęsał się po ulicach i wystawał w bramach.

Zaczęło padać.

– Cholera!

Merrett zasunął kurtkę i rozejrzał się, szukając jakiegoś schronienia. Nie znalazłszy żadnego, podbiegł do wejścia baru Palermo. Gdy zbliżał się do drzwi, o mało nie przewrócił go jakiś młody mężczyzna w garniturze, który właśnie wychodził.

– Hej! – zawołał detektyw z oburzeniem.

Mężczyzna go zignorował. Przeklinając pod nosem, Merrett wszedł do środka. Odczekał chwilę, aż jego wzrok przywyknie do

półmroku. Potem rozejrzał się i zauważył, że Shen siedzi przy barze z jakimś potężnym facetem o ogolonej głowie. Łysol spojrział w jego stronę, a Merrett szybko odwrócił wzrok. Poza tym w lokalu było raczej pustawo. Owszem, siedziało tu kilkoro turystów, ale co najmniej połowa stolików była wolna. Detektyw poszedł do baru, musiał jednak poczekać kilka minut, nim barman zechciał go obsłużyć. Starając się nie okazywać irytacji, zapłacił cztery i pół funta za butelkę piwa Beck, po czym usiadł przy stoliku pod ścianą, skąd widział całą salę.

Merrett przelał połowę piwa do szklanki, którą dał mu barman, a potem zaczął surfować po sieci w swojej komórce, by sprawiać wrażenie, że ma coś ważnego do zrobienia. Shen i jego towarzysz wciąż pogrążeni byli w rozmowie. Merrett chętnie zrobiłby im zdjęcie, bał się jednak, że może to przyciągnąć uwagę faceta z ogoloną głową, który co chwila rozglądał się po sali.

Dokończył piwo i poszedł w stronę baru po następne. W tym samym momencie Shen wstał, uściśnął dłoń rozmówcy i ruszył do drzwi. Udając, że nagle zmienił zdanie, Merrett zawrócił i poszedł za nim. Jednak gdy znalazł się przy drzwiach, drogę zastąpił mu niski krępy mężczyzna.

- Przepraszam – mruknął Merrett opryskliwie – chciałem wyjść.
- Mężczyzna położył mu dłoń na piersi.
- Wracaj – powiedział z wyraźnym obcym akcentem.
- Co?

Merrett cofnął się o krok i otworzył szerzej oczy. Nieznajomy miał ogoloną głowę i takie same, kanciaste rysy twarzy jak rozmówca Shena. Detektyw obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, czy rzeczywiście jest ich dwóch.

- Tak – rozległ się głos, tym razem za nim. Łysy mężczyzna pchnął go w stronę stolika, od którego wstał właśnie Shen. - Tam. - Wskazał swojego kolegę siedzącego przy stole, wyraźnie rozbawionego.

– Nie sądzę – syknął Merrett. Rozejrzał się po barze. Nikt nie zwracał na niego uwagi, a barman zniknął. Co by się stało, gdyby narobił zamieszania?

Mężczyzna znów go pchnął. Po czym wsunął dłoń do kieszeni spodni i wyjął nóż sprężynowy.

– Mógłbym cię tym wypatroszyć, a potem spokojnie stąd wyjść – powiedział swobodnym tonem. – Wykrwawiłbyś się na śmierć, zanim ktokolwiek by to zauważył. – Wsunął nóż do kieszeni i wskazał głową na stolik. – A teraz rób, co ci każę. Idź tam i usiądź.

– Dobra, dobra...

Merrett przełknął ciężko, podszedł do stołu i usiadł naprzeciwko uśmiechniętego faceta, świadomy, że jego kumpel, uzbrojony w nóż, wciąż stoi za jego plecami.

– Dlaczego mnie obserwowałeś? – spytał Igor Czepojak bez zbędnych wstępów.

– Wcale cię nie obserwowałem – odpowiedział Merrett, siląc się na nonszalancki ton.

Igor spojrział na swoją pustą szklankę i się uśmiechnął.

– Nie okłamuj mnie. Jesteś policjantem? Wyczuwam policjanta na kilometr.

– Nie – zaprzeczył machinalnie Merrett.

Igor podniósł wzrok na mężczyznę stojącego za plecami detektywa.

– Artiom...

Merrett poczuł, jak napastnik wbija mu kolano w plecy, i mimowolnie pochylił się do przodu. Umięśniona ręka objęła go za szyję, a druga sprawnie wyjęła portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki i rzuciła na stół.

Rozcierając obolałe plecy i kaszląc, Merrett obserwował, jak Igor bierze do ręki portfel i przegląda powoli jego zawartość. Znalazłszy to, czego szukał, Ukrainiec odrzucił portfel Merrettowi i podniósł do oczu jego legitymację.

– CEOP – mruknął. – Co to jest?

Merrett w milczeniu schował portfel do kieszeni. Igor uśmiechnął się szeroko, błyskając złotym zębem.

– Więc jesteś takim trochę... udawanym policjantem, detektywie Merrett?

– Oddaj mi moją legitymację – zażądał Merrett, równie przekonująco jak zastraszone i pobite uczniaki.

– Jasne. – Igor wstał i schował legitymację do tylnej kieszeni dżinsów. – Ale najpierw pójdziesz z nami.

– Akurat... – zaczął Merrett, ale w tym samym momencie poczuł na ramieniu dłoń, a potem czubek ostrza na szyi.

– Wstawaj. – Igor przeszedł obok niego, zmierzając do drzwi. – Chyba wiesz, co inaczej się stanie.

Przerażony detektyw pozwolił podnieść się z krzesła. Rozejrzał się, szukając wśród gości baru kogoś, kto mógłby mu pomóc, jednak lokal był teraz prawie pusty. Czuł, jak wypite piwo podchodzi mu do gardła.

– Muszę się wysikać – powiedział nerwowo.

– Lej w gacie – mruknął Artiom, pchając go do wyjścia.

Zegar na ścianie pokazywał, że zbliża się siedemnasta trzydzieści jeden. Najwyższy czas, żeby się stąd wynosić. Rose Scripps westchnęła, wyłączyła komputer i wrzuciła portfel do torby. Znowu spóźni się do domu. Dojazd zajmował jej zwykle co najmniej pięćdziesiąt minut, i to przy założeniu, że komunikacja miejska działa „normalnie” – co w przypadku wysłużonego londyńskiego metra było założeniem dość optymistycznym – a Sasha, opiekunka do dziecka, miała skończyć pracę o osiemnastej. Sasha oczywiście mogła poczekać, ale Rose nie miała jej z czego płacić za nadgodziny, a nie chciała, by jej córeczka zostawała sama, nawet jeśli byłoby to tylko dwadzieścia minut.

Gdy sięgnęła po komórkę, ta zaczęła właśnie wibrować. To pewnie Sasha, żeby sprawdzić, gdzie jest jej pracodawczyni. Ogarnięta wyrzutami sumienia, Rose odebrała.

– Rose? – Zaniepokojony głos w słuchawce wcale nie należał do Sashy.

Cholera. Rose milczała, zastanawiając się, czy po prostu nie przerwać połączenia. Potem może zrzucić winę na sieć. Takie rzeczy zdarzały się w Londynie bardzo często. Nogi mówiły jej, że musi już iść. Spojrzała na zegarek: Siedemnasta trzydzieści dwie. Cholera, cholera, cholera...

– Tak?

– Mówi Claire.

Teraz Rose rozpoznała kobiecy głos. Żona Simona Merretta.

– Och, cześć Claire – powiedziała, ponieważ próbując ukryć irytację. Spotkała panią Merrett tylko raz, gdy Simon zorganizował niezbyt udane spotkanie dla ich dzieciaków w Hyde Parku. Claire wydała jej się wtedy protekcyjna i agresywna, jakby przebywanie w towarzystwie samotnych matek było czymś poniżej jej godności. A może po prostu czuła się zagrożona.

– Widziałas dziś Simona? – W pytaniu pobrzmiwała troska i wrogość.

– Nie – odparła cierpko Rose. – Ma dziś wolne.

– Tak właśnie myślałam.

Tak myślałaś? Rose wiedziała, że pani Merrett – pani Coś tam Coś tam, bo używała też panieńskiego nazwiska – pracuje dla jakiejś dużej firmy prawniczej w City. Prawdopodobnie to ona rządzi w domu Merrettów i trzyma Simona na krótkiej smyczy. Współpracownik Rose nie wyglądał na faceta, który ma wolny dzień, a jego żona nie wie, co zamierza z tym dniem zrobić. Ale kto wie? Małżeńskie układy innych ludzi bywają bardzo dziwne.

– Chodzi o to, że miał po południu odebrać dzieci z zajęć gimnastycznych – narzekała kobieta – a w ogóle się tam nie pokazał.

– Cóż...

Siedemnasta trzydzieści sześć. Rose przestępowała z nogi na nogę jak dziecko, któremu chce się siusiu. Po prostu musi już iść. Miała własne problemy, a szukanie czyjegoś męża do nich nie należy.

– Muszę pojechać po nie sama.

– Nie wiem, gdzie on jest. – Rose spojrzała na telefon. Dlaczego po prostu się nie rozłączy? – Dzwoniłaś do niego na komórkę?

– Oczywiście, że dzwoniłam! – warknęła Claire Merrett. – Włącza się tylko poczta głosowa.

– Tak. Oczywiście. Przepraszam. – Dlaczego przeprosza tę cholerną kobietę? Siedemnasta trzydzieści siedem. Co ma z tym zrobić? Simon Merrett zawsze wydawał jej się człowiekiem odpowiedzialnym i solidnym – przynajmniej na tyle, by odebrać dzieci, kiedy miał to zrobić. Ale z facetami nigdy nie wiadomo.

– Spróbuję go złapać – dodała, przekładając telefon z jednej ręki do drugiej i próbując jednocześnie włożyć płaszcz. – Dam ci znać, jeśli czegoś się dowiem.

Była już siedemnasta trzydzieści osiem. Rose sprawdziła, czy ma w kieszeni kartę miejską, i ruszyła do drzwi. Tymczasem w słuchawce zapadła cisza.

– Halo? – Ale Claire Merrett zakończyła rozmowę albo została rozłączona. – Głupia baba! – syknęła Rose, zbiegając po schodach. –

Sama sobie szukaj swojego cholernego męża.

Przeskakując po dwa stopnie naraz, Rose dotarła na parter i rozpoczęła długą wędrówkę do domu.

Jazda do domu zajęła jej ponad godzinę. Kiedy weszła do mieszkania, zmęczona i skruszona, jej oczom ukazał się idylliczny obrazek: Louise, nakarmiona i wykąpana, leżała na sofie i tuliła się do Sashy, która odrabiała zadanie domowe.

– Nawet nie zauważyłam, która godzina – powiedziała z uśmiechem opiekunka, gdy Louise zerwała się na równe nogi, by wycałować mamę.

Rose miała ochotę wybuchnąć płaczem.

Godzinę później, gdy Louise leżała już w łóżku, a Sasha pojechała do siebie z dziesięciofuntowym napiwkim w kieszeni, Rose stała w kuchni, popijała z wielkiego kieliszka oyster bay sauvignon blanc i wpatrywała się w komórkę leżącą na stole. Przed wejściem do stacji metra wysłała Simonowi Merrettowi SMS, a kiedy wysiadła z wagonu, zostawiła mu wiadomość na poczcie głosowej. Teraz wzięła aparat i sprawdziła na wszelki wypadek, czy są jakieś nieodebrane połączenia. Przekonawszy się, że nikt nie dzwonił do niej, odkąd wyszła z pracy, z ociąganiem wybrała numer Claire Merrett.

Żona Simona odebrała, nim jeszcze przebrzmiał pierwszy sygnał.

– Miałaś od niego jakieś wiadomości? – takie były pierwsze słowa pani Merrett.

– Nie. A ty?

– Nie, nic. Wieczorem mieliśmy wyjść. – Wydawało się, że nie panuje nad sobą tak jak przedtem, jakby od tej pory coś wypła. – Nie rozumiem tego.

Rose starała się nie okazywać, że też jest zaniepokojona.

– Może wypadło mu w pracy coś, o czym nie wiem – powiedziała uspokajająco. – Jakaś nowa sprawa. Zadzwońię jeszcze w parę miejsc, może uda mi się coś ustalić.

– Dziękuję.

– Nie martw się. – Rose skrzywiła się mimowolnie, patrząc na swoje odbicie w oknie. Wiedziała, że takie pocieszanie nie ma większego sensu, zrobiła to odruchowo. – Zadzwoń, gdy tylko czegoś się dowiem.

Zakończyła rozmowę i usiadła przy kuchennym stole, zastanawiając się, dokąd powinna najpierw zadzwonić. Wybrała numer Erica Babela, szefa Wsparcia Operacji Specjalistycznych CEOP. Babel był ich wspólnym szefem, ale Rose spotkała go dotąd tylko dwukrotnie, a oba te spotkania trwały w sumie może trzydzieści pięć sekund. Tak właściwie w ogóle go nie знаła. Gdyby do niego zadzwoniła, a potem się okazało, że to fałszywy alarm, narobiłaby sobie wstydu. Z drugiej strony...

Odetchnęła z ulgą, gdy pod numerem Babela natychmiast włączyła się poczta głosowa. Nie zostawiwszy żadnej wiadomości, odłożyła telefon i próbowała skupić się na swojej ostatniej rozmowie z Simonem Merrettem. Nie udało im się dojść do jakichś konkretnych wniosków. Wciąż zawstydzony niepowodzeniem w London Eye, Merrett chciał jeszcze raz przesłuchać Sandrę Scott. Mogliby wtedy przynajmniej powiedzieć, że mają jakiś trop i próbują to wykorzystać. Nie podjęli też żadnej decyzji w sprawie Shena, zostawiając to na później. Rose ziewnęła, myśląc z tęsknotą o kąpieli i ciepłym łóżku. Najpierw jednak wyjęła z torebki notes i przerzuciła kilka stron, aż znalazła to, czego szukała. Potem znów wzięła do ręki telefon i wybrała numer.

– Jesteś tym facetem z London Eye.

Simon Merrett poprawił się niespokojnie na nagiej betonowej podłodze. Igor, który kuczał przed nim, trzymał w ręku jakiś drogi model aparatu cyfrowego Canona i przeglądał powoli zdjęcia Merretta, opatrywanego przez ratowników na schodach przed ratuszem. Wskazał na gips na jego złamanym nadgarstku.

– Boli jeszcze?

Merrett, przypięty kajdankami do metalowego pierścienia osadzonego w podłodze, milczał ponuro. Po wyjściu z Palermo

Ukraińcy wsadzili go do srebrnego mercedesa o przyciemnianych szybach i przywieźli w to miejsce. Opróżnili mu kieszenie, zabrali komórkę, klucze i portfel, a potem uwięzili na najwyższym piętrze niedokończonego biurowca gdzieś w północnym Londynie. Przez wielkie okno widział maszt przekaźnikowy na Alexandra Palace, migający światłami w ciemności. Był zziębnięty, głodny i obolały. Zastanawiał się, jak zdołał wpakować się w tę kabałę. Zrobiło mu się niedobrze na myśl, że przegapił jedyną szansę na ucieczkę, gdy byli jeszcze w mieście, na otwartej przestrzeni. Teraz był całkowicie zdany na ich łaskę i niełaskę.

– Oczywiście – Igor Czepojak się uśmiechnął – skoro już wiemy, kim jesteś, nie potrzebujemy tych zdjęć. – Zaczął kasować poszczególne fotografie. Zatrzymał się przy tej, na której Rose Scripps klepała go po ramieniu. – Kim jest ta kobieta?

– Pierdol się – burknął Merrett, dławiąc strach.

Mniejszy mężczyzna zrobił krok do przodu, zaciskając dłonie w pięści.

Igor podniósł rękę.

– Nie, Artiom. Nie trzeba. – Wykasował zdjęcie i wstał. – Sami się tego dowiemy. Dlaczego ochrona dzieci interesuje się tym wszystkim?

Pomimo grozy sytuacji Merrett parsknął śmiechem.

– A jak myślisz? Wy robicie to, co robicie. My robimy to, co do nas należy: próbujemy was powstrzymać.

Igor skinął ze zrozumieniem głową.

– Skąd się o tym dowiedzieliście?

Merrett wzruszył ramionami. Uznał, że jeśli powie im prawdę, to nie pogorszy jego sytuacji.

– Jedna z pracownic Eye sprzedawała w internecie nagrania z kamer ochrony. Od razu was wydała.

Igor odwrócił się do Artioma i powiedział coś w nieznanym Merrettowi języku. Potem znów przeszedł na angielski.

– Głupia baba. A Shen? On też ma z tym coś wspólnego?

Merrett spojrział za okno.

– Kto?

Igor podszedł i trącił czubkiem buta gips Simona.

– Nie kłam – upomniał go łagodnie. – Nie śledziłeś mnie. Śledziłeś Shena.

Merrett milczał.

– Ciekawe. Obserwujesz policjanta. – Igor pogładził się po brodzie, udając, że głęboko się nad czymś zastanawia. – Myślisz pewnie, że i on w tym siedzi. Że jest skorumpowany.

– A jest? – nie mógł się powstrzymać Merrett.

– Daj spokój, detektywie. Nie jestem tu po to, żeby odpowiadać na twoje pytania, prawda?

Rzucił aparat Artiomowi, po czym obaj ruszyli do drzwi. Gasząc światło, Igor odwrócił się raz jeszcze do policjanta.

– Wrócimy później. Masz teraz czas, żeby pożegnać się ze światem.

Pozostawiony w ciemności, Merrett szarpnął bez przekonania kajdankami i poczuł w złamanym nadgarstku ostry ból. Dotknął gipsu w miejscu, gdzie jego córka narysowała małe serce i nabazgrała: „Głupiutki tata! Zdrowiej szybko”. Głupiutki to łagodnie powiedziane, pomyślał Merrett ponuro. Wpatrując się w pomarańczowy blask północnego Londynu – tak znajomy i tak odległy zarazem – pomyślał o Claire i dzieciakach, a potem zapłakał jak dziecko.

– A to jest sala tysięcy osiemset czterdzieści cztery, udekorowana na wizytę cara Rosji Mikołaja I, w roku... no właśnie, tysięcy osiemset czterdziestym czwartym.

Hrabia Falkirk wskazał portret olejny smutnego, słabowitego mężczyzny w mundurze. Miał krzaczaste wąsy i rzadkie włosy zaczesane na łysinę. Napis pod obrazem głosił: „Cesarz i samodzielną wszechrosyjski, król Polski, wielki książę Finlandii”.

– Podobno lubił krótko trzymać chłopów pańszczyźnianych.

Olga ziewnęła. Chciała się napić, a nie chodzić bez końca po tych ponurych salach. Byli w pałacu, no i co z tego? Tam, skąd

pochodzi, też jest mnóstwo pałaców. Samodzierzca wszechrosyjski? Phi... Jeszcze jeden naiwniak z małym futem i wielkim tytułem. I co on takiego osiągnął? Nic. Był tylko nieistotnym punktem na osi historii.

Kto by pomyślał, że ten Anglik może być jednocześnie zboczeńcem i nudziarzem rozprawiającym o historii? Czy można sobie wyobrazić gorszą kombinację? Chyba nie.

W sali było gorąco i duszno. Olgę ogarniała senność, bolały ją nogi. Wyczerpana, rzuciła torebkę na podłogę i opadła na sofę. Zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu i pomyślała o dużym kieliszku chłodnego laurent perrier cuvée brut rosé.

Duży błąd.

Falkirk natychmiast rzucił się na nią, przygniótł ją do czerwonego aksamitu i dyszał jej w twarz. Czuła na nodze jego nabrzmiały członek, gdy usiłował podciągnąć jej sukienkę.

– Puść mnie!

Próbowała kopnąć go w krocze, ale nie miała miejsca, by się zamachnąć. Jedną ręką przyszpilił jej szyję do sofy, a drugą podsunął sukienkę na wysokość talii.

– Proszę, proszę – wyszeptał, posapując z wysiłku i podniecenia
– nie masz majteczek.

Olga patrzyła przerażona i rozbawiona jednocześnie, jak arystokrata rozpina spodnie i zsuwa je na wysokość kolan.

– Poczekaj – powiedziała z udawanym podziwem. – Poczekaj chwilę. Mam zabezpieczenie.

– Nie przejmuję się takimi bzdurami.

– Ale ja tak – odpowiedziała słodko, przeciągając językiem po górnej wardze. – Powinieneś też zobaczyć, jak to nakładam.

Falkirk skinął głową, drżąc z podniecenia. Olga odwróciła się, przyciągnęła torebkę i sięgnęła do środka.

Elstree-Ullick, który próbował właśnie rozchylić jej nogi, wydał odgłos przypominający skamlenie szczeniaka.

– Pospiesz się!

– Mam!

Zacisnęła dłoń na rękojeści, wyjęła z torebki maleńki pistolet Kevin ZP98 i skierowała lufę na czoło Falkirka.

– Ho, ho! – Wydawało się, że widok broni jeszcze bardziej go podniecił.

– To jest Kevin – powiedziała szybko Olga. – Kompaktowy pistolet automatyczny produkowany w Czechach. Dał mi go ojciec. Strzela pociskami Makarowa kaliber dziewięć milimetrów.

– Dziwka z pistoletem! – Falkirk roześmiał się beztrąsko. – Jestem w niebie. W niebie!

Olga starała się nie zwracać uwagi na lepki dotyk w okolicach pępka.

– Problem z Kevinem polega na tym – mówiła spokojnie – że nie ma bezpiecznika. Jeśli natychmiast ze mnie nie zejdziesz, pociągnę za spust, a ty umrzesz.

Przesunęła lufę nieco na lewo, tuż obok ucha arystokraty, i wypaliła. Rozległ się głośny huk, a pocisk trafił prosto w fizjonomię wszechrosyjskiego samodzierżcy.

Wymierzyła ponownie w czoło Falkirka.

– Złaź, ale już!

– Tak jest, proszę pani! – Wciąż szczerząc zęby w uśmiechu i trzymając członek w dłoni, Elster-Ulick zsunął się z niej powoli i stanął wyprostowany.

Olga zerwała się na równe nogi i obciągnęła sukienkę, wciąż trzymając gospodarza na muszce. Odsunęła się z obrzydzeniem, gdy Falkirk sam dokończył to, co zamierzał zrobić z nią, a potem wtarł wszystko w dywan. Pokój wypełnił kwaśny zapach. Arystokrata, teraz już spokojny, zapiął spodnie i ruszył do drzwi.

– Chodźmy – powiedział, jakby nic się nie stało. – Napijmy się w końcu tego szampana.

Rose zakończyła rozmowę i sprawdziła pocztę głosową, na wypadek gdyby Merrett próbował się do niej dodzwonić.

„Nie masz żadnych nowych wiadomości. Masz osiem starych wiadomości...”

Wyłączyła telefon i odłożyła go na stół. Czuła nieprzyjemny ucisk w brzuchu, ale zrobiła już wszystko, co mogła zrobić tego wieczoru. Kiedy się w końcu pojawi, zabiję go, pomyślała, wstając i gasząc światło.

Siedzieli w Il Buffone, maleńkiej włoskiej kawiarni w stylu lat pięćdziesiątych, po północnej stronie Macklin Street, dokładnie naprzeciwko budynku, w którym znajdowało się ich mieszkanie. Alice bywała tu, odkąd się urodziła, Carlyle jeszcze wcześniej. Teraz minęła właśnie szesnasta, a inspektor i jego córka byli jedynymi klientami, którzy zostali jeszcze w kafejce. Właściciel, Marcello, właśnie wywiesił tabliczkę z napisem „Zamknięte”. Nucąc pod nosem Cuore Matto – Szalone serce – włoski przebój z lat sześćdziesiątych, sprzątał i przygotowywał się niespiesznie do wyjścia.

Alice przez chwilę mieszała rurką sok pomarańczowy, a potem podniosła wzrok na ojca.

– Nie jestem głupia, tato – powiedziała, mierząc go wyniosłym spojrzeniem.

Zupełnie jak jej matka, pomyślał inspektor. Ogarnęło go znajome i nie do końca nieprzyjemne poczucie bezradności.

– To, że jakieś dziewczyny z mojej klasy zachowują się jak idiotki, nie znaczy, że ja też będę się tak zachowywała – ciągnęła Alice.

Carlyle poczuł ukłucie bólu w piersiach i zmusił się do uśmiechu.

– Wiem, kochanie. – Miał teraz szansę poruszyć kwestię narkotyków, o którym wspomniała mu wcześniej Helen. Jego córka najwyraźniej gotowa była podjąć ten temat, ale Carlyle zdawał sobie sprawę, że niewiele ma jej do powiedzenia. Nie może przecież zrobić nic, by zmniejszyć ryzyko. Zacisnął dłoń na filiżance z kawą.

– Chodzi tylko o to...

Zerknął na stary plakat zwycięskiej drużyny Juventus z 1984 roku wiszący nad głową Alice. Ale nawet Trapattoni i Platini nie mogli udzielić mu rady w tej kwestii.

– Mama mówiła, że wyrzucono ze szkoły kilka dziewczyn.

– Tak, ale to było już chwilę temu. – Alice dokończyła sok i włożyła płaszcz, dając w ten sposób do zrozumienia, że może już iść

do domu.

– Jedna z nich była w twojej klasie – zauważył Carlyle swobodnym tonem, choć zdawał sobie sprawę, że wchodzi w rolę policjanta.

– Tak, Susan Watts. Ale ja nigdy się z nią nie przyjaźniłam. Poza tym nie wydaje mi się, żeby coś robiła.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Alice ściągnęła brwi.

– Myślę, że ona niczego nie brała. I bez tego była zdrowo walnięta.

Carlyle uniósł brwi.

– Więc co z nimi robiła?

– Trzymała trochę towaru swojego chłopaka – odparła Alice równie swobodnym tonem. – Właśnie to przy niej znaleźli: pięć czy sześć skrętów z trawą.

– Swojego chłopaka?

– Tak, chodzi do Central Foundation. A właściwie chodził. – Alice się uśmiechnęła. – Jego też wywalili. Prawdę mówiąc, był brzydki. Ale miał szesnaście lat.

Szesnaście? – pomyślał Carlyle ze zgrozą.

– Och... – wymamrotał, starając się nie okazywać paniki. Co jest gorsze: narkotyki czy chłopcy? Dyskusyjna sprawa. Odetchnął.

– Czy ty...

Przerwał mu Marcello, który pojawił się przy stoliku, niosąc torebkę z niesprzedanymi kawałkami ciasta dla Carlyle'a. Wręczył ją inspektorowi, a potem uśmiechnął się do Alice.

– Jak tam w szkole?

– W porządku, Marcello, dziękuję – odparła sztywno. – Choć co jakiś czas muszę chodzić na przesłuchanie do ojca.

Marcello zachichotał.

– Powinnaś słuchać swojego taty, młoda damo. On wie, co mówi.

Gdyby tylko, westchnął w duchu Carlyle. Gdyby tylko... W tym momencie zaczął dzwonić telefon w jego kieszeni. Inspektor wyjął go i

odebrał.

– Halo?

– John? Mówi Warren Shen. Próbowaleś się ze mną skontaktować?

Shen czekał na niego w obskurnej kawiarni przy Holloway Road, pochylony nad kubkiem kawy. Naprzeciwko niego siedziała młoda kobieta, ładna, ale wyraźnie czymś zatroskana i zmęczona. Carlyle bez słowa przysunął sobie krzesło i usiadł.

Shen skinął głową na kobietę.

– Rose, to jest inspektor John Carlyle z komisariatu Charing Cross. John, to Rose Scripps z...

– Miałeś jakieś wiadomości od Igora? – przerwał mu bezceremonialnie Carlyle.

Shen opadł na oparcie krzesła i przyjrzał mu się uważnie.

– Nie, jeszcze nie.

– Wiesz, że znaleźliśmy dziewczynkę?

– Wiem – westchnął Shen. – To okropne.

Carlyle zerknął na kobietę, która przyglądała im się w milczeniu. Potem znów odwrócił się do Shena.

– Więc co z tym zrobimy?

Niepewna mina Shena mówiła: „Właściwie to nie mój problem”. Upił łyk kawy, a Carlyle zauważył na kubku logo Arsenalu i napis „Niezwyceźeni”, upamiętniający sezon 2003–2004, kiedy drużyna nie przegrała ani jednego meczu. To jeszcze bardziej zepsuło mu humor. Inspektor, kibic Fulham, nie cierpiał Arsenalu. Był to ulubiony klub zniewieściałej metroseksualnej elity mediów, która nie miała pojęcia o futbolu i jego dziedzictwie i była niemal równie beznadziejna jak kibice Chelsea.

– Spotkam się z Igorem jeszcze raz – powiedział w końcu Shen. – Moi chłopcy wiedzą, że bardzo nam na tym zależy. Będziemy trzymali rękę na pulsie. – W tym momencie zaczął wibrować jego telefon leżący na stole. Komisarz sięgnął po niego szybko. – Halo? Tak... – Podniósł palec, pokazując, że za chwilę wróci, po czym wstał i ruszył do drzwi.

Uratowany w ostatniej chwili, pomyślał Carlyle, obserwując Shena, który stał na chodniku i rozmawiał przez telefon, odwrócony do nich plecami. Nagle poczuł dojmujący głód. Spojrzał na kobietę, która sprawdzała wiadomości na blackberry.

– Chciałabyś coś zjeść?

Nie podnosząc wzroku, pokręciła głową.

Carlyle popijał podwójne espresso i czekał na kanapkę z sadzonym jajkiem, gdy wreszcie wrócił Shen.

– Przepraszam – powiedział, wyciągając do inspektora rękę. – Muszę iść.

Carlyle uścisnął ją bez entuzjazmu.

– Zadzwoń, kiedy uda mi się porozmawiać z Igorem – dodał komisarz. Potem spojrzał na kobietę. – Rose, dawaj znać, co się dzieje w twojej... sprawie.

– Jasne. – Skinęła głową.

– Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

– Ja też.

– No to do zobaczenia – rzucił Shen, idąc do wyjścia.

Gdy tylko Carlyle dostał kanapkę, dodał do niej trochę keczupu i zabrał się do jedzenia. Kobieta skończyła wreszcie bawić się telefonem i schowała go do torebki. Potem wyjęła z niej wizytówkę i pchnęła ją po blacie w stronę inspektora.

Przeżuwając kolejny kęs, Carlyle przeczytał:

Rose Scripps, Centrum Ochrony Dzieci przed Wykorzystywaniem i Przestępstwami w Sieci

– Co tam robisz?

– Pracuję w NSPCC[3], zostałam czasowo przeniesiona do działu identyfikacji ofiar w CEOP.

– Hm...

I znów ta cholerna pomoc społeczna, pomyślał. Po prostu cudownie. Wiedział o istnieniu CEOP, ale nigdy z nimi nie współpracował. Pomyślał ze wstydem, że może powinien był

skontaktować się z nimi wcześniej. Spojrzał na Rose Scripps. Czy ta kobieta może mu w czymś pomóc?

– A skąd znasz Shena?

Rose przyjrzała mu się równie krytycznie.

– Właściwie wcale go nie znam. Miałam tylko nadzieję, że pomoże mi w sprawie, nad którą właśnie pracuję.

– No to powodzenia.

Rose pochyliła się do przodu i położyła ręce na stole.

– Dlaczego tak mówisz?

Carlyle włożył do ust ostatni kawałek kanapki, wytarł ręce w serwetkę, a potem dopił espresso.

– Cóż...

Przez następne dwadzieścia minut pili kawę i porównywali notatki. Carlyle czuł się nieco skrępowany, mówiąc o tym, że Alzbeta zniknęła w czasie, gdy miała znajdować się w ośrodku opieki społecznej, ale Rose wcale nie była tym zaskoczona.

– W zeszłym roku ponad trzy setki dzieci, które przybyły do Wielkiej Brytanii, zniknęły z ośrodków lokalnych władz – powiedziała.

– Ile z nich zostało tu sprzedanych? – spytał Carlyle z zaciekawionym.

– Na pewno sporo. Jakiś czas temu brałam udział w operacji Pentametr i wiem, że istnieje spory popyt na dzieci, tak jak i na dorosłych.

– Pentametr? – Inspektor pokręcił głową. – Niewiele o tym wiem.

– To była akcja skierowana przeciwko handlarzom ludźmi, których zmuszano do seksu albo do pracy. Setki nalotów i setki aresztowań. Uwolniono ponad dwieście osób, w tym kilkanaście dziewczyn w wieku poniżej osiemnastu lat.

– Kilkanaście na ponad dwie setki? – Carlyle się skrzywił. – Nie wygląda to najlepiej.

– Jak wszystkie nasze statystyki. – Spojrzała w okno i przez moment wydawało się, że wybuchnie płaczem. Jednak gdy odwróciła się do Carlyle'a, w jej oczach pojawił się stalowy błysk. – Te dzieciaki

pochodzą z całego świata. Wiele trafia tu z zachodniej Afryki, Chin i Wietnamu, ale też z takich miejsc jak Ukraina czy inne państwa byłego bloku sowieckiego. Niektóre przyjeżdżają z własnej woli, proszą o azyl. Większość to ofiary handlu ludźmi. Jeśli władze przejmą je na lotnisku, handlarze i tak wiedzą, gdzie prawdopodobnie zostaną przewiezione. Mówią też dzieciakom, żeby stamtąd uciekały, gdy tylko będą mogły. Lokalne władze po prostu nie traktują tego problemu z należytą powagą.

Carlyle pokiwał głową, zgadzając się z tym stwierdzeniem.

– Więc kiedy dziecko znika – ciągnęła Rose – nie mamy żadnych danych. Żadnych zdjęć, nazwisk czy dokumentów. Wietnamscy chłopcy trafiają na nielegalne uprawy marihuany. Dziewczyny z zachodniej Afryki zmusza się do pracy w burdelach albo sprzedaje jako służące. Chińskie dzieciaki pracują w restauracjach albo w handlu obwoźnym.

– Boże...

– Zdarza się, że wykorzystywane są nawet dzieci, które mieszkają w domach opieki społecznej. Słyszałam o przypadku czterech dziewczyn, które handlarz codziennie zabierał do burdelu, a potem odwoził.

– No tak, to całkiem niezłe rozwiązanie biznesowe – stwierdził Carlyle. – Tną koszty do minimum.

Rose ściągnęła brwi.

– Zawsze jesteś taki cyniczny?

– Staram się – odparł Carlyle, uśmiechając się blado. – Traktuję to jako talent od Boga.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W końcu Rose wstała i oznajmiła, że musi jechać po córkę.

– Porozmawiamy jeszcze – obiecała.

Carlyle skinął głową.

– Tak.

Wyglądało na to, że ich sprawy mogą być ze sobą powiązane. Prosząc kelnerkę o rachunek, inspektor obserwował Rose Scripps,

która szła energicznym krokiem ulicą. Interesująca kobieta, pomyślał.
Może razem z nią rozgryzę tę sprawę. Może.

19

Czysty absurd. Człowiek nie może już sobie nigdzie spokojnie zapalić. Bez munduru, ale nadal w pracy, Tommy Dolan wszedł na chodnik przy Cork Street, w centrum Piccadilly, i zapalił papierosa. Spoglądając przez szybę na ludzi we wnętrzu Block Gallery, którzy objadali się kanapkami i popijali je rosyjskim szampanem (całkiem niezłym, musiał przyznać), zaciągnął się głęboko. Ach, od razu lepiej. Wypuścił dym w stronę plakatu, który reklamował wystawę młodej brytyjskiej rzeźbiarki Henrietty Templeton.

– Cześć, Tommy!

Dolan odwrócił się i zobaczył Johna Carlyle'a stojącego na krawężniku obok jakiegoś grubego uśmiechniętego faceta, który był zapewne jego pomagierem.

– Kurwa... – jęknął Dolan, zaciągając się. – Czego chcesz?

– Przyszliśmy zobaczyć się z twoim szefem – odparł Carlyle wesołym tonem, któremu przeczyła wrogość widoczna w jego oczach.

– Co? – Dolan zaciągnął się po raz ostatni i rzucił niedopałek w stronę kanału.

– Chcemy pogadać z Gordonem Elstree-Ullickiem – odparł Carlyle, spoglądając na tłum w galerii. – Znanym także jako hrabia Falkirk. Dwudziestym drugim w kolejce do tronu, o ile mi wiadomo. Facetem, którego masz dziś chronić przed zagrożeniami ukrytymi wśród tych rzeźb.

Dolan stanął przed wejściem. Nie był szczególnie wysoki, ale mimo to odrobinę górował nad Carlyle'em.

– To nie jest mój szef. I raczej nie życzę sobie, żebyś mu teraz przeszkadzał. Ma ważniejsze sprawy na głowie, więc może pójdziesz sobie stąd jak na grzecznego chłopca przystało, a ja dam mu znać, że chciałeś się z nim zobaczyć.

Carlyle zrobił krok do przodu.

– Och, daj spokój, Tommy. Chyba nie chcesz, żeby mój kumpel Joe musiał cię aresztować? Pomyśl tylko, jakiego narobiłby ci wstydu

przed twoimi bogatymi przyjaciółmi.

Do drzwi podeszła zadbana kobieta w futrze, obrzuciła ich niemiłym spojrzeniem i weszła do środka.

– Aresztować mnie? – parsknął Dolan, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi. – Niby za co? Chyba coś ci się popierdoliło w tej pustej głowie.

– Na przykład za napaść na Alexę Matthews.

– Bzdura. Nie tknąłbym tej tłustej krowy nawet kijem.

– Widziałem, jak ją urządziłeś.

Dolan uśmiechnął się paskudnie.

– Coś mi się zdaje, że to ją prędzej aresztują.

Carlyle odchrząknął.

– No i jest jeszcze sprawa Daltona.

– Joe? – Dolan zmrużył oczy. – Popęłnił samobójstwo. Co to ma ze mną wspólnego?

Carlyle pochylił się w jego stronę.

– Mamy cię na oku, Tommy. United-14... całe to gówno. Przeciągasz strunę, stary.

– Masz nakaz?

Carlyle milczał.

– Tak też myślałem. – Dolan skrzywił się pogardliwie. – Jak zawsze pieprzysz trzy po trzy. A teraz spierdalaj. – Położył dłoń na piersi inspektora i odepchnął go od drzwi. Gdy Carlyle cofnął się o krok, Joe Szyszkowski prawą ręką złapał Dolana za kołnierz, a lewą wymierzył mu potężny cios w brzuch.

Celnie trafiony policjant jęknął z bólu i zdumienia, gdy ugięły się pod nim nogi.

Żaden ze zgromadzonych w galerii gości nie zwracał na nich uwagi.

Sierżant odciągnął Dolana od wejścia, po czym zwrócił się do Carlyle'a:

– Ja się nim zajmę. Ty idź do środka.

W galerii było co najmniej dziesięć stopni cieplej niż na ulicy. Carlyle zdjął płaszcz i czekał cierpliwie, aż dziewczyna w recepcji podniesie głowę znad książki. Uśmiechnął się, dojrawszy jej tytuł: Zła sztuka dla złych ludzi.

– Nazwisko? – Zdobywszy się na nadludzki niemal wysiłek, dziewczyna spojrzała na niego przez okulary w czerwonych oprawkach, tkwiące na jej całkiem sporych rozmiarów nosie. Oprócz tego w oczy Carlyle'a rzuciły się przede wszystkim jej blond włosy, sznur pereł i wystudiowana, znudzona mina. Londyn zaludniały tysiące podobnych jej dzianych pseudoprofesjonalistów. Inspektor postanowił nie zwracać na to uwagi.

– Carlyle – odpowiedział uprzejmie.

Dziewczyna odłożyła książkę i powoli przejrzała listę nazwisk leżącą na blacie. Na jej ustach pojawił się drwiący uśmieszek.

– Przykro mi, ale nie ma tu pańskiego nazwiska.

Carlyle położył na blacie swoją legitymację.

– To dlatego, że jestem policjantem i przyszedłem tu służbowo. To nie ma nic wspólnego z galerią. Chciałem tylko porozmawiać z jednym z waszych gości. – Wskazał legitymację. – A to pokazuję tylko dla informacji pani szefa. W geście uprzejmości, żeby wiedział, że tutaj jestem.

– Policjant? – Dziewczyna przekrzywiła głowę, jakby próbowała przetworzyć tę informację.

– Tak. Proszę to wziąć. – Carlyle podał jej swój płaszcz. – Niedługo wrócę.

Zostawiwszy za sobą recepcję, wziął kieliszek z winem z tacy stojącego nieopodal kelnera i rozejrzał się po sali. Galeria była całkiem spora, główna sala miała jakieś siedemdziesiąt metrów kwadratowych, a na tyłach znajdowała się jeszcze jedna, nieco mniejsza. Jednak gdy zgromadziło się tu dobrze ponad sto osób, w obu salach zrobił się tłok. Wszyscy pochłonięci byli rozmową i nie zwracali uwagi na dzieła sztuki, nikt też nie zauważył wejścia inspektora. Carlyle upił łyk wina i zaczął iść powoli przez salę, wypatrując swojej ofiary.

Kilka minut później namierzył Falkirka, który rozmawiał właśnie z dwiema blondynkami na końcu głównej sali. Stali za wapienną rzeźbą zatytułowaną Krajobraz umysłu, przy której znajdowała się fiszka z ceną równą niemal trzem czwartym rocznych zarobków inspektora. Carlyle dopił wino i odstawił kieliszek na tacę przechodzącej obok kelnerki. Potem wyjął z kieszeni legitymację i ruszył w stronę hrabiego.

– Halo? Haaloo... – rozległ się nagle donośny głos.

Carlyle spojrział na prawo i zobaczył wysokiego mężczyznę w średnim wieku, ubranego w tweedową marynarkę, który stanął na niewielkim podwyższeniu. Trzymał w ręku mikrofon, w który stukał właśnie palcem, by sprawdzić, czy działa. Wyglądało na to, że tak. Smuga światła z zawieszzonego pod sufitem reflektora odbiła się od jego łysiny, gdy nerwowo podkręcał swoje imponujące wąsy.

– Dobry wieczór, panie i panowie.

Falkirk i jego towarzyszki odwrócili się w stronę mówcy. Carlyle mimowolnie podchwycił spojrzenie arystokraty. Elegancki młodzieniec miał obrzmiałą twarz i szkliste oczy – bez wątpienia zdążył już sporo wypić. Hrabia zatrzymał na moment wzrok na twarzy inspektora, a potem szybko się odwrócił.

– Jak wielu z was zapewne wie, nazywam się Laurence Block i jestem właścicielem tej galerii, a zarazem gospodarzem dzisiejszego wieczoru.

Porzuciwszy blondynki, Falkirk powoli, lecz zdecydowanie, przeciskał się przez tłum, zbliżając się do sceny, ale też i do drzwi.

– Chciałbym powiedzieć, że ogromnie cieszymy się, mogąc gościć tę wystawę...

Choć od Falkirka dzieliły go zaledwie jakieś cztery metry, Carlyle nie mógł za nim nadążyć. Ludzie słuchali przemówienia i wcale nie chcieli mu ustępować. Jakaś kobieta kopnęła go nawet w łydkę, gdy próbował przepchnąć się obok niej.

– Wystawione tu prace opowiadają nam o historii i niezwykłych miejscach, o izolacji i ukrytych głębiach...

Nim Carlyle dotarł do krańca sceny, Falkirk zniknął mu z oczu. Jak udało mu się uciec? Tutaj tłum nie był już taki gęsty, więc inspektor szybciej dotarł do drzwi. Wyszedłszy na ulicę, rozejrzał się. Ani śladu Falkirka.

Kurwa! Carlyle zadrżał z zimna i przypomniał sobie, że zostawił w szatni płaszcz. Z galerii dobiegły oklaski nagradzające przemówienie Blocka, a potem zastąpił je szmer rozmów. Carlyle otworzył drzwi i był już jedną nogą w środku, gdy z tyłu dobiegło go wołanie:

– Szefie!

Odwrócił się i zobaczył, jak Joe Szyszkowski prowadzi Falkirka.

– To ten? – spytał.

– Tak. – Carlyle się rozpromienił.

– Doskonale. – Sierżant odpowiedział uśmiechem. – Inaczej moglibyśmy mieć mały problem z oskarżeniem o naruszenie nietykalności cielesnej.

Falkirk chwiał się lekko i milczał wyniośle.

– Co mam z nim zrobić? – spytał Joe.

– A gdzie jest Dolan?

Joe wskazał nieoznakowane volvo zaparkowane dwadzieścia metrów dalej.

– W samochodzie.

– Dobra. Wsadź go tam i pojedziemy do komisariatu. Tylko odbiorę płaszcz.

Simon Merrett obudził się gwałtownie, gdy ktoś trącił go czubkiem buta w kark. Dopiero po kilku sekundach uzmysłowił sobie, że wciąż jest przykuty w betonowej piwnicy w pustym biurze. Bolała go głowa, usta wypełniał kwaśny metaliczny posmak. Tuż przed nim stał pomocnik gangstera w za dużej koszulce z wizerunkiem Jacka Bauera. W prawej ręce, opuszczonej wzdłuż tułowia, trzymał mały czarny pistolet. Merrett otworzył szerzej oczy. Artiom uśmiechnął się szeroko, napawając się strachem więźnia. Powoli, ostentacyjnie odciągnął bezpiecznik. Merrett skrzywił się, a potem zacisnął mocno zęby i pośladki.

– Dość! – Igor Czepojak wyszedł z cienia i położył dłoń na ramieniu Artioma, a ten z ociąganiem zabezpieczył broń. Potem schował ją do tylnej kieszeni spodni i przeszedł w drugi koniec pomieszczenia.

Igor spojrział przez okno na mrok północnego Londynu, ogarnięty nagłą i dojmującą tęsknotą za domem. Często czuł ją właśnie w obecności śmierci. Najbardziej bał się, że umrze w tym wstrętnym mieście i nigdy nie wróci na Ukrainę. Dawno już wybrał i opłacił miejsce pochówku na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Udało mu się kupić okazałą kryptę tuż obok grobowca poety Iwana Franki. Musiał w tym celu wręczyć potężną łapówkę pewnemu urzędnikowi, który osobiście dopilnował, by ekshumowano i poddano kremacji rodzinę pewnego żydowskiego kupca spoczywającą w tym miejscu od stu dwudziestu lat. Oczywiście za jakiś czas ktoś może zrobić to samo z Igorem. Pochowana tam już jednak była jego matka, a Igor czerpał otuchę z myśli, że kiedy przyjdzie na niego pora, dołączy do niej.

W końcu oderwał się od tych rozmyślań i spojrział na Merretta.

– Nie martw się – powiedział cicho. – Artiom cię nie zabije.

Merrett poczuł nagłą suchość w ustach. Drżąc z zimna, próbował wymyślić jakąś odpowiedź, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Ale musimy coś zrobić – dodał Igor.

– Wypuście mnie! – wychrypiał Merrett.

– Zastanawiałem się nad tym – odparł Igor z uśmiechem. – Problem w tym, że ty jesteś problemem. A ja muszę rozwiązywać problemy – te słowa wypowiedział już bez uśmiechu.

Mózg Merretta zaczął w końcu pracować.

– Będą mnie szukali – powiedział.

– Nikt cię tutaj nie znajdzie – prychnął Igor.

– Jestem policjantem. Nie przestaną, dopóki mnie nie znajdą.

– Tak? – Igor się skrzywił. – Więc teraz przyznajesz, że jesteś policjantem? Więc niech cię szukają, panie policjancie. – Roześmiał się chrapliwie.

Merrett wytarł nos w rękaw kurtki.

– Co powie Shen, jeśli mnie... skrzywdzisz?

– Shen? – Igor podszedł do niego. – Shen nawet nie wie o twoim istnieniu. Ale na pewno będzie zachwycony, kiedy się dowie, że ty i twoja koleżanka, panna Scripps, uważacie go za zdrajcę. – Ukraińiec spojrział w sufit i pogładził się po brodzie w teatralnym zamyśleniu. – Tak, ciekawe, co on o tym pomyśli?

Jezu, pomyślał przerażony Merrett. Skąd on wie o Rose? Teraz i tak nie może już nic z tym zrobić.

– Więc co z Shenem? – spytał. – Kupiliście go czy nie?

– To nie twój problem. – Igor przesunął się za Merretta, wyjmując z kieszeni pistolet Fort-12 CURZ. Przysunął lufę do jego głowy i pociągnął za spust... a potem jeszcze raz. Nim ciało policjanta upadło na podłogę i znieruchomiało w kałuży krwi, która natychmiast zaczęła się pod nim tworzyć, echo wystrzałów ucichło w pustym budynku, zastąpione jednostajnym pomrukiem ruchu ulicznego. Igor schował pistolet do kieszeni, ominął ciało i ruszył do drzwi. Skinął głową na Artioma, który stał pod ścianą, wyraźnie znudzony. – Chodźmy.

Carlyle, oparty o blat recepcji, patrzył, jak Falkirk i jego prawniczka znikają w ciemnościach londyńskiej nocy. Hrabia potrzebował niewiele ponad godzinę, by sprowadzić do komisariatu Charing Cross swojego przedstawiciela, a właściwie przedstawicielkę, przesadnie pewną siebie blondynkę. Ta, z kolei, potrzebowała niecałych dziesięciu minut, by zakończyć przesłuchanie i uwolnić swojego klienta. Falkirk nic nie powiedział i nie zareagował w żaden widoczny sposób, gdy Carlyle położył przed nim kilka zdjęć zwłok Alzbety.

– Poszło nieźle, co? – powiedział Joe Szyszkowski, podchodząc do recepcji z kubkiem herbaty.

Sierżant, który miał właśnie dyżur w recepcji, dojrzawszy morderczy błysk w oczach Carlyle'a, odsunął się szybko i zaczął z uwagą przeglądać jakieś dokumenty.

Joe upił łyk herbaty, siorbiąc głośno.

– Dzwonił też przedstawiciel związku zawodowego Dolana. Mówi, że złożą oficjalną skargę.

– Mam go w dupie – warknął Carlyle. – Jest tu jeszcze?

– Nie. Wyszedł szybciej niż jego szef.

– Cudownie.

Carlyle czuł, jak buzują w nim wściekłość i frustracja, tym bardziej dokuczliwe, że sam nie wiedział, co spodziewał się osiągnąć dzięki tej małej nocnej eskapadzie. Cierpliwość nie była jego mocną stroną, a dotarł już w tym śledztwie do momentu, w którym musiał przyspieszyć nieco bieg wydarzeń.

– Przynajmniej ich trochę nastraszyliśmy – zauważył Joe, jakby czytał w jego myślach. – Teraz będą musieli się bardziej pilnować.

– Pewnie tak. – Carlyle ziewnął, uznając, że czas już wracać do domu. Mogą się tym zająć następnego dnia. – O Chryste!

Przez drzwi po drugiej stronie sali weszła właśnie Carole Simpson. Wyglądała na zmęczoną, ale w jej oczach malowała się ponura determinacja. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział ją tutaj, w Charing Cross: z pewnością co najmniej kilka miesięcy temu. Jednego mógł być pewny: nie przyszła tu o dwudziestej drugiej z wizytą towarzyską.

Simpson dostrzegła Carlyle'a i jeszcze bardziej sposepniała. Inspektor stanął prosto i czekał, aż do niego podejdzie.

– John – powiedziała, kiwając głową na Joego Szyszkowskiego. – Musimy porozmawiać.

20

Gavin Heath siedział za kierownicą swojego peugeota bipper pro i jadł włoską kanapkę z tuńczykiem. Kupił ją w kafejce u Manciniego przy Brecknock Road, dwieście pięćdziesiąt metrów na południe od stacji metra Tufnell Park, gdzie zwykle robił sobie przerwę w połowie ośmiogodzinnej zmiany. Praca dla firmy ochroniarskiej Column Security była nudna, ale łatwa. Trzy lata temu Gavin zaczął od pilnowania budowy, teraz zaś nadzorował cały odcinek w północnym Londynie – sprawdzał puste biura i sklepy między King Cross i Wembley. Dostawał tylko niecałe dwanaście funtów za godzinę, a do tego musiał nosić idiotyczny mundur, ale przynajmniej miał z czego opłacić studia biznesowe na Uniwersytecie Wschodniego Londynu.

Gavin skończył kanapkę, starannie wytarł usta serwetką i sięgnął po kawę, którą odstawił wcześniej na fotel pasażera. Zdjął pokrywkę, podmuchał na gorący napój i upił łyk, obserwując świat dookoła. O tej porze w Tufnell Park panował jeszcze spory ruch. Uwagę Gavina przyciągnęły dwie ładne ciemnoskóre dziewczyny, które śmiały się i żartowały, czekając na autobus.

Uznawszy, że gapi się na nie zbyt długo, przesunął spojrzenie nieco dalej, na Carleton House, następny przystanek na jego trasie. Gavin patrzył na brzydki, przysadzisty biurowiec wciśnięty między lombard i dyskont i nie po raz pierwszy zastanawiał się, dlaczego ktoś postanowił wznieść tę budowlę właśnie tutaj. Ta część miasta w ogóle się do tego nie nadawała, i to jeszcze przed nadejściem kryzysu.

Nic dziwnego, że zabrakło chętnych na wynajęcie tej przestrzeni biurowej, a deweloper splajtował. Do tej pory do Carleton House nikt się jeszcze nie wprowadził, a zdaniem Gavina nikłe były szanse, by kiedykolwiek do tego doszło. Nigdy nawet nie wykończono wewnątrz budynku. Choć biurowiec miał dopiero trzy lata, już wyglądał jak rudera.

Nagle z radia na desce rozdzielczej wydobył się trzask, a potem kobiecy głos:

– Gavin? Jak leci?

Mówiła Jessica z centrali. Była miłą dziewczyną, a Gavin już kilka razy odniósł wrażenie, że ma do niego słabość. Kiedyś zaprosiła go nawet na drinka, ale odmówił. Nie chciał wiązać się z nikim z tej firmy. Traktował to jako pracę tymczasową i zakładał, że kiedy już odejdzie z Security Column, będzie to zamknięty rozdział w jego życiu.

– Wszystko w porządku. Jestem przy Carleton House w Tufnell Park.

– Nie meldowałeś się – zauważyła Jessica, ścisząc głos. Wyobrażał sobie, jak pochyła się nad biurkiem i niemal dotyka ustami mikrofonu. – To niezgodne z przepisami. – Zachichotała, wymawiając słowo „przepisy”, jakby znaczyło coś nieprzyzwoitego. – A Clinton znów się wściekał.

Clinton Roache, szef ich oddziału, zawsze narzekał, że jego podwładni nie przestrzegają procedur ustalonych przez firmę. Podczas objazdu każdy z pracowników miał co godzinę łączyć się z biurem.

Gavin zerknął na zegar na desce rozdzielczej i westchnął cicho. Prawdę mówiąc, podczas tej zmiany meldował się dopiero raz.

– W porządku, przepraszam. Wszędzie spokój, ale w ciągu następnej godziny na pewno się zgłoszę.

– Dzięki... Kończę o dwudziestej trzeciej.

Gavin uśmiechnął się do siebie. Musiała sprawdzać jego grafik.

– Pomyślałam, że moglibyśmy coś zjeść...

– Muszę się dziś uczyć – oświadczył stanowczo Gavin. – Rano mam zajęcia.

Tak się składało, że mówił prawdę, choć nie miało to większego znaczenia. Przed dziesiątą rano musiał oddać esej na temat Przyczyny kryzysu bankowego złożony z tysiąca pięciuset słów – bułka z masłem.

– Och, rozumiem...

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy. Tak czy inaczej, do zobaczenia później.

– Tak, do zobaczenia.

Dziewczyna się nie poddawała. To miłe, kiedy ktoś cię adoruje, pomyślał. Powiniennem być dla niej bardziej uprzejmy. Nałożył pokrywkę na kubek z kawą, wstawił go do specjalnego wgłębienia na desce rozdzielczej i wysiadł z furgonetki.

Drżąc z zimna, zapiął kurtkę i ziewnął. Kiedy czekał, aż będzie mógł przejść przez ulicę, zerknął na Carleton House i ściągnął brwi. Dopiero teraz uświadomił sobie, że na drugim piętrze pali się światło. Poprzedniej nocy w całym budynku było ciemno. Na pewno. Kto włączył to cholerne światło?

Już nieraz ktoś próbował sprawdzić, czy w środku nie ma czegoś, co dałoby się ukraść – miedzi, drewna, nawet kafelków. Mogli też zajrzeć tam wandalę, bo nie chciało mu się wierzyć, że to jakiś agent nieruchomości oprowadzał po wnętrzu budynku potencjalnego klienta i zapomniał zgasić światło.

– Cholera!

Gdyby okazało się, że ktoś włamał się do środka, Gavin miałby zepsuty cały wieczór. Musiałby wezwać policję, a wtedy utknąłby pewnie na dobrych parę godzin. Niełatwo przyszedłoby mu wywalczyć pieniądze za nadgodziny, tym bardziej że Clinton mógł mu zarzucić naruszenie przepisów. Co gorsza, na pewno nie zdążyłby wtedy napisać eseju.

Otworzył drzwi auta, oparł jedno kolano na fotelu kierowcy i włączył radio.

– Jess, to ja.

– Cześć.

– Nikt nie zaglądał dzisiaj do Carleton House, prawda?

– Chyba nie. A co?

– Światło się pali.

– Poczekaj, sprawdzę.

Gavin wsiadł do samochodu, zatrzasnął drzwi i czekał.

Mniej więcej minutę później zgłosiła się Jessica:

– Gavinie? Sprawdziłam rejestr. Wygląda na to, że nikogo tam nie było.

Gavin skrzywił się do swojego odbicia we wstecznym lusterku.

– Dobra, pójdę tam i rzucę okiem.

– Chcesz, żebym wezwała policję?

– Nie – odrzekł pospiesznie. – To pewnie nic ważnego. Zadzwoń do ciebie z komórki, kiedy już się rozejrzę.

Gavin wysiadł z windy na trzecim piętrze i wystukał kod na tabliczce przy drzwiach. Gdy nie usłyszał charakterystycznego trzasku otwieranego zamka, nacisnął lekko klamkę. Drzwi otworzyły się bezgłośnie, a chłopak zacisnął mocniej dłoń na metalowej obudowie latarki Led Lenser P17. Nie zważając na przyspieszone bicie serca, wszedł do środka.

– Halo?! – zawołał z udawaną pewnością siebie. – Tu ochrona budynku!

Żadnej odpowiedzi. Rozejrzał się. Wszystko wyglądało tak samo jak podczas jego ostatniej wizyty – betonowe podłogi, nieotynkowane ściany, kilka kabli zwisających z otworów w suficie. Mniej więcej to, czego należało oczekiwać po trzydziestu metrach niechcianej powierzchni biurowej w górnianej dzielnicy północnego Londynu.

Wyglądało na to, że nie ma się czym przejmować. Cieszył się, że nie wezwali policji, a jeszcze bardziej, że nie popsuł sobie wieczoru. Czas wracać na dół. Wyłączniki światła znajdowały się na ścianie po prawej. Podszedł do nich, podniósł rękę i wtedy dostrzegł kątem oka jakiś mały ciemny kształt przemykający po podłodze dziesięć metrów dalej, gdzie ściana wyginała się w łuk i zasłaniała dalszą część pomieszczenia. Gavin skrzywił się z odrazą: szczury były bez wątpienia najgorszym elementem jego pracy. Kilka metrów dalej przebiegł drugi szczur, a wtedy chłopak poczuł nieprzyjemny zapach. Jakiś kloszard najwyraźniej urządził tu sobie toaletę.

– Halo, jest tam kto?!

Gavin stał niezdecydowany przy wyłącznikach. Najchętniej zgasiłby światło i sobie poszedł, a potem skończył zmianę i napisał esej. Z drugiej jednak strony dręczyła go myśl, że w środku może leżeć jakiś pijany do nieprzytomności facet, który narobił pod siebie i nie

poczuję nawet, jak szczury odgryzą mu palce u nóg, a może i nos. Nie, Gavin nie chciałby mieć tego na sumieniu.

Klnąc pod nosem, ruszył w głąb większej sali. Patrzył przy tym uważnie pod nogi, by nie nadepnąć przypadkiem na kolejnego szczura. Gdy wyszedł zza rogu, podniósł wzrok na znajomy widok północnego Londynu za oknem. O mało nie wyskoczył ze skóry, gdy tuż obok przemknął trzeci szczur, który dołączył do dwóch pozostałych kręcących się przy ciele. Gryzonie ślizgały się w kałuży krwi przy haku zamocowanym w podłodze.

Gavin stanął jak wryty, a jego mózg próbował ogarnąć to, co widzą oczy – hak, kajdanki, krew. Przełknął ciężko, potem jeszcze raz, powstrzymując kolację, która podchodziła mu do gardła. Zaciśnął mocno zęby i skoncentrował się na oddychaniu przez nos. Gdy w końcu odzyskał nad sobą panowanie, podszedł na tyle blisko zwłok, by odstraszyć szczury.

– Wynocha stąd, gnoje! – wrzasnął, machając nogą w kierunku uciekających gryzoni.

Wyjął komórkę i zadzwonił do centrali. Jessica odebrała po drugim sygnale.

– Jess – zaczął, już prawie spokojny – musisz jak najszybciej wezwać tu policję.

Wszyscy troje siedzieli w pokoju przesłuchań, z którego zaledwie piętnaście minut wcześniej wyszedł hrabia Falkirk. Popijając resztkę herbaty, Joe Szyszkowski przyglądał się z zaciekawieniem Carlyle'owi. Inspektor dobrze wiedział, co go czeka, postanowił więc uderzyć pierwszy.

– Mamy tu do czynienia... – zaczął.

Simpson podniosła rękę.

– Mamy tu do czynienia z kolejnym wybrykiem Johna Carlyle'a, który znów zachował się jak słoń w składzie porcelany – powiedziała ostro. – Wiesz, ile telefonów w twojej sprawie odebrałam dziś wieczorem?

Carlyle zerknął na Joego i z trudem powstrzymał głupawy uśmiezek. Czuł się, jakby znów miał trzynaście lat i stał przed gniewnym obliczem nauczycielki, która groziła mu obniżeniem oceny z zachowania.

Simpson zaczęła odliczać na palcach.

– Singer ze związków zawodowych, Charlie Adam, oczywiście, i Mazar Corrigan...

Carlyle uniósł brwi w niemym pytaniu.

– Mój odpowiednik z SO14 – wyjaśniła Simpson. – Szef Charliego Adama. A to były tylko telefony dotyczące Dolana.

Joe wbił wzrok w dno kubka.

– A jeśli chodzi o Falkirka...

Tym razem to Carlyle podniósł rękę.

– Dobra, wiemy już, o co chodzi.

Simpson złożyła dłonie i pochyliła się nad stołem.

– Więc powiedz mi, co tu się dzieje, do cholery.

Carlyle odchylił się na krześle i włożył ręce do kieszeni.

– Falkirk to ten facet, który był w Green Park, gdy znalazłem tę małą Ukrainkę.

Simpson zmrużyła oczy.

– Jesteś pewny?

– Tak. Dziś wieczorem mnie rozpoznał i dlatego próbował uciec.

Joe pokiwał głową.

– Zgadza się.

– Ale... – zaczęła powoli Simpson – na razie nie masz żadnych dowodów, które łączyłyby go z handlem dziećmi.

– CEOP prowadzi śledztwo w podobnej sprawie – powiedział Carlyle, uchylając się od odpowiedzi na pytanie przełożonej. – Przypuszczamy, że ścigamy tych samych ludzi.

– Dlaczego przez całe życie zajmujesz się śledztwami, za które powinien odpowiadać ktoś inny? – Simpson westchnęła i wzniosła oczy do nieba.

– Ale... – chciał zaprotestować Carlyle.

Simpson spojrzała mu prosto w oczy.

– Musisz zostawić tę sprawę – powiedziała powoli.

Carlyle wytrzymał jej spojrzenie, przykazując sobie jednocześnie w duchu: Nie podnoś głosu. Wykręć się jakoś z tego. Nagle jednak stwierdził, że ma pustkę w głowie. Gdy zaczął wibrować telefon w jego kieszeni, natychmiast po niego sięgnął, grając na zwłokę.

– Halo?

– Carlyle? Mówi Rose – rozległ się drżący głos.

– Kto?

– Rose. Rose Scripss z CEOP.

– Tak? – Carlyle nie zwracał uwagi na zirytowane spojrzenie Simpson.

– Znaleźli Simona. – Rose płakała.

– Kogo?

W słuchawce słychać było tylko cichy szloch.

– Halo?

– Znaleźli Simona – wykrztusiła w końcu Rose. – Simona Merretta.

– Tak? – powiedział Carlyle, tym razem znacznie łagodniej. Zrozumiawszy, do czego zmierza ta rozmowa, był na siebie zły za wcześniejszą opryskliwość.

– Nie żyje. – Przez moment zmagła się ze łzami. – Strzelili mu w głowę.

21

Kiedy przeszedł obok jednego z techników kryminalistycznych, zobaczył najpierw ślady gryzoni w krzepnącej krwi i kajdanki, a w nos uderzył go zapach moczu. Potem spojrzął na twarz ofiary. Od razu go rozpoznał. Tak, widział już wcześniej tego faceta, pamiętał nawet kiedy i gdzie. Zamknął oczy i zobaczył obraz tego samego człowieka siedzącego przy stoliku, popijającego piwo i bawiącego się telefonem. Zupełnie, jakby oglądał film.

Dlaczego on tam był?

Dlaczego jest tutaj?

I dlaczego został zabity?

Warren Shen odsunął się, robiąc miejsce załodze ambulansu, która przełożyła ciało na nosze. Udając zwykłego gapia, obserwował, jak technicy pakują swój sprzęt i jadą z powrotem do komisariatu West Hampstead. Jedną z kul znaleziono w ścianie przy drzwiach, druga prawdopodobnie wciąż tkwiła w głowie Merretta. Shen domyślał się, kto ją tam wpakował. Podeszedł do okna i spojrzął na karetkę czekającą przy krawężniku.

– To on.

Shen odwrócił się i zobaczył współpracownicę ofiary, Rose Scripps, która skinęła właśnie głową, identyfikując zmarłego. Potem skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła w milczeniu, jak ratownicy zakrywają twarz Merretta i go zabierają. Shen poczekał, aż go zauważą, i dopiero wtedy do niej podeszedł. Wyglądała na ledwie żywą ze zmęczenia, a na jej policzkach widać było ślady łez, teraz jednak zachowywała profesjonalny spokój.

– Co ty tutaj robisz? – spytała, odrobinę tylko drżącym głosem.

– Bardzo mi przykro – powiedział, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Nigdy nie straciłem współpracownika i nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jakie to musi być okropne.

Odsunęła się i spuściła wzrok.

– A ja nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak przyjmie to jego żona... i dzieci.

Shen wbił spojrzenie w czubki swoich butów.

– Tak. Jasne.

– Przynajmniej mogłam zidentyfikować ciało i oszczędzić tego Claire.

– Usłyszałem o tym w radiowozie – powiedział Shen, odnosząc się w końcu do jej pytania. – Rozpoznałem nazwisko i kazałem im do ciebie zadzwonić.

– Skąd wiedzieli, że to Simon? – spytała.

– Miał przy sobie portfel. Zidentyfikowali go na podstawie kart kredytowych.

– Żadnych śladów napadu?

– Nie wiem – odparł Shen wymijająco. – Zniknęła podobno jego legitymacja CEOP, ale o szczegółach musiałabyś porozmawiać z oficerem prowadzącym. – Wskazał korpulentnego mężczyznę w średnim wieku, który stał po drugiej stronie pomieszczenia i rozmawiał cicho przez telefon. – Kevin Ellington. Znam go trochę. Przyzwoity facet.

Rose skinęła w milczeniu głową.

Shen spojrział przez okno na ambulans, który właśnie odjeżdżał spod budynku.

– Nad czym pracował Simon? – spytał od niechcienia.

Rose zastanawiała się nad tym przez chwilę, jakby targana sprzecznymi impulsami.

– Nie wiem – odparła w końcu.

Więc nie chcesz ze mną grać? Proszę bardzo, pomyślał Shen. W takim razie nie będziemy grali. Ale to ty chciałaś ze mną rozmawiać, pamiętasz? Poczul się urażony, przecież poprosiła go o pomoc, ale najwyraźniej mu nie ufała.

– Nie wiem, co właściwie robił, kiedy zaginął.

A ja wiem, pomyślał Shen.

– Cóż. – Westchnął. – Ellington na pewno to rozwikła. Daj mi znać, jeśli będę mógł ci w czymś pomóc.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył do drzwi, skupiony już na tym, co musiał zrobić.

Alice zwolniła i zaczęła się rozglądać. Nie miała pojęcia, gdzie właściwie jest. Na chodnikach było pusto, ale na jezdniach nadal panował spory ruch. Przystanęła na krawężniku i przepuściła trzy kolejne samochody. Kiedy czwarty był już bardzo blisko, wyszła śmiało na środek ulicy, zamykając oczy, oślepiąca blaskiem reflektorów.

Cholera!

Carlyle, wyrwany gwałtownie ze snu, obrócił się na plecy i zamrugał szybko. Musiał obślinić poduszkę, bo teraz za uchem czuł zimną wilgoć. Helen, odwrócona do niego plecami, pochrapywała cicho. Jasnozielone cyfry na budziku ustawionym przy łóżku wskazywały trzecią dwadzieścia trzy. Wiedział, że raczej już nie zaśnie, chciało mu się też sikać. Mimo to wołał nie wstawać, żeby nie obudzić żony.

Rzadko miewał sny. Teraz leżał w pomarańczowym półmroku, wpatrywał się w sufit i myślał o swoim koszmarze. Z pobliskiej ulicy, może Kingsway, a może Shaftesbury, dochodziło wycie syreny radiowozu albo ambulansu jadącego do kogoś, kto narobił sobie kłopotów. Carlyle wcale nie był ciekaw, co to za kłopoty – cieszył się, że nie dotyczą jego.

22

Pogoda była paskudna, podobnie jak jego nastrój. Oparty prawą łopatką o szybę, Carlyle czuł, jak deszcz smaga okno, słyszał też wycie wiatru pędzącego William IV Street. Stał tutaj, w jednej z większych sal konferencyjnych komisariatu Charing Cross, prawie od godziny i nic nie robił. Popijając ponuro zimną kawę, podniósł wzrok znad wyświetlacza telefonu i spojrzał na Rose Scripps i Joego Szyszkowskiego, którzy przekładali zdjęcia i dokumenty ułożone na stole. Leżały tu owoce ich śledztw, wyliczanka wszystkich głównych graczy, znanych i nieznanych. Główne miejsce zajmowało zdjęcie uśmiechniętego Falkirka wycięte z czasopisma. Wszyscy troje przez chwilę wpatrywali się w ten kolaż. Bez rezultatu.

Poziom energii w pokoju opadał w zawrotnym tempie. Nie po raz pierwszy tego ranka Carlyle wrócił myślami do Shena. Poprzedniego wieczoru dzwonił do niego dwa razy, ale bez powodzenia. Komisarz najwyraźniej go ignorował. Carlyle schował telefon do kieszeni i stłumił ziewnięcie.

– No dobrze, i co tutaj mamy?

Rose odsunęła się od stołu. Wyglądała na wyczerpaną, jakby w ogóle nie spała. Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

Joe podrapał się po głowie i wbił wzrok w ścianę nad głową Carlyle'a.

– Simpson nie ma nic przeciwko temu, że się tym zajmujemy?

Inspektor wzruszył ramionami. Nie kontaktował się z komendantką, odkąd poprzedniego wieczoru wyszedł z komisariatu. Nie chciał rozmawiać z nią o Merretcie, dopóki nie miał pewności, że jego śmierć powiązana jest ze sprawą Alzbeta. Simpson mogłaby pomyśleć, że śledztwo znów zmieniło kierunek, a tego zdecydowanie chciał uniknąć.

Wszyscy aż podskoczyli, gdy nagle rozdzwonił się telefon stacjonarny stojący na parapecie obok Carlyle'a. Inspektor pochylił się i podniósł słuchawkę.

- Halo - rzucił.

- John?

- Tak.

- Mówi George Patrick. Mamy dla ciebie przesyłkę w recepcji.

- Naprawdę? - zdziwił się Carlyle. Recepcja zwykle nie przyjmowała żadnych przesyłek.

- Naprawdę - potwierdził sierżant. - Wielkie pudło z ciastkarni Candy Cakes. Wygląda nieźle.

- Z ciastkarni? - Carlyle poczuł znajome burczenie w brzuchu.

- Jest bezpieczna - dodał Patrick. - Prześwietliliśmy ją. Jest też przy niej jakiś liścik.

- Dobra. - Carlyle zerknął na Joego, który na wzmiankę o jedzeniu wyraźnie się ożywił. - Zaraz będę na dole.

Carlyle stał przed recepcją i patrzył z uśmiechem na dwanaście babeczek ułożonych starannie w pudle i zwieńczonych polewą w różnych kolorach. Wziął ciastko z jaskrawoniebieską polewą i odgryzł kęs. Było pyszne. Dokończył je bez zastanowienia, obserwowany z zazdrością przez George'a Patricka i kręcącego się w pobliżu funkcjonariusza służby pomocniczej. Wskazał pudełko.

- Częstujcie się.

Kiedy już wybrali babeczki, Carlyle wziął jeszcze trzy (jedną dla Joego, jedną dla Rose i jeszcze jedną dla siebie) i ruszył w stronę schodów.

- Nie zapomnij o liście - powiedział Patrick, przeżuwając ciastko.

- A tak...

Carlyle zawrócił, sięgnął po małą kopertę przyklejoną taśmą do pudełka i wsunął ją do kieszeni.

Pięć minut później skończył drugie ciastko i siedział przy biurku z filiżanką świeżej kawy. Postanowił, że na razie pozostawi Joego i Rose samym sobie i nadrobi trochę papierkowej roboty, którą zaniedbał w ostatnich tygodniach. Czekając, aż uruchomi się jego komputer, przypomniał sobie o kopercie w kieszeni. Widniał na niej

napis: „Inspektor Carlyle” sporządzony starannie czarnym tuszem. Rozerwał kopertę i wyjął z niej małą kartkę, niewiele większą od paczki papierosów. Na górze widniało logo Candy Cake, różowe ciastko z sercem, oraz dane kontaktowe firmy. A nieco niżej krótka wiadomość sporządzona tą samą ręką, co napis na kopercie: „Sprawdź AUFS”.

AUFS? Carlyle nie lubił zagadek. Nie lubił poczucia, że ktoś bawi się jego kosztem. „Jeśli masz coś do powiedzenia, to mów, kurwa, od razu”, brzmiało jego motto. Bębniąc palcami w stół, patrzył na klepsydrę na monitorze komputera, który powoli budził się do życia. Zirytowany długim czekaniem, sięgnął po słuchawkę telefonu i wybrał numer zapisany na karcie z koperty.

Natychmiast odpowiedział mu młody kobiecy głos:

– Candy Cakes, Sarah przy telefonie. Czym mogę służyć?

Carlyle wyjaśnił kim jest i czego chce się dowiedzieć.

– Proszę poczekać – powiedziała dziewczyna, natychmiast poważniejąc.

Niemal przez minutę słuchał odgłosów dobiegających z ciastkarni. Nagle nabrał ogromnej ochoty na trzecie ciastko, starał się więc myśleć o czymś innym niż jedzenie.

W końcu w słuchawce rozległ się inny głos. Starszy. Surowszy.

– Pan Carlyle?

– Inspektor.

– Tak, oczywiście. Mówi Julia Greene, właścicielka firmy. Czym mogę panu służyć?

Czy dziewczyna, która odebrała telefon – zapomniał już jej imienia – nie wyjaśniła jej wszystkiego? Carlyle zgrzytnął zębami i raz jeszcze wytłumaczył, o co mu chodzi.

– Rano przyszła tu jakaś kobieta – odpowiedziała Greene bez namysłu, gdy tylko skończył. – I poprosiła, byśmy dostarczyli panu to pudełko z ciastkami. Mam nadzieję, że smakowały.

– Były pyszne. – Carlyle uśmiechnął się mimo woli. – Ale zdołałem ograniczyć się tylko do dwóch.

- Aha! Lubię mężczyzn, którzy potrafią narzucić sobie dyscyplinę.

Czyżby z nim flirtowała?

- Co jeszcze może mi pani powiedzieć o tej klientce?

- Cicha wielbicielka, tak?

- Nie powiedziałbym - odparł inspektor zakłopotany.

- Była wysoka, elegancko ubrana, nosiła duże okulary przeciwsłoneczne. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat.

Carlyle wrócił myślami do spotkania z Olgą w hotelu Garden.

- Płaciła kartą?

- Nie, gotówką, dała też od razu napiwek za dostawę, a to wcale się tak często nie zdarza.

- Była Angielką?

- Nie - odrzekła Greene z przekonaniem. - Mówiła płynnie, ale z wyraźnym akcentem. Przypuszczam, że pochodzi z Europy Wschodniej.

Celny strzał, pomyślał Carlyle.

- Bardzo mi pani pomogła, dziękuję bardzo. I raz jeszcze piękne dzięki za ciastka.

- Cała przyjemność po naszej stronie - odpowiedziała Greene miękko. - Proszę nas kiedyś odwiedzić, inspektorze. Będzie nam bardzo miło.

- Dziękuję, nie omieszkam.

Odłożył słuchawkę, w chwili gdy komputer wreszcie się uruchomił. Zalogował się i przeszedł od razu do Google. Jako ktoś, kto w pierwszych latach pracy zmagił się z maszyną do pisania, Carlyle zawsze z niedowierzaniem i podziwem podchodził do komputerów, a tym bardziej do internetu. Ilość zgromadzonych tam informacji, które tylko czekały na wykorzystanie, była po prostu zdumiewająca. Wystarczyło tylko wpisać odpowiednie słowa w małe okienko wyszukiwarki.

Carlyle wpisał AUFS.

Pięćdziesiąt milionów trzysta tysięcy wyników w piętnaście setnych sekundy.

Adelaide University Film Society.

Another Union File System.

Moduł aufs systemu Linux.

Przejrzał pierwszych pięć czy sześć stron wyników, nie znalazł jednak niczego, co mogłoby odnosić się do jego śledztwa. Wcisnął guzik wyszukiwania zaawansowanego. Znajdź strony internetowe zawierające wszystkie te słowa. Powoli wpisał: „AUFS Falkirk sierociniec”.

Siedemdziesiąt cztery wyniki w trzy dziesiąte sekundy.

Tak już lepiej.

Dwa pierwsze adresy były zapisane cyrylicą, więc je zignorował. Trzeci odnosił się do organizacji o nazwie Towarzystwo Przyjaźni Angielsko-Ukraińskiej, co po angielsku brzmiało Anglo-Ukrainian Friendship Society, w skrócie AUFS. Carlyle kliknął na ten link. Na stronie głównej widniała brytyjska flaga obok żółto-niebieskiej flagi Ukrainy. Inspektor przebiegł spojrzeniem po napisach u góry i kliknął na odnośnik „dyrektorzy”. Nagle na monitorze ukazała się uśmiechnięta twarz Gordona Elstree-Ullicka, hrabiego Falkirka i prezesa towarzystwa. Carlyle opadł na oparcie krzesła i zastanawiał się przez chwilę, na ile posuwa to do przodu jego śledztwo. Zauważywszy odnośnik „zdjęcia”, kliknął na niego i przewinął listę różnego rodzaju wydarzeń i okazji, między innymi: Międzynarodowy obóz dla dzieci Sandokan.

Siódmego września prezes Gordon Elstree-Ullick przewodniczył delegacji, która odwiedziła obóz... Carlyle oglądał zdjęcia smutnych, bladych dzieci odbierających pudła z ubraniami i zabawkami z ciężarówki oznaczonej literami AUFS. Na dole znajdowała się fotografia grupowa około siedemdziesięciorga, może osiemdziesięciorga dzieci wraz z opiekunami. Między nimi, pośrodku, stał uśmiechnięty Falkirk. Carlyle powiększył zdjęcie tak, by wypełniło cały ekran.

Przysunął się do monitora i próbował obejrzyć twarz każdego dziecka z osobna. Rozdzielczość fotografii była jednak niska, a szczegóły niewyraźne. Muszę sprawić sobie okulary, pomyślał pośpiesznie inspektor. Wzrok mi siada. Przysunął się jeszcze bliżej i powoli przesunął spojrzeniem po kolejnych twarzach. Dotarłszy do końca, powtórzył tę procedurę. Kilkoro dzieciaków przypominało Alzbetę, nie miał jednak pewności, czy to któraś z nich. Zastanawiał się, czy na tym obozie prowadzono normalną dokumentację i czy mógłby ją zdobyć. Jednak tego mógł się dowiedzieć tylko za pośrednictwem Simpson.

Przesłał zdjęcie do drukarki, a potem zaczął przeglądać twarze dorosłych w tylnym rzędzie. Po chwili dostrzegł kogoś, kto wydał mu się znajomy.

W tym momencie pojawił się obok niego głodny Joe Szyszkowski.

– Masz jeszcze te ciastka?

Ignorując jego pytanie, Carlyle wskazał mężczyznę na zdjęciu.

– Kogo ci ten facet przypomina?

Joe przez kilka sekund wpatrywał się w monitor.

– Nie mam pojęcia.

– To... – Carlyle postukał palcem w ekran – jest Igor Czepojak. Jestem tego pewny.

– Kumpel Shena?

– Ten sam. – Inspektor odsunął krzesło i wstał. – Chodźmy.

Warren Shen stał naprzeciwko Igora Czepojaka w pokoju na tyłach kawiarni U Janika i zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, przyjeżdżając do Kentish Town sam. Odebrał dwa SMS-y od tego zabawnego, roztargnionego policjanta z Charing Cross, ale na żaden z nich nie odpowiedział. To Carlyle wsadził kij w mrowisko, więc może powinien mu teraz towarzyszyć. Tak czy inaczej, teraz było już na to za późno.

– Gdzie jest broń?

Igor rozgniół niedopałek w popielniczce i wydmuchnął dym w stronę plakatu reklamującego koncert Christiny Aguilery w Kijowie.

– Broń, z której zabiłeś tego policjanta – odparł Shen, siląc się na swobodny ton. – Merretta. Simona Merretta. Faceta, którego znaleźliśmy przykutego do podłogi w pustym biurówcu w północnym Londynie.

Igor skrzywił się i upił łyk espresso.

– Szybko wam poszło.

Shen zeszywniał, słysząc słowa, które oznaczały przyznanie się do winy.

– Zostawiłeś pocisk w jego mózgu.

– Dwa.

– Jeden wszedł od tyłu i wyleciał przodem – wyjaśnił Shen.

Igor wzruszył ramionami.

– A to ma jakieś znaczenie?

– Nie, raczej nie. Chodzi o to, że przekroczyłeś granicę. Tej sprawy nie da się zatuszować. W tym kraju nie można bezkarnie zabić policjanta.

Igor dopił kawę.

– On nie był policjantem, tylko jakimś pracownikiem społecznym.

– Był z CEOP – odparł ze znużeniem Shen. – Należał do zespołu. Dlaczego właściwie cię śledził? Z powodu tej dziewczyny?

– Mnie? – Igor się roześmiał. – Nie śledził mnie, tylko ciebie. Myślą, że jesteś skorumpowany.

Shen zastanawiał się nad tym przez moment, potem jednak doszedł do wniosku, że w tej chwili nie ma to znaczenia.

– Masz tę broń?

Igor wyjął z kieszeni pistolet Fort-12 CURZ i wycelował w Shena.

– Oczywiście, że mam.

– Tam, na drugim końcu!

Joe Szyszkowski przejechał nieoznakowanym fordem focusem dziurawą Arkan Street i zatrzymał się we wskazanym przez Carlyle'a

miejscu, naprzeciwko obskurnej kawiarni.

– Cholera! – zaklęła Rose Scripps, która siedziała z tyłu. – Straciłam zasięg. Moja opiekunka do dziecka mnie zabije.

Joe zerknął na Carlyle'a, a ten wzruszył ramionami. Rose koniecznie chciała z nimi jechać, a inspektor nie miał ochoty się z nią kłócić. Wsiadł z auta i przeszedł przez ulicę. Kawiarnia wydawała się pusta, jak podczas jego poprzedniej wizyty. Zastanawiał się, czy zostały jeszcze jakieś ciastka. Kiedy dotarł do drzwi, usłyszał strzał. Przystanął na moment z ręką na klamce i pokazał Joemu, że powinien wezwać posiłki. Potem wszedł ostrożnie do środka. Za ladą nie było nikogo. Inspektor zauważył też ze smutkiem, że nie ma już żadnych ciastek. Zajmuj się tym, co do ciebie należy, upomniał się w myślach.

– Policja! – krzyknął.

Odpowiedziała mu cisza.

Kiedy ruszył powoli w stronę pomieszczenia na tyłach kawiarni, usłyszał jakiś dźwięk – przytłumiony jęk. U jego boku pojawił się Joe. Rose, wykazując się rozsądkiem, została w samochodzie.

– Posiłki? – wyszeptał Carlyle, nasłuchując znajomego dźwięku syren.

Joe skinął głową.

Tym razem dźwięk dobiegający zza drzwi był głośniejszy. Bez wątplenia brzmiał jak jęk bólu.

Wciąż nie było słychać syren.

– Kurwa! – Carlyle nacisnął klamkę i wpadł do środka, Joe tuż za nim. Weszli prosto w kałużę krwi.

– Kurwa!

Shen siedział oszołomiony na krześle. Postrzelono go w brzuch. Z trudem podniósł głowę i spojrzał na Carlyle'a.

– Wezwij karetkę – wychrypiał.

– Już jedzie – odparł Carlyle, kiwając głową na Joego.

– Wyjdę z tego – dodał Shen. – Nie chciał mnie zabić, tylko zatrzymać.

– Igor? – upewnił się Carlyle.

– Tak. – Shen próbował skinąć głową. – Z tej samej broni zabił Merretta. Uciekł tylnym wyjściem.

Świadomy, że zostawia za sobą ślady krwi, Carlyle szybko zrzucił buty i wyszedł na tyły kawiarni. Igor oczywiście już dawno zniknął. Inspektor wrócił do budynku i – wciąż bez butów – obejrzał szybko dwa pokoje na piętrze, ale nie znalazł niczego ciekawego.

Gdy wrócił na dół, Shena umieszczano już w karetce czekającej na ulicy, a Joe i Rose rozmawiali z dwoma spośród kilkunastu policjantów, którzy przybyli tu wezwani przez załogę pierwszego radiowozu.

Kiedy już dostali reprimendę za zanieczyszczenie miejsca przestępstwa, złożyli zeznania i wyprowadzili samochód zza policyjnego kordonu, Carlyle polecił sierżantowi odwieźć Rose do domu.

– Wysadź mnie przy najbliższej stacji metra – poprosił. – Kończymy na dzisiaj.

– A co dalej? – spytała Rose.

– Nie wiem, czy będzie jeszcze jakieś „dalej” – odparł znużony Carlyle. – Simpson będzie wściekła, kiedy się o tym wszystkim dowie, więc ja wrócę pewnie do swoich zwykłych zadań. Igor prawdopodobnie wyjeżdża już z kraju. Być może straży granicznej uda się go zatrzymać, a być może nie. Może siedzi już w pociągu pod Kanałem. Jeśli dostanie się do Paryża albo Brukseli, będzie po sprawie.

– Mamy powiązanie z Falkirkiem – przypomniał Joe.

– Tak, ale to za mało. – Wyjechali zza rogu i zobaczyli przed sobą stację metra Kentish Town. – Wysadź mnie tutaj.

Kiedy Joe stanął na światłach, Carlyle wyskoczył z auta. Nieświadomy, że jego buty wciąż zostawiają na chodniku krwawe ślady, podszedł do stojaka i wziął egzemplarz „Evening Standard”. Nie miał ochoty dołączać do tłumu zmierzającego na stację metra, wszedł więc do pobliskiego pubu i zamówił podwójną whisky. Potem siedział przy stoliku, obserwował ludzi za oknem i cieszył się, że wrócił do normalnego świata. Choćby tylko na chwilę.

Carlyle siedział w pierwszej ławce, obok głównej nawy kaplicy przy Krematorium Zachodniego Londynu, na cmentarzu Kensal Green. Kaplica mogła pomieścić sto osób, ale był sam i nie sądził, by ktokolwiek do niego dołączył. Towarzyszyła mu tylko smutna muzyka organowa. Niemal dokładnie na wprost inspektora, na katafalku, pod wysokim granatowym baldachimem, między zasłonami sięgającymi od sufitu do podłogi, umieszczono dębową trumnę z Alzbetą. Spięty Carlyle zerknął na zegarek i po raz trzeci przeczytał ulotkę zarządu cmentarza o „procedurach pogrzebowych”.

Drżąc z zimna, zastanawiał się, dlaczego nie mogą po prostu nacisnąć guzika i załatwić tego od razu, tym bardziej że pogrzebowi nie towarzyszyło nabożeństwo. Policja wciąż próbowała odnaleźć rodzinę dziewczynki na Ukrainie. Być może sprawa była z góry przegrana, ale Carlyle postanowił, że zabierze jej prochy, tak na wszelki wypadek. Pomyślał, że skoro nie zdołał zaopiekować się nią za życia, to może zrobi to chociaż po śmierci.

To dzięki jego uporowi lokalne władze nie pogrzebały dziewczynki w zbiorowej mogile – dole mieszczącym do trzydziestu ciał. Większość ludzi zakłada, że takie groby odeszły w przeszłość wraz z czasami Dickensa, ale prawda wygląda niestety inaczej. Zaledwie tydzień temu lis wygrzebał zwłoki niemowlęcia ze zbiorowej mogiły na cmentarzu w Battersea, która, jak się okazało, nie została należycie zabezpieczona. Tak właśnie wyglądał Londyn – można tu znaleźć ludzkie życie i ludzką śmierć pod każdą postacią.

Przygotowaniem pogrzebu zajęła się firma B. German & Son z Lamb's Conduit Street, a koszty pokryła opieka społeczna dzielnicy Westminster. Carlyle próbował porozmawiać z Hilary Green, kobietą, którą obwiniał o „zgubienie” Alzbety, ale ta wciąż była na zwolnieniu. Spotkał się za to z przedsiębiorcą pogrzebowym, grzecznie odrzucił propozycję wykupienia krypty w Rowan Garden (1575 funtów) i potwierdził, że po zakończeniu kremacji chce zabrać prochy Alzbety.

– Ale niez mieszane z prochami kogoś innego – zastrzegł, obserwując, jak ubrani na czarno pracownicy wsuwają do karawanu trumnę innego klienta.

Przedsiębiorca uśmiechnął się ze znużeniem.

– Piecowy musi zapewnić oddzielną tacę do każdej kremacji, proszę pana – wyjaśnił. – Więc nie ma takiej możliwości, by doszło do zmieszania szczątków dwóch ciał.

– Rozumiem. – Carlyle nie był do końca przekonany, ale nie mógł w żaden sposób podważyć tego argumentu.

To było tydzień temu. Teraz siedział na niewygodnej dębowej ławie i czekał niecierpliwie. Skrzypnęły drzwi kaplicy, a potem usłyszał odgłos kroków, jednak się nie obejrzał. Dlaczego jeszcze nie zaczęli? Po raz kolejny spojrzął na zegarek. Jedenasta piętnaście. Powinno już być po wszystkim.

Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Podniósł wzrok.

– Co ty tu robisz?

Helen pochyliła się nad nim i pocałowała go w czubek głowy. Potem rozpięła płaszcz i usiadła obok niego.

– Chciałam przyjść – powiedziała cicho, biorąc go za rękę. – Wiem, że to dla ciebie ważne. – Wskazała głową trumnę. – Wyobraź sobie tylko...

Uścisnął lekko jej dłoń.

– Nie.

Już to sobie wyobrażał – wiele razy – i nie chciał, by paranoiczny strach o córkę, który wypełniał teraz jego głowę, stał się jeszcze bardziej realny.

– A co z pracą? – spytał.

Wzruszyła ramionami.

– Powiedziałam, że muszę iść na pogrzeb.

Muzyka nagle ucichła, zastąpiło ją miarowe mechaniczne dudnienie, a trumna zaczęła się przesuwac. Zasłony zamknęły się wokół niej, a Carlyle i Helen siedzieli w milczeniu, słuchając, jak

drewniana skrzynia toczy się w stronę małych drzwi w tylnej ścianie kaplicy.

Natychmiast po kremacji Helen musiała wracać do pracy. Carlyle, który nie miał już siły, by pójść do komisariatu, zaproponował, że odbierze Alice ze szkoły.

Helen wzięła go pod ramię i zaczęła prowadzić powoli w stronę głównej alei.

– Nie możesz tego zrobić – zgałła go łagodnie. – Spaliłaby się ze wstydu. Jest już na to za duża.

Carlyle poczuł ukłucie tęsknoty za umykającym szybko dzieciństwem jego córki.

– Tak. Oczywiście. – Poczuł na głowie kroplę deszczu i przyspieszył kroku. – A skoro już mowa o szkole, jakieś wieści z frontu narkotykowego?

– Bogu dzięki nie. – Helen dostosowała się do jego tempa. – Wygląda na to, że szkoła rozwiązała problem.

– Na razie.

– Miejmy nadzieję, że na dobre. Przynajmniej jeśli chodzi o Alice i jej przyjaciółki. To miłe, rozsądne dziewczynki.

– Tak. – Carlyle pokiwał głową, ale nie był do końca przekonany.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – spytała Helen, wskazując głową grafitową urnę, która Carlyle trzymał w ręku.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Wciąż próbujemy odnaleźć rodziców. Jeśli się nie uda, pewnie będziemy musieli je gdzieś rozsypać.

– Gdzie?

– W jakimś przyjemnym miejscu.

– Masz na myśli coś konkretnego?

– Nie, nie zastanawiałem się nad tym.

– Na pewno coś wymyślimy.

Pocałował ją czule w policzek.

– Dziękuję, że przyszedł.

Zaczerwieniła się lekko, a Carlyle zastanawiał się przez moment, kiedy ostatnio widział rumieniec na twarzy żony. Ona także go pocałowała.

– Zrobiłeś to, co należało: dopilnowałeś, żeby miała przyzwoity pogrzeb.

Carlyle wsłuchiwał się w przybierający na sile, coraz bliższy pomruk miasta. Pograżeni w krzepiącym milczeniu wracali, ramię w ramię, do codziennego życia.

Carlyle dokończył omlet i przesunął pusty talerz na skraj stolika w tylnym boksie Il Buffone. Marcello nie był zadowolony, że prochy Alzbeta znalazły się chwilowo w jego lokalu – na widok urny przeżegnał się teatralnie i wymamrotał coś po włosku – ale zdanie w tej kwestii zachował dla siebie.

Gdy zabrał talerz Carlyle'a, ten zamówił na deser podwójną macchiato i szarlotkę. Skracał sobie czas oczekiwania, obserwując starszego dżentelmena, który wjechał na Macklin Street na rozklekotanym rowerze i zatrzymał się przed kawiarnią. Przypiął wehikuł do latarni, zdjął kask, wszedł do lokalu i usiadł naprzeciwko inspektora.

– Pan Carlyle? – spytał z szelmowskim błyskiem w bladoniebieskich oczach. Zachowywał się jak zuchwały ośmiolatek w ciele sześćdziesięcioletka.

– Inspektor Carlyle! – krzyknął Marcello zza lady.

– Oczywiście. – Mężczyzna się rozpromienił. – Bardzo przepraszam, panie inspektorze. – Wyciągnął rękę do Carlyle'a. – Ewen Mayflower.

Carlyle ją uścisnął.

– Mogę panu w czymś pomóc?

Mayflower przeciągnął dłonią po krótko obciętych siwych włosach.

– To raczej ja mogę pomóc panu.

Podszedł do nich Marcello z kawą i ciastem. Postawił wszystko na stole i odchrząknął znacząco.

– Ach tak – powiedział współbiesiadnik inspektora, biorąc menu i spoglądając na nie znad okularów. – Poproszę herbatę i dwa tosty bez masła. Dziękuję.

Marcello powtórzył zamówienie i wycofał się za kontuar.

Jedząc szarlotkę, Carlyle obserwował, jak jego towarzysz zdejmuje żółtą odblaskową kamizelkę, pod którą miał brązową marynarkę, białą koszulę i niebieski fular. Mayflower poprawił chusteczkę w kieszonce na piersi.

– Wybrałem dość swobodny strój. Widzi pan, mam dziś wolne.

Carlyle pomyślał, że jak na wizytę w Il Buffone Mayflower się wystroił, postanowił jednak o tym nie mówić. Rozsiadł się wygodniej na ławce i spytał:

– Czym się pan zajmuje, panie Mayflower?

– Sir Ewenie, jeśli pan pozwoli.

Carlyle'owi zrzędła mina. Jak to się stało, że ten wariat do niego trafił?

Marcello przyniósł herbatę i tosty. Mayflower podziękował za mleko, podmuchał na herbatę i uśmiechnął się.

– Żartowałem tylko.

Carlyle ściągnął brwi.

– Mój pełny tytuł – kontynuował – jeśli należy pan do ludzi, dla których takie rzeczy mają znaczenie...

Nie, nie należę, pomyślał Carlyle, ale nie zareagował.

– ...brzmi sir Ewen Mayflower, Rycerz Wielkiego Krzyża Królowej Wiktorii.

– Interesujące – mruknął inspektor, zastanawiając się nad sposobem i drogą ucieczki.

– Ale może pan mówić mi Ewen.

– Dziękuję.

– Jeśli zaś chodzi o mój tytuł służbowy, to jestem lordem szambelanem.

Carlyle zrobił zakłopotaną minę.

– Szefem królewskiego dworu – sprecyzował Mayflower.

- Czyli facetem odpowiedzialnym za pałac Buckingham?

- Można tak powiedzieć, owszem.

- I na czym to polega? - Carlyle był zaintrygowany.

- Cóż... - Mayflower przełknął kęs tostu. - Celem dworu królewskiego jest służyć królowej radą i wsparciem w jej trudnej służbie dla kraju i narodu.

Och, oszczędź mi tych frazesów, zachnął się w myślach Carlyle.

- I cóż to właściwie znaczy? - spytał, gdy Mayflower zrobił przerwę na zaczerpnięcie powietrza. - W ludzkim języku?

- Ostrzegano mnie, że jest pan... bezpośredni. - Mayflower uśmiechnął się uprzejmie. - Więc mówiąc w ludzkim języku, jestem szefem zaplecza królewskich pałaców. Odpowiadam za cały personel, od kucharzy po kamerdynerów i stajennych.

- Brzmi prawdziwie wiktoriańsko... - stwierdził Carlyle, spoglądając za okno. Na ulicy Trevor, miejscowy transseksualista, wrzeszczał właśnie na dwóch kloszardów z pobliskiego ośrodka, a jego wystająca grdyka poruszała się przy tym rytmicznie w górę i w dół.

- To bardzo duże przedsiębiorstwo - kontynuował Mayflower, ignorując przytyk Carlyle'a. - Zatrudniamy około tysiąca osób różnych profesji, zajmujących się między innymi cateringiem, ogrodnictwem i renowacją mebli. Mamy nawet dwóch pracowników, którzy opiekują się trzystoma zegarami. To ich jedyne zadanie.

- Rozumiem.

Trevor w końcu sobie poszedł, a kloszardzi kłócili się między sobą.

Tymczasem Mayflower nie przerywał ani na moment.

- Mamy pięć działów: biuro sekretarza, dział marszałka dworu, biuro skarbnika, biuro lorda szambelana i biuro zbiorów królewskich.

Carlyle ponieważskorożył fakty.

- Więc współpracuje pan z SO14?

- Tak! - ucieszył się Mayflower niczym nauczyciel, którego słowa dotarły wreszcie do wyjątkowo tępego ucznia. - Przypuszczam, że

mamy całkiem sporo wspólnych znajomych, takich jak pan Adam i pan Dolan.

Carlyle przyjrzał mu się uważniej.

– Dlaczego pan tu przyszedł?

Mayflower sięgnął po drugiego tosta.

– Carole Simpson prosiła, bym pomógł panu w miarę możliwości.

– Zna pan komendant Simpson?

– O tak! – Mayflower pomachał tostem przed twarzą. – Znam Carole od bardzo dawna. To cudowna kobieta.

Carlyle milczał.

Mayflower odgryzł kolejny kęs tostu.

– Trzeba przyznać, że ostatnio nie ma szczęścia. Ta historia z jej mężem...

– Tak.

– Wydawało się, że wszystko znów zaczyna się układać, a tu taka przykrość.

Carlyle zmrużył oczy. Wiedział, że Mayflower bawi się jego kosztem.

– Co się stało?

– Nie wie pan? – zdziwił się teatralnie Mayflower. – W zeszłym miesiącu jeden ze współwięźniów Joshuy go pobił. Nic poważnego, ale biedak trafił na kilka dni do szpitala. Władze więzienia domagały się, żeby przykuć go do łóżka kajdankami. Oburzające! Carole czuła się upokorzona i trudno jej się dziwić.

– Och... – Carlyle'a ogarnęły nagle wyrzuty sumienia. Ostatnio przysporzył Simpson masy problemów, podczas gdy biedaczka musiała sobie radzić z takimi przykrościami.

– Prowadził lekcję matematyki – opowiadał Mayflower pogodnym tonem – i podobno nakrzyczał na jednego z głupszych uczniów, który poczuł się urażony. Tak, ten facet zawsze był trochę arogancki. Ale mimo wszystko... Carole bardzo się tym wszystkim przejmuję.

– Wyobrażam sobie.

Mayflower położył dłoń na przedramieniu inspektora.

– Proszę jej nie mówić, że o tym wspominałem.

– Oczywiście.

– Nie chciałaby zapewne, żeby zbyt wielu ludzi o tym wiedziało.

– Zapewne.

– A poza tym... – Mayflower zabrał rękę i upił łyk herbaty – martwi się też o pana.

Inspektor był szczerze zdumiony.

– Naprawdę?

Mayflower odstawił filiżankę na spodek.

– To pańskie śledztwo... Nieprzyjemna rzecz.

– Mówiła panu o tym?

– Wspominała o paru szczegółach. – Mayflower spoważniał, z jego oczu zniknął szelmowski uśmiech. – Oczywiście interesuje mnie wszystko, co wiąże się z pałacem.

– Simpson raczej nie uważa, żeby to miało coś wspólnego z pałacem – burknął Carlyle, świadom, że zabrzmiało to nieco gburowato.

– Carole jest osobą bardzo otwartą i uczciwą – odparł spokojnie Mayflower. – Ufa panu i szanuje pańskie zdanie.

Carlyle czuł, że lekko się czerwieni.

– Powiedziała mi też jednak, że czasami zachowuje się pan jak słoń w składzie porcelany. – Carlyle chciał zaprotestować, ale jego rozmówca podniósł rękę, dając znak, że jeszcze nie skończył. – W pałacu nie może pan tego robić. Nic pan nie wskóra.

– Pracowałem tam kiedyś.

– Wiem. – Mayflower skrzyżował ręce na piersi i rozsiadł się wygodnie. – I wiem też, jak się to skończyło. Niezbyt fortunny rozdział pańskiej kariery, jak mi się wydaje.

– Tak, można to tak ująć. – Carlyle westchnął.

– I tu właśnie zaczyna się moja rola. Mogę panu pomóc w tym śledztwie, dbając jednocześnie o interesy dworu królewskiego.

– A jeśli się okaże, że jedno wyklucza drugie?

– Inspektorze – zaczął Mayflower z powagą. – Mogę pana zapewnić, że jeśli w jakimkolwiek stopniu potwierdzą się pańskie podejrzenia dotyczące Thomasa Dolana i hrabiego Falkirka, dołożę wszelkich starań, by pomóc panu postawić ich przed sądem.

– Falkirka? – powtórzył Carlyle, spoglądając na swojego rozmówcę z zainteresowaniem.

– Carole mówi, że ma pan poważne zastrzeżenia do pana Elstree-Ulicka. – Mayflower rozejrzał się ostentacyjnie. – Prawdę mówiąc, ja też mam pewne zastrzeżenia. Może myślimy o tym samym, a może o czymś innym, ale chodzi o to, że Gordon i jego kumple mogą poważnie zaszkodzić dworowi królewskiemu.

To akurat mało mnie obchodzi, miał już odpowiedzieć Carlyle, ale w porę ugryzł się w język.

– Ma pan jakieś dowody?

– Zawsze staram się działać bardzo dyskretnie, ale trudno nie słyszeć i nie widzieć pewnych rzeczy.

– Jakich rzeczy?

– Cóż... Okropnie traktuje personel. Kilka miesięcy temu potracił jednego z ochroniarzy swoim astonek martinem i połamał biedakowi nogi. Przeprosił go chociaż? Nie. Zgodził się, by policja przesłuchała go w tej sprawie? Skąd. Zachowuje się tak, jakby był ponad prawem.

– A nie jest? Bo tak to właśnie wygląda.

– Z pewnością nie powinien być! – Mayflower uderzył pięścią w stół. – Sprawiedliwości musi stać się zadość. Pod tym względem hrabia nie różni się od nas wszystkich. Tylko królowa nie może być ścigana przez prawo.

Inspektor uniósł brwi.

– Królowa nie może być ścigana przez prawo?

– Tak. Brytyjski wymiar sprawiedliwości działa w imieniu monarchy. W związku z tym władca nie tylko nie może być ścigany przez prawo, ale nie musi też zeznawać w sądzie. Tradycja i historia

starają się chronić godność królowej, a tym samym urzędy, które wymierzają sprawiedliwość w jej imieniu.

Carlyle ściągnął brwi.

– Więc gdyby staruszka kiedyś zbzikowała, wyszła na ulicę z uzi i zaczęła strzelać do turystów, uszłoby jej to na sucho?

Mayflower uśmiechnął się z pobłażaniem. Simpson ostrzegła go, że inspektor potrafi być bardzo męczący, nie dał się więc sprowokować jego dziecinnym uwagom.

– Interesujący scenariusz, inspektorze, ale raczej mało prawdopodobny, prawda?

– No dobrze, ale co z zasadami?

Mayflower parsknął śmiechem.

– Przedziwny z pana policjant, inspektorze!

– Co jeszcze nabroił Falkirk? – spytał Carlyle, wracając do właściwego tematu ich rozmowy.

– To bardzo barwna postać. Przyjmuje dziwnych gości, urządza pijackie przyjęcia, zadaje się z młodymi dziewczynami...

– Jak młodymi?

Mayflower skrzywił się boleśnie.

– Wygląda na to, że zdecydowanie zbyt młodymi.

Carlyle nie miał ochoty ani czasu na zabawę w zagadki, zmienił więc taktykę.

– Rozmawiałem z Falkirkiem – oświadczył niespodziewanie. – Ale odmówił współpracy.

– Tak, słyszałem o tym. – Mayflower wydał usta i złączył dłonie czubkami palców. – Może porozmawialibyśmy z nim obydwaj?

– A jak mogłoby mi to pomóc w śledztwie?

– Pan nie może wywierać na niego skutecznego nacisku, ja zaś mam całkiem spory wpływ na zakres przywilejów, jakimi może cieszyć się w pałacu. Być może razem uda nam się przeprowadzić z nim rozmowę zupełnie innego rodzaju.

– Jakiego rodzaju?

– Cóż... Gordon lubi się nad sobą uzalać, co jest zaskakująco powszechne wśród członków rodziny królewskiej. Razem moglibyśmy mu dać jakiś konkretniejszy powód do zmartwień.

Wątpię, pomyślał Carlyle. Głupotą byłoby jednak odrzucać pomoc wysłannika Simpson. Gestem poprosił Marcella o rachunek. Potem odwrócił się do Mayflowera i zrobił minę, która jego zdaniem miała wyrażać wdzięczność.

– No dobrze – powiedział. – Kiedy konkretnie moglibyśmy się umówić?

24

Alexa Matthews usiadła prosto na łóżku, ziewnęła i podrapała się pod lewą pierś przez cienką tkaninę koszulki, zerkając przy tym na pogrążoną w głębokim śnie Heather, która leżała obok niej, zwinięta w kłębek. Była druga dziesięć, co oznaczało, że przesłuchanie przed komisją dyscyplinarną zacznie się za niecałe osiem godzin.

Na przesłuchaniu miał ją reprezentować przedstawiciel związków zawodowych, ale był tak nieudolny, że Alexa zastanawiała się poważnie, czy nie powinna zrobić tego sama. Cała ta sytuacja przypominała senny koszmar: nie miała na razie żadnych szans na przeniesienie z SO14, a groźby Charliego Adama, który chciał wyrzucić ją z policji, były całkiem realne. Alexa obawiała się, że jeszcze przed obiadem zostanie bez pracy, a tym samym bez zarobków i emerytury. Kiedy ostatnio zaglądała na konto, miała na nim zaledwie pięćdziesiąt sześć funtów. Była spłukana.

Siedząc w ciemności, zastanawiała się, jak mogłaby zarabiać na życie po odejściu z policji. Nic nie przychodziło jej do głowy. Mimowolnie zadrżała ze strachu. Nagle okropnie zachciało jej się palić. Heather była zdecydowanie przeciwna paleniu w sypialni, ale w tej sytuacji Alexa chyba mogła pozwolić sobie na odstępstwo od zasad. Trąciła lekko partnerkę, by sprawdzić, czy ta rzeczywiście śpi. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, postanowiła zaryzykować. Sięgnęła za łóżko, wzięła torbę, postawiła ją sobie na kolanach i zaczęła szukać papierosów i zapalniczki. Kiedy już je znalazła, zauważyła, że jej komórka pobłyskuje miarowo. Ktoś przysłał jej wiadomość. Włożywszy papierosa do ust, otworzyła klapkę aparatu.

Pobudka!

Sprawdziła, kiedy wysłano tę dziwną wiadomość: druga zero sześć. Jakiś dupek najwyraźniej pomylił numer. Alexa wrzuciła telefon do torebki i sięgnęła po zapalniczkę. Z ulicy w dole dobiegły czyjeś kroki, potem otworzyły się drzwi ich kamienicy. Ta para na dole

znowu imprezowała. Szczęściarze... – pomyślała z zazdrością. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

– Ach.... – Gdy tylko nikotyna wniknęła do jej organizmu, Alexa od razu spojrzała na świat z większym optymizmem.

Wydmuchiwała właśnie dym z dala od łóżka, gdy drzwi wleciały z hukiem do wnętrza mieszkania. Stało w nich dwóch ludzi z kominiarkami na głowach. Jeden trzymał kij bejsbolowy, a drugi dwie duże plastikowe butelki wypełnione jakimś płynem. Alexa wpatrywała się w nich z rozdziawionymi ustami. Czy to jakiś sen?

Heather jęknęła przez sen i przykryła głowę poduszką.

Alexa otrząsnęła się wreszcie z osłupienia.

– Wstawaj, ty głupia suko! – syknęła, wysuwając się spod kołdry.

Nie zdążyła nawet postawić nóg na podłodze, a mężczyzna z kijem doskoczył do niej i uderzył ją w twarz.

– Wracaj do łóżka, kurwa!

Trzymając się za rozbity nos, Alexa jęknęła głucho, gdy drugi mężczyzna otworzył jedną z butelek. W jej zmasakrowany nos natychmiast uderzył zapach benzyny, którą człowiek w kominiarce zaczął polewać łóżko.

– Hej!

Heather usiadła prosto, wyrwawszy się wreszcie z objęć snu.

Napastnik rzucił jedną butelkę na łóżko, złapał zdumioną kobietę za gardło i zaczął wylewać benzynę z drugiej butli prosto na jej głowę. Heather próbowała krzyczeć, ale paliwo wlewało jej się do ust.

– Nie, proszę! – Alexa chciała wstać z łóżka, ale nagle jakby straciła władzę w nogach. Potem zobaczyła płomień zapalniczki i zupełnie straciła nad sobą kontrolę. Smród jej odchodów zmieszał się ze żrącymi oparami benzyny. Spojrzała na Heather, która przecierała gwałtownie oczy, i wybuchnęła płaczem.

– Nie trzeba – szlochała. – Będę cicho. Nic nie powiem.

Mężczyźni wylali resztę benzyny z butelek i odsunęli się od łóżka.

– Miałaś trzymać głowę na kłódce – powiedział jeden z nich beznamyślnie. – Ale nie trzymałaś, co?

– Nic nie powiem! – zawodziła Alexa.

– Wiemy, że nie powiesz – zadrwił, rzucając zapalniczkę w jej stronę. Na ułamek sekundy w pokoju zapadła cisza, potem wypełnił go huk płomieni i zapach spalenizny. Ostatnią rzeczą, jaką słyszała Alexa, były krzyki Heather.

Rose Scripps spojrzała na tablicę przylotów umieszczoną pośrodku małego terminalu portu lotniczego East London. Lot linii Swiss Air LX462 zakończył się o czasie. Po lewej, przy bramce, czekała grupka taksówkarzy trzymających tabliczki z nazwiskami swoich pasażerów. Rose przeszła obok nich swobodnym krokiem, zerkając na tabliczki. Na żadnej z nich nie widniało nazwisko Bojko. Nie miało to co prawda większego znaczenia, ale i nie pomogło Rose zapanować nad dręczącymi ją obawami. Koszty tej operacji sięgały kilku tysięcy funtów. Czyżby ich źródła informacji znów zawiodły? Nie byłoby to pierwszy taki przypadek.

Jakby na zawołanie w jej uchu rozległ się przytłumiony męski głos: „Zaczynamy. Dziewczyna przechodzi przez odprawę celną. Wygląda tak samo jak na zdjęciu. Chuda jak patyk, krótkie blond włosy, ciemne oczy”. Rose wepchnęła głębiej słuchawkę zestawu Bluetooth. Nie bała się, że to wszechobecne urządzenie wzbudzi czyjekolwiek podejrzenia, ale nie chciała, by wypadło jej z ucha, gdy rozpocznie się akcja. Spojrzała na Colina Haddona ze straży granicznej. Brał udział w operacji Paladyn, która dotyczyła samotnych dzieci przybywających do brytyjskich portów i na brytyjskie lotniska. Dopóki są na terenie portu lotniczego, to on kieruje akcją.

„Jest ubrana w dżinsową kurtkę i czerwone spodnie. Niesie małą czerwoną torbę. Łatwo ją zauważyć”.

Haddon, który stał przy kiosku z gazetami i przeglądał jakiś magazyn motoryzacyjny, podniósł wzrok na Rose, ale poza tym nie zareagował w żaden sposób na jej obecność. Nie był zadowolony, że musi wychodzić w tę paskudną noc, i marudził, że ich wysiłki znów

pójdą na marne. Rose rozumiała jego opory, ale była nieugięta. Choć raz dysponowali precyzyjnymi informacjami, a teraz mieli już pewność, że trzynastoletnia dziewczyna, która uciekła z sierocińca na Krymie, pojawiła się na lotnisku zgodnie z oczekiwaniami. Ta akcja zapowiadała się naprawdę bardzo obiecująco.

Rose zastanawiała się teraz, czy powinna była walczyć o więcej ludzi. Tylko ona reprezentowała tu CEOP. Nie znaleziono jeszcze nikogo na miejsce Simona Merretta, a reszta zespołu miała mnóstwo innych zajęć. Właściwie Rose też nie była szczęśliwa, że musi tkwić o tej porze na lotnisku po drugiej stronie Londynu i płacić Sashy za każdą godzinę dziesięć funtów, których nie miała.

Oprócz Haddona przydzielono jej do pomocy uzbrojonych policjantów z oddziałów specjalnych: trzech młodziaków z pistoletami, którzy kryli się teraz w ciemnościach na dworze. Czy powinna była zadzwonić po inspektora Carlyle'a?

Z drugiej jednak strony, czy mógłby zrobić coś więcej niż trzej potężni młodzieńcy uzbrojeni w karabiny Heckler & Koch G36? Nie wiadomo, czy w ogóle zgodziłby się tu przyjechać, gdyby go o to poprosiła. Nie ona jedna miała obowiązki rodzinne.

Rose odwróciła się od bramki przylotów i zrobiła kilka kroków w stronę jedynej restauracji w terminalu, która była jeszcze otwarta o tej porze.

– Pamiętajcie – mówiła cicho do mikrofonu. – Nikt nie może jej zatrzymać. Musimy poczekać, aż ktoś ją odbierze. Chcemy ich oboje.

„Tak, mamusiu”, droczył się z nią Haddon.

Odwróciła się do bramki. Właśnie zaczęli wychodzić przez nią pierwsi pasażerowie. Rose czuła, że jej serce zaczyna mocniej bić, nagle też zachciało jej się siku. Skrzywiła się z irytacją – będzie musiała z tym poczekać.

„Jest tutaj”.

Rose natychmiast wypatrzyła dziewczynę w szarym tłumie podróżnych. Nazywała się Julia Bojko. Na pozór nieco starsza niż w

rzeczywistości, podróżowała z fałszywym włoskim paszportem jako Camilla Gaggioli. Tego samego ranka, o siódmej, wyleciała z Symferopola do Mediolanu, potem trafiła do Bazylei, a stamtąd ostatecznie do Londynu.

Witaj na East Endzie, pomyślała Rose. Myślisz pewnie, że przyleciałaś tu pracować jako opiekunka i uczyć się języka angielskiego. Pokręciła ze smutkiem głową. One wszystkie tak myślą...

Julia była ładna, choć nieco za chuda i wyraźnie zmęczona. Szła powoli, starając się sprawiać wrażenie, że dobrze wie, dokąd zmierza i z kim ma się spotkać. Przeszła zaledwie półtora metra od Rose, podeszła do wyjścia i wyrzała niepewnie na zewnątrz. Zdezorientowana zawróciła, idąc w stronę Rose, która miała ogromną ochotę zatrzymać ją i serdecznie uściskać. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić – ani teraz, ani kiedykolwiek. Co może jej dać? Bilet powrotny na Ukrainę i Bóg wie jakie problemy, które tam na nią czekają.

Kątem oka dostrzegła, że do dziewczyny podszedł młody, może dwudziestokilkuletni mężczyzna. Miał czarne kręcone włosy i nosił ciemny garnitur z jasnoniebieską koszulą rozpiętą pod szyją.

– Jest tutaj.

Rose obserwowała, jak bierze Julię Bojko pod ramię, nachyliła się do niej i coś mówi. Dziewczyna skinęła głową.

– Chodźmy.

Haddon podszedł powoli do Rose. Oboje patrzyli, jak mężczyzna płaci za parking i wyprowadza dziewczynę z terminalu.

– Idzie na parking godzinowy. Jesteśmy pięć metrów za nim. Będziemy na miejscu za dwie minuty.

„Zrozumiałem”, odpowiedział im głos z ciemności.

Rose zadrżała z zimna, gdy wyszli na zimny, porywisty wiatr. Zasunęła kurtkę i przygarbiła się. Gdy podniosła wzrok, zdała sobie sprawę, że przed nimi nie ma nikogo prócz Julii i jej towarzysza. Nagle, bez żadnej widocznej przyczyny, mężczyzna odwrócił się i spojrzał

prosto na nich. Wiedziona odruchem, Rose chciała odwrócić wzrok, jednak się powstrzymała. Haddon szybko wziął ją za rękę.

– Idź dalej – powiedział cicho, uśmiechając się. – Jeśli ich minimy, niczego nie zauważą.

Rose odpowiedziała mu uśmiechem i wypełniła polecenie. Kiedy wyczuła na jego palcu obrączkę, zakłopotana próbowała sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni trzymała za rękę kogoś innego niż córkę. Mężczyzna w końcu się odwrócił i wziął dziewczynę pod ramię. Haddon puścił dłoń Rose i wyszeptał do mikrofonu:

– Jesteśmy prawie na miejscu...

„Widzimy was. Pójdziemy za wami”.

Kiedy dotarli na parking, mężczyzna wszedł między dwa samochody, ciągnąc za sobą dziewczynę. W tym momencie Haddon poderwał się do biegu. Rose ruszyła za nim. Kiedy zobaczyła, jak wyciąga z kabury glocka 17, poczuła się nagle boleśnie bezbronna. Schowali się oboje za zieloną toyotą i obserwowali, jak mężczyzna prowadzi dziewczynę w stronę wielkiego suwa bmw, zaparkowanego przy ogrodzeniu parkingu. Rose wyteżyła wzrok. Gdzie są chłopcy z oddziału specjalnego?

– Idzie do bmw – syknął Haddon.

„Zrozumiałem”.

Gdy Rose i Haddon weszli na płytę parkingu, rozległ się cichy brzęczyk i trzask otwieranych drzwi suwa. Młody mężczyzna wepchnął dziewczynę na fotel pasażera i zatrzasnął za nią drzwi. Potem przeszedł na drugą stronę auta i usiadł za kierownicą. Rose i jej towarzysz byli jakieś pięć metrów za samochodem, gdy ten zaczął powoli wyjeżdżać tyłem z miejsca parkingowego. Nie czekając na Haddona, Rose podbiegła do auta i zabębniła pięścią w tylne drzwi.

– Hej!

Światła stopu rozjarzyły się czerwienią, a bmw przystanęło.

– Patrz, gdzie jedziesz! – krzyknęła Rose.

Haddon przeszedł obok niej na drugą stronę samochodu, pozostając poza zasięgiem wzroku kierowcy.

„Wchodzimy”.

Kierowca otworzył okno i wystawił głowę, by spojrzeć do tyłu, na Rose.

– Mógł mnie pan przejechać! – powiedziała z wyrzutem.

– Odsuń się – warknął młodzieniec. Bmw znów zaczęło się cofać.

Rose odsunęła się i zobaczyła, jak jeden z uzbrojonych policjantów podchodzi do drzwi kierowcy i wsuwa przez otwarte okno lufę karabinu.

– Zgaś silnik, ale już!

Drugi policjant stanął po stronie pasażera.

Kierowca drgnął, zaskoczony, a potem powoli wykonał polecenie.

– Wsiądź z samochodu.

Mężczyzna posłusznie wysiadł z auta i pozwolił, by policjanci położyli go na asfalcie i skuli ręce kajdankami.

Julia Bojko siedziała w milczeniu na fotelu pasażera, a po jej policzkach płynęły łzy.

Rose uśmiechnęła się do Haddona, który z ulgą schował pistolet do kabury.

– Dzięki.

– Cała przyjemność po naszej stronie – odpowiedział z lekkim uśmiechem. – Zwłaszcza jeśli wszystko idzie tak gładko.

– Wiem coś o tym. – Rose wskazała suwa. – Zabiorę tych dwoje do CEOP.

– Daj znać, jak ci z nimi poszło.

– Jasne. – Ale mówiła już do jego pleców. Uznawszy, że jego rola w tym przedstawieniu dobiegła końca, Haddon wracał do terminalu.

– Siadaj, proszę.

Wpatrując się w jakiś punkt za oknem, Carlyle zajął wolne krzesło przed biurkiem Simpson i czekał, aż ta przedstawi go grubemu, trzydziestokilkuletniemu mężczyźnie z zakolami, który siedział obok niego.

Simpson pisała coś na komórce i ostentacyjnie ignorowała ich obu.

Po kilkunastu sekundach mężczyzna westchnął ciężko i postanowił przedstawić się sam:

– Ambrose Watson.

Carlyle spojrział na jego wyciągniętą rękę i po chwili wahania uścisnął ją bez entuzjazmu.

– IIC[4] – wyjaśnił Watson. Potem poluzował krawat i otarł pot z różowego czoła.

Carlyle mruknął coś pod nosem. Właściwie spodziewał się, że po tym, jak usmażono Alexę Matthews i jej dziewczynę, wcześniej czy później przyjdzie do niego ktoś z wydziału spraw wewnętrznych policji.

Simpson, wciąż wpatrzona w wyświetlacz telefonu, zakłęta cicho, zmagając się z wyjątkowo długą wiadomością.

Watson zerknął na zegarek i znów westchnął.

– Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Matthews – powiedział w powietrze – i zastanawiam się, gdzie inspektor był tamtej nocy.

Głupek, pomyślał Carlyle. Dlaczego miałbym cokolwiek robić Matthews?

– Byłem w domu – odparł, starając się zrobić zdumioną minę.

– Sam?

Simpson w końcu napisała i wysłała wiadomość.

– Ambrose – odezwała się, podnosząc wzrok – na miłość boską, nie mamy czasu na te bzdury.

Carlyle, zaskoczony tym jednoznacznym gestem wsparcia ze strony szefowej, stłumił uśmiezek satysfakcji i milczał. Poczuł nawet odrobinę sympatii do komendantki, co jeszcze niedawno wydawałoby mu się niemożliwe.

– Ale... – Ambrose nabzdyczył się i poczerwieniał – ale ja muszę...

– Musisz poradzić sobie z trudną sytuacją – przerwała mu Simpson. – I wszyscy to rozumiemy. Jesteśmy tu nie dlatego, że

inspektor może być podejrzany... – zerknęła przelotnie na Carlyle'a – ale dlatego, że może zdoła ci pomóc w rozwikłaniu tej sprawy. – Ostrożnie odłożyła komórkę na biurko. – Nie zrażaj do siebie ludzi, zanim jeszcze na dobre nie rozpoczniesz tego śledztwa.

Nie zdoławszy ukryć irytacji, Watson opuścił wzrok.

– I bez tego IIC nie jest szczególnie lubiane – dodała Simpson z uśmiechem.

A niech mnie... – pomyślał Carlyle. Nawet robi sobie z niego jaja. Dojrawszy łobuzerski błysk w jej oku, zastanawiał się przez chwilę, czy pod nieobecność męża nie znalazła sobie jakiegoś chłopaka. To tłumaczyłoby jej dobry humor.

Watson przygryzł dolną wargę, a Carlyle'owi niemal zrobiło się go żal. Tak naprawdę nigdy nie miał uprzedzeń wobec facetów z wydziału wewnętrznego. Traktował gliniarzy – od zwykłych posterunkowych po samego komendanta głównego – tak samo jak przestępców, czyli tak, jak na to zasługiwali. Jego zdaniem ocenianie kogoś tylko na podstawie pracy, jaką wykonuje, jest jednym z największych błędów, jaki można popełnić. Uważał za oczywiste, że w każdej grupie ludzi, bez względu na to, czy łączy ich wspólna praca, religia, czy też, co ważniejsze, sympatia dla konkretnej drużyny piłkarskiej, można znaleźć różne typy: tych dobrych, tych złych i tych nijakich. „Wszystko jest względne – mawiał ojciec inspektora. – Ludzkie sprawy też”. Alexander Carlyle przyjechał do Londynu z Glasgow w latach pięćdziesiątych, uciekając przed dezindustrializacją i zapaścią gospodarczą. Na wskroś praktyczny, by utrzymać rodzinę, miał się różnych zajęć. „Nie oceniaj książki po okładce – mówił również swojemu synowi przy rodzinnym stole. – I nie odmrażaj uszu, żeby zrobić na złość babci”. Były to bardzo rozsądne rady, które inspektor brał sobie do serca. Choćby dlatego zawsze cieszył się, że jest synem swojego ojca.

Watson nie zrobił na nim najlepszego wrażenia, ale Carlyle uznał, że powinien dać mu drugą szansę.

– Wszystko sprowadza się do Dolana – odrzekł spokojnie. – Zginęły już dwie osoby z SO14, a obie te śmierci powiązane są z Tommym Dolanem.

– Joe Dalton popełnił samobójstwo – zauważył Watson.

– Owszem – przyznał Carlyle. – Ale pozostaje pytanie, dlaczego się zabił. Dolan był zaangażowany w coś, czego Dalton nie mógł już dłużej znieść.

Watson skrzywił się paskudnie, jakby cierpiał na zatwardzenie.

– I dlatego uciął sobie głowę nylonowym sznurkiem?

– Przypuszczam... – Carlyle spojrzał na Simpson, a ona skinęła lekko głową, pozwalając mu mówić dalej – przypuszczam, że Dolan prowadzi coś w rodzaju agencji towarzyskiej. Razem ze swoimi współpracownikami dostarcza różnego rodzaju dziewczyny wysoko postawionym klientom. Być może wykorzystuje nawet do tego niektóre pokoje w pałacu Buckingham. Zyski trafiają do firmy inwestycyjnej o nazwie United-14, która jest tajnym funduszem emerytalnym Tommy'ego i jego kumpli.

Watson siedział przez chwilę w milczeniu. Wyglądał jak wygłodniały człowiek, który przegapił właśnie lunch.

– Czy macie jakieś dowody? – spytał w końcu słabo.

– Nic, co moglibyśmy ujawnić na tym etapie – odparł szybko Carlyle, unikając wzroku Simpson.

Zadowolony, że był to najwyraźniej tylko swego rodzaju próbny alarm, Watson nieco się ożywił.

– Jak Dolan mógł zrobić to wszystko? – spytał.

– Pracuje w pałacu od bardzo dawna. – Inspektor wrzucił ramionami. – Zna tam wszystkich, wie o wszystkim, co się tam dzieje. I lubi sobie dorobić na boku. A przy tym nie jest głupi.

– No dobrze, a co z jego dowódcą? – nie dawał za wygraną Watson. – Musiałby chyba wiedzieć o czymś takim.

– Charlie Adam jest głupcem – stwierdził z przekonaniem Carlyle. – Nie sądzę, żeby był w to zamieszany, ale prawdopodobnie i tak nie mógłby zrobić nic, żeby temu zapobiec.

– Rozmawiał pan z Dolanem?

– Chowa się za związkami zawodowymi. Nie wydaje mi się, żeby to on osobiście spalił Matthews i jej dziewczynę. Ktoś inny odwalił za niego brudną robotę.

Jak to możliwe, że to spotkanie tak się fatalnie potoczyło? – zastanawiał się Watson. Poprawił się niespokojnie na krześle, marząc, by jak najszybciej opuścić gabinet Simpson.

– Jakie kroki proponujesz w tej sytuacji? – spytała Simpson szybko, nim zdołał zerwać się do ucieczki.

Carlyle skinął mu głową.

– Ambrose musi porozmawiać z Dolanem. Dać mu do zrozumienia, że jest pod obserwacją. Wtedy łatwiej będzie zakwestionować śledztwo, które związki zawodowe mogą wszcząć przeciwko mnie i Joemu.

– Ale...

Carlyle wstał i poklepał Watsona po ramieniu.

– Proszę się przyjrzeć United-14 i zadzwonić do mnie, kiedy uda się panu coś znaleźć. Ale proszę o dyskrecję. Nie chcę, by wiadano, że pracujemy razem.

– A pracujemy? – Watson spojrzał błagalnie na Simpson, ale ta odpowiedziała mu uśmiechem.

– Proszę zachować to dla siebie – zażartował Carlyle. – I bez tego mam dość problemów z wizerunkiem.

– A pan czym się zajmie w tym czasie? – spytał Watson ze znużeniem, gotów prowadzić tę grę, byle tylko jak najszybciej zakończyć spotkanie.

Carlyle był już przy drzwiach.

– Mam parę pomysłów – rzucił przez ramię, uśmiechając się do pleców funkcjonariusza wydziału wewnętrznego. – I proszę informować mnie na bieżąco o postępach w śledztwie.

Pięć minut po wyjściu z gabinetu Simpson Carlyle przeszedł przez Praed Street i znalazł się pod łukiem prowadzącym do starej części Szpitala St Mary's. Chcąc odpocząć trochę od bieżących spraw,

rozmyślał o trzech rzeczach, które wiedział o St Mary's. W 1874 roku Charles Romley Alder Wright, angielski chemik, jako pierwszy zsyntetyzował tu heroinę; w 1928 roku Alexander Fleming odkrył tu penicylinę; tu także, w 1954 roku, urodził się Elvis Costello. Dwa spośród tych trzech wydarzeń Carlyle uważał za całkiem fortunne – jak powiedział inny słynny piosenkarz, dwa na trzy to już niezły wynik.

Gdy tylko znalazł się w głównym budynku szpitala, natychmiast dopadło go przygnębienie, które zawsze kojarzyło mu się z tego rodzaju miejscami. Po korytarzach snuli się pacjenci i ich krewni, przygarbieni i przybici, jakby dźwigali na swoich barkach cały smutek świata – co być może było bliskie prawdy. Między nimi uwijali się członkowie personelu medycznego, zabiegani i niecierpliwi, jakby musieli wykonywać kilka zadań naraz – co również było całkiem prawdopodobne.

Inspektor nie cierpiał chodzić do szpitali i robił to tylko w wyjątkowych okolicznościach. Dziś, kierowany poczuciem winy, przełamał opory i wjechał windą na trzecie piętro, gdzie w jednoosobowym pokoju, opłacanym przez policyjne związki zawodowe, wracał do zdrowia Warren Shen.

Kiedy Carlyle stanął pod drzwiami komisarza, stwierdził z zadowoleniem, że ten, rozparty wygodnie na poduszkach, rozmawia z drobną ciemnoskórą kobietą, która siedziała przy łóżku. Zmęczona i wymizerowana, przynajmniej na pierwszy rzut oka wyglądała tak, jakby potrzebowała odpoczynku znacznie bardziej niż Shen. Kto wie, może nawet położyłaby się obok niego, gdyby nie różne rurki wychodzące z ramienia rannego i obandażowanego brzucha.

Gdy Carlyle zapukał delikatnie do drzwi, kobieta wyszeptała coś do ucha Shena, a potem wyszła z pokoju, ignorując nowo przybyłego.

Shen uśmiechnął się słabo.

– John – wychrypiał. – Wejdz.

Carlyle zajął opuszczone miejsce i zerknął na stojącą w drzwiach kobietę, która obrzuciła go niemiłym spojrzeniem i dopiero wtedy

przeszła w głąb korytarza. Potem odwrócił się do Shena.

– Przepraszam, że ci przeszkodziłem.

– Nie martw się, to nic osobistego. Moja żona nie przepada teraz za policjantami.

Carlyle rozpiął kurtkę.

– To zrozumiałe.

Shen wziął ze stolika przy łóżku plastikowy kubek i upił trochę wody przez rurkę.

– Owszem. – Jego twarz sposępniała. – Myślę, że po całej tej historii Maria cierpi na nerwicę pourazową. Dzięki Bogu, że jej matka mieszka niedaleko, choć nigdy nie sądziłem, że to powiem, bo dzięki temu może się spokojnie zająć dziećmi.

– Hm... – Carlyle nie wiedział, co powiedzieć.

– Chce, żebym odszedł z policji.

– Teściowa?

– Nie. – Shen roześmiał się, a potem zakasłał. – Ona może też, ale to Maria suszy mi głowę, żebym dał sobie z tym spokój.

Carlyle powiódł spojrzeniem za młodą atrakcyjną pielęgniarką, która przeszła właśnie obok drzwi.

– Posłuchasz jej?

– Nie, oczywiście, że nie. Co innego mógłbym robić? Pewnie dostałbym jakąś rentę, ale na pewno nie dałbym rady opłacić z tego studiów moich dzieciaków, zakładając oczywiście, że będą chciały studiować. Zresztą jestem jeszcze młody. Mówiłem jej też, że poza tym prawdopodobnie już nigdy nie spotkam Igora Czepojaka, więc w czym problem?

Carlyle pomyślał o pielęgniarce – bardzo zgrabnej i bardzo ładnej.

– Przykro mi...

– Daj spokój! – Shen podniósł rękę. – Takie rzeczy się zdarzają. Sam jestem sobie winny, a Maria dobrze o tym wie. Myślę, że właśnie dlatego tak bardzo się tym przejmuje.

– A co z twoim przyjacielem Igorem? – spytał Carlyle.

Shen westchnął ciężko.

– Przypuszczam, że wylądował w Kijowie mniej więcej w tym samym czasie, kiedy mnie wywieziono z sali operacyjnej. Nigdy go nie złapiemy.

– Nie.

– Ale spójrzmy na to z innej strony. To prawdopodobnie oznacza, że skończy w jakimś błotnistym dole z odstrzeloną głową. – Shen napił się łyk wody. – Przynajmniej taką mam nadzieję.

– A co się dzieje w twoim rewirze?

– Cóż, w takiej chwili dobrze pobyć trochę poza pracą. – Shen się skrzywił. – Przez jakiś czas będzie tam spore zamieszanie. Dużo kłótni, dużo przemocy, aż w końcu wszystko weźmie w garść jakiś samiec alfa, jak Igor kilka lat temu.

– A ta dziewczyna... Olga?

– Nie mam pojęcia. – Shen ziewnął. – Posłuchaj, John, dzięki, że wpadłeś, ale za chwilę wróci tu Maria i...

– Jasne, rozumiem. – Carlyle wstał z krzesła. Wahał się przez chwilę, czy nie zapytać Shena, dlaczego jeden z klientów Falkirka zapisał na odwrocie biletu do London Eye numer jego telefonu. W końcu to właśnie przez ten numer zginął Simon Merrett. Spojrzał na Shena, który ochoczo odgrywał rolę ofiary na szpitalnym łóżku. Jakie jest prawdopodobieństwo, że komisarz szczerze odpowie na to pytanie? Inspektor odwrócił się, by wyjść. – Do zobaczenia. Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebował.

– Dzięki. A ty daj znać, jak ci idzie śledztwo.

– Jasne.

Wypowiadając to słowo, Carlyle był już w połowie drogi do drzwi, zadowolony, że zdołał uniknąć następnego spotkania z groźną panią Shen.

– A zasadziwszy ogród w Edenie na wschodzie, Pan Bóg umieścił tam człowieka, którego ulepił[5].

Igor Czepojak siedział na pustym tarasie restauracji w ogrodach botanicznych Ukraińskiej Akademii Nauk, popijał prosto z butelki piwo Lwowskie Premium i patrzył na północ, w stronę miasta widocznego za kopułami monastynu Świętego Michała. Choć zimny wiatr wyciskał mu łzy z oczu, Igor wcale nie miał ochoty wracać do środka. Napawał się świadomością, że wreszcie jest w domu.

Podróż z Londynu była dość długa i męcząca – najpierw popłynął promem do Zeebrugge, stamtąd pojechał pociągiem do Monachium i dopiero tam wsiadł do samolotu do Kijowa – ale dzięki czeskiemu paszportowi wszystko odbyło się bez większych problemów. Teraz, gdy siedział w pięknych, starannie utrzymanych ogrodach, mógł sobie wyobrazić, że brud i przemoc Londynu są odległym snem. Co za okropne miasto! Cieszył się, że już nigdy tam nie wróci.

Z drugiej jednak strony dobrze wiedział, że nie zostanie długo w Kijowie. Śledztwo w sprawie międzynarodowego obozu dziecięcego Sandokan zostało zakończone, a Biuro Prokuratora Generalnego domagało się aresztowań. Zastępca prokuratora generalnego Dmytro Gazizulin musiał teraz rzucić mediom kogoś na pożarcie. Igor wiedział, że w odróżnieniu od Falkirka nie może czuć się nietykalny i że będzie musiał ciężko pracować, by dowieść, że jest przydatny – albo przygotować się na śmierć, a w najgorszym wypadku więzienie. Powrót do pracy i męczących podróży był naprawdę miłą perspektywą.

Dopił piwo i spojrzał na kobietę, która powoli szła w jego stronę. Zauważył, że nie ma makijażu i że ściągnęła włosy w prosty kucyk. Była ubrana w dżinsy, czerwoną polarową kurtkę i czarne czółenka na niskich obcasach. Boże, ona jest naprawdę piękna, pomyślał ze spokojem właściwym człowiekowi, który wie, że jest na tyle silny i inteligentny, by zachować swoje myśli dla siebie.

Gdy była już całkiem blisko, wstał.

– Chodźmy do środka – powiedziała, nie zwalniając kroku.

W głównej sali restauracji również było pusto. Przy wejściu kręcili się dwaj kelnerzy, ciekawi zapewne, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczą jakiegoś klienta. Kobieta wybrała stolik przy oknie, usiadła i zamówiła miętową herbatę. Igor poprosił o następne piwo.

– Jak się miewasz, Olgo? – spytał, gdy kelnerzy poszli zrealizować ich zamówienie.

Kobieta ściągnęła brwi. Dopiero teraz, gdy siedzieli obok siebie, Igor zauważył, że wygląda na zmęczoną.

– Nie jesteśmy już w Londynie – powiedziała. – Nie musisz zwracać się do mnie w ten sposób.

Igor ukłonił się lekko.

– Oczywiście, panno Gazizulin.

– Na miłość boską, Igor... – Kobieta wyjęła paczkę papierosów Marlboro i wskazała ręką za okno, na miasto. – Tutaj, w prawdziwym świecie, mam na imię Aleksandra. – Poczęstowała go papierosem. – Ale wiesz, że nie lubię oficjalnych tytułów i konwenansów. Mów mi po prostu Alex.

– W porządku, Alex.

Igor poczęstował się papierosem i zapalił go, korzystając z zapalek leżących na stole. Potem zapalił papierosa Alex, wrzucił zapalną do popielniczki i rozsiadł się wygodniej na krześle, czekając na wykład.

Kelner przyniósł zamówione napoje i postawił je na stole.

Aleksandra Gazizulin mieszała przez chwilę herbatę, po czym zaciągnęła się dymem i powoli go wydmuchnęła.

– Ach! Jakie to miłe, że człowiek może wreszcie palić, gdzie tylko chce.

– Tak.

Alex strzepnęła popiół na spodek filiżanki.

– Mój ojciec nie jest zadowolony.

Igor objął palcami pełną butelkę lwowskiego premium, ale nie podniósł jej ze stołu.

– Rozumiem. Nie było innego wyjścia.

Alex zmierzyła go surowym spojrzeniem.

– Zawsze jest inne wyjście. Zniszczyłeś dochodowy interes.

– I tak mieliśmy się wycofywać z Londynu – odparł swobodnym na pozór tonem, choć miły nastrój, jakim cieszył się od powrotu do kraju, zniknął bez śladu. – Twój angielski znajomy miał już dość.

– Falkirk? – Ściągnęła brwi. – Tylko się wygłupiał.

Igor milczał.

– Ma trochę pomieszane w głowie – kontynuowała z drwiącym uśmiechem. – Uważa się za przedsiębiorcę, choć w rzeczywistości wcale nim nie jest. – Zgasiła papierosa, wgniatając go mocno w popielniczkę.

– A kim jest? – spytał Igor.

– Bogatą świnia.

Przy stoliku pojawił się kelner z kartami dań, lecz Alex odprawiła go machnięciem ręki.

– Więc co teraz zrobimy? – spytał Igor, dopalając papierosa.

– Jakies pomysły?

Dobrze wiedział, że nie powinien wyskakiwać z żadnymi propozycjami.

– Nie.

– Tak też myślałam. – Alex wyjęła z paczki następnego papierosa i włożyła go do ust. Tym razem nie poczęstowała swojego towarzysza. – Kończ szybko to piwo – dodała, sięgając po zapałki i zerkając za jego plecy, w stronę wyjścia. – Musimy iść na spotkanie z moim ojcem.

Igor poczuł tępy ból w brzuchu. Obrócił się na krześle i zobaczył dwóch mężczyzn stojących przy drzwiach. Ubrani w garnitury, ogoleni na łyso i nieruchomi jak skała, wyglądali dokładnie tak, jak on sam przed piętnastu laty. Ich twarze przypominały maski wykute z granitu, Igor wiedział jednak dobrze, że kryje się za nimi uśmiech samozadowolenia. Odwrócił się do stolika i dokończył piwo. Kto wie?

Może to ostatnie piwo w jego życiu? Odstawił pustą butelkę na stół, wyjął z kieszeni kilka banknotów i beknął cicho.

– Fuj... – Aleksandra się skrzywiła. – Chodźmy.

Kolejny wieczór, kolejne męczące przyjęcie. Tym razem swoje obrazy wystawiał pewien sławny aktor. Wszystko pięknie, tyle że gdyby ten aktor nie zdobył wcześniej dwóch Oscarów, nikt nawet nie spojrzałby na jego bohomazy. Zmęczony natarczywością właściciela galerii, który próbował sprzedać mu jedno z płócien za absurdalnie wysoką cenę, Gordon Elstree-Ullick wyszedł na ulicę, by wycygnąć papierosa od swojego ochroniarza.

– Masz fajki, Tommy?

Dolan wyszedł z cienia, wyjął z kieszeni marynarki paczkę rothmans king size i rzucił ją Falkirkowi.

Arystokrata wyjął papierosa, włożył go do ust i oddał paczkę.

– Masz ogień?

– Proszę. – Dolan wręczył mu zapalniczkę, poczekał, aż Falkirk zapali, a potem uznał, że sam również ma ochotę na papierosa. Przez chwilę obaj stali na chodniku, palili i przyglądali się sobie nawzajem. Tommy praktycznie po raz pierwszy od tygodnia pojawił się w pracy. Coś się działo, ale Falkirk na razie o niczym nie wiedział, a nie cierpiał, gdy służba coś przed nim ukrywała. Wtedy tracił do niej zaufanie. Z drugiej jednak strony hrabia zdawał sobie sprawę, że w przypadku Tommy'ego Dolana chodziło o coś więcej niż zwykłe relacje pan-sługa. Zaciągnął się po raz ostatni, po czym rzucił niedopałek na ziemię i rozgniół czubkiem buta marki John Lobb.

– Jak leci?

Dolan burknął w odpowiedzi coś niezrozumiałego.

Falkirk przez chwilę patrzył na ładną dziewczynę, która szła właśnie po drugiej stronie ulicy.

– Słyszałem, że znów zginął ktoś z twoich współpracowników.

– Paskudna sprawa – odparł krótko Dolan.

Falkirk odwrócił się do drzwi galerii.

– Tommy – rzucił od niechcienia przez ramię, jakby właśnie sobie o czymś przypomniał – jeśli miałeś z tym cokolwiek wspólnego, na pewno wpłynie to na nasze relacje.

Nie poczekawszy na odpowiedź, wszedł do środka. Może powinien zdecydować się na jakąś grafikę? Miałby już gwiazdkowy prezent dla królowej.

– Palant! – syknął Dolan, chowając się w cieniu.

Generał Dmytro Gazizulin siedział w swoim zagraconym biurze przed plakatem obwieszczającym podpisanie Umowy o partnerstwie między NATO i Ukrainą w 1997 roku i palił kolejnego papierosa Montecristo Nr 2. Patrzył przez chmurę dymu na Igora, a na jego twarzy malowały się niezadowolenie i rezygnacja.

– Aleksandra mówi, że nie da się już uratować naszej operacji w Londynie – odezwał się.

Igor wzruszył ramionami. Spojrzał na stojącą na stole butelkę wódki Nemiroff Black Label. Obok leżał pistolet, półautomatyczny makarow, i stało oprawione w ramkę zdjęcie generała z czasów, gdy służył jeszcze w Armii Czerwonej, w załodze czołgu T55. Jechał wtedy do Afganistanu, by walczyć za ojczyznę. Teraz tylko podlizywał się NATO i starał się wyciągnąć jak najwięcej od Unii Europejskiej.

Generał był przede wszystkim pragmatykiem, co cieszyło Igora, dawało mu bowiem nadzieję na przyszłość – przynajmniej na kilka najbliższych minut, a prawdopodobnie i na dłużej.

Zwykle w takiej sytuacji wódka lałaby się już strumieniami. Ale nie dzisiaj. Trudno. Igor wiedział, że nie zasłużył na tytuł pracownika miesiąca. Pozostawało pytanie: jak głęboko siedzi w tym gównie?

To, że przywieziono go do koszar w miejscowości Kiriczenko, oddalonej o trzydzieści kilometrów od Kijowa, dodało mu otuchy i pewności siebie. Uspokoił się, gdy tylko czarne bmw X5 Alex skręciło w H-o8 i ruszyło na południe w stronę Czerkas. Jadąc znajomą czteropasmówką, córka generała rozluźniła się tak, że włożyła do odtwarzacza CD najnowszą płytę Sade. Zdaniem Igora nie była tak dobra jak stare piosenki tej artystki, ale i tak całkiem przyzwoita.

Wkrótce Alex śpiewała cicho wraz z Sade, nie zwracając uwagi na towarzyszy podróży. Igor rozsiadł się wygodnie, zamknął oczy i zasłuchał w łagodne tony Lovers Rock, dzięki czemu mógł zapomnieć o pilnujących go oprychach.

Ci sami ludzie stali teraz przed wejściem do gabinetu generała i czekali na instrukcje. Gdyby mieli go zabić, nie zrobiliby tego tutaj, wiedział więc, że w najgorszym wypadku ma szansę na ucieczkę. Może jednak sytuacja nie wygląda aż tak źle, przynajmniej na razie. Wiedział, że nie powinien zachowywać się jak przegrany. Ukraina to nie Londyn – tutaj ludzie wyczuwają strach i natychmiast to wykorzystują. Zerknął ukradkiem na Alex, która stała po prawej stronie, na skraju jego pola widzenia. Odkąd przyjechali do Kiriczenki, miała kamienną twarz i nie odezwała się ani słowem.

Znajomy odgłos kroków dobiegający z placu apelowego przypomniawszy mu, że jest na swoim terenie. Z tęsknotą pomyślał o prostocie minionych czasów. Przypomniawszy sobie godziny spędzone na tym placu, gdy ćwiczył w śniegu ubrany tylko w spodnie i podkoszulek, siny z zimna.

Potem jednak sprawy wymknęły się spod kontroli, Igor został zwolniony, przeszedł do sektora prywatnego, by uniknąć więzienia, i zarabiał pieniądze. Dobre pieniądze. Pieniądze w tym interesie zawsze były dobre. Igor nie był chciwy – zarabiał dla generała i nigdy nie brał więcej, niż mu się należało. Nie widział powodu, dla którego miałyby się to teraz skończyć.

W gabinecie generała było bardzo ciepło. Igor otarł pot z czoła i stłumił ziewnięcie, walcząc z sennością. Może jednak lepiej czułby się na dworze. Tymczasem generał wyjął z szuflady plik papierów i rzucił je na blat biurka.

– Mój raport końcowy.

– I co jest w nim napisane? – odezwała się w końcu Alex.

Generał wzruszył ramionami.

– A jak myślisz? Stwierdzono, że plotki mówiące o sprzedawaniu dzieci do krajów Zachodu są mocno przesadzone. Jednak kilka osób

będzie musiało ponieść konsekwencje. Zanim w przyszłym tygodniu raport trafi do parlamentu, dyrektor obozu Sandokan będzie w więzieniu.

– Ale jeśli zacznie mówić... – Igor ściągnął brwi.

– Nic nie powie – odrzekł generał z przekonaniem.

– Posłowie przyjmą raport, zaczną się obrzucać obelgami, a my znów będziemy normalnie prowadzić interesy.

– Zakładając, że nadal będziemy mogli działać w Londynie – wtrąciła Alex, spoglądając znacząco na Igora.

– Otóż to. – Generał wskazał go wypalonym do połowy cygarem.

– No i co?

– No i co? – powtórzył Igor, unosząc brwi.

– Da się z tym coś zrobić czy nie? – spytał generał, wyraźnie zirytowany, po czym włożył cygaro między zęby.

– Ja nie mogę wrócić – odparł Igor spokojnie.

Generał wziął z biurka pistolet.

– Zastrzelenie dwóch policjantów było czystą głupotą – powiedział powoli.

Alex pokiwała głową, w pełni się z nim zgadzając.

– Tylko jeden z nich był policjantem – zaprotestował Igor, starając się nie podnosić głosu. – I nie zabiłem go.

Generał spojrzał pytająco na córkę.

– Wczoraj wypisano go ze szpitala w Londynie – potwierdziła Alex. – Prawdopodobnie będzie mógł wrócić do pracy.

– Co i tak nie zmienia naszej sytuacji – burknął generał. – Zainwestowaliśmy w Anglii mnóstwo czasu i pieniędzy.

– I zarobiliśmy mnóstwo pieniędzy – zauważył Igor.

– Na szczęście dla ciebie, bo inaczej już żarłyby cię świnię.

Igor skłonił pokornie głowę.

– Zostaje jeszcze kwestia dziewczyn – dodała cicho Alex.

Generał spojrzał na nią pytająco.

– Dzieci – wyjaśniła.

– Ach! – Generał machnął lekceważąco ręką. – Jesteś zbyt miękka. Mówiłem to wiele razy.

– Niektóre są po prostu zbyt młode, by je tam wysłać – nie dawała za wygraną Alex.

– Nie my o tym decydujemy – warknął generał. – Mówiłem ci już, że to sprawa naszych angielskich przyjaciół. – Spojrzał na Igora. – Tak właśnie działa wolny rynek, prawda? Kupujący zawsze ma rację!

– Zawsze! – Widząc, że ma okazję wkraść się w łaski generała, Igor odważył się na uśmiech. – Zawsze decydował o tym ten Anglik. Mówił, że to odróżnia go od konkurencji.

– Ten facet jest chory. – Alex westchnęła. – Mnie też chciał przelecieć.

– Myślałem, że jesteś dla niego za stara – stwierdził generał z drwiącym uśmiechem. – I to o wiele. – Sięgnął za krzesło, otworzył dolną szufladę szafki na akta, wyjął z niej trzy kieliszki i w końcu otworzył butelkę wódki.

Igor parsknął śmiechem, nie zważając na wściekłe spojrzenie Alex.

– Ten gość to zdegenerowany zboczeniec – poskarżyła się.

– I dlatego robimy z nim interesy – mruknął generał, napełniając kieliszki.

– I tak zamierzał przenieść się gdzie indziej – dodał Igor. – Mówił, że kończy z Ukrainą, bo coraz trudniej prowadzić tu interesy.

– Bzdura – prychnął generał, rozdając kieliszki. – Może gdybyś wyjaśnił swojemu królewskiemu przyjacielowi, jaką ja odgrywam w tym rolę, zmieniłby zdanie. – Uniósł kieliszek. – Na zdrowie! – rzucił, opróżniając go jednym haustem i pokazując pozostałym, by zrobili to samo.

Igor sycił się ciepłem, które rozlało się najpierw po jego gardle, a potem po całym ciele.

Alex również wypila wódkę, odstawiła kieliszek, pochyliła się nad biurkiem i pocałowała ojca w czoło.

– Falkirk nic o mnie nie wie – powiedziała. – A tym bardziej o tobie. I słusznie. Jest kapryśny i słaby. Pewnego dnia wyda swoich współpracowników policji, być może już to zrobił. – Wskazała głową Igora. – Jego nie znajdują, ale nas tak.

Generał odsunął się od biurka.

– Igorze?

– Tak?

– Prowadzimy interesy, prawda?

– Tak, oczywiście.

– Doskonale. – Generał znów napełnił kieliszki. – Prowadząc interesy, trzeba przygotowywać różne scenariusze. – Z niekłamaną przyjemnością napił się wódki. – Załóżmy więc, że mamy tu dwa podstawowe scenariusze. Jeden: zostajemy w Londynie, drugi: zwijamy się stamtąd. Alex wróci do Anglii i sprawdzi, które z tych rozwiązań jest praktyczniejsze.

– Ale... – Igor zerknął na piekielnie atrakcyjną kobietę, która w milczeniu stała obok niego, z kamienną twarzą.

– Tak czy inaczej – ciągnął generał – będziemy musieli wprowadzić zmiany. Nasze sprawy budzą zbyt duże zainteresowanie. Musimy dopilnować, żeby nikt nie dotarł po nitce do kłębka, czyli do nas.

– Jak to zrobimy? – spytał Igor, po czym wlał sobie wódkę do gardła.

– To proste – odparł spokojnie generał. – Zajmiesz się tym królewskim zboczeńcem.

To był piękny jesienny dzień w północnym Londynie, obecność przedwczesnej śmierci wzmagala poczucie cudowności i oczekiwania. Carlyle stał pod dębem na cmentarzu Abney Park, popijał białą kawę z papierowego kubka i wyobrażał sobie swój pogrzeb.

Chciał, by ta uroczystość odbyła się w pochmurny, posępny dzień, co wprowadziłoby wszystkich uczestników w odpowiedni nastrój. Błękit nieba, blask słońca i rześkie powietrze skłaniały raczej do rozmyślań o radości życia, a nie o powadze śmierci.

Radość życia: prawdopodobnie właśnie o tym mówił teraz kapłan żałobnikom. Ale od tego przecież są księża – przy każdej okazji gadają o bzdurach.

Patrząc, jak trumna Simona Merretta znika w dole, Carlyle wrócił myślami do Alzbeta. Wciąż nie wiedział, co zrobić z jej prochami, które trzymał w mieszkaniu, na kuchence mikrofalowej. Alice uważała, że to „chore”, ale Helen podchodziła do tego ze stoickim spokojem.

– Nikt nie musi się z tym spieszyć – powiedziała mężowi, kiedy martwił się reakcją córki. – A już na pewno nie Alzbeta. Zanim cokolwiek zrobimy w tej sprawie, musimy mieć pewność, że nagle nie pojawią się tutaj jej rodzice.

– Na to bym raczej nie liczył – odrzekł Carlyle.

– Tak czy inaczej coś wymyślimy. – Helen się uśmiechnęła i pocałowała go delikatnie w usta.

Nie po raz pierwszy inspektor był wdzięczny losowi za zdrowy rozsądek swojej żony. Wiedziała, jak ważna jest dla niego ta sprawa, i dzielnie go wspierała.

Jedynym pogrzebem, który naprawdę budził obawy Carlyle'a, był jego własny. Jako dziecko śnił, że podróżuje przez kosmos w trumnie, a spokojna i miła podróż nigdy się nie kończy. Nie wiedział co prawda, jak przeniósł się w przestrzeń kosmiczną, ale sama wizja mu odpowiadała. Nawet teraz wydawała mu się o wiele lepsza od

wszystkich tradycyjnych rozwiązań. Bał się pogrzebienia w ziemi, nie chciał też, by jego ciało zostało spalone. Odrzuciwszy kuszącą, lecz niezbyt realną wizję lotu kosmicznego w trumnie, doszedł do wniosku, że chce, by złożono go w krypcie – w jakimś wietrznym miejscu z miłym widokiem. Sporo o tym myślał, lecz gdy próbował porozmawiać na ten temat z Alice i Helen, śmiały się tylko z niego. Wiedział, że kiedy już nadejdzie ta chwila, będzie martwy, a tym samym zupełnie obojętny na losy swoich szczątków, ale mimo wszystko... Co jakiś czas dręczyła go myśl, że powinien zapisać to wszystko w testamencie. Biorąc udział w drugim na przestrzeni kilku dni pogrzebie, zastanawiał się, ile jeszcze takich uroczystości dzieli go od dnia, w którym to on wyląduje w trumnie. Zakładał oczywiście, że nie wszystkie te pogrzeby będą związane z jego pracą. Najpierw odejdzie zapewne jego babcia, która ma już dobrze po dziewięćdziesiątce i mieszka w domu opieki społecznej w Glasgow, jego rodzice, matka Helen, kilka ciotek... Uzbierałaby się spora gromadka.

Pogrzeb Simona Merretta przyciągnął dość dużą liczbę żałobników. Carlyle naliczył przy grobie trzydzieści siedem osób, i to z wyłączeniem księdza, obsługi z zakładu pogrzebowego i dwóch grabarzy, którzy siedzieli w furgonetce, w dyskretnej odległości od grobu. Miał nadzieję, że może będzie to jakimś pocieszeniem dla żony Merretta, choć wiedział, że to raczej mało prawdopodobne.

Inspektor zerknął na zegarek – jedenasta osiemnaście – i nabrał nagle ochoty na szklaneczkę Jamesona. O tej porze dnia nie było to jednak dobrym sygnałem, odsunął więc od siebie tę myśl. Nieco skrepowany, przestępował nerwowo z nogi na nogę, marząc tylko o powrocie do normalnego życia.

W końcu uroczystość dobiegła końca. Żałobnicy zaczęli się powoli rozchodzić, szli dwójkami i trójkami do samochodów, które zostawili na parkingu. Carlyle dostrzegł Rose Scripps – uściskała żonę zmarłego, a potem odeszła na bok, ocierając oczy. Gdy zmierzała w

jego stronę, przyglądał się jej posępnej twarzy. W czarnych spodniach i czarnym płaszczu, bez makijażu, wyglądała starzej niż zwykle.

Carlyle przywitał ją bladym uśmiechem.

Rose skinęła głową.

– Nie wiedziałem, że Merrett był katolikiem – powiedział Carlyle, spoglądając na księdza pogrążonego w rozmowie z jednym z żałobników.

– Ja też nie – odparła Rose lekko drżącym głosem. – To zadziwiające, jak mało wiemy o ludziach, z którymi pracujemy.

Nie takie znów zadziwiające, pomyślał Carlyle.

– W ciągu ostatniego roku prawdopodobnie spędziłam z Simonem więcej czasu niż jego żona. Właściwie na pewno. Ale wciąż tak mało o nim wiem. – Roześmiała się ponuro. – Nie wiedziałam nawet, któremu klubowi piłkarskiemu kibicowałam.

– Tak? Któremu?

– Chelsea. Podobno miał nawet karnet na cały sezon.

– Hm... – Przez umysł Carlyle'a przemknęła paskudnie głupia i złośliwa myśl, ale szybko ją odpędził. – Idziemy?

– Tak. – Rose zrównała się z nim i wzięła go pod rękę. Carlyle, zaskoczony, zeszywniał na moment. Nie wiedząc, jak zareagować, po prostu szedł w milczeniu.

Ubrana w dżinsy, sportowe buty New Balance i bluzę z Hannah Montana, Julia Bojko wyglądała na rozluźnioną i zadowoloną z życia. Rozsiadłszy się wygodnie w sali konferencyjnej CEOP, popijała colę light i przeglądała jakiś kolorowy magazyn. Na widok Rose stojącej w korytarzu uśmiechnęła się promiennie.

– Wydaje się naprawdę miła – westchnęła Rose. Potem zamknęła drzwi i spojrzała na inspektora. – Chyba zdaje sobie sprawę, że miała spore szczęście.

– O tak, ogromne – zażartował Carlyle, myśląc o nieuchronnej deportacji dziewczynki.

– Zebrałam trochę informacji – Rose zignorowała jego sarkazm. – Na Ukrainie żyje około stu tysięcy dzieci, które są bezdomne albo

zostały z takiego czy innego powodu porzucone przez rodziców. Julia mieszkała z ojcem, macochą i trzema siostrami do szóstego roku życia. Kiedy ojciec uciekł, odesłano ją do babci, ale ta umarła, kiedy Julia miała dziewięć lat. Wtedy trafiła do domu dziecka.

– Jezu... – Carlyle nienawidził takich historii. Okropności, jakie musiały znosić niektóre dzieci, były po prostu zbyt przerażające. Wolał o tym nie słuchać, jeśli nie musiał.

Tymczasem Rose, nieświadoma jego nastawienia, mówiła dalej:

– Dzieci w sierocińcach zwykle nie mają podstawowych umiejętności, nie potrafią nawiązać relacji z innymi ludźmi. Ale ta dziewczynka jest wyjątkowo bystra. Nie odebrała co prawda żadnego wykształcenia, ale przynajmniej umie pisać i czytać. Mówi, że nauczyła się trochę angielskiego z telewizji. Kiedy handlarze powiedzieli jej, że poleci do Londynu, postanowiła wykorzystać szansę.

– I co się z nią teraz stanie? – spytał Carlyle, chcąc jak najszybciej zmienić temat.

– Za dwa dni wraca do kraju.

– Wyjątkowe szczęście...

– Przynajmniej wciąż żyje.

– Racja.

– Wiem, że nasza pomoc jest bardzo ograniczona. – Rose wzruszyła ramionami. – Ale na pewno nie pozwolą jej tutaj zostać. – Spojrzała na swoje dłonie. – Skontaktowałam się jednak z Ambasadą Brytyjską w Kijowie.

– I?

– A oni skontaktowali mnie z British Council. Prowadzą tam różne programy edukacyjne, myślę, że uda nam się zapisać Julię na jeden z nich.

– Cudownie.

Rose uderzyła go lekko w ramię.

– To wcale nie mała. Potem może pracować w opłacanym przez UNICEF projekcie edukacyjnym, który ma zapobiegać handlowi

ludźmi i bezrobociu...

– Hm...

Rose nie przejmowała się cynizmem inspektora.

– ...i pomagać sierotom zrozumieć i wykorzystać ich prawa.

– Masz rację. – Carlyle pokiwał głową, tym razem bez cienia ironii. – To naprawdę doskonały początek. Dobra robota.

Rose zaczerwieniła się lekko.

– Zobaczmy, co z tego wyjdzie – powiedziała z uśmiechem. – Ważne, że Julia bardzo chętnie z nami współpracuje.

– To raczej rzadko spotykane, prawda?

– Bardzo. Ale handlarze właściwie nie mogą wywierać na nią żadnych nacisków.

– Bo jest sierotą? Bo nie ma rodziny, której mogliby grozić?

– Bo jest bystrą dziewczynką, która zdaje sobie sprawę, że musi o wszystko w życiu walczyć. I która wie, że możemy jej zaoferować konkretną alternatywę.

Carlyle wyciągnął rękę, a Julia uprzejmie ją uścisnęła. Wskazał głową Rose, która uśmiechnęła się ciepło.

– Dziękuję, że zgodziłaś się z nami porozmawiać.

– Nie ma sprawy – odparła cicho Ukrainka, spoglądając na kolorowe strony czasopisma.

– Julio... – Rose położyła dłoń na jej przedramieniu, a ona podniosła wzrok. – To jest policjant, o którym ci mówiłam. Inspektor Carlyle.

Julia spojrzała na Carlyle'a i skinęła głową.

– Byłby wdzięczny – ciągnęła Rose – gdybyś powiedziała mu to samo, co mówiłaś mnie: żeby zrozumiał, jak trafiłaś do Anglii.

– Dobrze.

Dziewczynka odetchnęła głęboko i rozpoczęła krótki monolog, który wyćwiczyła zapewne podczas rozmów z Rose.

– Ostatnie cztery lata spędziłam na międzynarodowym obozie dla dzieci Sandokan. Uciekałam trzy razy. Tym razem dyrektor kazał

mi pojechać z Anglikiem, który odwiedza nasz obóz. Nazywa się Gordon.

Carlyle spojrział na Rose.

– Falkirk?

Rose skinęła głową.

– Rozpoznała go wczoraj na zdjęciu. Mamy już pełne zeznanie podpisane w obecności prawnika.

– Rozmawiałaś z tym człowiekiem? – spytał dziewczynkę Carlyle.

– Nie. – Julia przewróciła kartkę czasopisma. – Był zbyt ważny, żeby z nami rozmawiać. Poza tym nie wiedział, że znam angielski.

– Co stało się potem?

– Zabrali nas do hotelu.

Dziewczyna wyraźnie traciła nad sobą panowanie. Carlyle zastanawiał się, jak bardzo powinien ją naciskać.

– Ile dziewczyn?

– Cztery. Rozdzielili nas. Dali mi bilety i kazali się spotkać z tym mężczyzną na lotnisku.

– A pozostałe?

Oczy Julii wypełniły się łzami.

– Nie wiem.

Carlyle spojrział na Rose, lecz ta wzruszyła tylko ramionami. Wstał i powiedział:

– Dziękuję ci, Julio. Cieszę się, że zechciałaś nam pomóc. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

Dziewczyna obdarzyła go drżącym uśmiechem. Carlyle miał do niej jeszcze jedno pytanie, ale czekał, aż nieco się uspokoi. By nie marnować czasu, odwrócił się do Rose i spytał:

– Kontaktowaliśmy się z ukraińskimi władzami?

– Rozmawiałam z kimś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Podobno prowadzą tam szeroko zakrojone śledztwo w sprawie obozu dziecięcego, którego kierownikiem jest zastępca prokuratora z Kijowa, jakiś generał.

– Generał? – Carlyle się roześmiał. – Przydałby się nam tutaj ktoś taki. Wiesz, rządy twardej ręki i tak dalej...

Rose przerzuciła kilka kartek notatnika, szukając właściwego nazwiska.

– Generał Dmytro Gaziz...ulin.

– Generał Gazizulin to ważny człowiek na Ukrainie – wtrąciła Julia.

– Tak. – Rose skinęła głową. – Rozmawiałam z asystentką jego asystentki czy kimś takim. Mają nam przesłać jakieś dokumenty.

– Prowadzą śledztwo w sprawie Falkirka?

– Nie pytałam.

– Więc spróbujmy się dowiedzieć. – Carlyle odwrócił się do dziewczyny. – Mogę zadać ci jeszcze jedno, ostatnie pytanie?

Julia skinęła głową.

– Znasz dziewczynkę o imieniu Alzbeta? Ma osiem, może dziewięć lat. Być może była na tym samym obozie co ty.

Julia zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem pokręciła głową.

– Nie, chyba nie. Ja jestem starsza, a oni trzymali młodsze dzieci oddzielnie.

– Jasne. Jeszcze raz dziękuję, że zechciałaś ze mną porozmawiać.

– Carlyle sięgnął do portfela, wyjął banknot dziesięciofuntowy i trochę drobnych. Położył pieniądze na biurku obok dziewczynki. – Kup sobie coś do czytania na podróż powrotną.

Dziewczynka uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję.

Inspektor poczuł się bezradny i zakłopotany. Uratował go telefon, który rozdzwonił się nagle w jego kieszeni.

– Carlyle. – Uśmiechnął się słabo do dziewczynki i uciekł z sali.

– Inspektorze, mówi Alex, konsjerż z hotelu Garden.

– Tak? – odpowiedział Carlyle ostrożnie, przekonany, że Alex poprosi go o jakąś przysługę.

– Ta dziewczyna wróciła.

– Co? – Ulga, jaką poczuł po opuszczeniu sali, zmieszała się z irytacją na konsjerżę i jego zagadkowe stwierdzenie.

– Dziewczyna, z którą był pan tu ostatnio – wyjaśnił Miles. – Wynajęła ten sam apartament. Tym razem zapłaciła.

Kurwa. Od hotelu dzieliło go jakieś piętnaście minut szybkiego marszu. Może dotarłby tam trochę szybciej, gdyby wziął taksówkę, a może nie.

– Jest tam jeszcze?

– Poszła na górę jakieś dziesięć minut temu – odparł Miles z entuzjazmem człowieka, który w znaczący sposób zmniejszył właśnie swój debet w banku J. Carlyle'a.

– Sama?

– O ile mi wiadomo, tak.

Carlyle zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Dobra, podaj mi wszystkie dane z rezerwacji, łącznie z numerem jej karty kredytowej. I zadzwoń, jeśli dokądś wyjdzie. Będę tam za dziesięć minut.

– Ach, pan inspektor. Zastanawiałam się, kiedy uda się panu tu dotrzeć.

Carlyle stanął w drzwiach apartamentu, zdyszany i spocony po biegu przez Soho, i przyglądał się Oldze. Była ubrana w drogie dżinsy i długą białą koszulę rozpiętą pod szyją. Stała bosa, oparta ramieniem o ścianę, i popijała wodę Evian prosto z małej butelki. Wyglądała naprawdę ładnie. Więcej niż ładnie, jak na ekskluzywną prostytutkę przystało.

– Myślałem, że już pani nie zobaczymy – odezwał się, gdy był już pewny, że nie będzie przy tym dyszał jak pies.

– Niby dlaczego? – Na jej twarzy pojawił się wyraz udawanego zaskoczenia. – Bo nieszczęsny pan Igor Czepojak okazał się trochę szurnięty?

Carlyle usiadł na łóżku. Ukrainka najwyraźniej miała do niego jakiś interes, więc równie dobrze mógł wysłuchać jej na siedząco.

– Myślałem, że pani dla niego pracuje.

– A czy pan odpowiada za działania swojego szefa? – spytała, niczego nie potwierdzając, ani niczemu nie zaprzeczając.

Carlyle uśmiechnął się lekko. On również potrafił odpowiadać pytaniami na pytania.

– Wie pani, gdzie on jest?

– Już nie. – Upiła łyk wody i również uśmiechnęła się do niego, rozbawiona tą grą.

– Więc o czym właściwie rozmawiamy?

– Słyszałam o dziewczynce – odparła Olga, poważniejąc.

O której? – zastanowił się Carlyle. Wie o Alzbecie, ale czy słyszała też o Julii? Obiecał sobie w duchu, że niczego nie zdradzi. W obecności atrakcyjnej kobiety facet może się łatwo wygadać.

– O Alzbecie? Wciąż mam jej prochy.

– Fuj. – Olga się wzdrygnęła.

– Została skremowana – wyjaśnił spokojnie Carlyle. – Jeśli nie znajdziemy jej rodziny, będziemy musieli coś z tym zrobić.

– Nadal prowadzicie śledztwo w jej sprawie?

Carlyle obrzucił ją surowym spojrzeniem.

– Mała dziewczynka zostaje przywieziona do obcego kraju i zabita. To nie jest sprawa, o której zapomina się po kilku dniach.

– Oczywiście. – Olga sposepniała. – Rozumiem. – Zakręciła butelkę i rzuciła ją na łóżko. – Znaleźliście coś w tamtym domu?

Carlyle zastanawiał się, czy powinien zabrać butelkę, by zdobyć w ten sposób jej odciski palców – i czy warto wydawać na to kolejne kilkaset funtów, których policja metropolitalna wcale nie ma w nadmiarze? Raczej nie.

– W jakim domu?

– W tym, którego używał Igor – wyjaśniła. – Thane Villas.

– Nie. Był pusty. – Carlyle wstał i zaczął chodzić w kółko, by wydeptać dywan na złość konsjerżowi Alexowi. – Ten adres kosztował mnie sporo pieniędzy, o ile dobrze pamiętam.

– Dobrze, dobrze, postaram się to panu wynagrodzić. – Olga wzięła z łóżka dużą torbę na ramię i wyjęła z niej plik kartek formatu

A4.

– Co to? – spytał Carlyle.

– Dokumenty świadczące o tym, że Thane Villas numer siedemdziesiąt należy do firmy o nazwie... United-14.

Dobrze wiedzieć, pomyślał Carlyle. Jeszcze jeden gwóźdź do trumny Tommy'ego Dolana.

– Zdaje się, że z kolei ta firma należy do policji – dodała Olga z łobuzerskim uśmiechem.

– Należy do grupy policjantów, którzy działają na własną rękę – odparł sztywno Carlyle. – To nie to samo.

– Wszystko jedno. – Olga machnęła ręką i wręczyła mu dokumenty. – Ale kredyt spłaca inna firma...

– Nie sądziłem, że ci faceci muszą kupować coś na kredyt.

– Chodzi tylko o zamieszanie w papierach – wyjaśniła spokojnie Olga, utwierdziwszy się w przekonaniu, że ma do czynienia z człowiekiem, który w sprawach finansowych jest idiotą. – Kredyt spłaca firma o nazwie Black Prince Elite Enterprise Holdings.

Ho, ho! – mruknął w duchu Carlyle, który domyślał się już, do czego zmierza Ukrainka.

– Która należy do...

Nie spiesz się.

– Do bardzo ważnego człowieka...

Carlyle spojrzał jej prosto w oczy i skinął głową, dając do zrozumienia, że uważnie jej słucha.

– Niejakiego Gordona Elstree-Ullicka, który jest...

Nie uśmiechaj się głupio. Pozwól jej to powiedzieć.

– Hrabią Falkirk.

– Rozumiem.

– On zna królową! – pisnęła Olga. – Jest członkiem rodziny królewskiej!

– Zna go pani osobiście?

– Tak. – Uśmiechnęła się szeroko. – W rzeczy samej znam.

Carlyle znalazł konsjerża Alexa w pustym barze na parterze. Siedział w boksie na tyłach sali, popijał sok żurawinowy i zajmował się jakąś papierkową robotą.

– Mam nadzieję, że nie pobrudziliście pościeli – powiedział, wystukując coś na wielkim kalkulatorze i nie podnosząc wzroku.

Carlyle zignorował przytyk i usiadł obok niego.

– Co masz ciekawego?

Jemu również zachciało się pić, próbował więc przyciągnąć uwagę barmana, lecz ten udawał, że go nie zauważa i że jest pochłonięty wycieraniem szklanek i kieliszków. Dupek, pomyślał inspektor, rezygnując z zamówienia.

Miles wyjął ze sterty kartkę i położył ją przed inspektorem.

– Dostałem to od znajomego z firmy obsługującej karty kredytowe – powiedział, wskazując kartkę. – To poufna informacja, więc teoretycznie nie mam do niej dostępu. I ty oczywiście również nic o tym nie wiesz.

Carlyle zrobił poważną minę i pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Nie możesz wykorzystać tego w sądzie – zaznaczył Miles – a wszystkie te informacje muszą zostać między nami.

– Masz znajomego w takiej firmie? – zainteresował się nagle Carlyle. – Co to za gość?

– Taki, o którym nie musisz nic wiedzieć – odparł ostro Miles, po czym upił łyk soku przez dwie rurki naraz, niczym przerośnięty uczeń. – Oszustwo to poważna sprawa i dla nich, i dla nas. Jeśli nie będziemy trzymali ręki na pulsie, może nas to kosztować dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy funtów. Nie chcemy tego, oni też. Swobodny przepływ informacji służy w tym przypadku obu stronom.

Carlyle nie chciał zanadto irytować swojego informatora, skinął więc tylko głową.

– Rozumiem.

– Tak więc – mówił dalej Miles, dźgając kartkę palcem – z tego dokumentu wynika, że karta, z której opłacono apartament, jest

zarejestrowana na niejaką Olgę Gładkij, adres... bardzo drogi adres... w Highgate.

– Jasne. – Owszem, to interesująca informacja, ale nieszczególnie odkrywczą. Olga wiedziała, jak z nim pogrywać. Domyślała się prawdopodobnie, że dotrą do tych danych, więc i tak są zapewne bezużyteczne. Inaczej nie używałyby tej karty.

– Na ten sam adres zarejestrowano jeszcze trzy inne karty, należące do trzech różnych kobiet – dodał Miles. – Te kobiety to Daria Chudzamowa, Aniczka Isczenko i Aleksandra Gazizulin.

Aleksandra Gazizulin.

Carlyle wpatrywał się przez chwilę w kartkę.

Gazizulin.

– Dziękuję ci bardzo. – Zabrał dokument, złożył go i schował do kieszeni. Potem wstał i podał Alexowi rękę. – Daj mi znać, gdyby coś się działo w tym apartamencie.

– Jasne. – Miles skinął głową i uściśnął dłoń inspektora, nie wstając z miejsca. – Zrobiła rezerwację tylko na jedną noc.

– Gdyby jednak coś się w tym czasie wydarzyło, chciałbym o tym wiedzieć.

– Oczywiście. – Miles zajął się już stukaniem w kalkulator i zapisywaniem jakichś liczb na kartce.

Carlyle wyszedł zważnym krokiem na korytarz, a potem na ulicę. Aleksandro Gazizulin, pomyślał z uśmiechem. Może jednak nie jesteś tak cholernie sprytna, jak ci się wydaje.

Tommy Dolan stał w rogu baru Star & Garter przy Poland Street i z posępną miną popijał piwo Copper Dragon Best.

– Związki zrezygnowały z prowadzenia mojej sprawy.

– Pewnie dlatego, że mają poważniejsze rzeczy na głowie, takie jak zabójstwo policjantki – odparł ostro Joe Szyszkowski.

– Powiedzieli, że albo sam po cichu odejdę, albo będę miał naprawdę przesrane – mruknął Dolan.

Carlyle zerknął na Joego i uniósł lekko brwi.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Za dużo sobie pozwalasz – wtrącił Joe, zaciskając mocniej dłoń na butelce peroni i pochylając się groźnie w stronę Dolana.

– Mój obrońca ze związków do niczego się nie nadawał – jęczał Dolan do swojej szklanki z piwem, nie zważając na brak współczucia rozmówców. W końcu podniósł wzrok. – Hej, ale wy przynajmniej jesteście czyści.

Dla ciebie to tylko jedna wielka gra, Tommy, prawda? – pomyślał Carlyle. Upił łyk Jamesona i westchnął ciężko. Chciał już być w domu, siedzieć na sofie z Helen i Alice, a nie stać w zatłoczonym pubie i słuchać narzekania tego palanta.

– A co z Alexą Matthews? – spytał.

– Nic o tym nie wiem. – Dolan pociągnął nosem. – Może kogoś poniosło.

– Właśnie dlatego tutaj jesteśmy, Dolan – warknął Joe, podnosząc butelkę do ust, ale nie pijąc. – Mówiłeś, że coś dla nas masz.

– Chcę tylko dostawać emeryturę – powiedział Dolan, po raz kolejny wykazując się brakiem samoświadomości.

Inspektor dopił whisky i odstawił pustą szklankę na bar.

– No dobra, Tommy – powiedział – za minutę wychodzę. Gadaj albo spadaj.

Dolan zacisnął dłonie na szklance z piwem i spuścił wzrok.

– Mogę dać wam Adama – powiedział.

– Charlie Adam! – parsknął pogardliwie Carlyle. – Dlaczego miałby mnie obchodzić taki gnojek jak Charlie Adam? Jest za głupi, żeby dać się skorumpować.

– Nie byłbym taki pewny.

Carlyle położył dłoń na ramieniu Dolana.

– Żeby nie było niejasności, Tommy: gównu mnie obchodzi pierdolony Charlie Adam. Choćby dlatego, że podobno odchodzi w przyszłym tygodniu ze służby.

Dolan spojrział zdumiony na Carlyle'a.

Joe również.

Obaj przypuszczali, że to zmyślił.

Obaj wiedzieli, że to zmyślił.

Jednak żaden z nich nie próbował tego kwestionować.

– Kończy ci się czas – powiedział inspektor. – Daj mi Falkirka albo spierdalaj.

Dolan skrzywił się z niechęcią.

– Umowa stoi?

– Bezczelny sukinsyn. – Joe uśmiechnął się szeroko.

– Wiesz, jak to jest, Tommy. – Carlyle westchnął, spoglądając groźnie na Joego i próbując go w ten sposób uciszyć. – Niczego nie mogę ci obiecać.

Dolan obdarzył go spojrzeniem, które mówiło: „Może i uda wam się mnie wyruchać, ale nie róbcie ze mnie idioty”.

– Rozumiem to – powiedział powoli – ale obowiązuje nas dżentelmeńska umowa, prawda?

– Żaden z nas nie jest dżentelmenem, Tommy – odparł Carlyle wyniośle. – Ale jeśli chodzi o mnie, jeśli rzeczywiście nie miałeś nic wspólnego ze spaleniem Alexy i jej przyjaciółki, ograniczę się do Falkirka. Porozmawiam też z Simpson, może uda się to odnieść do całego śledztwa. Reszta będzie zależec od ciebie i twojego przedstawiciela ze związków zawodowych.

- Świetnie - mruknął Dolan bez cienia entuzjazmu. - Ten dupek jest jak dziecko. Nie ma o niczym pojęcia.

- Otóż to, Tommy. - Carlyle się uśmiechnął. - Nawet przedstawiciele policji wyglądają teraz coraz młodziej.

Dolan spojrział na niego z konsternacją.

- Musisz też złożyć zeznanie w wydziale wewnętrznym - ciągnął Carlyle. - Porozmawiaj z facetem, który nazywa się Ambrose Watson. Wydaje się, że jest w porządku.

- Jeśli pracuje w IIC, to musi być fiutem - syknął Dolan.

Wszystko jedno, pomyślał Carlyle.

- Tak czy inaczej, musisz z nim porozmawiać - powiedział głośno. - A ja zobaczę, co da się zrobić.

- Czym się teraz zajmiesz? - spytał Dolan, zapominając, że jest policjantem już tylko z nazwy.

- To mój problem, Tommy - odparł Carlyle, ruszając w końcu do drzwi. - Musisz zostawić to mnie.

– Co on tutaj robi? – Gordon Elstree-Ulick obrócił się na krześle i zmierzył Carlyle’a wzrokiem.

Sir Ewen Mayflower, który siedział za potężnym biurkiem z wiśniowego drewna w przestronnym gabinecie na parterze zachodniego skrzydła pałacu Buckingham, rozłożył ręce.

– Poprosiłem inspektora, żeby tu przyszedł, bo pomyślałem, że może nam pomóc w naszej rozmowie – odpowiedział spokojnie.

– Ten policjant próbował mnie aresztować – syknął Falkirk, wypowiadając słowo „policjant” ze szczególnym obrzydzeniem.

Carlyle spojrzał wymownie na Mayflowera, ale powstrzymał się od komentarzy.

– Chodzi o to... – zaczął lord szambelan.

– Chodzi o to – przerwał mu ostro Falkirk, choć w jego głosie pobrzmiwała nuta strachu – że zwabiłeś mnie tutaj podstępem. – Wstał i spojrzał Carlyle’owi prosto w oczy. – Już po raz drugi ten... niekompetentny funkcjonariusz zakłóca mi spokój.

Carlyle nie mógł powstrzymać uśmiechu satysfakcji.

– Dolan cię wydał, Gordonie – powiedział cicho. Potem spojrzał demonstracyjnie na zegarek. Miał nadzieję, że Ambrose Watson zakończył już przesłuchanie. – To już koniec.

– A niech cię szlag... – warknął Falkirk, wstając i ruszając do drzwi. – Zaraz porozmawiasz o tym z moim prawnikiem.

– Owszem – Carlyle położył dłoń na jego ramieniu. – Ale najpierw aresztuję cię pod zarzutem handlu ludźmi, zmuszania nieletnich do nierządu i... morderstwa.

Mayflower stłumił okrzyk zdumienia.

Falkirk strącił z ramienia dłoń inspektora, rzucił się do drzwi, otworzył je jednym szarpnięciem i wypadł na korytarz.

Carlyle westchnął i pobiegł za nim.

– Proszę uważać na antyki! – krzyknął Mayflower.

Inspektor niespiesznie ruszył za Falkirkiem do Błękitnego Salonu, olbrzymiej sali z wielkimi żyrandolami, które zwieszały się z sufitu niczym rozdęte meduzy. Falkirk gorączkowo próbował wybrać jakiś numer na komórce, ale potknął się o skraj grubego czerwonego dywanu i runął jak długi, wypuszczając telefon.

Carlyle przeszedł obok hrabiego i kilkakrotnie uderzył obcasem w aparat.

– To był właśnie ten jeden telefon, do którego masz prawo przed aresztowaniem – oznajmił, starając się nie okazać zbyt otwarcie satysfakcji, jaką czuł.

Falkirk podniósł się z podłogi i kopnął Carlyle'a w udo.

– Ty pieprzony gnoju – syknął Carlyle, sięgając po wazę z pobliskiego stołu. Biało-niebieskie naczynie o wysokości około trzydziestu centymetrów, wąskie u góry i pękate na dole, idealnie układało się w jego dłoni. Jednym płynnym, eleganckim ruchem rozbił je na głowie Falkirka, posyłając go z powrotem na podłogę w otoczeniu odłamków porcelany i kropel krwi.

– O Boże! – wysapał Mayflower. – O nie...

Carlyle spojrział na szefa królewskiego dworu, który klęczał na dywanie i zbierał odłamki wazy.

– Chińska... – mamrotał. – Siedemnasty wiek... Dynastia Qing.

– Trudno, potrąci im się to z kieszonkowego – zażartował inspektor.

Falkirk, zalany krwią, jęknął i próbował podnieść się z podłogi.

– Nie ruszaj się! – Mayflower uderzył go w czubek głowy, po czym przywołał gestem Carlyle'a. – Musimy znaleźć wszystkie kawałki.

Carlyle nawet nie drgnął.

Mayflower, który trzymał w obu rękach odłamki porcelany, podniósł na niego wzrok.

– Nie może go pan aresztować, dopóki nie będziemy mieli pewności, że zebraliśmy wszystkie kawałki. Muszę wezwać konserwatorów.

– Pewnie zna pan już ich numer na pamięć – odrzekł Carlyle z uśmiechem.

Mayflower zgromił go spojrzeniem.

– Proszę sobie nie żartować, inspektorze. Ta waza była bezcenna.

– Dobrze, proszę mnie obciążyć – mruknął Carlyle, znużony nagle całym tym przepychem.

Ale Mayflower mówił do siebie.

– Zanim ją skleimy, będziemy musieli przynieść inną z magazynu.

– Z magazynu? – powtórzył Carlyle.

Falkirk znów głośno jęknął. Inspektor przysunął się do niego i kopnął go ukradkiem.

Mayflower, zajęty zbieraniem fragmentów cennej wazy, udawał, że niczego nie widzi.

– Mamy jeszcze mnóstwo dzieł sztuki w magazynach – wyjaśnił.

– Jest ich za dużo, żeby wystawić wszystkie.

– Więc może sprzedalibyście chociaż trochę – zaproponował Carlyle. – Spłacili część długu publicznego czy coś w tym rodzaju.

– O nie! To niemożliwe! – Mayflower spojrział na niego tak, jakby okazał się jeszcze głupszy, niż powinien być policjant. – Rodzina nigdy by się na to nie zgodziła.

– Pewnie nie. – Carlyle przyklęknął i zakuł Falkirka w kajdanki. – Trzymanie całej sterty kosztownego gówna w piwnicy to przecież znacznie rozsądniejsze rozwiązanie.

– W rzeczy samej. – Mayflower uśmiechnął się bezczelnie. – Szczególnie jeśli tak się składa, że to pańskie gówno, inspektorze.

Carlyle wepchnął Falkirka na tylne siedzenie policyjnego bmw, które czekało na dziedzińcu. Pamiętał, by uderzyć przy tym głową arystokraty o ramę drzwi. Hrabia jęknął głucho, ale nie zaprotestował. Kierowca spojrział zdumiony na Carlyle'a, odwrócił się jednak szybko, gdy ten zgromił go wzrokiem.

Joe Szyszkowski siedział nieruchomo na fotelu pasażera. Carlyle przeszedł na jego stronę i pochylił się do okna.

– Zawieź go do komisariatu i dopilnuj, żeby posiedział godzinę w celi. Potem z nim pogadamy. Nie wolno mu się z nikim widzieć. Aha, i skorzystał już z prawa do jednej rozmowy telefonicznej.

Joe spojrzął przez szybę na młodą kobietę, która wyprowadzała małe stado psów rasy corgi.

– Jasne.

– Świetnie. Chcę, żeby jak najmniej ludzi wiedziało, że jest w areszcie.

Joe wskazał zakrwawioną naburmuszoną postać we wstecznym lusterku.

– Kazać mu się umyć?

– Niekoniecznie.

– Jesteś pewny, szefie? Potem może robić problemy...

– Dobra. – Carlyle westchnął. – Jak uważasz. Wrócę mniej więcej za godzinę.

– No to do zobaczenia. – Joe zapiął pas i odwrócił się do kierowcy. – Jedźmy.

Carlyle odsunął się od samochodu, a gdy ten zniknął za bramą, odwrócił się do Mayflowera, który czekał w bezpiecznej odległości.

– Dziękuję panu za pomoc.

– Cała przyjemność po mojej stronie, inspektorze. – Szef królewskiego dworu wyciągnął do Carlyle'a rękę, a ten mocno ją uścisnął. – Mam tylko nadzieję, że uda się załatwić tę sprawę szybko i dyskretnie.

– Obawiam się, że to mało prawdopodobne – odparł Carlyle, ocierając pot z czoła. – Mogę pana jednak zapewnić, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie fatygować pana bez potrzeby i nie narażać dworu królewskiego na kompromitację.

– Och, jakaż dyplomatyczna odpowiedź! – Mayflower uśmiechnął się szelmowsko.

Carlyle wzruszył ramionami.

– Obiecuję, że zrobię, co będę mógł.

– Proszę się zanadto nie przejmować, inspektorze. Dobrze wiem, że na niektóre rzeczy po prostu nie mamy wpływu. W takiej sytuacji można jedynie wykonywać dobrze swoją pracę, reszta i tak zależy od kogoś innego. Musimy sobie jakoś radzić z czarnymi owcami, a jeśli narobi się przy tym trochę zamieszania... cóż... – Zrobił krótką pauzę i wskazał pałac. – Nie będzie to pierwszy skandal w tych murach.

– Pewnie nie. – Carlyle się roześmiał. – I jeszcze raz przepraszam za wazę.

– Takie rzeczy się zdarzają. – Mayflower poklepał go lekko po ramieniu i zaczął prowadzić do wyjścia z dziedzińca. – Będzie to wymagało sporo czasu i kilku tubek superglue, ale przypuszczam, że za rok o tej porze waza będzie już stała na swoim miejscu. – Szambelan obrzucił Carlyle’a badawczym spojrzeniem. – Oczywiście będę musiał powiadomić królową o tym, co się tu stało.

– Naprawdę?

– Nie. – Mayflower zachichotał. – W ogóle tego nie zauważy. Ma przecież setki podobnych eksponatów.

Rozstali się przy północnej bramie. Mayflower ruszył już w drogę powrotną, gdy Carlyle o czymś sobie przypomniał.

– Sir Ewenie!

Mayflower zatrzymał się i odwrócił.

– Tak?

– Jeszcze jedno. – Carlyle podbiegł do niego i wyłuszczył swoją prośbę.

Mayflower zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Będę musiał porozmawiać o tym z Jej Królewską Mością.

– Czy to w ogóle możliwe? – spytał Carlyle.

– Cóż, na pewno mogę zapytać – odparł Mayflower w zamyśleniu. – I zapytam. Nie wiem, czy kiedykolwiek robiono coś podobnego, ale w tych okolicznościach taka prośba wydaje się całkiem rozsądna. Miał pan bardzo dobry pomysł. Poprę go i zasugeruję, że wręcz nie wypada nam postąpić inaczej.

– Całość byłaby bardzo skromna.

– Rozumiem. – Mayflower skinął głową. – Zobaczymy, co da się zrobić. Jestem pewny, że jakoś to rozwiążemy.

W drodze powrotnej do komisariatu Carlyle wstąpił do parku St James's i usiadł na ławce. Przyglądał się turystom karmiącym kaczki i rozmyślał o różnych sprawach. Niebo zasnuwane było chmurami, pod ubranie wciskał się nieprzyjemny chłód. Ten park nie należał do ulubionych miejsc Carlyle'a, ale siedząc między pałacem Buckingham z jednej strony a Downing Street i London Eye z drugiej, inspektor czuł, że przebywa w samym sercu Londynu, swojego domu – miejsca, gdzie złe rzeczy nie powinny się wydarzać, a jeśli już do tego dochodzi, to właśnie on musi dopilnować, by winni zostali ukarani.

29

Falkirk znalazł nową prawniczkę. Sasha Stuart, elegancka blondynka mająca co najmniej sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, stała przed recepcją z rękami na biodrach i miną rozwścieczonego drapieżnika, gotowego urwać komuś głowę.

– Przepraszam, że kazałem pani czekać – przywitał się uprzejmie inspektor, zapraszając ją gestem, by weszła do komisariatu.

– Pańskie przeprosiny nie wystarczą, inspektorze – odparła wyniosłym tonem. – Szczególnie w świetle tego, jak traktował pan do tej pory mojego klienta.

– Zakładam, że widziała pani już, jakie postawiono mu zarzuty – ciągnął spokojnie Carlyle. – I proszę nie zapominać, że dołożymy do tego stawianie oporu podczas aresztowania, napaść na funkcjonariusza policji oraz... – tym razem nie udało mu się ukryć drwiącego uśmiechu – wyrządzenie poważnych szkód materialnych. Pani klient zamienił się w jedną wielką falę zbrodni.

– Poważne szkody materialne? – Stuart westchnęła. – Jakie szkody?

– Zniszczył bezcenną wazę – odparł Carlyle, wydymając usta. – Rozbił ją, gdy próbował uniknąć aresztowania. Waza należała do królowej. Coś mi się wydaje, że w tym roku Gordon nie dostanie na święta zaproszenia do Balmoral.

– O ile mi wiadomo, mój klient najchętniej spędza zimowe miesiące na Bahamach – oświadczyła Stuart lodowatym tonem.

– Wcale mnie to nie dziwi. – Carlyle uśmiechnął się szeroko. – Czy zwykle zabiera tam ze sobą kilka małych dziewczynek?

Prawniczka przeszyła go wrogim spojrzeniem.

– Ta sprawa trafi do najwyższych władz policji metropolitalnej – oznajmiła ponuro. – Poza tym złożymy oficjalną skargę do Niezależnej Komisji Skarg przeciw Policji.

– To bardzo interesujące – odpowiedział Carlyle nonszalancko. – Choć myślałem, że w tej sytuacji woleliby państwo raczej uniknąć

rozgłosu.

– Bzdura – prychnęła blondynka. – To zdecydowanie najgorszy przypadek nękania, z jakim kiedykolwiek miałam do czynienia. – Zrobiła krótką pauzę i zmierzyła go wzrokiem. – Przeciętny policjant dokonuje dziewięciu aresztowań rocznie, przy czym obejmuje to pijaków, gapowiczów, drobnych złodziejasków i temu podobnych. Zakładając, że rzeczywiście jest pan przeciętnym policjantem... niemal jedna czwarta pańskich aresztowań w tym roku dotyczyła mojego klienta.

– Do czego właściwie pani zmierza?

– Zmierzam do tego... – Tu prawniczka wycelowała wypielegnowany palec w twarz inspektora – że nie aresztuje się ludzi takich jak ten, który właśnie, po raz kolejny, został uwięziony w pańskim komisariacie. Nikt nie aresztuje ludzi takich jak on.

Carlyle z trudem nad sobą panował.

– Nikt nie stoi ponad prawem.

Wyprostowany palec odsunął się od jego twarzy i dźgnął go w ramię.

– Czas dorosnąć, inspektorze. Czas dorosnąć! – Odwróciła się i ruszyła energicznym krokiem w stronę pokoju przesłuchań. – Oczywiście kiedy już rozwiążemy tę sprawę, będziemy się domagali pańskiej dymisji w trybie natychmiastowym.

– Dobrze pani wie, że nigdy do tego nie dojdzie! – zawołał za nią Carlyle. Miał nadzieję, że się nie myli.

Ambrose Watson był czerwony z wysiłku i zlany potem, jakby właśnie przebiegł półmaraton.

– Dolan dostał zawału podczas przesłuchania – oznajmił z zakłopotaniem.

– Nie żyje? – spytał Joe.

– Tak – przyznał niechętnie Watson. – Ratownicy mówią, że umarł, zanim jeszcze spadł z krzesła.

– Wypadki chodzą po ludziach – stwierdził Carlyle, starając się nie okazywać zbyt ostentacyjnie zadowolenia.

– Szkoda, że nie pożył chociaż kilka minut dłużej – narzekał Ambrose. – Umarł, zanim zdążył podpisać zeznania.

– Niedobrze. – Joe cmoknął.

– Do ciężkiej cholery, Ambrose – zdenerwował się Carlyle – nie mogłeś włożyć mu długopisu w rękę i nabazgrać czegoś, co przypominałoby jego podpis?

Watson spojrział na niego ze zgrozą. Otworzył usta, ale nie wydał żadnego dźwięku.

– On tylko żartuje – zapewnił go Joe. Zgromił Carlyle’a wzrokiem, a potem uśmiechnął się do Watsona i dodał szybko: – Inspektor ma szczególne poczucie humoru. Kilka razy był już z tym nawet u policyjnego psychologa. Zasadniczo chodzi o to, że stres niszczy synapsy w jego mózgu. To coś w rodzaju łagodnej wersji zespołu Tourette’a.

Spierdalaj, pomyślał Carlyle.

Watson zachował swoje zdanie dla siebie.

– Co zeznał Dolan? – spytał Joe, by zamknąć już kwestię dziwnych żartów inspektora.

– Właściwie zrzucił wszystko na hrabiego Falkirka – wyjaśnił Watson. – Przyznał, że rozmawiał o Matthews, ale twierdził, że nie ma nic wspólnego z jej śmiercią. Sprawami Merretta i Shena obciążył Igora Czepojaka, a ponieważ ten przepadł bez wieści, nie możemy tego w żaden sposób zweryfikować.

– Więc jak w tej chwili wygląda nasza sytuacja? – chciał wiedzieć inspektor.

– Cóż... – Watson westchnął, ocierając czoło poszarpaną chusteczką higieniczną, którą wyciągnął z kieszeni. – Nie możemy wykorzystać jego zeznań w sądzie. Będziecie musieli znaleźć jakieś inne dowody przeciwko panu Elstree-Ullickowi.

– To nie problem – oświadczył niespodziewanie Carlyle. Ignorując zdumione spojrzenie Joego, uścisnął dłoń Watsona. – Dzięki za wiadomość o Dolanie. Ale proszę nas nie informować o szczegółach pogrzebu. Nie zamierzamy wysłać kwiatów.

Carlyle i Joe przechadzali się po korytarzu sądu Horseferry Road Magistrate's znajdującego się w pobliżu New Scotland Yardu. Od ponad dwóch godzin czekali na wstępną decyzję sędziego w sprawie zarzutów wobec hrabiego Falkirka. Joe mamrotał coś do telefonu, tłumacząc żonie, dlaczego musi dłużej zostać w pracy, a Carlyle chodził nerwowo od ściany do ściany niczym zwierzę w klatce.

Zwykle nakłonienie sędziego do załatwienia jakiegokolwiek sprawy po szesnastej granoczyło z niemożliwością. Inspektor bardzo chętnie zostawiłby Falkirka w więzieniu na noc, ale hrabia i jego prawniczka sobie tylko znanymi sposobami zdołali przekonać sędziego Harolda Stephensona, by jeszcze tego samego wieczoru rozpatrzył ich prośbę o wyznaczenie kaucji. Stephenson, nazywany przez tabloidy Twardzielem z Horseferry, głównie ze względu na surowość wobec wszelkiego rodzaju złoczyńców, był człowiekiem, który ściśle trzymał się wyznaczonych godzin pracy. Z pewnością nie poświęcałby wolnego czasu dla zwykłego śmiertelnika. A skoro teraz zechciał zostać po godzinach, to kto wie, jaką jeszcze przysługę gotów był wyświadczyć hrabiemu. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, mogło się okazać, że aż do rozpoczęcia procesu Falkirk pozostanie na wolności.

Nagle Carlyle'owi przyszło do głowy, że Stephenson może być jednym z klientów Falkirka. Ta myśl niemal doprowadziła go do furii, w porę jednak odsunął ją od siebie jako czystą spekulację.

Kiedy Joe zakończył rozmowę, jego mina mówiła, że Anita, jego żona, wykazała dość ograniczone zrozumienie dla tej niecodziennej sytuacji. Sierżant ziewnął i opadł ciężko na najbliższą ławkę. Carlyle usiadł obok niego. Jedyne, co mogli teraz zrobić, to czekać.

Dziesięć minut później obaj podnieśli wzrok, wyrwani z otępienia stukotem obcasów unoszącym się nad kamienną podłogą. W cywilnym ubraniu komendantka Carole Simpson wyglądała tak, jakby właśnie wybierała się do miasta na wieczór pełny rozrywek. Jednak nawet staranny makijaż nie mógł ukryć bladości jej twarzy.

Carlyle znów poczuł bolesny ucisk w brzuchu.

– Co się dzieje? – spytał, darując sobie zbędne uprzejmości.

Simpson przywołała ich obu do siebie, a potem rozejrzała się, by mieć pewność, że nikt ich nie słyszy.

– Sędzia wyznaczył kaucję – powiedziała cicho.

– To niemożliwe! – wykrzyknęli jednocześnie.

– Ciszej! – syknęła, przysuwając się jeszcze bliżej. – Dobrze wiecie, że to możliwe.

– Siedzimy tu całe popołudnie i czekamy na przesłuchanie – irytował się Joe.

– Ale sędzia nie chciał was przesłuchać. Prokuratura była przeciwna zwolnieniu za kaucją, ale prawniczka Falkirka przedstawiła wszystkie niezbędne zabezpieczenia.

– Akurat – prychnął Carlyle. – Pieprzona prokuratura znowu nas wydymała.

Wszyscy wiedzieli, że londyńska prokuratura nie bez powodu ma wyjątkowo kiepską reputację. Kierowała sprawami tak nieumiejętnie, że przestępcy unikali sprawiedliwości częściej niż w jakimkolwiek innym miejscu w Anglii i Walii.

– Otóż to. – Joe pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Wyjedzie do kliniki – ciągnęła Simpson. – Jego prawniczka twierdzi, że w wyniku nękania przez policję przeżył załamanie nerwowe i musi poddać się terapii.

– Bzdura! – zirytował się Joe. – Facet powinien dostać porządnie w skórę.

– Zrobilibyście lepsze wrażenie, gdybyście wpuścili do niego policyjnego lekarza – zbesztła ich Simpson.

– Nie było na to czasu – mruknął Carlyle. – Kazali mu oddać paszport?

– Nie.

– Kurwa mać! – Inspektor tupnął ze złością. – Zwieje.

– Wyszedł ze swoją prawniczką piętnaście minut temu – dodała Simpson.

– Niech to szlag! – Carlyle gotował się z wściekłości.

Simpson i tym razem zignorowała jego gwałtowną reakcję.

- Dobrze się spisaliście - powiedziała. - Jestem dumna z was obu.

Carlyle wbił wzrok w podłogę, był zakłopotany. Nigdy nie umiał przyjmować komplementów, a już szczególnie w obliczu oczywistej porażki.

- To prawda. - Simpson uśmiechnęła się słabo. - Wiem, że nie lubicie takich ckliwych pochwał, ale naprawdę jestem dumna, że doprowadziliście tę sprawę do końca. Zrobiliście, co do was należy.

- To jeszcze nie koniec - zaprotestował Carlyle.

- Dla nas koniec - odparła Simpson stanowczo. - Reszta należy do prokuratury i prawników. Facet nie wywinie się tylko dlatego, że należy do rodziny królewskiej. Sprawy zaszły za daleko, o wiele za daleko. Nikt nie zapomina o tym, że zginęła policjantka, że Merrett został zamęczony na śmierć, a Shen ciężko ranny.

- Ale ten gnojek po prostu poszedł sobie do domu! - Carlyle rozejrzał się bezradnie, jakby szukał czegoś, co mógłby kopnąć.

- Sędzia zabronił też przekazywania informacji do mediów. - Simpson spojrzała wymownie na Carlyle'a. - Więc nie próbuj nawet wciągać w to swoich przyjaciół z BBC.

Carlyle milczał.

- Porozmawiamy z tobą jeszcze w tym tygodniu - zakończyła Simpson, wkładając płaszcz. - Na pewno masz mnóstwo innych rzeczy do zrobienia. Zawsze przychodzi taki moment, kiedy trzeba zostawić daną sprawę. To jest właśnie ten moment.

Carlyle słuchał ze spuszczoną głową jej kroków oddalających się korytarzem. Myślał tylko o tym, że znów zawiódł dziewczynkę, którą znalazł w parku.

Joe poklepał go po ramieniu.

- Napijemy się?

Carlyle zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Anita się nie wścieknie, jeśli nie wrócisz zaraz do domu?

- Pieprzyć to. - Joe machnął ręką. - Tylko jedno szybkie piwo...
No, może dwa. - Uśmiechnął się szeroko. - Potrzebujemy tego. Anita
zrozumie.

- Dobra kobieta - odparł Carlyle z uśmiechem.

- Tak - potwierdził Joe, kiwając głową. - Naprawdę dobra.

30

Trzymając palec nad klawiszem „wyślij”, Carlyle po raz ostatni przeczytał szybko swój raport. W podsumowaniu należy więc stwierdzić, że ofiara zmarła w wyniku uduszenia podczas uprawiania samogwałtu. Przedziwna historia, pomyślał Carlyle. Głupek powiesił się przypadkiem na damskich majtkach. Lekarz sądowy orzekł, że nawet nie zdążył dojść. Inspektor pokręcił z niedowierzaniem głową. Co za absurdalna śmierć!

Jako że zmarły był jakimś pomniejszym telewizyjnym celebrytą, sprawą zainteresowały się media, które żyły nią przez kilka dni. Dla inspektora była to zabawna odmiana od nudy długich tygodni, które upłynęły od czasu aresztowania Falkirka.

Jak można się było spodziewać, po wyjściu na wolność hrabia zniknął. Carlyle nie był wcale zaskoczony, gdy nie pojawił się w sądzie w wyznaczonym terminie. Jego prawniczka, posągowa pani Stuart, wyjaśniła sędziemu, że jej klient leczy się z depresji w „nieznanym jej miejscu”. Na szczęście tym razem rozprawy nie prowadził Harold Stephenson, lecz spokojny i rozsądny sędzia pokoju Joe Davies. Zapoznawszy się z aktami sprawy, bez zbędnych ceregieli wydał natychmiastowy nakaz aresztowania Falkirka.

Niestety nikt, łącznie z Carlyle’em, nie przypuszczał, by w najbliższym czasie udało się ten nakaz zrealizować.

Inspektor wypuścił właśnie gotowy raport do policyjnej cyberprzestrzeni, gdy zaczęła wibrować jego komórka leżąca na biurku. Podniósł ją i spojrzał na wyświetlacz: numer zastrzeżony. Chce odebrać to połączenie? Chyba nie. Mimo to przyłożył aparat do ucha.

– John Carlyle...

– John?

Przecież to właśnie powiedziałem, pomyślał ze złością.

– Tak.

– Mówi Rose. Rose Scripps z CEOP.

– Oczywiście. – Westchnął i spytał, już łagodnie: – Co u ciebie?

– Znalazłam Falkirka!

Odsunął telefon od ucha i spojrzał na niego w niemym zdumieniu.

– John?

Inspektor w końcu ochłonął i przyłożył aparat do ucha.

– Tak?

– Powiedziałałam, że...

– Jak?

– Jest w „Paris Match”.

– Co?

– W „Paris Match” z zeszłego tygodnia. To taka francuska wersja „Hello”.

– Tak, tak... – Znał to czasopismo. Helen przynosiła je czasami do domu, a Carlyle pozwalał sobie rzucić okiem na jakieś roznegliżowane aktoreczki.

– Ktoś zostawił zeszłotygodniowy numer w metrze. Zaczęłam go z nudów przeglądać i na siódmej stronie znalazłam małe zdjęcie i artykuł: Królewski rozrabiaka na odwyku w szwajcarskiej klinice...ple, ple, ple... a potem komentarz „przyjaciela”, który mówi, że Falkirk próbuje rozpocząć nowy rozdział.

– Więc jest w Szwajcarii? – spytał Carlyle podekscytowany.

– Tak. A przynajmniej niedawno był. W miejscu, które nazywa się klinika Kippe. Czy to oznacza, że teraz możemy go dopaść?

– To oznacza, że na pewno możemy spróbować!

– Dobrze, mam, nie ma problemu. Do tej pory na pewno wrócę. Oczywiście, rozumiem. Cześć.

Rose Scripps odłożyła komórkę na deskę rozdzielczą nieoznakowanego peugeota, najtańszego samochodu, jaki udało im się wypożyczyć na lotnisku w Genewie. Przez chwilę bębniła palcami o kierownicę, po czym odwróciła się do Carlyle'a i westchnęła.

– Muszę być w domu najpóźniej jutro rano.

Carlyle, który siedział na fotelu pasażera, w milczeniu patrzył przez przednią szybę na prawie pusty parking. Niecałe czterysta metrów dalej, w bladym świetle słońca lśniła klinika Kippe. Od ponad godziny wąską asfaltową drogą, w stronę parterowego przeszklonego budynku, nie przejechał żaden samochód.

– Moja mama wyjeżdża na urlop – wyjaśniła skruszona Rose. – Nie może się dłużej opiekować Louise.

– Dokąd jedzie?

– Do Devon.

– O tej porze roku chyba jest tam trochę zimno, prawda?

– Jej siostra mieszka w pobliżu Totnes. Byliśmy tam kilka razy. Przyjemne miejsce.

Carlyle mruknął coś niezobowiązująco. Nigdy w życiu nie był w Devon i wcale nie miał ochoty tam jechać.

– Będę musiała odebrać córkę.

– Oczywiście.

Carlyle był nieco zakłopotany amatorskim poziomem ich operacji – walka z międzynarodową przestępczością musi zejść na drugi plan i ustąpić miejsca opiece nad dzieckiem. Był zły na Joego, że postawił go w takiej sytuacji, i zły na siebie, że sam się w nią wplątał. Joe bez entuzjazmu zgłosił się do tej akcji, choć miał problemy rodzinne. Carlyle właściwie też je miał. Helen traciła już cierpliwość do tej sprawy. A gdy wyjaśnił, że jedzie do Szwajcarii z Rose Scripps, jego stosunki z żoną uległy wyraźnemu ochłodzeniu.

– Rób, co musisz robić – powiedziała na zakończenie rozmowy.
– Przykro mi – ciągnęła Rose – ale jesteśmy tu już od trzech dni, a nie wiedziałam, jak długo jeszcze chcesz zostać.

– Nie ma problemu – zapewnił ją.

– Poza tym wygląda na to, że szukamy wiatru w polu.

– Niestety – przyznał niechętnie.

– Nawet jeśli Falkirk w końcu się pojawi, na pewno spróbuje zostać w Szwajcarii.

– Mamy nakaz.

– Hm... – Rose spojrzała na zegar w desce rozdzielczej. Wskazywał dziesiątą pięćdziesiąt trzy. – Lot jest o siedemnastej trzydzieści.

– Wiem. – Carlyle skinął głową, przyznając się tym samym do klęski. Skoro Rose wraca do domu, to i on nie ma tu już czego szukać. Potrzebował jej choćby dlatego, żeby wozila go samochodem, bo nie umie prowadzić.

– Skończymy o czternastej, kupimy sobie coś do jedzenia i przed szesnastą będziemy na lotnisku. Mamy jeszcze sporo czasu. – Spojrzał na miasteczko Villeneuve położone nad Jeziorem Genewskim i uzmysłowił sobie, ile kilometrów dzieli go od komisariatu Charing Cross. – Niełatwo chyba być samotnym rodzicem – zauważył dyplomatycznie.

– Człowiek się przyzwyczaja. – Rose wzruszyła ramionami. – Zwykle nie jest tak źle. Poza tym nie zdarza mi się często wyjeżdżać za granicę.

– Mnie też nie.

– A co z twoją żoną?

– Co masz na myśli? – spytał Carlyle podejrzliwie.

– Czy nie ma nic przeciwko temu, że tutaj jesteś? – W domyśle: że jesteś tutaj ze mną.

Inspektor milczał przez moment, po czym odpowiedział, starannie dobierając słowa:

– Rozumie, że czasami nie mam wpływu na to, dokąd zawiedzie mnie praca, a ja staram się ograniczać takie wyjazdy do minimum. – Co oznaczało: temat zamknięty.

Znudzony Carlyle znów zajrzał do starannie wydanej broszurki reklamowej kliniki Kippe.

– Ile to jest trzydzieści tysięcy franków szwajcarskich?

– Około... – Rose szybko policzyła w głowie – prawie dwadzieścia tysięcy funtów. Coś koło tego.

– O kurwa! – Carlyle gwizdnął przeciągle. – Wyobraź sobie, że płacisz dwadzieścia kawałków za dwa tygodnie terapii rewitalizacyjnych i regeneracyjnych, które redukują stres.

– To właśnie robi Falkirk?

– Nie mam pojęcia. – Carlyle przewrócił stronę. – Ale tak tu piszą. Posłuchaj: Jesteśmy wiodącymi międzynarodowymi ekspertami w leczeniu chorób, które w coraz większym stopniu nękają współczesne, postindustrialne i postpostmodernistyczne społeczeństwa, czyli zaburzeń i dolegliwości związanych z takimi zjawiskami jak stres, frustracja, lęki i nerwice.

– Stres to zmartwienie bogatych ludzi. – Rose westchnęła. – Samo pojęcie stresu wymyślono dopiero w latach trzydziestych.

– I co ono właściwie oznacza? – spytał Carlyle, choć wcale go to nie interesowało.

– Według oficjalnej definicji to nieswoista reakcja ciała na konieczność zmiany.

– Moim zdaniem brzmi to jak jedna wielka bzdura.

– Ależ z ciebie wrażliwa dusza! – stwierdziła Rose z uśmiechem.

– Taki już jestem.

Carlyle rzucił broszurę na tylne siedzenie auta i wyjął spod swojego fotela lornetkę, którą kupił specjalnie na tę podróż w sklepie Field & Trek przy Maiden Lane w Covent Garden. Potem wysiadł z samochodu i rozejrzał się po okolicy z nonszalancją właściwą przeciętnemu turyście. Klinika znajdowała się po jego lewej ręce, jakieś sto metrów dalej, u stóp zbocza. Po jednej stronie budynku

ciągnęły się soczyście zielone pola, a po drugiej niewielki las. Grupa ogrodników pielęgnowała rabaty przed kliniką, a dwie sprzątaczkę paliły papierosy i gawędziły przy bocznych drzwiach.

Inspektor przeniósł spojrzenie na centrum odnowy biologicznej po drugiej stronie kliniki. Przez przeszklone ściany widział dwudziestopięciometrowy basen i ustawione wokół niego leżaki. Basen był pusty, ale w rogu pomieszczenia jasnowłosa masażystka uwijała się wokół jakiegoś gościa. Po chwili mężczyzna poprawił ręcznik i usiadł, a blondynka podała mu butelkę z wodą.

– Wreszcie.

Carlyle odłożył lornetkę na dach samochodu i ruszył w stronę kliniki.

– Dokąd idziesz?! – zawołała za nim Rose, wysiadając szybko z auta.

– To on. Pospiesz się!

– John... trzymaj!

Odwrócił się i w ostatniej chwili złapał mały pojemnik, który rzuciła mu Rose. Był mniej więcej takiej wysokości jak puszka coli i o połowę węższy. Przypominał spray z pianką do golenia albo inhalator dla astmatyków.

– Gaz pieprzowy – wyjaśniła Rose. – Jeśli będzie robił problemy, psiknij mu tym w twarz.

– Fajne. – Uśmiechnął się, wypuszczając niewielki obłoczek gazu. – Dzięki.

– Przywiozłam go specjalnie z Londynu.

– Wspaniale! – Kolejny order dla ochrony z lotniska Heathrow. – Chyba nie jest to całkiem legalne, ale może się przydać. – Ruszył przez parking.

– Co chcesz zrobić? – spytała Rose.

To bardzo głupie pytanie, pomyślał Carlyle. Wydłużył krok, wszedł na trawę za parkingiem i puścił się biegiem.

Gdy Carlyle dobiegł do kliniki, sapał jak parowóz. Przy otwartych drzwiach stała pomoc kuchenna z niezapalonym papierosem w ustach. Skinęła Carlyle'owi głową i zaczęła szukać w kieszeniach zapalek. Carlyle również pozdrowił ją skinieniem głowy, po czym wszedł do korytarza ciągnącego się wzdłuż budynku. Dziesięć metrów dalej znajdowały się drzwi prowadzące na basen. Carlyle pchnął je i zobaczył przed sobą Falkirka ubranego w dżinsy, podkoszulek i mokasyny.

– Inspektor? – zdumiał się Falkirk. – Co pan tutaj robi?

– Przyszedłem po pana. – Kiedy Carlyle podszedł bliżej, zauważył, że źrenice hrabiego są nienaturalnie rozszerzone, jakby zażył właśnie solidną dawkę jakiegoś narkotyku. Arystokrata ledwie trzymał się na nogach, miał podkrążone oczy i opuchniętą twarz. Wyglądał na wyczerpanego. Z pewnością nie nadawałby się na żywą reklamę dwutygodniowego turnusu rehabilitacyjnego w Alpach.

– Po mnie? – Falkirk próbował się uśmiechnąć. Uśmiech Carlyle'a był równie fałszywy.

– Mam nakaz aresztowania – oznajmił inspektor oficjalnym tonem, klepiąc się po kieszeni marynarki. Nagłe przejście z chłodnego górskiego powietrza do ciepłego wnętrza sprawiło, że ogarnęła go senność. Stłumił ukradkiem ziewnięcie i wciągnął zapach chloru, który przypominał mu czasy – ponad trzydzieści lat temu – gdy ojciec kazał mu trenować z klubem pływackim Hammersmith Penguin na basenie Fulham.

– Nakaz? Nie sądzę – odparł Falkirk nieufnie, nie ruszając się z miejsca.

Carlyle otrząsnął się ze wspomnień, wyjął z kieszeni kopertę i pokazał ją hrabiemu.

– To koniec, Gordon – powiedział. – Teraz musimy wracać do Londynu.

– Nikt się tak do mnie nie zwraca. – Falkirk cofnął się o dwa kroki. – I nikt nie mówi mi, co mam robić.

Carlyle przesunął się w jego stronę.

– Musimy już iść. Za kilka godzin mamy lot do Londynu.

Falkirk spojrzął za plecy Carlyle'a i uśmiechnął się z satysfakcją.

– Ja się nigdzie nie wybieram.

Inspektor odwrócił się i zobaczył dwóch ochroniarzy, którzy zajęli miejsca po obu jego stronach. Obaj uzbrojeni byli w półautomatyczne pistolety SIG-Sauer P220 kaliber dziewięć milimetrów.

– Policja – powiedział Carlyle, podnosząc rękę.

– Czy oni wyglądają, jakby coś ich to obchodziło? – prychnął Falkirk.

Ani trochę, pomyślał Carlyle, przygotowując się na kłopoty.

Kiedy pierwszy z ochroniarzy sięgnął po broń, inspektor psiknął mu prosto w twarz sprayem pieprzowym. Mężczyzna, jak na filmie instruktażowym, wypuścił z ręki pistolet, opadł na kolana i zaczął gwałtownie trzeć oczy. Carlyle natychmiast odwrócił się do jego towarzysza, który cofnął się gwałtownie, potknął o pozostawioną na brzegu deskę do pływania i runął do wody. Nie zważając na histeryczny śmiech Falkirka, Carlyle poczekał, aż głowa mężczyzny wychynie nad powierzchnię, i jego również potraktował sprayem. Obaj ochroniarze wrzeszczeli jak opętani, a Carlyle przyglądał się z podziwem pojemnikowi, który trzymał w ręku. Świetna sprawa, pomyślał. Kiedy wrócę do domu, muszę sobie kupić coś takiego. Odwrócił się do pierwszego ochroniarza i wymierzył mu potężnego kopniaka w tułów, posyłając go do basenu. Potem na wszelki wypadek wrzucił też do wody pistolet i w końcu podniósł wzrok.

Falkirk zniknął.

Inspektor dopiero po kilku sekundach zauważył hrabiego, który pędził przez trawnik w górę zbocza, ku drzewom odległym od kliniki o jakieś trzysta metrów. Carlyle pokręcił głową.

– Dokąd ty się wybierasz, do cholery? – mruknął, zastanawiając się, czy ma dość sił, by dogonić młodszego mężczyznę.

Na zewnątrz pociemniało. Po niebie pędziły ciężkie, szare chmury, w powietrzu czuć było deszcz. Gruba kropla rozprysnęła się na żuźlu tuż pod stopami inspektora, który pochylił głowę, odetchnął głęboko i zaczął biec... i wpadł na Rose, która pojawiła się nagle przed kliniką.

– Falkirk! – wysapała.

– Wiem – odparł Carlyle, przestępując z nogi na nogę i śledząc spojrzeniem sylwetkę hrabiego. Poniewczasie zauważył, że Rose trzyma się za twarz. Gdy odciągnął jej dłoń, zobaczył paskudne rozcięcie pod prawym okiem, które już niknęło w opuchliznie.

– Uderzył cię?

– Próbowałam go zatrzymać.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Dasz radę go złapać?

– Jasne – odparł Carlyle, choć od Falkirka dzieliło go już dobre sto pięćdziesiąt metrów. Oddał gaz pieprzowy Rose. – Idź do środka i dopilnuj, żeby ochroniarze nie pobiegli za nami. Jeśli trzeba będzie, zaaplikuj im jeszcze trochę gazu. I każ zadzwonić komuś po policję.

Carlyle biegł równym tempem, starając się ignorować pieczenie w klatce piersiowej. Nie po raz pierwszy w ostatnich dniach żałował, że nie spędza więcej czasu na siłowni. Poziom adrenaliny, która dodała mu sił podczas walki z ochroniarzami, coraz szybciej spadał, a nogi coraz bardziej ciążyły. Sprawy nie ułatwiało to, że nie był odpowiednio ubrany na taką okazję.

Nie chcąc całkiem opaść z sił przed decydującą rozprawą z Falkirkiem, inspektor pozwolił mu nieco zwiększyć przewagę. Uważał, że hrabia i tak nie ma dokąd uciec, a w dodatku nie zabrał ze sobą niczego, co pozwoliłoby mu skutecznie się gdzieś zaszyć. Może miał trochę gotówki w kieszeni, ale bez karty kredytowej, telefonu i paszportu był po prostu skazany na klęskę. Carlyle uśmiechnął się na tę myśl. Nie miał nic przeciwko temu, by ten gnojek biegał przez cały

dzień po górach w zimnie i deszczu – może nawet nabawiłby się przy tym zapalenia płuc.

Kiedy Falkirk zniknął między drzewami, Carlyle jeszcze bardziej zwolnił kroku. Dwie minuty później dotarł na skraj lasu. Przystanął i wbił wzrok w ciemności pod gałęziami. Las składał się z sosen i świerków posadzonych blisko siebie, w równych rzędach. Inspektor obejrzał się z wahaniem. Rose weszła już do budynku. Do tej pory z pewnością ktoś zdążył wezwać żandarmerię. Inspektor zakładał, że odsiecz przybędzie z Villeneuve, miasteczka położonego u stóp zbocza, nad jeziorem, lub z sąsiedniego Montreux, nie mogło to więc potrwać dłużej niż dziesięć minut. Kiedy jednak wyteżył słuch, nie usłyszał znajomego wycia syren. Cholerni gliniarze, pomyślał. Wszędzie tacy sami, nigdy im się nie spieszy, nigdy ich nie ma, kiedy człowiek ich potrzebuje.

Próbował sobie wyobrazić, co robi Falkirk w tej sytuacji. Po prawej znajdowała się wąska błotnista ścieżka prowadząca w głąb lasu. Widać było na niej różne ślady, choć Carlyle nie miał pojęcia, czy któreś należą do Falkirka. Uważając, by nie poślizgnąć się w błocie, podjął pościg.

Nie uszedł jeszcze nawet dwudziestu metrów, a już nie widział otwartej przestrzeni na skraju lasu. Nie miał pojęcia, skąd właściwie przyszedł – zewsząd otaczały go drzewa, które jego zdaniem niczym się od siebie nie różniły. Osaczony przez naturę, poczuł się samotny i zagubiony.

Ale gdy gruby kawał drewna uderzył go w tył głowy, natychmiast zapomniał o samotności. Zachwiał się i zrobił krok do przodu. Po drugim ciosie upadł na kolana, poczuł zimną wilgoć przenikającą przez materiał spodni. Wyciągnął przed siebie ręce, by wyhamować upadek, ale trzecie uderzenie posłało go prosto na ziemię. Ostatnią myślą, która wypełniła jego głowę, nim stracił przytomność, było krótkie i treściwe: O cholera!

Świadomość przywrócił Carlyle'owi bolesny kopniak w zębra. Zdał sobie sprawę, że ma błoto w ustach, kawałek gałązki w nosie i że

strasznie boli go głowa. Zamrugał, pewny, że lada moment otrzyma następny cios, jednak nic się nie działo. Leżał więc nieruchomo, próbował zebrać myśli i nasłuchiwał, wciąż jednak z żadnej strony nie dobiegało wycie syren. Zamiast tego usłyszał wrzask jakiegoś ptaka i kroki.

– Wstawaj! – Falkirk złapał go za włosy i stękając głośno, pociągnął w górę. Carlyle poczuł na szyi zimne ostrze noża i posłusznie wstał. Kiedy spojrział w dół, zobaczył znajomą czerwoną rączkę szwajcarskiego scyzoryka.

– Pasuje, co? – powiedział Falkirk posępnym tonem. Jego źrenice wydawały się wielkie jak pensówki. Po raz pierwszy Carlyle’owi przyszło do głowy, że może mieć poważny problem.

– Załatwię cię tym, co Szwajcaria ma najlepsze – oznajmił Falkirk. Odsunął nóż od szyi Carlyle’a i pomachał nim w powietrzu. – Mógłbym cię jeszcze ewentualnie utopić w czekoladzie.

– Cóż, są pewnie gorsze rodzaje śmierci.

Dotknął ostrożnie potylicy, po czym jeszcze ostrożniej poruszył głową. Ból obijał się po jego mózgu przez kilka sekund i wrócił do podstawy czaszki. Carlyle próbował się odsunąć od naćpanego napastnika, ale ten doskoczył do niego i przycisnął mu ostrze noża do tchawicy.

– To się wymyka spod kontroli. – Carlyle zakasłał.

– Powinieneś być zostawić mnie w spokoju – warknął Falkirk.

– Czym się nafaszerowałeś? – spytał inspektor, starając się mówić spokojnie. – Metamfetaminą? Amfą? Kokainą?

– Poppers – odparł Falkirk beztrąsko.

Poppers, rozumiem. Carlyle próbował przypomnieć sobie, co wie o tym narkotyku – azotyn amylu używany do wzmacniania doznań seksualnych. Chyba nie wywołuje agresji.

– Posłuchaj – zaczął, starannie dobierając słowa, by nie sprowokować Falkirka i nie stracić grdyki. – Musimy wracać. Trzeba rozwiązać tę sprawę. Rozwiążemy ją, ale najpierw musimy polecieć do Londynu.

– Nie! – krzyknął przerażony Falkirk, po czym odsunął ostrze od szyi Carlyle’a i wbił je raz za razem w jego tors, trafiając ząbkowaną krawędzią w żebra.

– Kurwa! – Carlyle złapał się za brzuch i cofnął o krok. Spojrzał w dół, przekonany, że zaraz zobaczy wnętrzności wypływające spomiędzy palców. Był niemal rozczarowany, gdy jego oczom ukazało się tylko trochę krwi. Ból był jednak naprawdę straszny.

Czy ja umieram? – zastanawiał się.

Jakie to, kurwa, banalne.

To już naprawdę koniec?

33

Carlyle potknął się o wystający korzeń i upadł na plecy. Gdy spojrzał w górę, ujrzał między gałęziami drzew skrawek szarego nieba. Muszę zobaczyć błękitne niebo, pomyślał, wypluwając grudkę flegmy. Muszę zobaczyć przed śmiercią błękitne niebo.

Nim zdołał się choćby poruszyć, Falkirk już na nim siedział. Trzymając go jedną ręką za szyję, drugą wymachiwał mu nożem przed twarzą.

– Powinieneś być zrobić to, co ci kazano, i zostawić mnie w spokoju – syknął. – Bo teraz umrzesz.

Czując, jak uciekają z niego resztki energii, Carlyle zamknął oczy i czekał. Nadal nie słyszał syren.

Usłyszał jednak trzask zwalnianego bezpiecznika pistoletu.

– Wstawaj!

Carlyle otworzył oczy i zobaczył, jak Igor Czepojak podnosi Falkirka za kołnierz koszulki. Ubrany w mundur polowy, z twarzą wymalowaną na czarno i zielono, Igor trzymał w ręku pistolet Fort-12 CURZ, którego lufa dotykała skroni hrabiego.

– Rzuć nóż.

Falkirk posłusznie cisnął nóż do pobliskiej kałuży.

– Co ty tu robisz? – spytał, bezskutecznie próbując zapanować nad drżeniem głosu.

– Przyszedłem cię zabić – odparł Igor niemal przepaszająco.

– Dlaczego? – pytał dalej Falkirk bliski płaczu.

– Dlaczego, dlaczego... – Igor się skrzywił. – To nie jest jeden z tych filmów sensacyjnych, w których zabójca musi wszystko tłumaczyć, żeby ofiara miała kiedy uciec. Poza tym jakie to ma znaczenie? Została ci niecała minuta życia. Właściwie mniej niż dziesięć sekund.

– Ale...

– Ale nic.

Igor pociągnął za spust, a huk wystrzału przepłoszył ptaki z okolicznych drzew.

Falkirk powoli osunął się na ziemię, a na jego twarzy malowało się bezbrzeżne zdumienie.

Igor odwrócił się do Carlyle'a.

– Zupełnie inaczej niż na filmach, co?

– Tak. – Myśląc o Shenie i Merretcie, Carlyle przypomniał sobie zasadę numer jeden: zawsze bądź miły dla człowieka z bronią. – Jeśli chodzi o filmy, to zawsze wolałem więcej akcji, a mniej gadania – powiedział.

– Ja też – zgodził się z nim Igor.

W końcu usłyszeli te cholerne syreny. Szwajcarska policja naprawdę stanęła na wysokości zadania.

– Na mnie już czas – oświadczył Igor. Zauważył, że Carlyle zerka nerwowo na jego pistolet. – Nie martw się – dodał z uśmiechem – nie zastrzelę cię. Olga powiedziała mi wyraźnie, że bym nie robił ci krzywdy.

Carlyle próbował delikatnie rozmasować sobie tył głowy. Nie powiedziałby, że nie stała mu się żadna krzywda, ale przynajmniej żyje.

– Olga?

Syreny były coraz bliżej.

– Wpadłeś jej w oko. – Igor uśmiechnął się znacząco. – Masz szczęście, że jesteś żonaty.

Syreny ucichły, a zastąpiły je nawoływania policjantów. Carlyle przypuszczał, że dotrą do niego w ciągu kilku minut.

Igor pomógł mu wstać.

– Nie widziałeś mnie.

Inspektor spojrział na zwłoki Falkirka i musiał przyznać, że podoba mu się ten widok. Skinął głową.

Igor postukał palcem w rękojeść pistoletu.

– To ta sama broń, której używałem w Londynie, więc nie będzie żadnych badań balistycznych.

Carlyle znów pomyślał o Merretcie i Shenie. A co ze sprawiedliwością? Chyba jest im winien coś więcej niż ten podły układ...

Widząc wahanie inspektora, Igor zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu.

– Dałem ci Falkirka – powiedział powoli. – On był tu najważniejszy. Albo jesteście kwita, albo mamy problem...

Carlyle spojrział na broń. W tych okolicznościach „kwita” była najlepszym rozwiązaniem. Skinął głową.

– Rozumiem.

– Świetnie! – Igor wsunął pistolet za pasek spodni i wyciągnął do niego rękę.

Carlyle ją uścisnął.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. – Igor wzruszył ramionami. – Miałeś szczęście. Chcesz mojej rady? Zastanów się, czy praca w policji jest dla ciebie. – Splunął na zwłoki hrabiego. – Skoro nie radzisz sobie z takim facetem, to może powinieneś poszukać innego zajęcia.

Carlyle roześmiał się słabo.

– Może masz rację.

Krzyki były coraz bliżej. Inspektor przypuszczał, że policjanci są już w lesie, nie dalej niż sto metrów od niego.

– Lepiej już pójdę – powiedział Igor. Odwrócił się i ruszył biegiem ścieżką. Po kilku sekundach zniknął wśród drzew. Carlyle usiadł znużony na zwałonym drzewie i czekał na swoich wybawicieli.

34

Jeśli już ktoś musi iść do więzienia, to powinien to robić w Szwajcarii. Areszt Service de Police przy Rue du Lac sto osiemnaście był chłodny, cichy i nieskazitelnie czysty. Siedząc na wyłożonej płytkami ławce i opierając się plecami o ścianę, Carlyle doszedł do wniosku, że mu się tu podoba. Jego rany okazały się mniej poważne, niż przypuszczał, a dzięki sporej dawce środków przeciwbólowych był spokojny i odprężony, gdy na kolację podano mu pizzę. Kawa pozostawiała sporo do życzenia, ale szczęśliwy, że w ogóle żyje, inspektor nie zamierzał wybrzydzać.

Po kilku godzinach zaprowadzono go do pokoju przesłuchań i wepchnięto do środka. Choć czystszy i przestronniejszy niż podobne pomieszczenia w Charing Cross, przesycony był atmosferą rozczarowania i rozpaczy typową dla wszystkich komisariatów na świecie.

– Mógłbym dostać jeszcze jedną filiżankę kawy? – spytał inspektor, siadając przy stole.

– Wkrótce ktoś przyjdzie pana przesłuchać, panie Carlyle – odparł książkową angielszczyzną młody oficer, który przyprowadził go w to miejsce.

– Inspektorze Carlyle – mruknął Anglik. Z trudem przywołał na twarz uśmiech i starając się nie okazywać irytacji, dodał: – Posłuchaj, synu, ja też jestem policjantem.

Młodzieniec spojrzał na niego obojętnie.

– Trafił pan tutaj, bo jest pan podejrzany o popełnienie przestępstwa.

– Wiem, ale...

– W Szwajcarii nikt nie stoi ponad prawem, panie Carlyle – oświadczył Szwajcar z powagą. – Nawet policjanci. – To powiedziawszy, odwrócił się i wyszedł.

– Inspektor Carlyle?

Musiał się zdrzemnąć. Oprzytomniał i skupił wzrok na małym papierowym kubku, który stał przed nim na stole. Wziął go do ręki, wypił espresso dwoma łykami i opadł na oparcie krzesła, czekając, aż kofeina zacznie działać.

– Dziękuję.

Mężczyzna stojący naprzeciwko niego skinął głową. Ubrany po cywilnemu, wyglądał na jakieś trzydzieści kilka, może czterdzieści lat. Miał krótkie, przyprószone siwizną włosy i jednodniowy zarost, co świadczyło prawdopodobnie o tym, że miał tego dnia wolne, a ściągnięto go do pracy tylko ze względu na sprawę Carlyle'a. To tłumaczyłoby, dlaczego ma taką wściekłą minę.

Rzucił na stół cienką teczkę i usiadł.

– Jestem Jonas Chauze – powiedział cicho nienaganną angielszczyzną. – Zastępca dyrektora Fedpolu.

Carlyle spojrział na niego skonsternowany.

– Office Fédéral de la Police – wyjaśnił Chauzy. – Jesteśmy częścią Federalnego Departamentu Policji i Sprawiedliwości. Zajmuję się kwestiami społeczno-politycznymi, takimi jak koegzystencja Szwajcarów i obywateli innych państw i walka z przestępczością. – Spojrział surowo na Carlyle'a. – Zwykle to prosta praca, ale dziś...

Carlyle wzruszył ramionami.

– Przepraszam za kłopoty.

– Kłopoty? – Chauzy się skrzywił. – Inspektorze, mam jednego trupa i dwóch ludzi w szpitalu.

– Jeśli chodzi o trupa, to nie mam z tym nic wspólnego – odparł Carlyle spokojnie.

Chauze zajrzał do notatek.

– Ściągał go pan tuż przed tym, gdy zginął.

Carlyle złożył już wcześniej wstępne zeznania i dobrze pamiętał swoją kwestię. Wiedział, że jeśli chce szybko wrócić do domu, musi jak najbardziej uprościć całą historię i powtarzać ją do znudzenia.

– Ktoś uderzył mnie od tyłu. Kiedy się ocknąłem, Falkirk leżał martwy, a wy właśnie wchodziliście do lasu.

Chauzy przyglądał mu się z powątpiewaniem.

- Wyniki badań na pewno to potwierdzą - dodał Carlyle z przekonaniem.

Policjant zerknął do teczki, ale nadal się nie odzywał.

Inspektor postanowił przejść do sedna:

- Zostanę o coś oskarżony?

Szwajcar zamknął teczkę i potarł skronie.

- Jest jeszcze kwestia napadu na Franka Furrera i Marcusa Voneya w klinice Kippe.

- To była zwykła samoobrona - powiedział szybko Carlyle. - Grozili mi bronią.

Zastępca dyrektora wstał i pochylił się nad biurkiem, zaciskając zęby. Przez jego twarz przebiegł ponury grymas, a Carlyle zastanawiał się przez moment, czy zostanie ofiarą brutalności policji. Jednak bez względu na to, co miał mu ochotę zrobić, Chauzy w porę się pohamował. Zrobił krok do tyłu, włożył teczkę pod pachę i położył rękę na klawisze.

- Jest pan wolny, inspektorze. Pańska koleżanka czeka na lotnisku. - Spojrzał na zegarek. - Zdążycie jeszcze na samolot do Londynu.

Carlyle skłonił lekko głowę.

- Dziękuję.

- Mnie proszę nie dziękować - odparł ostro Chauzy. - Gdyby to zależało ode mnie, odpowiedziałby pan za te wszystkie przestępstwa przed sądem. Niestety, sprawa jest poza moim zasięgiem. Wygląda na to, że pańscy potężni przyjaciele z Londynu użyli swoich wpływów. Sprawa nabrała wymiaru politycznego. - Westchnął. - Policja metropolitalna zwróciła się z oficjalną prośbą do Departamentu Sprawiedliwości, interweniował również konsul brytyjski w Genewie.

- Proszę pamiętać, że przyjechałem tutaj z ważnym nakazem aresztowania - wtrącił Carlyle.

Jego słowa nie zrobiły na Szwajcarze najmniejszego wrażenia.

- To kwestia dyskusyjna. Gotowi jesteśmy jednak uwierzyć, że to nie pan zastrzelił hrabiego Falkirka, a ponieważ najwyraźniej nie wie pan nic o ludziach, którzy to zrobili...

Sarkazm w Szwajcarii – kto by pomyślał?

- ...nie będziemy pana dłużej zatrzymywali. Na zewnątrz czeka samochód z kierowcą. Proszę tylko tu nie wracać. Nie będzie pan mile widziany w Szwajcarii.

Chauzy otworzył drzwi, wyszedł na korytarz i zniknął inspektorowi z oczu.

Całkiem uczciwy układ, pomyślał Carlyle, napawając się odzyskaną wolnością. Naprawdę bardzo uczciwy.

35

Carlyle stał przy barze w Royal China Club, restauracji z owocami morza przy Baker Street, i wpatrywał się w pierwszą stronę porannego wydania „Daily Mirror”. KRÓLEWSKA EGZEKUCJA! – krzyczał wielki nagłówek, pod którym znajdowało się zdjęcie Falkirka bawiącego się na jakimś przyjęciu w towarzystwie dwóch młodych kobiet. Artykuł zajmował aż cztery strony, od czwartej do siódmej. Na szczęście były to tylko spekulacje, plotki i komentarze, w których ani razu nie pojawiało się nazwisko inspektora. Zadowolony, że nie ma tam niczego, co mogłoby mu zaszkodzić, Carlyle skupił się na wiadomościach sportowych.

Ponieważ do klubu wezwała go komendantka Carole Simpson, inspektor był przygotowany na solidny opieprz. Po niemal półgodzinnym oczekiwaniu, w czasie którego przeczytał gazetę od deski do deski, poczuł dojmujący głód. W końcu rozmówca Simpson wstał od stołu, pocałował ją w policzek i wyszedł. Kilka minut później Carlyle został przywołany do tego samego stołu i poproszony o zajęcia miejsca.

W sali panował spory ruch, powietrze wypełniał gwar rozmów. Inspektor siedział nieruchomo z rękami na kolanach i spuszczonego wzrokiem. Simpson spokojnie dmuchała na herbatę. Rozejrzał się z nadzieją, ale kelnerzy wiedzieli już, że nie warto mu niczego proponować i starannie unikali jego wzroku. Uznawszy, że czas przerwać ten dziwaczny spektakl, inspektor pochylił się do przodu i oparł ręce na stole.

– Dziękuję, że wyciągnęłaś mnie z więzienia.

Simpson odstawiła filiżankę na talerzyk i gestem poprosiła o rachunek.

– Co się tam właściwie stało? – spytała.

– Cóż... – Carlyle opowiedział jej tę samą historię, którą uraczył szwajcarską policję – dorzucając kilka nieistotnych szczegółów, które nieco ją ubarwiały i nadawały pozory autentyczności.

Simpson słuchała z niezmaconym spokojem. Kiedy skończył, milczała jeszcze przez chwilę. Inspektor wiedział, że zastanawia się, czy zarzucić mu otwarcie kłamstwo, czy też dać sobie z tym spokój. Kelner przyniósł rachunek, a Carlyle przyglądał się z zazdrością, jak komendantka wsuwa do terminalu firmową kartę kredytową i wstukuje PIN. Odebrawszy paragon i potwierdzenie, spojrzała mu prosto w oczy.

– To był prawdziwy koszmar – powiedziała, uśmiechając się mimowolnie. – W końcu musiałam wciągnąć do tej sprawy samego ambasadora.

– Myślałem, że to był konsul – odrzekł Carlyle, również się uśmiechając.

– Uważasz, że to zabawne, John, prawda?

– Co?

– Wyjazd do Szwajcarii. Jak można narobić sobie kłopotów w Szwajcarii, na miłość boską? Tam się jedzie spokojnie umierać! W dodatku wywołałeś chyba największy skandal międzynarodowy od czasów drugiej wojny światowej. – Przeciągnęła dłonią po włosach. – Jak ty to robisz?

– Realizowałem tylko nakaz sądowy – odpowiedział skromnie Carlyle.

Komendantka schowała kartę i potwierdzenie do torebki, po czym dodała ściszym głosem:

– Nakaz nie upoważniał cię do zabijania członka cholernej rodziny królewskiej.

– O nie – oburzył się Carlyle. – Mówiłem już, że nie miałem z tym nic wspólnego.

– Nic? Jesteś pewny?

– Całkowicie. – Skinął z powagą głową. – Jak wiesz, sam padłem ofiarą napadu.

– Nie próbuj udawać przede mną ofiary, inspektorze – prychnęła Simpson. – To do ciebie nie pasuje. Ci dwaj ochroniarze, których wysłałeś do szpitala, wynajęli adwokata w Londynie. Tej sprawy nie da

się tak łatwo wyciszyć. Policję metropolitalną czeka krępujący i długi proces z powództwa cywilnego.

– Nie pierwszy i nie ostatni – mruknął Carlyle. Miał już dość odgrywania skruszonego żołnierza i zastanawiał się, czy to spotkanie ma jakiś cel.

– Musiałam obiecać władzom zarówno w Londynie, jak i w Bernie, że zostaniesz surowo ukarany.

Zaczyna się, pomyślał Carlyle.

– I co to oznacza?

– To oznacza – mówiła powoli komendantka – że przez długi, długi czas nie wolno ci się wychylać.

Carlyle wpatrywał się w nią zdumiony.

– Choć trudno w to uwierzyć – ciągnęła Simpson – pomimo tego zamieszania, którego narobiłeś za granicą i w brytyjskich mediach, niektórzy ludzie nadal uważają, że dobrze się spisałeś.

Carlyle poczuł, jak burczy mu w brzuchu. Kelner przyniósł z rachunkiem dwie małe czekoladki. Inspektor nie mógł się opanować i sięgnął po jedną z nich.

– Ludzie tacy jak ty? – spytał, wkładając ją do ust.

– Nie. – Simpson pokręciła głową. – Ja uważam, że zachowujesz się bardzo nieprofesjonalnie. – Podała mu drugą czekoladkę. – Nie wspominając o tym, że mijasz się z prawdą.

Carlyle z wdzięcznością przyjął poczęstunek. Łatwiej przychodziło mu kłamać, gdy miał coś w ustach.

– Powiedziałem ci wszystko, co wiem – mruknął, wzruszając ramionami.

– Tak czy inaczej – Simpson najwyraźniej była świadoma, że i tak nie wyciągnie od niego nic więcej – sir Ewen Mayflower najwyraźniej cię polubił.

– Więc nie wspomniał o wazie, tak?

– Co takiego? – zdziwiła się Simpson.

– Nic. Nic ważnego. – Inspektor odchrząknął.

– Mówi, że pewni ludzie w pałacu Buckingham, „bardzo wysoko postawieni ludzie”, jak to ujął, są bardzo zadowoleni z twoich dokonań.

– Co? – Carlyle się roześmiał. – Myślisz, że sama królowa chciała się pozbyć Falkirka?

– Nie wiem. – Powiedziała Simpson i wstała od stołu, dając mu do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. – Może księżę Edynburga?

– O tak! – Carlyle zdołał w końcu przyciągnąć uwagę kelnera i poprosił go o menu. – To byłoby jak najbardziej zrozumiałe. Nikt nie chciałby wejść w drogę temu staremu draniowi.

Inspektor Carlyle siedział przy biurku w komisariacie Charing Cross i surfował po internecie, unikając starannie wszelkich tematów związanych z pracą. Simpson przykazała mu wyraźnie, żeby się nie wychylał, więc nie zamierzał robić niczego ponad to, co naprawdę konieczne. Sięgnął po telefon i zadzwonił do Helen. Dawno już nie zabierał żony na lunch, a miał właśnie ochotę na burrito z meksykańskiej knajpy w pobliżu jej pracy. Odpowiedziała mu poczta głosowa, przerwał więc połączenie, nie zostawiając żadnej wiadomości. Pomyślał, że jeśli Helen nie oddzwoni w najbliższym czasie, poprzestanie na kanapce. Ziewnął i wrócił do historii znanej aktorki, której mąż „zawarł bliższą znajomość” z modelką tatuażową.

– Modelka tatuażowa. – Inspektor pokiwał głową. – No, to jest konkretna robota...

Obok niego stanął Joe Szyszkowski, który w jednym ręku trzymał ogromnego pączka z lukrem, a w drugim kartkę wyrwaną z jakiegoś czasopisma.

– Popatrz na to – powiedział, wymachując kartką. – Lista najbogatszych z „Sunday Timesa”. Piszą tak: Podobnie jak my wszyscy, królowa boleśnie odczuła skutki spadku cen akcji i nieruchomości... ple, ple, ple... z wyłączeniem posiadłości królewskich i zbiorów dzieł sztuki wartych ponad szesnaście miliardów funtów, ale łączna wartość biżuterii, koni, znaczków i obrazów wynosi dwieście siedemdziesiąt milionów funtów...

Carlyle nie mógł oderwać oczu od pokrytego tatuażami ciała modelki.

– Serce mi krwawi.

– Tak właśnie przypuszczałem.

– Tylko w Anglii możesz twierdzić, że ktoś dysponujący majątkiem o wartości szesnastu miliardów w rzeczywistości ma tylko dwieście siedemdziesiąt milionów.

Joe pokręcił głową.

– Wyobraź sobie, że zostało ci tylko ostatnie ćwierć miliarda funtów...

– Ale to nieprawda – warknął Carlyle. – Właśnie o to chodzi.

– Pewnie tak. – Joe otworzył szeroko usta i wbił zęby w pączek, rozrzucając kawałki lukru po całym biurku Carlyle’a.

– Hej! – zaprotestował głośno Carlyle.

– Przepraszam – mruknął Joe tonem sugerującym, że w gruncie rzeczy wcale go to nie obchodzi.

– Fleja – zirytował się inspektor, strzepując okruchy na podłogę.

Joe odłożył kartkę na biurko Carlyle’a i wskazał nadgryzionym pączkiem zdjęcie jasnowłosej blondynki w skąnym bikini, która spoglądała na nich zalotnie z ekranu. Jej ciało niemal w całości pokrywały tatuaże i trudno było powiedzieć, co właściwie przedstawiają.

– Widzę, że poszerzasz swoje pornograficzne horyzonty – zażartował.

– Nie wiem, czy taka pstrokaczna to jednak nie przesada – zastanawiał się Carlyle.

– Och, nie ma się czego wstydzić, inspektorze. – Joe włożył do ust ostatni kawałek pączka i opadł ciężko na krzesło.

– Co ty powiesz... – mruknął inspektor. – A tobie się podoba coś takiego?

– A kto to właściwie jest?

– Widzę, że nie jesteś na bieżąco. – Carlyle się roześmiał, a potem wytłumaczył sierżantowi, czym zasłynęła wytatuowana modelka, zadowolony, że może uciec od tematu swojej szwajcarskiej przygody.

Joe przeżuwał przez chwilę w zamyśleniu kęs pączka.

– Gust to rzecz niewymierna. Nie da się tego zamknąć w liczbach – orzekł.

– Pewnie masz rację, mędrco.

– A skoro mowa o liczbach: słyszałeś, że zamknęli firmę inwestycyjną Dolana?

- United-14?

- Tak. Podobno miała aktywa warte ponad dwadzieścia milionów.

Carlyle gwizdnął.

- Proszę, proszę. Daleko im co prawda do królowej, ale i tak nieźle się obłowili.

- Prawdopodobnie jest tego jeszcze więcej w różnych firmach na Kajmanach i Wyspach Dziewiczych. W garażu Dolana leżała cała sterta dokumentów, chłopaki z finansów jeszcze nie sprawdzili wszystkiego.

- Hm...

- Miał porsche i range rovera, razem warte prawie sto tysięcy funtów. Do tego dwadzieścia tysięcy gotówką schowane pod łóżkiem.

- Prawdziwy rekin finansjery – stwierdził Carlyle.

- W United-14 lokowało pieniądze prawie trzydziestu obecnych i byłych pracowników SO14 – relacjonował Joe. – Z tych, którzy jeszcze tam pracowali, sześciu już odeszło...

- W tym ten gnojek Charlie Adam?

- Tak. Był jednym z nich.

Carlyle zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Więc może jednak maczał w tym palce?

- Dwóch kolejnych zawieszono do zakończenia śledztwa – wyliczał Joe. – A tym, którzy odeszli już wcześniej, zamrożono emerytury.

- Jakieś powiązania z Falkirkiem? – spytał Carlyle.

- Jego firma, Black Prince Elite, też inwestowała w United-14.

- Co się stanie z tymi pieniędzmi?

- Zostaną skonfiskowane albo pójdą na opłaty dla prawników, jeśli ci kolesie spróbują walczyć o swoje w sądzie.

- Doskonale – ucieszył się Carlyle. – Kto wie, może nie tylko stracą całą kasę, ale będą jeszcze musieli sporo do tego dołożyć.

- Tak. – Joe się roześmiał.

– A na starość będą koczowali w kartonach pod mostem. Spali we własnych szczytach i dawali dupy za ostatnią butelkę taniego wina – dodał Carlyle.

– Ależ z ciebie mściwy sukinsyn – stwierdził z podziwem Joe.

– Ktoś musi być – odrzekł skromnie Carlyle.

– To jeszcze nie wszystko. Okazało się, że dyrektor finansowy Black Prince to ten sam facet, który był z tą dziewczynką w London Eye. Zgarnęli go parę godzin temu. Właśnie maglują go w CEOP.

– A niech mnie! – Carlyle uśmiechał się od ucha do ucha. – Do Gwiazdki jeszcze kawał czasu, a tu tyle prezentów! – Sięgnął po komórkę leżącą na biurku. – Muszę zadzwonić do Rose.

Joe znów się wymknął, zapewne w poszukiwaniu następnego pączka. Za bardzo się obzera, pomyślał Carlyle. Wymagania dotyczące sprawności policjantów były zatrważająco niskie, ale wszystko ma swoje granice. Joe nie wyglądał na faceta, który byłby w stanie przebiec dziesięć metrów bez zadyszki.

Z rozmyślań o kondycji sierżanta wyrwał inspektora dzwonek komórki. Helen? A może Rose?

– Halo?

– Dzień dobry, inspektorze.

Akcent był znajomy, ale przez moment nie mógł skojarzyć go z konkretną osobą.

– Mówi Carlyle – powiedział, chcąc zyskać na czasie.

– Mówi Olga!

Olga? Olga! Carlyle próbował przypomnieć sobie jej prawdziwe imię i nazwisko. Aleksandra... Aleksandra Coś tam. Nie sądził, że jeszcze ją usłyszy. Przewracając jedną ręką dokumenty leżące na biurku, próbował skoncentrować się na rozmowie.

– Czym mogę pani służyć?

– Ja też się cieszę, że pana słyszę – odparła cierpko Alex Gazizulin.

– Gdzie pani jest?

- Tutaj, w Londynie – odrzekła pogodnie. – Inaczej bym do pana nie dzwoniła.

Carlyle dawno już porzucił wszelkie próby zrozumienia, co dzieje się w głowie tej kobiety. Postanowił więc, że i tym razem nie będzie tego robił i porozmawia z nią na luzie.

- Nie wiem, dlaczego w ogóle chciało się pani do mnie dzwonić – powiedział z uśmiechem. – Chyba że chciała mi pani zagrać na nosie i pokazać, że jak zwykle wyprzedza mnie o krok.

- Święta prawda, inspektorze. Ale przynajmniej jest pan na tyle bystry, żeby to zrozumieć. A to oznacza, że jest pan bystrzejszy niż większość mężczyzn.

Cóż, należy to zapewne uznać za komplement.

- No dobrze, więc co mogę dla pani zrobić?

- Przywiozłam panu prezent.

- Tak?

- Znalazłam matkę tej dziewczynki – oznajmiła Alex, wyraźnie z siebie zadowolona. – Matkę Alzbety Tisztenko. I przywiozłam ją tutaj, do Londynu.

- Hm... – Carlyle pomyślał o urnie, która wciąż stała na mikrofalówce w jego kuchni.

- O co chodzi? Zapomniał pan języka w gębie? Myślałam, że chciał ją pan odnaleźć.

- Tak, tak – zapewnił pospiesznie Carlyle. – Bardzo się cieszę, że pani to zrobiła. Dziękuję.

- Proszę bardzo – odparła Alex.

- A co z ojcem?

- Z ojcem? Kto to wie? Na pewno nie matka. Zresztą, kogo to obchodzi...

Carlyle mruknął w odpowiedzi coś, co można było uznać za zgodę. Przejrzał już całą stertę papierów, ale nadal nie znalazł tego, czego szukał. Klnąc pod nosem, zaczął od początku, tym razem przeglądając uważniej każdy z dokumentów.

– Zasadniczo mężczyźni są bezużyteczni – rozmyślała na głos Alex.

– Tak. – Dzięki częstym wykładom Helen Carlyle dobrze znał tę argumentację.

– To jest właśnie typowy przykład. – Alex najwyraźniej się rozkręcała. – Zostawił swoje dziecko i matkę tego dziecka. Tam, skąd pochodzę, to dość częsty scenariusz.

– Taki scenariusz jest częsty na całym świecie – zauważył Carlyle.

– Pewnie dawno już zapisał się na śmierć. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Musimy się spotkać – powiedział Carlyle, zastanawiając się nad konkretnym rozwiązaniem. – Wiem chyba, co moglibyśmy zrobić z prochami Alzbeta – dodał i opowiedział o swoim planie.

– Inspektorze Carlyle – odrzekła Alex zmysłowym głosem – jest pan naprawdę szlachetnym człowiekiem. Może też trochę sentymentalnym, ale to dobrze. Proszę wszystko przygotować. Zadzwoń do pana później.

– A co z panią? – spytał szybko Carlyle. W końcu znalazł dokument, którego szukał. Odsunął całą resztę na bok i położył przed sobą nakaz aresztowania Aleksandry Gazizulin.

– Przez jakiś czas nie będę przyjeżdżała do Londynu – oznajmiła.

– Wycofujemy się z Anglii. Uznałam, że nie warto odbudowywać tu naszych interesów.

– Ze względu na śmierć Falkirka?

– To nie był najważniejszy czynnik – odpowiedziała ostrożnie. – Choć miał też pewne znaczenie.

– Aha, dziękuję przy okazji za uratowanie mi życia. Igor pojawił się w odpowiednim momencie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, inspektorze. – Carlyle słyszał w jej głosie prawdziwą serdeczność. – Cieszę się, że Igor choć raz zrobił dokładnie to, o co go prosiłam.

– Co się z nim stanie?

– To nie powinno pana obchodzić – odrzekła ostro. – Naraził nasze interesy i będzie się musiał bardzo starać, żeby to naprawić. Przez jakiś czas będzie miał, jak to się mówi, przechlapane.

Lepsze to niż skończyć z kulą w głowie, pomyślał Carlyle.

– Więc dokąd się teraz przeniesiecie?

– Nie wiem. Mamy mnóstwo możliwości. Trudno wybrać tylko jedną, konkretną.

– Wyobrażam sobie – mruknął, choć nie miał pojęcia, o czym Ukrainka mówi.

– Mogę jednak panu obiecać, że nie będziemy więcej handlowali dziećmi. Skończyłam z tym. Nikt poniżej szesnastu lat nie zostanie wywieziony z kraju. To moja nowa zasada.

Handlarka ludzkim nieszczęściem ze złotym sercem! Carlyle nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać.

– A może by podnieść ten minimalny wiek do osiemnastu lat? – zaproponował.

– Połowa naszych dziewczyn ma mniej niż osiemnaście lat, inspektorze – odparła spokojnie, niczym dyrektor fabryki samochodów tłumaczący, dlaczego niektóre modele sprzedają się gorzej niż inne. – Musi pan być realistą. Niecałe siedem procent ma mniej niż szesnaście lat. Musimy być realistami. I tak musiałam długo o to walczyć. Wielu ludzi nie ma takich skrupułów.

Rozmowa powoli doprowadzała Carlyle'a do szału.

– Proszę zadzwonić do mnie jutro – powiedział i się rozłączył, nim przegrzał mu się mózg.

– Podgrzać ci tę kawę czy może zrobić nową?

W odpowiedzi Carlyle odsunął nietkniętą latte, w którą wpatrywał się od dwudziestu minut.

– Dzięki, Marcello.

Inspektor siedział w boksie na tyłach zamkniętej już kawiarni Il Buffone i rozmyślał o niedawnej rozmowie z „Olgą”.

Pod wieloma względami ta sprawa zakończyła się sukcesem. Teraz wyglądało na to, że dość niespodziewanie będzie miał okazję

dołożyć do tego aresztowanie Aleksandry Gazizulin, oskarżonej o pomoc w morderstwie, usiłowanie morderstwa i handel dziećmi. Wiedział, że powinien skupić się na pozytywach śledztwa, wciąż jednak myślał o negatywach. Gdy kawiarnię wypełniło rżenie wysłużonego ekspresu Gaggia, Carlyle westchnął ciężko. Dla niego szklanka zawsze była do połowy pusta.

Gdy Marcello stawiał przed inspektorem podgrzaną kawę, do kawiarni wtoczył się Joe Szyszkowski, podszedł prosto do Carlyle'a i usiadł ciężko przy stoliku.

- Już zamknięte - burknął Marcello. - Nie widziałeś tabliczki na drzwiach, do cholery? - dodał zrzędlwym tonem, choć uśmiechał się przy tym przyjaźnie. - Co dla ciebie? - spytał, idąc za bar.

Joe podniósł rękę.

- Dzięki, Marcello, chciałem tylko zamienić słówko z inspektorem.

Włoch skinął głową i zniknął na zapleczu.

Carlyle upił łyk kawy i spojrzał wyczekująco na sierżanta.

Joe wyjął z kieszeni pudełko niewiele większe od paczki papierosów i położył je na stole obok kubka Carlyle'a.

- Przywiózł to dla ciebie kurier dziś po południu.

Carlyle zauważył, że na szarym papierze, w który owinięte było pudełko, widnieje adres komisariatu. Spojrzał na Joego.

- Prześwietlili to? - spytał.

- Tak. Wyszło trochę niewyraźnie, ale przeczytałem liścik, który przyszedł razem z paczką, i uznałem, że to nic groźnego. - Podał inspektorowi pomiętą otwartą kopertę.

Carlyle rozłożył małą kartkę i przeczytał odręcznie napisany list:

Inspektorze Carlyle!

Chciałam podziękować Panu za zakończenie śledztwa dotyczącego również powodów samobójstwa Joego Daltona. Z tego, co mi wiadomo, mój Joe był zamieszany w jakieś okropne rzeczy, ale zawsze lepiej znać prawdę.

Do listu dołączam małą pamiątkę z mojej pracowni, mam nadzieję, że się Panu spodoba.

Łączę pozdrowienia

Fiona Allcock

Zawsze lepiej znać prawdę? Nie byłbym tego taki pewien, pomyślał ponuro Carlyle, nieszczególnie uradowany faktem, że wypychaczka zwierząt przysłała mu prezent. Spojrzał podejrzliwie na pudełko.

– Otwórz to – poprosił Joego.

Wyczuwając niepokój szefa, sierżant pokręcił głową.

– To przesyłka do ciebie.

– Do kurwy nędzy!

Carlyle wstał i sięgnął po nóż leżący na kontuarze. Wróciwszy na swoje miejsce, ostrożnie zdjął papier z paczki. W środku znajdował się pojemnik przypominający powiększone pudełko zapalek. Inspektor wysunął wewnętrzną szufladkę i zajrzał do środka. Z pudełka spojrzały na niego czarne paciorkowate oczka.

– Kurwa! – Carlyle wzdrygnął się i rzucił pudełko na stół. Joe parsknął śmiechem i zawołał:

– Marcello, chodź tutaj, zobacz to!

Właściciel kawiarni wytarł dłonie w papierowy ręcznik, wyszedł zza kontuaru i stanął obok ich stolika.

– Co tutaj macie?

Carlyle ostrożnie przechylił pudełko, by Włoch mógł zajrzeć do środka. Marcello otworzył szeroko oczy.

– Madre di Dio! Zabieraj to stąd! Nie mogę trzymać w kawiarni zdechłej myszy!

– Ale Marcello... – wykrztusił Joe, zanosząc się śmiechem – to nie mysz, to dzieło sztuki.

37

– Zabieraj stąd to cholerstwo! Nie chcę tego widzieć w naszym domu!

– Ale to dzieło sztuki – protestował słabo Carlyle. – Pewnie jest warte ładnych parę funtów.

– Nic mnie to nie obchodzi – syknęła Helen. – Zabieraj to stąd!

– Dobra. – Carlyle zamknął pudełko i wrzucił wypchaną mysz do foliowej torby z Tesco, która zawierała inne, nienadające się do recyklingu śmieci. Potem zawiązał torbę, wyszedł na korytarz i postawił ją przy drzwiach, obok wycieraczki. Zamierzał znieść ją do kosza następnego ranka, w drodze do pracy.

Wrócił do kuchni i zrobił herbatę rumiankową dla żony. Helen siedziała na sofie w salonie i oglądała jakiś program kulinarny.

– Przepraszam za tę mysz – powiedział, podając jej kubek.

– Wiesz, John, czasami naprawdę przesadzasz. – Helen podmuchała na herbatę, upiła łyk i poprosiła Carlyle’a gestem, by usiadł obok niej. Na ekranie jakiś tłusty facet wpychał do ust jedzenie i wydawał przy tym ekstatyczne dźwięki. – Mamy problem z Alice – powiedziała Helen, wpatrzona w telewizor.

– Cudownie. A gdzie ona właściwie jest?

– Na herbacie u przyjaciółki. Powinna wrócić przed dwudziestą.

– No dobrze, więc co to za problem?

Helen napiła się herbaty.

– Chce zrezygnować z karate.

Carlyle westchnął ciężko. Treningi karate były przedmiotem nieustającej bitwy, którą wcześniej czy później musiał przegrać. Co tydzień toczył z nią zaciekle boje, by zechciała wybrać się na zajęcia. Grupa młodych adeptów tej sztuki walki, złożona z dzieciaków w wieku od sześciu do szesnastu lat, ćwiczyła w środy wieczorem w Jubilee Hall, po południowej stronie Covent Garden Piazza. Zajęcia prowadził człowiek o cierpliwości świętego – nie tylko były mistrz świata, ale i fantastyczny nauczyciel. Wcześniej Alice chodziła tam

bardzo chętnie, starała się nawet o niebieski pas, ale ostatecznie chciała zrezygnować. Im bardziej rodzice namawiali ją, by jednak została, tym bardziej chciała się wycofać.

– Widzę, że jest zdeterminowana – ciągnęła Helen. – Zwołała nawet naradę rodzinną.

Inspektor skrzywił się mimowolnie. Każdy z członków jego rodziny miał prawo zwołać oficjalną „naradę rodzinną”, by rozwiązać ważne i trudne kwestie. Prawo to stanowiło część domowej demokracji, którą oboje z Helen popierali. Jednak narady zwoływała wyłącznie Alice i zwykle robiła to raz albo dwa razy do roku. Czasami przynosiły pożądany skutek, czasami nie, ale i tak chodziło przede wszystkim o to, by Alice czuła się traktowana poważnie.

– Powiedziałam, że w przyszłym tygodniu wybierzemy się razem do kawiarni, żeby to przedyskutować – dodała Helen.

– Jasne. – Carlyle zastanawiał się, czy go na to stać.

– Ja funduję – zaznaczyła Helen, jakby czytała w jego myślach.

– Dobrze – odparł bez entuzjazmu.

Zakończywszy rozmowę, Helen skupiła się na programie kulinarnym. Carlyle, znudzony, poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie zielonej herbaty. Gdy zalewał torebkę gorącą wodą, zaczęła wibrować jego komórka.

– Halo?

– John? Mówi Carole Simpson. Przepraszam, że dzwonię tak późno.

Carlyle oparł się o zlew i upił łyk herbaty.

– Nie ma sprawy.

– To dobrze. Chciałam ci tylko przekazać kilka informacji.

Carlyle pomyślał, że wydaje się odległa, nieobecna. Zastanawiał się, czy to oznaka nowych problemów z mężem.

– Joe mówił mi już o United-14 – powiedział.

– Tak? Świetnie. Przypuszczam, że jeszcze sporo się o tym dowiemy dzięki dokumentom pana Dolana.

– To dobrze.

- Ale to nie wszystko. Po pierwsze, specjalna komisja zbada działalność SO14. Ogłoszą to oficjalnie w przyszłym tygodniu. Pewnie będą chcieli zachować większość informacji w tajemnicy, ale media i tak się wszystkiego dowiedzą.

- Nie martw się. Ja im niczego nie powiem.

- Nie mówiłam wcale...

- Wiem, wiem. Ale żeby nie było wątpliwości: możesz być pewna, że ja niczego nie wypaplam dziennikarzom.

- Cieszę się. Dziękuję.

- I tak nic z tego nie wyniknie - stwierdził gorzko Carlyle. - Śledztwo potrwa ładnych parę miesięcy, jeśli nie lat, potem wprowadzą kilka kosmetycznych zmian i wszyscy znów będą wyrzucali w błoto pieniądze podatników.

Simpson westchnęła ciężko.

- Czy ten cynizm cię nie męczy?

- To nie cynizm. To realizm.

- Druga rzecz - ciągnęła Simpson, najwyraźniej chcąc jak najszybciej zakończyć tę rozmowę - to sprawa Alexy Matthews i Heather Ramsden. Śledztwo zostało oficjalnie zamknięte. Winą obarczono Dolana.

- Myślę, że on naprawdę był za to odpowiedzialny. I dzięki za informację.

Zakończył połączenie i spojrzał w okno, na spowite mgłą miasto i światła London Eye, nie myśląc o niczym.

Nazajutrz, w płaszczu i szaliku, Carlyle siedział przy wielkim piecyku naftowym przed barem Italia przy Frith Street i trzymał w rękach filiżankę z ostatnimi kroplami macchiato, chroniąc ją w ten sposób przed nadgorliwą kelnerką, która co rusz zgarniała ze stołów puste naczynia. Był piękny poranek, nad Londynem jaśniało błękitne niebo, a powietrze miało świeży, rześki posmak. Mieszkańcy Soho z właściwą sobie apatią załatwiali codzienne sprawy. Inspektor nie miał nic do roboty, obserwował więc młodą kobietę, która prowadziła trzy małe psy w stronę Soho Square. Gdy przystanęła, by pozwolić jednemu

z nich obsikać stertę śmieci, obok zatrzymał się radiowóz. Wsiadł z niego młody funkcjonariusz i przeszedł przez ulicę, w stronę kawiarni. Ujrzawszy Carlyle'a, skinął głową. Carlyle odpowiedział w podobny sposób i odprowadził wzrokiem policjanta, który zniknął we wnętrzu lokalu.

– Kto to był? – spytała Rose Scripps, wkładając do ust ostatni kawałek kanapki z szynką i serem.

– Nie mam pojęcia. – Carlyle wzruszył ramionami. – Może pracuje w Charing Cross.

– Nie jesteś za bardzo ciekawski, co? – Rose się uśmiechnęła. – Jak na policjanta, oczywiście.

– Nie – przyznał Carlyle. – Raczej nie. Ale nie można przecież interesować się wszystkim, prawda?

Kelnerka, młoda Polka o poważnym, surowym wyglądzie, znów zjawiła się przy ich stoliku i sięgnęła po filiżankę. Tym razem inspektor nie próbował jej bronić.

– Poproszę jeszcze jedną – powiedział, po czym spojrzał pytająco na Rose.

– Nie, dziękuję.

– W takim razie poproszę też o rachunek.

Młoda kobieta skinęła głową i wróciła do kawiarni.

Carlyle zapatrzył się w przestrzeń. Minął zaledwie tydzień, odkąd wrócili ze Szwajcarii, ale sprawy toczyły się wyjątkowo szybko. Ich mała przygoda poszła już niemal w zapomnienie, co bardzo mu odpowiadało.

Kelnerka przyniosła rachunek, a Carlyle położył na tacy dziesięciofuntowy banknot i wygrzebał z kieszeni jakieś drobne, by zostawić choć symboliczny napiwek.

– Dzięki za śniadanie – powiedziała Rose.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Carlyle. – Co słychać w CEOP?

– W porządku. Zamknięcie interesu Falkirka było dla nas dużym sukcesem. Przez jakiś czas wszyscy będą zadowoleni.

– Jasne. Ale to się nigdy nie kończy prawda?

– Nie. – Rose westchnęła. – W przyszłym tygodniu poznam mojego nowego partnera. Tym razem ma to być kobieta, co mnie nawet cieszy. Może ją znasz? – Wymieniła nazwisko.

– Nie – odrzekł Carlyle. Kelnerka przyniosła nową kawę i zabrała pieniądze.

Rose odprowadziła ją wzrokiem.

– Mam też inną dobrą wiadomość – dodała. – Julia Bojko dostała się do programu British Council.

– Wspaniała robota. – Inspektor naprawdę tak uważał, ale słyszał niepewność w swoim głosie. Nie chcąc, by Rose pomyślała, że jest nieszczerzy, dorzucił: – Tak, to naprawdę dobra wiadomość.

– Za wcześnie jeszcze na podsumowania, ale podobno nieźle sobie radzi.

– Miejmy nadzieję, że zarobi tyle, że nie będzie próbowała tutaj wrócić. – W zamierzeniu Carlyle'a miał to być żart, ale sądząc po minie Rose, nie wyszło to najlepiej.

– Będziemy kontaktowały się e-mailowo – powiedziała sztywno.
– Chcę jej pomóc w miarę możliwości.

– Daj znać, jeśli ja też będę mógł coś dla niej zrobić.

– Dam. – Pochyliła się nad stołem, by poklepać go po dłoni. – Możesz być tego pewny.

Nie po raz pierwszy Carlyle poczuł, że czerwieni się w jej obecności. Po chwili zabrał rękę ze stołu i położył ją na kolanach.

– Muszę już iść – powiedziała Rose, odsuwając krzesło i wstając.
– Słyszałeś o Shenie?

– Nie. – Inspektor podniósł na nią wzrok i dłonią osłonił oczy przed słońcem. – Co się stało?

– Odszedł z policji.

– Interesujące.

– Przypuszczam, że żona go do tego zmusiła.

Całkiem możliwe, pomyślał Carlyle.

– Myślisz, że był skorumpowany?

Rose ściągnęła brwi.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Ale teraz chyba nie warto się nad tym zastanawiać.

– Pewnie nie.

Rose założyła torbę na ramię. Po krótkim wahaniu wyciągnęła rękę do Carlyle'a, a ten uściśnął ją, nie wstając z miejsca.

– Dzięki za pomoc – powiedział skrepowany. – Dobrze nam się razem pracowało.

– Tak. – Uśmiechnęła się i spuściła wzrok.

– Do zobaczenia przy jakiejś okazji.

– Tak.

Odwróciła się i przeszła przez ulicę. Popijając kawę, Carlyle obserwował, jak wchodzi w Old Compton Street i znika za rogiem.

Kiedy kończył drugie macchiato, uświadomił sobie, że ktoś przed nim stoi.

– Inspektor Carlyle?

– Tak?

Znow musiał zmrużyć oczy, gdy podniósł wzrok i zobaczył wysokiego mężczyznę z siwymi, krótko ostrzyżonymi włosami. Cienie pod jego oczami świadczyły o tym, że ostatnimi czasy niewiele spał.

– Jestem Kelvin Matthews, ojciec Alexy. – Wskazał na niemal równie wysoką jak on kobietę stojącą przed klubem jazzowym Ronniego Scotta. Patrzyła na nich obu z udęconą miną. – A to jej matka, Sandra.

O Chryste, pomyślał Carlyle przerażony.

– Miło mi pana poznać – powiedział, starając się nie krzywić. Wstał szybko z krzesła i uściśnął dłoń mężczyzny. Kobieta po drugiej stronie ulicy stała nieruchomo, jakby wrosła w ziemię.

– Alexa była naszym jedynym dzieckiem – powiedział z taką miną, jakby ćwiczył te kwestie w domu, przed lustrem.

Carlyle oparł się pokusie ucieczki i zastanawiał gorączkowo, co powinien odpowiedzieć.

Wydawało się jednak, że Kelvin Matthews wcale tego nie oczekuje.

– Kiedy dowiedzieliśmy się, co ją spotkało... cóż, byliśmy załamani. – Spojrzał przez ramię w stronę klubu i dodał: – Szczególnie jej matka.

Carlyle położył dłoń na ramieniu mężczyzny.

– Czy mogę państwu jakoś pomóc? – spytał łagodnie.

– Alexa powiedziała nam, że pomagał jej pan się przenieść – powiedział Kelvin Matthews zapatrzony gdzieś w przestrzeń za plecami inspektora.

– Z SO₁₄?

– Tak. Jej matka i ja zawsze uważaliśmy, że nie może być nic lepszego od pracy dla rodziny królewskiej. – W końcu spojrzał w oczy Carlyle'a. – Więc dlaczego chciała stamtąd odejść?

– Ja też pracowałem przez jakiś czas w pałacu – odparł Carlyle zadowolony, że Matthews prosi o tak niewiele i że on sam może bez trudu wymyślić wiarygodną odpowiedź. – Bez wątplenia było to bardzo... interesujące miejsce. Policja metropolitalna ma jednak to do siebie, że można tu robić naprawdę mnóstwo różnych rzeczy. W końcu chciałem spróbować czegoś innego. Przypuszczam, że to samo kierowało Alexą.

Matthews zastanawiał się nad tym przez chwilę, jakby nie do końca mógł uwierzyć, że to jedyna odpowiedź, jaką usłyszy od Carlyle'a.

Inspektor zerknął na panią Matthews, ciekaw, czy ruszyła się z miejsca. Nie.

– Rozumiem – powiedział w końcu mężczyzna. – Czy to miało coś wspólnego z tym, że spalono ją żywcem?

– Nie, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedział inspektor, starannie dobierając słowa. – Nie biorę bezpośrednio udziału w śledztwie dotyczącym śmierci państwa córki, ale bardzo się nim interesuję. Czy chce pan, bym skontaktował państwa z oficerem prowadzącym?

– Dziękuję, nie ma takiej potrzeby. Jesteśmy już w kontakcie z inspektorem Petherick.

Carlyle nigdy nie słyszał tego nazwiska.

– To dobry policjant – zapewnił.

– Policjantka.

Carlyle czuł, jak czerwieni się ze wstydu.

– Ach tak, oczywiście. – Postukał się lekko w głowę. – Mój błąd. – Jak może uratować tę sytuację? Spojrzał na kobietę, od której była rozpacz i niedowierzanie. – Czy chciałby pan, żebym porozmawiał z pańską żoną?

– Nie, dziękuję – odpowiedział Matthews sztywno. – Chcieliśmy zadać panu tylko to jedno pytanie.

Carlyle wyjął z kieszeni wizytówkę i wręczył ją ojcu Alexy.

– Gdybym mógł państwu jeszcze jakoś pomóc, proszę dać mi znać.

Matthews schował wizytówkę do kieszeni, nawet na nią nie spojrzawszy.

– Będę pamiętał, inspektorze, dziękuję. I dziękuję, że próbował pan pomóc mojej córce.

Choć poczuł się w tym momencie jak ostatni dupek, Carlyle spojrział Kelvinowi prosto w oczy.

– Przykro mi, że nie mogłem zrobić nic więcej – powiedział. – Znaliśmy się od bardzo dawna.

Matthews skinął tylko głową i po raz drugi uściśnął dłoń Carlyle'a. Potem zszedł z chodnika, przepuścił przejeżdżającą furgonetkę i wrócił do żony. Nie odezwawszy się do niej ani słowem, ucałował ją czule w czoło i wziął pod rękę. Razem ruszyli powoli ulicą.

Deszcz spadł niczym błogosławieństwo, drobne kropelki niosły ze sobą odwieczną obietnicę odrodzenia. Wciskając czubek buta firmy Oliver Sweeney w wilgotny trawnik, Carlyle wsłuchiwał się w nieustający szum ruchu ulicznego, który dobiegał z Grosvernor Place po drugiej stronie muru. Zapiął płaszcz, by uchronić przed wilgocią swój ulubiony, używany garnitur marki Paul Smith, a potem poprawił krawat. Po raz pierwszy od wielu miesięcy włożył tego dnia swoje najlepsze ubranie. Helen również ubrała się odświętnie – oboje chcieli w ten sposób okazać szacunek prochom Alzbeta Tisztenko, które miały w końcu znaleźć miejsce wiecznego spoczynku.

U boku Carlyle'a pojawił się sir Ewen Mayflower.

– Jesteśmy gotowi?

Inspektor odszukał wzrokiem Helen. Stała pięćdziesiąt metrów dalej i przyglądała się jakimś nieznanym mu roślinom. W jednej ręce trzymała torbę, w drugiej urnę z prochami. Oprócz nich w pałacowych ogrodach nie było żywej duszy. Carlyle spojrział na zegarek: Aleksandra Gazizulin i matka dziewczynki spóźniały się już niemal pół godziny. Być może utknęły gdzieś w korku, choć nie wydawało mu się to prawdopodobne. Tak czy inaczej nie mógł już dłużej zajmować cennego czasu szefa królewskiego dworu.

– Tak – powiedział, odwracając się do Mayflowera. – Myślę, że powinniśmy już zaczynać.

– Dobrze.

– Jeszcze raz dziękuję, że pan to zorganizował.

– Proszę nie dziękować mnie – odparł Mayflower z łagodnym uśmiechem i wskazał pałac. – Powinien pan podziękować właścicielom.

Kiedy Carlyle podniósł wzrok, dojrzał w oknie na pierwszym piętrze drobną szarą postać, która przyglądała się tej smutnej scenie. Inspektor zamrugnął ze zdumienia, a postać zniknęła. Może tylko coś mu się przywidziało.

– Czy właściciele tego miejsca... czy oni wiedzą o Falkirku?

– Tak i nie – odparł Mayflower.

– Co to znaczy?

– Myślałem, że to oczywiste. Wiedzą na tyle dużo, by wiedzieć, że nie chcą wiedzieć.

– Oczywiście. To najważniejsza umiejętność establishmentu: uchylanie się przed głównym.

– Ujął pan to dość oryginalnie, inspektorze, ale zasadniczo chodzi właśnie o to.

– Tak czy inaczej jesteśmy bardzo wdzięczni – powiedział cicho Carlyle. – Mam nadzieję, że przekaże pan nasze szczerze podziękowania właściwym osobom.

– Oczywiście. Oczywiście. – Mayflower wziął Carlyle'a pod ramię i ruszyli w stronę Helen. – Jest jeszcze coś, co mógłby pan dla mnie zrobić – dodał po chwili.

– Na pewno spróbuję – odpowiedział Carlyle, zastanawiając się, jaką przysługę mógłby wyświadczyć temu dystyngowanemu arystokracie.

– Chcę, żeby miał pan na oku Carole Simpson.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – Carlyle ściągnął brwi. – Carole jest moją szefową.

– Tak. – Mayflower mocniej zacisnął dłoń na jego ramieniu. – Ale szanuje pana, a pan szanuje ją.

Cóż, w pewnym sensie, pomyślał Carlyle.

– Ta biedna kobieta bardzo potrzebuje teraz pomocy i wsparcia ze strony bliskich jej ludzi.

Ja też się do nich zaliczam? – zdziwił się w duchu Carlyle. Rzeczywiście, biedna kobieta.

Mayflower zatrzymał się w odległości kilku metrów od Helen.

– Jej mąż wciąż jest w szpitalu.

– Tak długo?

– Tak. Wykryli u niego coś paskudnego. Raka okrężnicy, o ile się nie mylę. Wygląda na to, że z powodów osobistych Joshua będzie mógł

wcześniej opuścić więzienie. Lekarze dają mu pół roku życia.

– Carole Simpson powiedziała panu to wszystko?

Mayflower spojrzał na niego smutno.

– Nie wszyscy są tacy skryci jak pan, inspektorze.

Skryci? – zdumiał się Carlyle. Widzieliśmy się trzy razy w życiu, a ty już oceniasz mój charakter? Uświadomiwszy sobie, że wcale nie chodzi o niego, szybko wziął się w garść.

– Jak ona będzie się nim opiekowała?

– Myślę, że Joshua wróci do domu tylko na kilka tygodni, potem będzie się musiał przenieść do hospicjum.

– Jezu...

– Sam więc pan rozumie, że Carole potrzebuje teraz wsparcia i zrozumienia.

– Tak, oczywiście. Zrobię, co będę mógł. – Carlyle spojrzał na szare niebo, zastanawiając się, co właściwie miałyby to oznaczać.

Mayflower poklepał go po ramieniu.

– Niech Bóg pana błogosławi, inspektorze.

Gdy podeszli w końcu do Helen, z komórki Mayflowera wydobyła się melodia pieśni patriotycznej Land of Hope and Glory. Sir Ewen podniósł aparat do ucha.

– Tak, rozumiem – powiedział, po czym spojrzał na Carlyle’a. – Pańscy goście już tu są.

– W samą porę.

– Dobrze – rzucił Mayflower do telefonu. – Zaraz tam będę.

Zakończył rozmowę, przeprosił Carlyle’ów i przeszedł przez trawnik do pałacu.

Carlyle stanął obok Helen, objął ją ramieniem i pocałował delikatnie w czoło.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała z uśmiechem i wskazała pustą rabatkę. – Sir Ewen powiedział, że tu możemy rozsypać prochy.

– Nic szczególnego – skomentował Carlyle.

– W przyszłym roku posadzą róże damasceńskie. Wtedy będzie tu bardzo ładnie.

Inspektor, który nie odróżniłby róży damasceńskiej od dziury w ziemi, skinął tylko głową. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył Mayflowera, który zmierzał w ich stronę, prowadząc dwie kobiety. Jednej z nich inspektor nie znał – niska i korpulentna, rozglądała się z otwartymi ustami, jakby właśnie wylądowała na Marsie. Drugą rozpoznał od razu – wysoka i elegancka, nawet z tej odległości wydawała się niezwykle atrakcyjna. Ubrana w ciemny kostium i płaszcz burberry, mogła uchodzić za stałą bywalczynię pałacowych wnętrz.

Gdy Aleksandra Gazizulin podeszła bliżej, inspektor zeszywniał lekko, dojrawszy znajomy błysk rozbawienia w jej oczach. Poniewczasie zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił, przyprowadzając tu Helen. Teraz jednak i tak nie mógł z tym nic zrobić. Raz jeszcze pocałował żonę i wyszeptał:

– Dziękuję, że przyszłaś.

Helen przytuliła się do niego.

– Jak inaczej mogłabym się dostać do ogrodów pałacu Buckingham?

– Wiesz, co mam na myśli.

Spojrzała na zbliżającą się trójkę.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Johnie. Zrobiłeś tyle dla tej biednej dziewczynki i jej matki.

– Wcale nie zrobiłem dla nich dużo.

– Ale więcej, niż musiałeś. Liczy się też to, że w ogóle wpadłeś na taki pomysł.

– Może. – Carlyle westchnął. – Pewnie masz rację.

– Szkoda tylko, że zabrakło tu szczęśliwego zakończenia.

Carlyle wciągnął zapach perfum żony i podziękował losowi za wszystko, co ma, za całe to szczęście, którego doświadcza. Pomyślał też o wszystkim, czego zabrakło Alzbecie Tisztenko, Julii Bojko i Bóg jeden wie, ilu innym dziewczętom.

– Bo w prawdziwym życiu nie ma szczęśliwych zakończeń – stwierdził posepnie.

– Nie bądź taki ponury – skarciła go łagodnie Helen. – Pamiętaj o starym powiedzeniu Carlyle’ów: „W końcu wszystko będzie dobrze”.

– Tak. A jeśli nie jest dobrze, to znaczy, że to jeszcze nie koniec!
– podsumował Carlyle.

– Otóż to.

Helen odsunęła się od niego i poszła przywitać się z kobietami.

Aleksandra Gazizulin dokonała prezentacji, tłumacząc wszystko matce Alzbety, która tylko kiwała w milczeniu głową. Carlyle zauważył, że starsza Ukrainka kołysze się lekko i ma szkliste oczy. Zastanawiał się, czy zażyła wcześniej jakieś leki. Helena wręczyła jej urnę, po czym wszyscy odsunęli się dyskretnie na bok, podczas gdy matka dziewczynki rozrzucała jej prochy w wyznaczonym miejscu.

Potem Helen wzięła sir Ewena pod rękę i zaprowadziła go do najbliższej ławki, by porozmawiać z nim o Avalonie, międzynarodowej medycznej organizacji charytatywnej, w której pracowała. Carlyle był przerażony, gdy powiedziała mu, że przy tej smutnej okazji zamierza nawiązać cenne kontakty, a gdy próbował protestować, poinformowała go wyniośle, że to wyjątkowa szansa, której po prostu nie wolno jej zmarnować. Mayflower był zachwycony, że stał się obiektem uwagi ze strony tej atrakcyjnej, znacznie młodszej od niego kobiety. Wkrótce oboje pogrążyli się w ożywionej rozmowie.

Alex również spojrzała na dyskutującą parę.

– Ma pan uroczą żonę – zauważyła.

– Owszem. Jestem szczęściarzem. – Zerknął na matkę Alzbety, która wysypała właśnie resztkę prochów i przykryła urnę wiekiem, mamrocząc coś do siebie. – Co ona teraz robi? – spytał.

– Chce pójść na zakupy. – Na widok miny Carlyle’a Alex parsknęła śmiechem. – Co w tym dziwnego?

– Nie tego spodziewałbym się po matce, która pochowała właśnie dziecko – obruszył się Carlyle.

– Ma sześćcioro dzieci. Opiekowała się trojgiem, a troje oddała do sierocińca. Jak na ukraińskie standardy to i tak całkiem nieźle. Robiła, co w jej mocy. Nie mogła pozwolić sobie na sentymenty.

– Rozumiem. – Carlyle wzruszył ramionami. Kimże on jest, by ją oceniać?

– Dałam jej dwieście funtów, będzie je mogła wydać w drodze na lotnisko. Proszę sobie tylko wyobrazić, Harrods! Jest tym bardzo podekscytowana.

– Dziękuję, że pani ją tu przywiozła.

– To był mój obowiązek. – Alex zapatrzyła się w dal. – Popelniliśmy duży błąd. Teraz mogę tylko dopilnować, żebyśmy go nie powtórzyli. Są pewne granice.

– Tak – zgodził się z nią Carlyle. – Są granice.

W tym momencie pojawiła się obok nich matka Alzbety. Ze spuszczonej oczami wymamrotała coś do Alex i podała jej pustą urnę. Nawet nie spojrzawszy na Carlyle'a, odwróciła się i ruszyła przez trawnik w stronę bramy.

– Czas na Harrodsa – stwierdził Carlyle, po czym odwrócił się do Alex. – Wie pani, przez całe życie mieszkam w Londynie i chyba nigdy tam nie byłem.

Alex uniosła lekko brwi.

– Wcale mnie to nie dziwi. To miejsce dla ludzi z klasą.

– Piękne dzięki! – parsknął z udawanym oburzeniem.

– Ja sama wolę raczej sieć Harvey Nichols – poinformowała go Alex.

– Wyobrażam sobie – mruknął Carlyle. Zdążył się już domyślić, że w przypadku Aleksandry Gazizulin określenie „bajecznie bogata” jest niedopowiedzeniem.

– Mam nadzieję, że niedługo otworzą sklep w Kijowie. Proszę. – Wręczyła Carlyle'owi urnę. – Ona chce, żeby pan ją zatrzymał.

Carlyle obrócił w dłoniach brązowy pojemnik przypominający puszkę na herbatę.

– Dziękuję.

- Na mnie już czas – rzekła Alex z westchnieniem.
- Poprosić sir Ewena, żeby was wyprowadził?
- Nie. Wygląda na to, że dobrze się dogaduje z pańską żoną. Nie chciałabym im przeszkadzać. Poradzimy sobie same.
- Dobrze.
- Proszę się nie obawiać, nie ukradniemy niczego po drodze. Carlyle tylko się roześmiał.
- Choć możemy zajrzeć do sklepu z pamiątkami.
- Jest drogi.
- Na pewno potrzebują tu pieniędzy. – Wskazała pałac. – Nie wygląda to najlepiej, prawda? Przydałby się jakiś remont.
- W takich miejscach chyba zawsze potrzebują środków na utrzymanie.

Znudzona rozmową Alex wyciągnęła do niego rękę.

- Miło było cię poznać, Johnie Carlyle'u.

Inspektor zawahał się na moment, po czym ujął dłoń Ukrainki i odpowiedział:

- I ciebie... Olgo.

Pochyliła się do przodu i pocałowała go w policzek.

- W twoich snach, policjancie, Olga zjadłaby cię żywcem i to wiele, wiele razy – wyszeptała.

Carlyle zaczerwienił się i spojrzał odruchowo na żonę. Na szczęście Helen wciąż pogrążona była w rozmowie z Mayflowerem i nie zwracała na niego uwagi.

Nim inspektor doszedł do siebie, Alex była już w połowie drogi do bramy. Nagle poczuł na twarzy uderzenie wiatru i uświadomił sobie, że przestało padać. Na niebie pojawił się małeńki skrawek błękitu, oznaka trwającego wciąż oporu przed nadejściem zimy. Carlyle wbił dłonie w kieszenie płaszcza i obserwował, jak Aleksandra Gazizulin dogania matkę Alzbety i prowadzi ją do strażnika, który miał wyprowadzić je na ulicę.

Gdy kobiety zniknęły mu z oczu, inspektor wyjął z kieszeni kopertę. W środku znajdował się nakaz aresztowania Aleksandry

Gazizulin. Podarł dokument i rzucił skrawki papieru na wiatr, który poniósł je daleko, za mur pałacu. Potem obrócił się na pięcie i ruszył w stronę swojej żony i jej nowego przyjaciela.

Karnawał, futbol, samba!

Bzdury.

Był zimny, ciemny i mokry wieczór, przejmujący wiatr wiejący od Tamizy sprawiał, że trudno było sobie wyobrazić jakieś miejsce na ziemi, które w jeszcze mniejszym stopniu przypominałoby teraz Brazylię. Carlyle sprawdził godzinę na komórce i wszedł szybkim krokiem na kładkę Charing Cross, klnąc pod nosem. Powinien był siedzieć na przedstawieniu Cyrku Południowoamerykańskiego w Royal Festival Hall, które zaczęło się już dziesięć minut temu.

Cholera, cholera, cholera jasna.

Helen wydała fortunę na bilety. Potem mieli pójść na pizzę do restauracji i tam spokojnie odbyć rodzinną naradę. Taki przynajmniej był plan. Po sąsiednim moście kolejowym przejechał z hukiem pociąg. Carlyle poczuł w kieszeni wibrowanie telefonu. To pewnie kolejny SMS od Helen, która zastanawia się, gdzie on się podziewa. Carlyle miał tylko nadzieję, że dziewczyny zajęły miejsca i zostawiły mu bilet w recepcji. Jeśli nie, to może się z nimi spotkać w przerwie, jeśli program w ogóle taką przewiduje. W najgorszym wypadku w geście dobrej woli zapłaci za kolację.

Przepychał się wytrwale do przodu. Kładka miała zaledwie dwa i pół metra szerokości, co oznaczało, że mogły się na niej swobodnie minąć najwyżej cztery osoby, dwie idące w jedną stronę, dwie w drugą, a jeszcze mniej, jeśli ludzie przystawali, by robić zdjęcia lub podziwiać widoki.

– Przepraszam!

Carlyle ominął starszą kobietę i przepchnął się obok mężczyzny, który stał przy poręczy i patrzył na zachód, w stronę budynków parlamentu. Ignorując narzekania mężczyzny, próbował przyspieszyć kroku.

Kiedy jego telefon znów zaczął wibrować, inspektor spojrzął w końcu na wyświetlacz. Dzwonił Joe Szyszkowski. Carlyle wiedział, jaką

sprawę ma do niego sierżant, więc postanowił nie odbierać. Obaj musieli zostać dłużej w komisariacie z powodu pewnej policjantki, która oskarżyła kilku funkcjonariuszy z Charing Cross o molestowanie seksualne. Chodziło o paskudną historię – związaną z nadmiarem alkoholu i seksualnych gadżetów – która wcześniej czy później musiała trafić do trybunału i na pierwsze strony tabloidów. Carlyle nie chciał mieć nic wspólnego z całym tym żalonym spektaklem. Winowajców znał tylko z widzenia, był więc wściekły, kiedy po południu wezwano go do pokoju przesłuchań i kazano złożyć oficjalne oświadczenie w tej sprawie. Wściekł się jeszcze bardziej, gdy potem niemal przez godzinę prawnik policji metropolitalnej zadawał mu pytania, na które inspektor nie znał odpowiedzi.

Wiedział, że to wszystko i tak nie zrobi wrażenia na Helen. Jego żona uważała, że praca może pokrzyżować człowiekowi plany tylko wtedy, jeśli ten na to pozwoli. W najlepszym przypadku uznałaby spóźnienie Carlyle'a za oznakę podświadomej ucieczki przed rozwiązywaniem trudnego problemu karate Alice.

Inspektor musiał się zatrzymać, gdy na jego drodze stanęła młoda kobieta pogrążona w poważnej rozmowie z bezdomnym sprzedającym gazetę „Big Issue”. Próbował ją ominąć, ale z naprzeciwka nadeszła właśnie grupa dzieci prowadzonych przez nauczycielkę. Carlyle spojrział gniewnie na bezdomnego, a ten, wyczuwając jego irytację, uśmiechnął się drwiąco.

Gdy dzieciaki w końcu przeszły, inspektor poczuł, że ktoś pcha go od tyłu. Nie zdziwiło go to, bo zapewne nie on jeden spieszył się na drugą stronę rzeki, ale sekundę potem poczuł również, że w podstawę jego kręgosłupa wbija się coś twardego.

– Nie odwracaj się – syknął ktoś z tyłu. – Jeśli ten walther P-dziewięć-dziewięć wypali, w najlepszym wypadku spędzisz resztę życia na wózku.

Carlyle rozpoznał głos napastnika, ale się nie odezwał.

Mężczyzna położył mu dłoń między łopatkami i pchnął do przodu.

– Zatrzymaj się tutaj... z boku. Połóż ręce na poręczy, żebym je widział.

Carlyle wykonał polecenie. Spojrzał w dół, na szarobrazowe wody Tamizy, i się wzdrygnął.

Tymczasem napastnik przysunął się bliżej, niemal przytulił do niego od tyłu, ograniczając inspektorowi pole manewru i kryjąc broń przed innymi ludźmi, którzy przechodzili właśnie kładką.

Carlyle odwrócił lekko głowę, by wiatr nie porwał jego słów.

– I co zamierzasz teraz zrobić, Charlie? – spytał. – Zastrzelić mnie czy zerznąć?

Charlie Adam jeszcze mocniej wbił lufę pistoletu w plecy Carlyle'a.

– Zawsze byłeś skończonym dupkiem – prychnął z pogardą. – Zrobię to, co ktoś powinien był zrobić już dawno temu. Dla takich jak ty nie ma miejsca w policji. Powinni byli wypuścić cię z SO14 w trumnie.

– Jak Tommy'ego Dolana?

– Dolan był o wiele lepszym gliniarzem niż ty kiedykolwiek mógłbyś być.

– Tak, jasne.

Carlyle spojrział na dzieciaki idące w stronę dworca kolejowego. Serce biło mu jak szalone, jakby chciało wyrwać się z piersi. Odetchnął głęboko kilka razy, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej sytuacji. Nic nie przychodziło mu do głowy.

– Owszem, dopadłem Dolana, i co z tego? – rzekł spokojnie. – Dlaczego ty miałbyś się tym przejmować?

– Gównu mnie obchodzi Tommy Dolan – zaskomlał Adam głosem co najmniej o oktawę wyższym niż zazwyczaj. – Tylko o nim się mówi. A ja miałem w tej firmie ponad milion. Co ze mną?

– Mówisz o United-14?

– Boże, Carlyle, czasami potrafisz być naprawdę tępy. Tak, mówię o cholernym United-14. Pierdolony milion funtów! Harówka całego życia...

Raczej łapówka całego życia, pomyślał Carlyle. Dobrze ci tak, zasrany sprzedawczyku.

– Cóż. – Westchnął. – Przepadło. Nie mogę ci tego oddać.

W oczach Adama błysnęły łzy. Może winien był wiatr. Może frustracja. A może myśl o samotnej ubogiej starości.

– Wiem, że nie możesz – warknął. – Moja emerytura przepadła.

– Więc czego ode mnie chcesz? – odwarknął Carlyle. Zaczynało go to nudzić. Z braku lepszego planu postanowił zaryzykować i po prostu walnąć gnojka w twarz.

Adam poczekał, aż przejedzie następny pociąg.

– Chcę zobaczyć, jak skaczesz do rzeki.

– Co? Chyba cię, kurwa, powaliło.

– Skacz albo cię zastrzelę, a potem zepchnę.

Czy ten mały sukinsyn ma dość odwagi, żeby go zabić? Inspektor szczerze w to wątpił. Z drugiej strony wolałby tego nie sprawdzać.

– Pierdol się!

Adam odsunął nieco lufę od kręgosłupa Carlyle'a.

– Skacz, a może uda ci się przeżyć.

Jasne, kurwa. Jeśli się nie utopię, zabiją mnie te wszystkie świństwa, które tam wylewają.

Carlyle wyobraził sobie, jak palec Adama zaciska się na spuście. Zastanawiał się, czy odbezpieczył broń, choć jeszcze bardziej frapowało go pytanie, jak mógłby uchylić się przed kulą.

– Przepraszam bardzo...

Adam cofnął się o krok, a Carlyle obrócił się i zobaczył wysokiego mężczyznę o siwych włosach i brodzie, który zatrzymał się przed nimi. Trzymał w ręku niemiecki przewodnik po Londynie. Za jego plecami przystanęła kobieta w średnim wieku i dwie nastoletnie dziewczynki, prawdopodobnie córki tej pary.

– Szukamy London Eye – powiedział mężczyzna kanciastą, precyzyjną angielszczyzną, którą posługują się tylko Niemcy. – Mamy bilety z wejściem za pół godziny.

Adam i Carlyle odwrócili się jednocześnie i spojrzeli na rozświetlone, mające ponad sto trzydzieści metrów średnicy koło, które obracało się powoli na tle ciemnego nieba zaledwie sto metrów dalej.

Charlie Adam odwrócił się do niczego nieświadomego turysty.

– A jak myślisz, co to jest, do jasnej cholery? – warknął.

Mężczyzna spojrział na London Eye i zrozumiał swój błąd, uśmiechnął się przepaszająco. W tym momencie Carlyle zrobił krok w stronę Adama, zamachnął się i wbił mu łokieć prosto w twarz. Nadinspektor zachwiał się oszołomiony, a Carlyle uderzył łokciem po raz drugi. Adam podniósł ręce do twarzy, wypuszczając przy tym walthera. Rodzina Niemców patrzyła z niedowierzaniem na pistolet, który odbił się od kładki i zniknął za barierką.

Wszystko odbywało się w zwolnionym tempie. Rozwścieczony Carlyle złapał Adama za kołnierz płaszcza, rzucił go na barierkę i kopnął kolanem w krocze. Nadinspektor pluł krwią i próbował nabrać powietrza. Carlyle widział, że uszła z niego wola walki i uznał, że czas na finał. Zrobił krok do przodu i uderzył go hakiem w podbródek. Głowa Adama poleciała do tyłu. Próbował jeszcze przytrzymać się barierki, ale poleciał na bok i upadł.

Pewny, że ze strony nadinspektora nic mu już nie grozi, Carlyle odwrócił się do małej grupki gapiów. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej policyjną legitymację. Wymachując nią nad głową, starał się nawiązać kontakt wzrokowy z jak największą liczbą ludzi.

– Czy ktoś wezwał policję? – krzyknął.

Odpowiedziało mu przybierające na sile wycie syren.

– O Boże! – wrzasnęła nagle jakaś kobieta.

Inspektor obejrzał się za siebie i zobaczył, że Charlie Adam zniknął. Nim podszedł do barierki i spojrział w dół, po jego niedoszłym zabójcy zaginął wszelki ślad.

40

Carlyle siedział w restauracji tuż przy placu w Covent Garden i patrzył na indyjskie lalki z Radżastanu wiszące pod sufitem. Zaaranżowana tam scenka przedstawiała królewskie wesele: pan młody siedział na białym koniu otoczony przez kapłanów, akrobatów, muzyków i tancerzy. Inspektor dostrzegł w rogu grupę zaklinaczy węży i się uśmiechnął. Po drugiej stronie stołu siedziały Helen i Alice. Nadszedł w końcu czas na ich spóźnioną „rodzinną naradę”.

Dwa dni wcześniej woda wyrzuciła na południowy brzeg Tamizy, w pobliżu mostu Tower, ciało Charliego Adama. Czwórka niemieckich turystów potwierdziła zeznania Carlyle’a, w związku z czym nie zdążyła na przejażdżkę London Eye. Teraz sprawa została wreszcie zamknięta.

Kiedy inspektor wrócił tamtej nocy do domu, przedstawił Helen tylko nieco uładzoną wersję wydarzeń. Po zastanowieniu żona uznała jego nieobecność w cyrku za usprawiedliwioną, co nie oznaczało jednak, że winy zostały mu wybaczone. Tak czy inaczej musiał zabrać żonę i córkę na kolację.

Carlyle upił łyk piwa Cobra i rozsiadł się wygodniej na krześle. Wiedział już, co chce zjeść, ale czekał cierpliwie, podczas gdy Helen popijała wodę i przeglądała uważnie menu, które i tak znała na pamięć. Alice, pogrążona w lekturze książki o wampirach zatytułowanej *Nigdy nie gryź chłopca na pierwszej randce*, ignorowała ich oboje.

– Wezmę chyba dhaba rogan josh. – Helen odłożyła kartę na stół i odwróciła się do Alice. – A ty?

– Nie jestem głodna – poinformował ich głos zza książki.

– Musisz coś jeść – warknął Carlyle.

– Nie, nie muszę! – zaprotestowała Alice, podnosząc na moment wzrok. – Myślisz, że tylko dlatego, że tym razem w końcu się pojawiłeś, możesz mówić mi, co mam robić? Więc dowiedz się, że nie, nie możesz.

Inspektor, zbaraniały, wbił wzrok w córkę. O co w tym wszystkim chodzi?

Helen spojrzała na niego rozbawiona, jakby chciała powiedzieć: „Witaj w moim świecie, panie policjancie”.

Kłótni zapobiegł radosny dzwonek telefonu komórkowego. Carlyle i Helen jednocześnie sprawdzili swoje aparaty, ale nikt do nich nie dzwonił.

– To do mnie – oświadczyła Alice i wyjęła telefon z tylnej kieszeni dżinsów, natychmiast zapominając o złym humorze.

Carlyle dokończył piwo i zmierzył żonę surowym spojrzeniem. Helen nie zwracała na niego uwagi.

– Halo? Stuart... cześć!

Alice zerwała się z miejsca i pobiegła do drzwi, o mało nie przewracając po drodze kelnera z tacą pełną talerzy.

Carlyle czuł, jak gdzieś u podstawy jego czaszki rodzi się paskudny ból głowy. Przez chwilę obserwował Alice, która stała na chodniku i rozmawiała o czymś z ożywieniem. Jego Alice? Czyżby? Jeszcze nie młoda kobieta, ale już nie jego mała dziewczynka.

Gestem poprosił kelnera o następne piwo.

– Skąd ona wzięła ten telefon? – spytał żony.

– Kupiła go za pieniądze, które przesłała jej moja mama.

– Cudownie. – Inspektor westchnął.

– Daj spokój. Musisz się ogarnąć, jak powiedziałaaby Alice. Wszystkie dziewczyny w jej klasie mają już telefony. Poza tym przydaje jej się, kiedy wychodzi i musi do nas zadzwonić...

Do mnie nigdy jeszcze nie zadzwoniła. Carlyle spojrzał bezradnie na żonę.

– I kim, do ciężkiej cholery, jest Stuart?
